

# Wyznania, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JEAN-JACQUES ROUSSEAU

# Wyznania

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# TOM DRUGI

## KSIĘGA IX

(1756) Niecierpliwe pragnienie zamieszkania w Pustelni nie pozwoliło mi czekać ciepłej pory. Skoro tylko mieszkanie było gotowe, pospieszyłem objąć je w posiadanie, wśród wrzasków Holbachowskiej kompanii, która przepowiadała głośno, iż nie zniosę ani trzech miesięcy samotności i że niebawem, połknąwszy trochę wstydu, wrócę, aby żyć jak oni w Paryżu. Co do mnie, który, spędziwszy piętnaście lat poza swym żywiołem, czułem, że doń powracam, nie zwracałem nawet uwagi na te przycinki. Od czasu jak mimo mej woli losy pomieściły mnie wśród świata, nie przestałem żałować drogich Charmettes i lubego życia, jakie tam pędziłem. Czułem się stworzony dla odludzia i wsi; niepodobna mi było żyć szczęśliwie gdzie indziej. W Wenecji, w toku spraw publicznych, w splendorach oficjalnego stanowiska, wśród ambitnych projektów przyszłości; w Paryżu, w wirze świetnego towarzystwa, wśród uciech, biesiad i wieczerzy, w blasku widowisk, dymie czczej chwały — wciąż moje gaje, strumienie, samotne przechadzki, oblegały mnie wspomnieniem, osmucały, wydierały westchnienia żalu i tęsknoty. Wszystkie prace, do których zdołałem się nałamać, projekty ambicji, jakie nagłymi rzutami podsycaly mój zapal, nie miały innego celu, jak tylko ten, aby pewnego dnia dobić do owych błogosławionych wiejskich wywczasów, które w tym oto momencie zdawało mi się, że osiągam. Nie zdobyłem sobie przyzwoitego dobrobytu, który jedynie, jak sądziłem zrazu, mógł mnie do tego doprowadzić; ale, w osobliwej mojej sytuacji, sądziłem, iż zdołam się bez niego obyć i dojść do tegoż celu wręcz przeciwną drogą. Nie miałem ani szeląga renty, ale miałem nazwisko, talent; byłem człowiekiem o małych potrzebach, wyzbyłem się bowiem najbardziej kosztownych, tj. tych, które wspierają się na ludzkim mniemaniu. Poza tym, mimo iż leniwy z natury, umiałem wszelako być pracowity, gdy chciałem; lenistwo moje było nie tyle lenistwem człowieka gnuśnego, ile niezależnego, który lubi pracować jedynie wedle ochoty. Rzemiosło moje, jako kopisty, nie było świetne ani zyskowne, ale było pewne. Odwaga, z jaką je wybrałem, zyskała mi w świecie niejakiemu uznaniu. Mogłem liczyć na to, iż roboty mi nie zbraknie i że przy pilnej pracy starczy mi, aby wyżyć. Dwa tysiące franków, które zostały mi z *Wiejskiego wróżka* i innych pism, stanowiły zapasik na czarną godzinę, różne zaś dzieła, które miałem na warsztacie, zapowiadały mi, bez krzywdy księgarzy, dostateczne zasilki, abym mógł pracować swobodnie, bez zamęczania się: ot, wyzyskując chwile wywczasów i przechadzek. Mój mały dwór składający się z trzech osób, z których wszystkie były pożytecznie zajęte, nie był zbyt kosztowny. Słowem, zasoby moje, w proporcji do potrzeb i pragnień, mogły racjonalnie pozwolić mi na szczęśliwe i trwałe życie, wedle trybu, jaki skłonność moja kazała mi obrać.

Byłbym mógł rzucić się zupełnie w bardziej zyskownym kierunku i miast niewolić pióro do kopii poświęcić je całkowicie karierze pisarskiej. Sądząc z lotu, który wziąłem od początku i w którym czułem się na siłach utrzymać, pozwoliłaby mi ona z pewnością żyć w dostatku, a nawet w zbytku, bylebym tylko, pisząc dobre książki, zechciał połączyć z tą pracą nieco autorskich zabiegów. Ale czułem, iż pisanie dla zarobku zdusiłoby niebawem we mnie ducha i zabiło talent, który spoczywał nie tyle w piórze, ile w sercu; zrodził się on wyłącznie z podniosłego, dumnego sposobu myślenia, w którym też jedynie mógł czerpać pokarm. Nic krzepkiego, wielkiego nie może wyjść spod pióra oddającego się na sprzedaż. Potrzeba, chciwość sprawiłyby może, iż pracowałbym szybciej, ale gorzej. O ile by żądza sukcesu nie zanurzyła mnie w intrygach, kazałyby mi w każdym razie mówić nie tyle rzeczy użyteczne i prawdziwe, ile takie, które by się spodobały tłumom; z wybitnego pisarza, jakim mogłem być, stałbym się jedynie bazgraczem. Nie, nie, zawsze czułem, że stan pisarza jest i może być dostojnym i świetnym tylko o tyle, o ile nie jest rzemiosłem. Zbyt trudno jest myśleć podniosłe, o ile się myśli tylko po to, aby żyć. Aby móc, aby śmieć mówić wielkie prawdy, nie trzeba być zależnym od własnego powodzenia. Rzucałem swoje książki ogółowi z tą pewnością, iż mówię dla powszechnego dobra, bez troski o resztę. Jeśli dzieło moje odtrącono, tym gorzej dla tych, którzy nie chcą zeń korzystać; co do mnie, nie potrzebowałem ich uznania, aby żyć. Rzemiosło moje mogło mnie wyżywić, w razie gdyby książki nie były pokupne; to właśnie stanowiło tajemnicę ich pokupu.

Twórczość

Zatem 9 kwietnia 1756 opuściłem miasto, aby już doń nie wrócić; nie liczę bowiem za mieszkanie w mieście kilku krótkich postojów, jakimi od tego czasu zatrzymałem się bądź w Paryżu lub Londynie, bądź w innych miastach, zawsze przelotnie i zawsze wbrew woli. Pani d'Épinay przyjechała, aby nas wszystkich troje odwiedzić w swej karocy; człowiek jej zabrał na wózek mój niewielki tobolek i jeszcze tego samego dnia rozgościłem się w nowej siedzibie. Zostałem małe ustronie, urządzone i umeblowane po prostu, ale schludnie i nawet ze smakiem. Ręka, która trudziła się około tego urządzenia, dawała mi w moich oczach nieoszacowaną cenę; doznawałem rozkosznego uczucia na myśl, iż mam być gościem mej przyjaciółki, w domku wedle mego wyboru, wybudowanym umyślnie dla mnie.

Mimo iż było zimno i jeszcze leżał nawet śnieg, ziemia zaczynała się pokrywać roślinnością; widać było fiołki i pierwiosnki; pączki zaczynały nabrzmiewać, a nawet w noc mego przybycia zabrzmiał pierwszy śpiew słowika, tuż niemal pod oknem, w lesie, który przytykał do domu. Budząc się z lekkiego snu, zapominając przy ocknięciu o swej przewodniczce, mniemałem, że jestem jeszcze przy ulicy de Grenelle, kiedy nagle światło ten przejął mnie dreszczem. Wykrzyknąłem w uniesieniu: „Wreszcie wszystkie pragnienia moje się ziściły!”. Pierwszą mą czynnością było zanurzyć się w sielskiej atmosferze, która mnie otaczała. Zamiast zacząć od rozgoszczenia się w domku, jałem przebiegać najbliższe okolice: niebawem, nie było ścieżki, gajku, zarośli, rozpadliny koło mieszkania, których bym nie zwędrawał zaraz w pierwszych dniach. Im więcej rozpatrywałem się w tym uroczym odludziu, tym bardziej czułem, że jest stworzone dla mnie. To miejsce, raczej ustronne niż dzikie, przenosiło mnie myślą gdzieś het, na kraniec świata. Posiadało ono ów przejmujący czar przyrody, jakiego nie znajduje się zazwyczaj w pobliżu dużego miasta; gdyby kogoś znienacką, nagle przenieść w tę miejscowość, nie uwierzyłby nigdy, iż jest ledwie o cztery mile od Paryża.

Po kilku dniach poświęconych temu lubemu odurzeniu, pomyślałem o uporządkowaniu papierów i ustaleniu zatrudnień. Przeznaczyłem — jak zawsze — ranki na kopiowanie, popołudnia na przechadzki, na które wyruszałem zbrojny notatnikiem i ołówkiem: nie umiając bowiem nigdy pisać i myśleć swobodnie inaczej, jak tylko *sub dio*<sup>1</sup>, nie czułem chęci odmieniania metody. Liczyłem na to, iż las Montmorency, dochodzący niemal do mych wrót, będzie mi odtąd gabinetem do pracy. Miałem wiele pism rozpoczętych, odbyłem ich przegląd. Byłem dość bogaty w projekty, ale wśród zgiełku i utrapień miasta wykonanie, aż dotąd, posuwało się wolno. Spodziewałem się rozwinąć bardziej wytrwałą pilność, skoro będę miał większą możliwość skupienia. Sądzę, iż dość wiernie spełniłem te nadzieje jak na człowieka często chorego, często zmuszonego bawić w Chevrette, w Épinay, w Eaubonne, w zamku Montmorency, często niepokojonego we własnym domu przez ciekawych próżniaków, a stale zatrudnionego pół dnia kopiowaniem. Gdy się policzy i zważy dzieła, które napisałem w ciągu sześciu lat, tak w Pustelni, jak w Montmorency, okaże się, jestem pewien, iż jeśli straciłem czas, to w każdym razie nie na bezczynności.

Z różnych prac na warsztacie dziełem, które obmyślałem najdawniej, którym zajmowałem się z największym upodobaniem, nad którym byłbym chętnie pracował całe życie i które miało wedle mnie uwiecznić mą reputację, były *Institucje polityczne*. Pierwszą myśl tego dzieła powziąłem jakieś trzynaście lat wprzód, kiedy, będąc w Wenecji, miałem sposobność zauważyć wady tego tak bardzo wysławianego rządu. Od tego czasu horyzont mój rozszerzył się znacznie przez historyczne studia nad moralnym rozwojem ludzkości. Ujrzałem, iż wszystko wiąże się zasadniczo z polityką i że w jaki bądź sposób patrzeć na rzeczy, żaden naród nie będzie nigdy czym innym, jak tylko tym, czym uczyni go charakter jego rządu. Tak więc owo wielkie zagadnienie najlepszego możliwego rządu zdawało mi się sprowadzać do tego problemu: jaki typ rządu najsposobniejszy jest, aby ukształtować naród najbardziej cnotliwy, oświecony, roztropny, słowem *najlepszy*, biorąc słowo w jego najwyższym znaczeniu? Zdawało mi się, że to zagadnienie styka się znowuż blisko (o ile w ogóle się od niego różni) z tym następnym: jaki jest rząd, który z natury swojej trzyma się zawsze najbliższej prawa? Stąd: co to jest prawo? i cały łańcuch zagadnień tej doniosłości. Widziałem, że to wszystko prowadzi mnie do wielkich prawd, użytecz-

<sup>1</sup>*sub dio* (łac.) — pod gołym niebem. [przypis edytorski]



nych dla szczęścia rodzaju ludzkiego, a zwłaszcza dla szczęścia mej ojczyzny, gdzie w czasie mych odwiedzin nie znalazłem pojęć o prawach i wolności tak sprawiedliwych ani tak jasnych, jakbym pragnął. Uważałem ten pośredni sposób udzielenia ich za najwłaściwszy, aby oszczędzić miłość własną członków republiki i zjednać ich przebaczenie, iż odważam się widzieć w tej kwestii nieco dalej niż oni.

Mimo iż pracowałem nad tym dziełem od kilku lat, nie posunęło się daleko. Książki tego rodzaju wymagają medytacji, czasu, spokoju. Co więcej, pisałem tę rzecz, można powiedzieć, ukradkiem i nie chciałem udzielić swego projektu nikomu, nawet Diderotowi. Bałem się, aby się nie wydał zbyt śmiały dla wieku i kraju, w którym pisałem, i aby popłoch mych przyjaciół<sup>2</sup> nie krępował mnie w wykonaniu. Nie wiedziałem zresztą, czy zdołam je ukończyć na czas w tym stopniu, aby mogło się ukazać za mego życia. Pragnąłem z całą swobodą, bez przymusu, użyć swemu tematowi wszystkiego, czego wymagał. Nie mając zmysłu satyrycznego i nie siląc się nań nigdy z umysłu, pewien byłem, iż zdołam zachować nieposzlakowaną sprawiedliwość. Chciałem, to pewna, korzystać w całej pełni z *prawa myśli*, jakie miałem z urodzenia; ale zawsze szanując rząd, pod którym wypadło mi żyć, i nigdy nie wchodząc w konflikt z jego ustawami. Pilnie bacząc na to, aby nie pogwałcić prawa narodów, nie chciałem wszelako wyrzekać się przez tchórzostwo jego przywilejów.

Wyznaję nawet, że, jako cudzoziemiec, a żyjący we Francji, uważałem, iż znajduję się w położeniu nader korzystnym dla głoszenia prawdy. Rozumiałem, iż przestrzegając (jak miałem zamiar) tej zasady, aby nic nie drukować w państwie bez pozwolenia, nie jestem nikomu winien rachunku ze swych zasad i z ogłaszania ich gdziekolwiek indziej. O wiele mniej byłbym swobodny w samej Genewie, gdzie bez względu na to, gdzieby drukowano moje książki, naczelną władza miała prawo deliberować nad ich treścią. Ów wzgląd wiele przyczynił się do tego, iż dałem się skłonić naleganiom pani d'Epiny i wyrzekłem się zamiaru mieszkania w Genewie. Czuję, jak to wyraziłem w *Emilu*, iż o ile ktoś nie jest człowiekiem krzywych ścieżek, kiedy chce poświęcać swe książki prawdziwemu dobru ojczyzny, nie powinien pisać ich na jej łonie.

Pozycja ta dawała mi w moich oczach i inne przewagi. Byłem przekonany, iż rząd francuski, jakkolwiek nie widzi mnie może zbyt dobrym okiem, uczyniłby sobie w danym razie chlubę z tego, aby jeżeli nie popierać mnie, to przynajmniej zostawić w spokoju. Byłoby to, jak mi się zdawało, bardzo prostą, a jednak bardzo zręczną polityką, uczynić sobie, w ten sposób, zasługę z tolerowania tego, czemu nie można przeszkodzić. Gdyby mnie wygnano z Francji (a to było wszystko, co by mi mogli uczynić), i tak napisałbym to, co chciałem i może z mniejszymi względami; podczas gdy przymykając po prostu oczy, rząd zachowywał autora jako kaucję jego dzieł i co więcej, wymazywał uprzedzenia bardzo zakorzenione w reszcie Europy, zyskując sobie reputację oświecenia i szacunku dla prawa narodów.

Ci, którzy osądzą z faktów, iż omyliłem się w swej ufności, mogliby łatwo sami mylić się w tej mierze. W nawałnicy, która mnie zatopiła, książki moje posłużyły za pozór, ale chodziło tu o osobę. Bardzo mało troszczono się o autora, ale chciano zgubić Jana Jakuba. Największym złem, jakie widziano w mych pismach, była chwała, którą mogły mi przynieść. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Nie wiem, czy ta tajemnica, która jest dla mnie jeszcze pełna mroków, wyjaśni się w dalszym ciągu w oczach czytelników. Wiem tylko, że gdyby zasady, które głosiłem, powinny były ściągnąć na mnie prześladowania, byłbym o wiele wcześniej stał się ich ofiarą. Wszak utwór mój, w którym te zasady objawiły się z największą śmiałością, aby nie powiedzieć zuchwalstwem, ukazał się — i nie przeszedł niepostrzeżony — jeszcze przed moim osiedleniem w Pustelni, a nikt nie myślał, nie mówię już zaczepiać mnie o me poglądy, ale po prostu nawet przeszkodzić swobodnemu krążeniu książki we Francji, gdzie ją sprzedawano równie publicznie jak w Holandii. Od tego czasu ukazała się *Nowa Heloiza*. Spotkała się z tym samym wyrozumieniem, śmiem

---

<sup>2</sup>Bałem się, aby się nie wydał zbyt śmiały dla wieku i kraju, w którym pisałem, i aby popłoch mych przyjaciół — obawę tę nasuwała mi zwłaszcza surowa roztropność Duclosa; co do Diderota bowiem, nie wiem, jakim sposobem, posiedzenia nasze czyniły mnie zawsze satyrycznym i gryzącym, bardziej niż byłem nim z natury. To nawet odwróciło mnie od chęci radzenia się go w tym przedsięwzięciu, w które chciałem włożyć całą siłę rozumowania, bez najlżejszego śladu zgryźliwości i stronniczości. O tonie, który obrałem w tym dziele, można sądzić z *Umowy społecznej*, która jest z niego wyciągiem. [przypis autorski]

powiedzieć, z tym samym poklaskiem; co zaś wydałoby się niemal nieprawdopodobne, wyznanie wiary tejże Heloizy na łożu śmierci jest dosłownie toż samo co wikarego sabaudzkiego. Wszystko, co mogłoby się wydać zbyt śmiało w *Umowie społecznej*, mieściło się już poprzednio w *Rozprawie o nierówności*; wszystko, co jest śmiałego w *Emilu*<sup>3</sup>, było poprzednio w *Julii*<sup>4</sup>. Otóż, te śmiałości nie wywołały żadnego poruszenia przeciw dwom pierwszym dziełom; nie one zatem pobudziły opinię przeciw ostatnim.

Inne jeszcze przedsięwzięcie, mniej więcej tegoż samego rodzaju, ale świeższej daty, zajmowało mnie w tej chwili: mianowicie wyciąg z dzieł księdza de Saint-Pierre<sup>5</sup>, o którym, poniesiony tokiem opowiadania, nie miałem sposobności wspomnieć dotąd. Myśl tę podsunął mi po powrocie z Genewy ksiądz de Mably, nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem pani Dupin, która była poniekąd interesowana w wykonaniu projektu. Należała ona do owych paru ładnych kobiet w Paryżu, których staruszek de Saint-Pierre był pieszczonym dzieckiem; jeżeli nie była jego zdecydowaną ulubienicą, dzieliła przynajmniej pierwszeństwo z panią d'Aiguillon<sup>6</sup>. Zachowała dla pamięci tego zacnego człowieka szacunek i przywiązanie, przynoszące zaszczyt im obojgu; stąd jej miłość własna byłaby chętnie widziała, by pióro jej ekssekretarza wskrzesiło martwo porodzone dzieła jej przyjaciela. Dzieła te zawierały mimo wszystko doskonale rzeczy, ale tak źle wyrażone, że były przez to prawie nieczytelne. Zdumiewające jest, iż ksiądz de Saint-Pierre, który patrzył na swoich czytelników jak na wielkie dzieci, mówił do nich wszelako jak do dorosłych: mianowicie o tyle, iż tak mało się starał przykuć ich uwagę. Dlatego to poddano mi tę pracę jako użyteczną samą w sobie i bardzo odpowiednią dla człowieka pracowitego jako rzemieślnika, ale leniwego jako autora, który, znajdując trud myślenia bardzo nużącym, wolał raczej, skoro rzecz przypadła mu do smaku, objaśniać i wspomagać myśli drugiego niż je tworzyć. Zresztą, nie ograniczając się do czynności tłumacza, nie było mi zabronione myśleć niekiedy samemu; mogłem dać taką formę swej robocie, iż wiele ważnych prawd przeszłoby pod płaszczem księdza de Saint-Pierre jeszcze szczęśliwiej niż pod moim. Przedsięwzięcie zresztą nie było łatwe. Chodziło, ni mniej ni więcej, o przeczytanie, przemyślenie, sporządzenie wyciągu z dwudziestu tomów, gadatliwych, mętnych, pełnych rozwlekłości, powtarzań, krótkowzrocznych lub fałszywych sądów, z których trzeba było wylawiać pojedyncze myśli wielkie, piękne i dające siłę zniesienia tej uciążliwej pracy. Nieraz byłem zresztą bliski poniechania jej, gdybym mógł w przyzwoity sposób się wymówić; ale przyjąwszy rękopisy księdza, oddane mi, za pośrednictwem Saint-Lamberta<sup>7</sup>, przez siostrzeńca jego, hrabiego de Saint-Pierre, zobowiązałem się, do pewnego stopnia, je spożytkować; trzeba było albo wszystko zwrócić, albo zrobić z nich użytek. W tym też zamiarze zabrałem rękopisy do Pustelni; było to pierwsze dzieło, któremu zamierzałem poświęcić swoje wyuczasy.

Medytowałem i nad trzecim, którego pomysł zawdzięczałem spostrzeżeniom dokonany na samym sobie. Czuję w sobie tym więcej siły do podjęcia tej pracy, ile że mogłem mieć nadzieję napisania książki naprawdę użytecznej ludziom, a nawet wręcz jednej z najużyteczniejszych, gdyby wykonanie godnie odpowiedziało planowi. Łatwo zauważyć, że po największej części ludzie stają się w ciągu swego życia dość niepodobni do samych siebie, jak gdyby się przeobrażali w istoty zupełnie odmienne. Nie dla stwierdzenia wszelako rzeczy tak znanej chciałem napisać książkę; miałem temat bardziej nowy, a nawet bardziej doniosły: mianowicie poszukać przyczyn tych przeobrażeń i zająć się tymi, które zależne są od nas, aby wskazać, w jaki sposób my sami możemy nimi kierować,

<sup>3</sup>wszystko, co jest śmiałego w *Emilu* — „Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego”, ustęp z *Emila*, stanowiący rodzaj wykładu chrystianizmu oderwanego od wszelkiego określonego wyznania, był główną przyczyną potępienia tego utworu. [przypis tłumacza]

<sup>4</sup>*Julia* — pełny tytuł *Nowej Heloizy* brzmi: *Julia, czyli Nowa Heloiza*. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>ksiądz de Saint-Pierre, [właśc. Charles-Iréné Castel] (1658–1743) — pisarz polityczny i filantrop, członek Akademii, z której go wygnano w r. 1718 za to, iż Ludwika XIV chciał odsądzić od tytułu „Wielkiego”. Pomysł jego, wyprzedzające pojęcia epoki, zdawały się współczesnym utopiami, wiele z nich jednak doczekało się z czasem urzeczywistnienia. Najgłośniejszym dziełem był *Projekt wiecznego pokoju*, o którym wspomina Rousseau. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup>d'Aiguillon, właśc. Anne-Charlotte de Crussol de Florensac, księżna d'Aiguillon (1700–1772) — dama dworu Ludwika XV, tłumaczka, prowadziła salon literacki w Paryżu, przyjmując filozofów i encyklopedystów. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Saint-Lambert, Jean François de (1716–1803) — francuski poeta, filozof i oficer, członek Akademii Francuskiej (1770). [przypis edytorski]

a tym samym stać się lepszymi i bardziej pewnymi samych siebie. Bezspornie bowiem ciężiej jest uczciwemu człowiekowi opierać się pragnieniom już ukształtowanym i zwalczać je niż uprzedzać, zmieniać lub kierować te same pragnienia w ich źródle, gdyby był zdolny doń dotrzeć. Człowiek wystawiony na pokusy opiera się raz, ponieważ jest silny, ulega drugi raz, ponieważ jest słaby; gdyby był taki jak wprzód, nie uległby.

Zapuszczając się w samego siebie, jak również szukając w innych, na czym zasadzają się te rozmaite odmiany, doszedłem, iż zależne są w znacznej części od dawniejszych odcisków zewnętrznych wrażeń i że ulegając nieustannie wpływowi naszych zmysłów i narządów, nosimy, bez świadomości tego, w myślach, uczuciach, czynach nawet ich skutki. Uderzające i liczne spostrzeżenia, które zgromadziłem w tej mierze, usuwają wszelką wątpliwość; dzięki zaś fizycznej istocie swych pierwiastków, mogą one, moim zdaniem, wskazać zewnętrzny tryb życia, który, odmieniany wedle okoliczności, może poprowadzić lub utrzymać duszę w stanie najbardziej sprzyjającym cnocie. Od iluż zbłąkań można by uchronić rozum, iluż przywarom można by nie dać się urodzić, gdyby się umiało zmusić ekonomię animalną<sup>8</sup> do tego, by szła na rękę porządkowi moralnemu, zamiast mącić go tak często! Klimat, pora roku, dźwięki, barwy, cień, światło, żywioły, pokarmy, hałas, cisza, ruch, spoczynek — wszystko oddziaływa na organizm, a co za tym idzie, na duszę; wszystko nastęrcza tysiące niezawodnych niemal pułapek, aby opanować w samym ich źródle uczucia, których władzy ulegamy. Taka była zasadnicza myśl, której szkic rzuciłem na papier. Spodziewałem się po niej tym pewniejszego skutku dla ludzi o szlachetnej naturze, którzy miłując szczerą cnotę, lękają się własnej słabości, ile że wydało mi się łatwym ująć ten przedmiot w książkę miłą do czytania, tak jak miło było ją tworzyć. Mimo to, bardzo mało pracowałem nad tym dziełem, które miało nosić tytuł *Moralność wrażeńiowa, czyli Materializm mędrca*<sup>9</sup>. Okoliczności, o których niebawem obszerniej wspomnę, nie pozwoliły mi się nim zająć; opowiem również, jaki był los tego szkicu, związany z moim losem węzłami bliższymi, niżby się zdawało.

Poza tym dumalem od jakiegoś czasu nad systemem wychowania. Pani de Chenonceaux, która, sądząc z przykładu ojca, drżała o los swego syna, prosiła mnie, abym się zajął tym tematem. Święty obowiązek przyjaźni sprawił, iż przedmiot ten, mimo iż sam z siebie mniej mi przypadł do smaku, leżał mi na sercu bardziej niż jakikolwiek inny. Toteż ze wszystkich tematów, o których tu mówiłem, był to jedyny, który doprowadziłem do końca. Cel, jaki zamierzyłem swej pracy, wart był, o ile mi się zdaje, innego losu dla autora. Ale nie uprzedzajmy wypadków w tym smutnym przedmiocie; aż nadto zmuszony będę mówić w dalszym ciągu o tym dziele.

Wszystkie te różnorodne zamysły dostarczyły tematów do rozmyślań w czasie przechadzek: zdaje mi się bowiem, wspomniałem już, że myśleć mogę, tylko chodząc. Skoro tylko się zatrzymam, myśl zatrzymuje się również: głowa idzie naprzód jedynie wraz z nogami. Miałem wszelako tę przezorność, aby się zaopatrzyć również w pracę pokojową na czas deszczu. Był to mój *Słownik muzyczny*, którego materiały, rozproszone, okaleczane, bezkształtne, czyniły koniecznym wzięcie dzieła na warsztat niemal na nowo. Zabrałem kilka książek potrzebnych w tym celu; strawiłem dwa miesiące na sporządzaniu wyciągów z wielu innych, które pożyczano mi w Bibliotece Królewskiej; kilka z nich pozwolono mi nawet wziąć do Pustelni. Oto były moje zapasy na pracę w pokoju, o ile czas nie pozwalał mi wyjść, a kopiowanie mnie znudziło. Ten tryb życia odpowiadał mi tak dobrze, że trzymałem się go tak w Pustelni, jak w Montmorency, a nawet później w Motiers, gdzie dokończyłem tej pracy, prowadząc równocześnie wiele innych. Zawsze znajdowałem, iż odmiana zatrudnienia jest prawdziwym wyciecznikiem.

Trzymałem się jakiś czas dość ściśle rozkładu dnia, który sobie przepisałem, i czułem się z tym bardzo dobrze: ale kiedy piękna pogoda sprowadzała częściej panią d'Épinay do Épinay lub Chevrette, spostrzegłem, iż obowiązki towarzyskie, które zrazu nic mnie nie kosztowały, ale których nie wziąłem w rachubę, zakłócają dotkliwie inne moje projekty. Wspomniałem, iż pani d'Épinay miała bardzo cenne przymioty: kochała serdecznie przyjaciół, służyła im z zapałem, nie oszczędzając czasu ani trudu; zasługiwała tedy niewątpli-

Praca

<sup>8</sup>animalny — zwierzęcy, właściwy zwierzętom. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Moralność wrażeńiowa, czyli Materializm mędrca — dzieła tego nigdy R. nie doprowadził do końca. [przypis tłumacza]

wie, aby i oni mieli dla niej też same względy. Aż dotąd dopełniałem tego obowiązku, nie myśląc, iż jest on *obowiązkiem*; ale w końcu zrozumiałem, że obarczyłem się łańcuchem, którego ciężaru jedynie przyjaźń pozwalała mi nie odczuwać. Powiększyłem jeszcze sam ten ciężar przez mą odrazę do licznych zebrań. Pani d'Épinay skorzystała z tej niechęci, aby mi uczynić propozycję, która zdawała się dogodna dla mnie, a była dogodniejsza dla niej: to jest, iż da mi znać za każdym razem, gdy będzie sama lub prawie sama. Zgodziłem się, nie czując, do czego się zobowiązuję. Wynikło stąd, iż odtąd trzeba mi było odwiedzać panią d'Épinay nie wówczas, kiedy odpowiadało to mnie, ale kiedy odpowiadało jej, i że nie byłem nigdy pewny, czy bodaj jednym dniem mogę rozrządzać dla siebie. Przymus ten zmącił wielce przyjemność, jaką sprawiało mi dotąd jej towarzystwo. Przekonałem się, iż tę swobodę, którą mi tak przyrzekała, dano mi jedynie pod warunkiem, iż nie zechcę nigdy brać jej na serio. Parę razy, kiedy chciałem tego próbować, było tyle posyłek, tyle bilecików, tyle niepokojów o me zdrowie, że ujrzałem jasno, iż jedynie obłożna choroba może mnie zwolnić od pędzenia na pierwsze słowo pani domu. Trzeba się było poddać jarzmu; uczyniłem to, nawet dość chętnie jak na takiego wroga zależności. Szczere moje przywiązanie do pani d'Épinay w znacznej mierze nie pozwalało mi czuć kajdanów<sup>10</sup>, jakie się z nim łączyły. W ten sposób dama ta wypełniała mną od biedy puste chwile, które nieobecność zwykłego dworu zostawiała w jej zabawach. Była to kompensata z pewnością bardzo chuda, ale zawsze warta więcej niż zupełna samotność, której pani d'Épinay nie mogła znieść. Miała wszelako łatwiejsze sposoby wypełnienia samotnych chwil, od czasu gdy wpadła na pomysł, aby się bawić literaturą i klecić, po woli i niewoli<sup>11</sup>, romanse, listy, komedie, powiastki i inne tego rodzaju figielki. Ale ją głównie bawiło nie *pisać*, ale odczytywać swoje utwory; kiedy się jej trafiło zacząć jednym ciągiem parę stron, musiała po tej olbrzymiej pracy mieć pod ręką co najmniej dwóch lub trzech cierpliwych słuchaczy. Nie miałem zaszczytu należeć do liczby tych wybranych, chyba dzięki obecności kogoś drugiego. Sam nie liczyłem się prawie nigdy za nic; i to nie tylko w towarzystwie pani d'Épinay, ale i u barona Holbacha i wszędzie, gdzie imć pan Grimm nadawał ton. Ta nicność dogadzała mi wszędzie indziej, z wyjątkiem sam na sam: wówczas nie wiedziałem, jak się zachować. Nie śmiałem mówić o literaturze, o której nie miałem prawa sądzić; ani bawić się w komplementy, jako iż byłem zbyt nieśmiały i obawiałem się więcej niż śmierci śmieszności starego galanta. Zresztą nie przyszło mi to nigdy do głowy wobec pani d'Épinay i nie byłoby mi może przyszło ani razu w życiu, choćbym je nawet całe spędził przy jej boku. Nie znaczy to, bym miał do jej osoby jaką bądź odrazę; przeciwnie, zanadto może kochałem ją *przyjaźnią*, aby móc kochać *pożądaniem*. Znajdowałem przyjemność w tym, aby ją widzieć, rozmawiać z nią. Konwersacja jej, mimo iż dość miła w większym gronie, sam na sam była cokolwiek jałowa; moja, też niezbyt kwiecista, nie była dla niej wielką pociechą. Wstydząc się długich momentów milczenia, wysilałem się, aby podtrzymać rozmowę; mimo iż nużyła mnie często, nie nudziła mnie nigdy. Przyjemność sprawiało mi nadskakiwać jej po przyjacielsku, obsypywać ją na wskroś braterskimi pocałunkami, które, o ile sędzę, i dla niej nie miały ani cienia zmysłowego charakteru: to wszystko. Pani d'Épinay była bardzo chuda, bardzo biała, z piersiami jak u chłopca. Ta jedna wada wystarczyłaby, aby mnie zmrozić: nigdy serce moje ani zmysły nie umiały widzieć kobiety w osobie pozbawionej piersi<sup>12</sup>. Zresztą i inne przyczyny, których nie ma potrzeby tu wymieniać, kazały mi zawsze zapominać o mej płci w jej pobliżu.

Pogodziwszy się tedy w duchu z nieuchronną niewolą, poddałem się jej bez oporu. Zresztą, wydała mi się, przynajmniej w pierwszym roku, mniej uciążliwa, niżbym się spodziewał. Pani d'Épinay, która zazwyczaj spędzała prawie całe lato na wsi, tym razem bawiła tam znacznie krócej, czy to że interesy zatrzymywały ją w Paryżu, czy że nieobecność Grimma uczyniła pobyt w Chevette mniej pociągającym. Korzystałem z okresów, kiedy jej nie było lub kiedy miała licznych gości, aby używać samotności z pocziwą Teresą i jej matką, w sposób dający mi smakować w całej pełni mą swobodę. Mimo że od kilku lat dość często bywałem na wsi, nie *użyłem* jej prawie; wycieczki te, zawsze w towarzystwie światowych łalusiów, zawsze zepsute przez przymus, jedynie zaostrzały we mnie

<sup>10</sup>kajdanów — dziś popr. forma D. Im: kajdan. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>po woli czy po niewoli (daw.) — zgodnie z czyjąś wolą lub wbrew woli. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>nie umiały widzieć kobiety w osobie pozbawionej piersi — Rousseau ma tu na myśli wspomniane już „osobliwe” zwierzchnia pani de Francueil. [przypis tłumacza]



pociąg do wiejskich rozkoszy, których obraz, widziany bardziej z bliska, budził we mnie tym żywsze poczucie ich braku. Byłem tak znudzony salonami, wodotryskami, strzyżonymi trawnikami, klombami, i jeszcze bardziej nudnymi gospodarzami tego wszystkiego; tak przesycony broszurami, klawikordem, tryktrakiem<sup>13</sup>, „węzelkami”, mizernymi dowcipkami, mdłym mizdrzeniem się, lekkimi opowiastkami i ciężkimi kolacjami, że kiedy zerknąłem przelotnie na prosty krzak głogu, na chaszczę, spichlerz, łąkę; kiedy przejeżdżając przez jakieś sioło<sup>14</sup>, zaciągnąłem się parą dobrego omletu z trybulką<sup>15</sup>; kiedy słyszałem z daleka prostą nutę piosenki pasterskiej — słałem do diabła i róż, i falbanki i ambrę<sup>16</sup>. Wzdychając wówczas za obiadem na drewnianym stole i winem swojego chowu, byłbym z całego serca wyprał po gębie pana nadkuchmistrza i pana marszałka dworu, którzy każą mi obiadować o godzinie, o której wieczoram, wieczerać o tej, o której śpię; a zwłaszcza panów lokai, pożerających oczyma moje kąski i sprzedających mi, pod grozą śmierci z pragnienia, apteczne wino swoich panów dziesięć razy drożej, niżby mnie kosztowała butelka najlepszego w oberży.

Oto więc nareszcie znalazłem się u siebie, w przyjemnym i samotnym schronieniu, panem pędzenia swoich dni w niezależnym, równym i spokojnym trybie, do którego czułem się zrodzony. Nim opowiem, w jaki sposób ten stan, tak nowy dla mnie, odcisnął się na moim sercu, trzeba mi zrekapitulować tajemne tegoż serca skłonności, aby lepiej można było śledzić, u samych źródeł, postępy tych przeobrażeń.

Dzień, który połączył mnie z Teresą, uważałem zawsze za datę, która ustaliła mą istotę moralną. Potrzebowałem przywiązania; to zaś, które powinno i mogło mi wystarczyć, uległo okrutnemu rozdarciu. Pragnienie szczęścia nie umiera w sercu człowieka. Mamusia starzała się i spadała wciąż niżej! Widziałem jasno, iż nie ma już dla niej szczęścia tu na ziemi. Skoro tedy straciłem nadzieję znalezienia go kiedykolwiek przy jej boku, zostawało mi szukać go na własną rękę. Błądziłem jakiś czas wśród rozmaitych myśli i zamiarów. Podróż do Wenecji byłaby mnie rzuciła w sprawy publiczne, gdyby człowiek, z którym losy mnie związały, miał trochę zdrowego sensu w głowie. Jestem w ogóle łatwy do zniechęcenia, zwłaszcza w przedsięwzięciach uciążliwych i na długą metę. Niepowodzenia doznane w ambasadzie zraziły mnie do wszystkich innych planów; za czym patrząc, wedle swej dawnej maksymy, na odległe przedmioty jako na mamidla szaleńców, postanowiłem odtąd żyć jeno z dnia na dzień, ile że nie widziałem już nic w życiu, dla czego miałbym ochotę się wysilać.

Wówczas to przypadło nasze poznanie. Łagodny charakter tej poczciwej dziewczyny zdawał się tak dobrze odpowiadać memu, iż nabrałem do niej przywiązania wytrzymującego próbę czasu i zobopólnych win. Wszystko, co powinno było je zerwać, pomnażało je tylko. Czytelnik pozna siłę tego przywiązania w dalszym ciągu, skoro odsłonię rany, rozdarcia, jakimi ta istota udrczyła me serce w dobie najcięższych niedoli; przy czym trzeba mi dodać, iż nigdy, aż do chwili, w której piszę te słowa, nigdy i wobec nikogo nie wydarło mi się bodaj jedno słowo skargi.

Kiedy świat dowie się, iż uczyniwszy wszystko, naraziwszy się na wszystko, byle się z nią nie rozdzielać, spędziwszy z nią dwadzieścia pięć lat na przekór losowi i ludziom, w końcu na stare lata zaślubiłem ją<sup>17</sup>, bez nadziei i prośby z jej strony, bez zobowiązań i obietnic z mojej, będzie mógł myśleć, iż jakaś obłądna miłość, zawróciwszy mi od pierwszego dnia głowę, prowadziła mnie stopniowo aż do ostatecznego szaleństwa. Będzie sądził tak tym bardziej, skoro pozna osobliwe a silne przyczyny, które powinny mnie były na zawsze wstrzymać od tego kroku. Cóż tedy pomyśli czytelnik, skoro mu powiem z całą szczerością, jaką musiał już poznać we mnie, iż od pierwszej chwili, kiedy ujrzałem Teresę, aż do dzisiejszego dnia, nie czułem nigdy dla niej najmniejszej iskiej miłości; iż nie pragnąłem jej posiadać tak samo jak pani de Warens i że potrzeby zmysłów, które zaspakajałem przy jej boku, były dla mnie jedynie potrzebami płci, nie mającymi nic

Małżeństwo, Przyjaźń

<sup>13</sup>tryktrak — gra planszowa dla dwóch osób. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>sioło (daw.) — wieś, osada. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>trybula — roślina z rodziny selerowatych o pierzastych liściach, używana jako przyprawa kuchenna. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>ambra — wydzielina przewodu pokarmowego kaszalota o balsamicznym zapachu, używana do wyrobu perfum. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>w końcu na stare lata zaślubiłem ją — 30 sierpnia 1768 w obecności mera Bourgoin; była to cywilna ceremonia, która nie miała mocy prawnej. [przypis edytorski]

wspólnego z osobą? Pomyśli, iż, odmiennie snadź ukształtowany od ogółu ludzi, niezdolny byłem w ogóle do miłości, skoro nie wchodziła ona w uczucia wiążące mnie do najbardziej mi drogich kobiet. Cierpliwości, o czytelniku! Zbliży się złowrogi moment, w którym aż nazbyt jasno otworzę ci oczy w tej mierze.

Powtarzam się, jak czytelnik widzi; ale to nieuniknione. Pierwsza z moich potrzeb, największa, najsilniejsza, najbardziej nieugaszona tkwiła całkowicie w sercu. Była to potrzeba bliskiego obcowania, i to tak bliskiego, jak tylko możebne; dlatego głównie trzeba mi było raczej kobiety niż mężczyzny, przyjaciółki raczej niż przyjaciela. Ta osobliwa dążność była taka, iż najściślejsze zjednoczenie ciał nie mogło jej jeszcze starczyć: trzeba by mi było dwóch dusz w jednym ciele, inaczej czułem ciągle pustkę. Sądziłem, iż od tej chwili nie będę czuł jej więcej. Ta młoda osoba, godna miłości dla wielu szacownych przymiotów, a nawet wówczas dla swej powierzchowności, bez cienia sztuki i kokieterii, byłaby zamknęła w sobie jednej me istnienie, gdybym ja wzajem mógł zamknąć jej istnienie w sobie, jak się spodziewałem. Nie groziło mi niebezpieczeństwo ze strony mężczyzn; jestem pewien, iż byłem jedynym, którego naprawdę kochała, spokojne zaś jej zmysły nie domagały się postronnych zadowoleń, nawet gdy przestałem być dla niej pod tym względem mężczyzną. Nie miałem rodziny; ona miała: ale ta rodzina, nadto różniąca się charakterami od jej charakteru, nie okazała się taką, abym mógł z niej uczynić własną. Tu tkwiła pierwsza przyczyna nieszczęścia. Czegóż nie byłbym oddał, aby móc być synem jej matki! Uczyniłem wszystko, aby to osiągnąć, i nie doszedłem do celu. Próżno chciałem zespolić wszystkie sprawy naszego życia, było to niemożliwe. Matka Teresy miała zawsze na oku cele różne od moich, sprzeczne z moimi, a nawet z dobrem własnej córki, które już było nieodłączne od mego. Ona i reszta dzieci i wnuków to była zgraja pijawek; najmniejszym zaś złem, które czyniły Teresie było to, że ją okradaly. Biedna dziewczyna, przyzwyczajona ustępować nawet swoim siostrzenicom, pozwalała się rabować i rządzić sobą bez słowa protestu; widziałem z boleścią, iż wyczerpując do dna swą sakiewkę i swoje przestrogi, nie mogą uczynić dla niej nic, z czego by miała jakąś korzyść. Próbowałem odciągnąć ją od matki: opierała się zawsze. Szanowałem jej opór i poważałem ją za to tym więcej; niemniej jednak odmowa jej obróciła się na jej i moją szkodę. Wydana na łup matce i rodzinie, należała do nich więcej niż do mnie, więcej niż do samej siebie. Chciwość bliskich była dla niej mniejszą jeszcze ruiną niżeli zgubne ich rady. Słowem, jeżeli dzięki miłości dla mnie, dzięki wrodzonej zacności, nie dała się zupełnie opanować, i to wystarczyło wszelako, aby unicestwić w znacznej części wpływ dobrych zasad, którymi siliłem się ją natchnąć; wystarczało, abyśmy, w jaki bądź sposób brałem się do rzeczy, zawsze pozostali *dwojgiem*.

Oto dlaczego w szczerym i wzajemnym przywiązaniu, w które włożyłem całą tkliwość serca, nie zdołałem wszelako nigdy doszczętnie zapełnić pustki tego serca. Przyszły dzieci, przez które mogłoby się to ziścić: to pogorszyło jeszcze sprawę. Drżałem na myśl powierzenia ich tej rodzinie źle wychowanej po to, aby je wychowała gorzej jeszcze. Wychowanie w domu podrzutek było o wiele mniej niebezpieczne. Ta przyczyna mego postanowienia, silniejsza niż wszystkie te, które wyluszczyłem w liście do pani de Francueil, była wszelako jedyną, której nie śmiałem jej wyznać. Wolałem raczej mniej doskonale oczyścić się z tak ciężkiego zarzutu, byle oszczędzić rodzinę osoby, którą kochałem. Ale można osądzić z obyczajów nieszczęsnego brata Teresy, czy miałem prawo, co bądź by ktoś o tym mógł powiedzieć, narażać swoje dzieci na niebezpieczeństwa podobnego wychowania.

Nie mogąc kosztować w całej pełni tej poufnej serdeczności, której czułem potrzebę, szukałem innych ujęć: nie wypełniały one pustki, ale mniej dawały mi ją uczuć. W braku jednego ducha, który byłby mi oddany całkowicie, trzeba mi było przyjaciół, których ożywczy wpływ zwyciężałby mą inercję. W tym celu zacieśniłem stosunki z Diderotem, z księdzem Condillac; dlatego związałem jeszcze ściślejsze może z Grimmem; tak iż wreszcie, dzięki nieszczęsnej *Rozprawie*, której historię opowiedziałem poprzednio, wpadłem bez myśli i zamiaru w literaturę, z której, jak sądzę, wyszedłem już na zawsze.

Początek ten zaprowadził mnie nową drogą w inny świat duchowy, którego prosta i wspaniała ekonomia napędliała mnie entuzjazmem. Niebawem mocą patrzenia i rozmyślenia ujrzalem jeno błąd i szaleństwo w nauce naszych mędrców, ucisk zaś jeno i nędzę w naszym porządku społecznym. Oszołomiony głupią pychą, uważałem, iż powołany je-

Przemiana

stem, aby rozproszyć wszystkie te omamy. W przeświadczeniu, iż aby nakazać sobie posłuch, winienem zestroić postępowanie swoje z zasadami, przyjąłem osobliwy tryb życia, którego nie pozwolono mi się trzymać, którego przykładu rzekomi przyjaciele nie mogli mi przebaczyć i który zrazu uczynił mnie śmiesznym, a w końcu byłby mnie uczynił godnym szacunku, gdyby mi było podobna w nim wytrwać.

Aż dotąd byłem dobry — odtąd stałem się cnotliwy lub przynajmniej pijany cnotą. Pijaństwo to zaczęło się w głowie, ale z kolei przeszło do serca. Najszlachetniejsza duma wykielkowała na szczątkach wypienionej próżności. Nie grałem nic, stałem się w istocie takim, jakim mnie widziano. W ciągu czterech przynajmniej lat, przez które trwało to wrzenie w całej sile, nic tak wielkiego i pięknego nie może zagościć w sercu człowieka, do czego bym nie był się czuł zdolny w obliczu nieba. Oto skąd zrodziła się moja nagła wymowa; oto skąd rozlał się w moich pierwszych książkach ten naprawdę niebiański ogień, który mnie rozgrzewał, a z którego przez czterdzieści lat nie objawiła się najmniejsza iskierka, ponieważ jeszcze nie płonął.

Byłem, w istocie, przeobrażony; przyjaciele, znajomi nie poznawali mnie. Nie byłem już tym nieśmiałym, raczej wstydlivym niż skromnym człowiekiem, który nie umiał się ani pokazać, ani odezwać; którego zbijało z tropu żartobliwe słówko, spojrzenie kobiety przyprawiało o rumieniec. Śmiały, dumny, nieustraszony, wnosilem wszędzie pewność siebie tym bardziej nieugiętą, iż była prosta i zamieszkała raczej w mej duszy niż w postawie. Wzgarda, którą głębokie rozmyślenia obudziły we mnie dla obyczajów, zasad i przesądów epoki, czyniła mnie nieczułym na szyderstwa tych, którzy je wyznawali: dławilem ich mizerne koncepty mymi sentencjami, tak jak się gniecie owada w palcach. Co za odmiana! Cały Paryż powtarzał ostre i gryzące sarkazmy tegoż samego człowieka, który dwa lata przedtem i dziesięć lat potem niezdolny był znaleźć myśli, którą chciał wyrazić, słowa, którego chciał użyć. Niech kto poszuka stanu bardziej sprzecznego z mą naturą, a znajdzie ten właśnie. Niech sobie przypomni jeden z tych krótkich momentów mego życia, gdy stawałem się kim innym, a przestawałem być sobą; chwile takie zdarzały się jeszcze w czasie, o którym mówię; ale ów stan, zamiast trwać sześć dni, sześć tygodni, trwał blisko sześć lat, i trwałby może jeszcze, gdyby nie szczególne okoliczności, które przerwały go i wróciły mnie naturze, nad którą chciałem się wznieść.

Zmiana ta nastąpiła natychmiast, skoro opuściłem Paryż i skoro widowisko błędów tego wielkiego miasta przestało podsycać oburzenie, którym mnie natchnęło. Przystawszy spotykać ludzi, przestałem nimi gardzić; straciwszy z oczu złych, przestałem ich nienawidzić. Serce moje, tak nie stworzone do nienawiści, współczuło już tylko z nędzą ludzi, a złość ich także uważało za część tej nędzy. Ten stan, słodszy, ale o wiele mniej podniosły, stłumił niebawem ów płomienny zapal, który przenikał mnie tak długo; nieznacznie, bezświadomie niemal, stałem się z powrotem bojaźliwym, ustępującym, nieśmiałym: jednym słowem tym samym Janem Jakubem, jakim byłem wprzód.

Gdyby ów przewrót wrócił mnie jeno samemu sobie i zatrzymał się na tym, wszystko byłoby dobrze; ale na nieszczęście posunął się on dalej i pociągnął mnie szybko do przeciwnego krańca. Od tego czasu dusza moja, wyważona z zawiasów, mijała się już tylko z linią bezwładności, a wciąż ponawiane jej wahania nie pozwoliły jej nigdy utrzymać się w spokoju. Wejźmy w szczegóły tego drugiego przewrotu: straszliwa i nieszczęsna epoka losu, którego przykładu nie znaleźć wśród śmiertelnych!

Ponieważ było nas tylko troje w naszym ustroniu, swoboda i samotność musiały z konieczności zacieśnić naszą zażyłość. Tak też się stało, przynajmniej między Teresą a mną. Spędzaliśmy, sam na sam, w cieniu drzew, godziny pełne uroku, godziny, których słodyczy nigdy nie odczuwałem równie żywo. Zdawało mi się, iż i ona smakuje w nich więcej niż kiedykolwiek wprzód. Otworzyła mi serce bez zastrzeżeń: zwierzyła mi o swojej matce i rodzinie rzeczy, które miała siłą zamilczeć aż dotąd. Obie otrzymały od pani Dupin mnóstwo podarków na moją intencję; ale stara wiedźma, lękając się mnie pogniewać, zagarnęła wszystko dla siebie i dla dzieci, nie zostawiając nic Teresie, z bardzo surowym zakazem wspominania mi o tym, którego to zakazu biedna dziewczyna usłuchała z nieprawdopodobnym posłuszeństwem.

Ale rzecz, która zdumiała mnie o wiele więcej, była wiadomość, że poza pokątnymi rozmowami, w jakie Diderot i Grimm wdawali się często z obiema kobietami, aby je

Przemiana

Przemiana

odciągnąć ode mnie, co im się nie powiodło jedynie wskutek oporu Teresy, obaj prócz tego miewali częste i tajemne konszachty z matką, przy czym Teresa nigdy nie mogła przeniknąć, co się tam knuje. Wiedziała tylko tyle, że były i drobne podarki, że odbywały się różne wyprawy wędrowni, które starano się przed nią utrzymać w tajemnicy, których celu bezwarunkowo nie znała. W porze kiedy opuściliśmy Paryż, od dawna już pani Le Vasseur miała obyczaj odwiedzać Grimma parę razy na miesiąc i spędzać z nim po kilka godzin na rozmowach tak poufnych, iż oddalali na ten czas nawet służącego.

Sądziłem, iż pobudki nie mogą być inne, jak tylko ten sam projekt, do którego starano się wciągnąć Teresę, obiecując wystarać się przez panią d'Épinay o dystrybucję soli, trafikę, jednym słowem kusząc je widokami zysku. Przedstawiano obu kobietom, iż nie tylko nie jestem zdolny zapewnić im bytu, ale nawet z ich powodu nie mogę dojść do niczego dla samego siebie. Ponieważ widziałem w tym wszystkim jedynie dobre intencje, nie miałem im tego bezwarunkowo za złe. Oburzała mnie jedynie tajemnica, zwłaszcza ze strony starej, która co więcej, stawiała się ze mną z każdym dniem bardziej przychlebna i obleśna; co jej nie przeszkadzało wyrzucać potajemnie córce, że mnie zanadto kocha, że mi wszystko mówi, że postępuje jak głupia i będzie za to pokutować.

Ta kobieta posiadała w najwyższym stopniu sztukę wydobywania z jednego worka dziesięciu rodzajów mlewa<sup>18</sup>, ukrywania przed jednym, co dostała od drugiego, przede mną zaś, co dostawała od wszystkich. Byłbym jej przebaczył chciwość, ale nie mogłem przebaczyć obłudy. Co ona mogła ukrywać przede mną, wiedząc tak dobrze, że moim niemal jedynym szczęściem jest szczęście jej córki i jej własne? To, co zrobiłem dla córki, zrobiłem dla siebie; ale to, co zrobiłem dla niej samej, zasługiwało z jej strony na niejaką wdzięczność. Powinna była pamiętać o, bodaj swojej córce, i kochać mnie przez miłość Teresy, która mnie kochała. Wyciągnąłem ją z najzupełniejszej nędzy; z mej ręki posiadała środki utrzymania; mnie zawdzięczała wszystkie stosunki, z których tak umiała korzystać. Teresa żywiła ją długi czas swoją pracą, a teraz moim chlebem. Zawdzięczała wszystko tej dziewczynie, dla której nie uczyniła nic; inne zaś dzieci, które wyposażyla, dla których doprowadziła się do ruiny, nie tylko nie pomagały jej do egzystencji, ale jeszcze pożerały jej i moje środki. Znajdowałem, iż w podobnej sytuacji winna była uważać mnie za jedynego przyjaciela, najpewniejszego opiekuna i miast czynić przede mną tajemnicę z własnych moich spraw, miast spiskować przeciw mnie w moim własnym domu, winna była uprzedzać mnie wiernie o wszystkim, co mnie mogło interesować, o ile dowiedziała się wcześniej ode mnie. Jakimż tedy okiem mogłem patrzeć na jej fałszywe i tajemnicze postępowanie? Co musiałem zwłaszcza myśleć o uczuciach, które siliła się zaszczepić córce? Jakąż potworną niewdzięczność okazywała sama, kiedy starała się Teresę pobudzić do niewdzięczności!

Wszystkie te refleksje odwróciły w końcu moje serce od tej kobiety, tak iż nie mogłem już na nią patrzeć bez wzgardy. Mimo to nie przestałem nigdy odnosić się z szacunkiem do matki mej towarzyski i objawiać jej we wszystkim niemal synowskie względy i uważanie; ale prawdą jest, iż nie lubiłem przebywać długo w jej towarzystwie, nie jest zaś w mej mocy zadawać sobie przymus.

Oto znów jeden z tych krótkich momentów mego życia, gdy widziałem szczęście z bardzo bliska, nie mogąc go dosięgnąć i nie ponosząc winy w tym, iż je chybiłem. Gdyby los zrządził, aby ta kobieta była osobą dobrego charakteru, bylibyśmy szczęśliwi wszyscy troje, aż do końca naszych dni; jedynie to z trojga, które by przeżyło dwoje innych, zasługiwałoby na współczucie. W miejsce tego ujrzycie istotny bieg rzeczy i osądźcie, czy mogłem go zmienić.

Pani Le Vasseur, która spostrzegła, iż zyskują grunt w sercu córki, w miarę jak ona traci, starała się go odzyskać. Zamiast przywiązać się do mnie przez nią, starała się odstrychnąć ją ode mnie w zupełności. Jednym z środków, do których się uciekla, było przywołać na pomoc rodzinę. Prosiłem Teresę, aby nie sprowadzała nikogo do Pustelni; przyrzekła. Sprowadzono familijkę w czasie mej nieobecności, nie pytając Teresy; po czym kazano jej przyrzec, że nie wspomni o tym. Skoro zrobiono pierwszy krok, reszta była łatwa; gdy ktoś raz uczyni z czegoś tajemnicę przed kochaną osobą, wkrótce nie robi sobie skrpułów, aby czynić tajemnicę ze wszystkiego. Ilekroć udałem się do Chevette,

<sup>18</sup>mlewo (daw.) — zmielone ziarno. [przypis edytorski]

Pustelnia zapełniała się gośćmi, którzy zabawiali się wcale dobrze. Matka posiada zawsze wpływ na córkę z natury dobrą; mimo to, w jakikolwiek sposób stara Le Vasseur brała się do rzeczy, nigdy nie zdołała nagiąć Teresy do swoich planów i wciągnąć do ligi przeciw mnie. Co do siebie, rozstrzygnęła rzecz bardzo zasadniczo: widząc z jednej strony córkę i mnie, u których można było po prostu żyć, i tylko tyle, z drugiej Diderota, Grimma, Holbacha, panią d'Épinay, którzy przyrzekali wiele i dawali coś niecoś, nie sądziła, aby kiedykolwiek można było pobyć przystając do obozu generalnej dzierżawczynie i barona. Gdybym miał lepsze oczy, widziałbym już wówczas, że karmię na łonie węża; ale moje ślepe zaufanie, którego nic jeszcze nie skaziło, było takie, iż nie wyobrażałem sobie nawet, aby można było chcieć szkodzić komuś, kogo się powinno kochać. Widząc wkoło siebie tysiączne knowania, umiałem jedynie skarżyć się na tyranie tych, których nazywałem swymi przyjaciółmi i którzy, jak sądziłem, chcieli mnie zmusić, abym był szczęśliwy raczej na ich sposób niż na mój własny.

Mimo iż Teresa odmówiła przystąpienia do ligi, dochowała wszelako matce sekretu. Pobudki były chwalebne, nie chcę wyrokować, czy zrobiła źle czy dobrze. Dwie kobiety posiadające wspólną tajemnicę zawsze mają coś do paplania z sobą: to je zbliżało. Dzielać się w ten sposób, Teresa pozwalała mi niekiedy uczuć, że jestem sam, nie mogłem bowiem liczyć za towarzystwo chwil, w których byliśmy razem wszyscy troje. Wówczas to uczulem żywo błąd, iż w pierwszym okresie naszego związku, z powolności, jaką rodziła w Teresie miłość, nie skorzystałem w tym celu, aby ją ozdobić talentami i wiadomościami, które, bardziej zbliżając nas do siebie w naszym ustroniu, byłyby przyjemnie wypełniły czas obojgu, nie pozwalając dłużyć się chwilom sam na sam. Nie znaczyło to, aby nam brakło chęci do rozmowy i aby Teresa objawiała znudzenie w czasie naszych przechadzek; ale ostatecznie nie posiadaliśmy dosyć wspólnych myśli, aby nam starczyło przedmiotu. Nie mogliśmy już bez przerwy snuć planów na przyszłość, skoro rzeczywistość ograniczyła nas obecnie do radości z ich spełnienia. Przedmioty, które się nastroczały, pobudzały mnie do zastanowień i uwag przechodzących jej horyzont. Przywiązanie trwające dwanaście lat nie potrzebowało słów; znaliśmy się nadto dobrze, aby móc sobie czegokolwiek udzielić. Pozostawały, jako jedyna ucieczka, plotki, obmowa i tanie żarciki. Zwłaszcza w osamotnieniu czuje się urok życia z kimś, kto umie myśleć. Nie potrzebowałem tego zasobu, aby znajdować przyjemność w towarzystwie Teresy; ale ona byłaby go potrzebowała, aby zawsze czuć się rada w moim. Najgorsze było to, iż trzeba było niejako okradać chwile naszego sam na sam; matka, której towarzystwo stało mi się przykre, zmuszała mnie do upatrywania momentów jej nieobecności. Byłem skrępowany we własnym domu, to dość powiedzieć; pozory miłości nie pozwalały zakwitnąć spokojnej przyjaźni. Niby to żyjąc z sobą najbliższej jak można, nie kosztowaliśmy słodczy poufnego zbliżenia.

Samotność

Z chwilą gdy mi się zdało, że Teresa szuka niekiedy wymówek, aby uchylić się od przechadzek, do których ją zapraszam, przestałem ją namawiać, nie biorąc zresztą za złe, iż nie mają one dla niej takiego powabu jak dla mnie. Przyjemność nie jest rzeczą zależną od woli. Byłem pewny jej serca, to mi wystarczało. Póki moje przyjemności były przyjemnością i dla niej, kosztowałem ich z nią razem; skoro to się zmieniło, przekładałem jej zadowolenie nad własne.

Oto jak, w pół zawiedziony w nadziejach, prowadząc życie zgodne ze swymi upodobaniami, w miejscu wedle mego wyboru, z osobą, która mi była droga, doszedłem do tego, iż czulem się niemal samotny. To, czego mi nie dostawało, nie pozwalało mi cieszyć się tym, co miałem. W rzeczach szczęścia i przyjemności istniało dla mnie jedynie wszystko lub nic. Czytelnik zobaczy, dlaczego szczegół ten wydał mi się potrzebny. Podejmuję obecnie nitkę opowiadania.

Sądziłem, iż posiadam skarby w rękopisach, które mi powierzył hrabia de Saint-Pierre. Rozpatrując się w nich, ujrzałem, iż jest to prawie wyłącznie zbiór drukowanych już dzieł jego wuja<sup>19</sup>, opatrzonych notami i poprawkami jego ręki, prócz kilku drobnych utworów, które nie były dotąd ogłoszone. Pisma z zakresu roztrząsań moralnych utwierdziły mnie w pojęciu, które obudziło we mnie kilka listów pokazanych mi przez panią

<sup>19</sup>jego wuja — był nim Charles-Irénée Castel de Saint-Pierre (1658–1743), pisarz i dyplomata, który w pracy *Projet pour rendre la paix perpétuelle en Europe* (Projekt wiecznego pokoju w Europie; t.1–2: 1713, t.3: 1717) jako pierwszy zaproponował utworzenie federacji państw europejskich, w której spory rozstrzygano by metodami pokojowymi zamiast militarnymi. [przypis edytorski]

du Créqui: mianowicie, że był to człowiek bystrzejszego umysłu, niż sądziłem; natomiast gruntowne zbadanie jego dzieł politycznych ukazało mi prawie wyłącznie powierzchowne horyzonty, projekty użyteczne, ale niewykonalne, a to wskutek pojęcia, z którego autor nigdy nie umiał się wyzwolić, iż ludzie kierują się raczej rozumem niż namiętnościami. Wysokie mniemanie, jakie miał o nowoczesnej wiedzy, kazało mu przyjąć tę fałszywą zasadę udoskonalonego rozumu, podstawę wszystkich urzędzeń, jakie projektował i źródło wszystkich jego politycznych sofizmów. Ten rzadki człowiek, chluba swego wieku i rodzaju, jedyny może od czasu istnienia rasy ludzkiej, który nie miał innej namiętności jak tylko namiętność rozumu, brnął wszelako, we wszystkich swych systemach, tylko z omyłki w omyłkę, przez to, iż chciał ludzi uczynić podobnymi do siebie, zamiast brać ich takimi, jak są i jakimi będą zawsze. Pracował jedynie dla istot urojonych, mniemając, iż pracuje dla swoich bliźnich.

Wszystko to zważywszy, znalazłem się w kłopotcie co do formy, w jaką należało ująć moją pracę. Przepuścić autorowi jego majaki, znaczyłoby nie dokonać nic pożytecznego; odeprzeć je wręcz byłoby nieprzyzwoitością. Fakt powierzenia mi rękopisów, które przyjąłem, a nawet prosiłem o nie, nakładał mi obowiązek zaszczytnego obejścia się z autorem. Obrąłem wreszcie drogę, która mi się wydała najbardziej właściwą, słuszną i użyteczną: mianowicie podać oddzielnie myśli autora, a oddzielnie własne; wejść w jego horyzonty, rozjaśnić je, rozprowadzić i niczego nie oszczędzać, aby je ukazać w całej ich wartości.

Dzieło moje miało się tedy składać z dwóch zupełnie oddzielnych części: jedną przeznaczyłem na wyłożenie w powyżej wspomniany sposób rozmaitych fantazji autora; w drugiej, która miała się pojawić dopiero wówczas, gdy pierwsza stanie się powszechną własnością, byłbym zamknął swój sąd o tych fantazjach, co, przyznając, mogło je wydać niekiedy na los sonetu z *Mizantropa*<sup>20</sup>. Na czele całego dzieła miał się znaleźć życiorys autora, do którego zebrałem dość dobre materiały, a pochlebiałem sobie, iż nie zepsuję ich w robocie. Widywałem niekiedy księdza de Saint-Pierre w podeszłych latach, a cześć, jaką miałem dla jego pamięci, była mi rękojmią, iż wszystko razem wzięwszy, pan hrabia nie będzie nierad ze sposobu, w jaki obszedłem się z jego krewniakiem.

Wypróbowałem swój system na *Powszechnym pokoju*, najznacniejszym i najbardziej opracowanym ze wszystkich utworów składających ten zbiorek. Zanim oddałem się swoim refleksjom, miałem wytrwałość przeczytać absolutnie wszystko, co ksiądz napisał na ten piękny temat, nie zrażając się rozwlekłością i powtarzaniem. Publiczność miała w ręku ten wyciąg, nie mam zatem o nim nic do powiedzenia. Co do sądu, który skreśliłem, nie był drukowany i nie wiem, czy będzie kiedykolwiek; ale sporządziłem go równocześnie z wyciągiem. Przeszedłem następnie do *Polysynodii*, dzieła napisanego za rządów regenta dla pochwalenia systemu administracji, którą wprowadził w życie. Dzieło to przyprawiło księdza de Saint-Pierre o wygnanie z Akademii francuskiej za kilka wycieczek przeciw administracji poprzedniej, którymi księżna de Maine i kardynał de Polignac uczuli się dotknięci. Dokończyłem tej pracy równie jak poprzedniej: tak wyciągu, jak i oceny; ale porzesałem na tym, nie chcąc prowadzić dalej tego przedsięwzięcia, którego nie powinienem był rozpoczynać.

Refleksja, która kazała mi go poniechać, nastęrcza się sama z siebie, a zdumiewającym jest, iż nie przyszła mi wcześniej do głowy. Większość pism księdza de Saint-Pierre zawierała spostrzeżenia krytyczne nad różnymi szczegółami rządu we Francji; wśród tych uwag były nawet niektóre tak swobodne, iż szczęściem było dla autora, że mógł je robić tak bezkarnie. Ale w biurokracji ministerialnej uważano księdza de Saint-Pierre raczej za kaznodzieję niż za prawdziwego polityka i pozwalano mu pisać, co mu się podoba, ponieważ wiedziano dobrze, że go nikt nie słucha. Gdybym zdołał uzyskać dlań posłuch, sprawa przedstawiałaby się zgoła odmiennie. On był Francuzem, ja nie; gdybym sobie pozwolił powtarzać jego krytyki, mimo że pod jego imieniem, naraziłbym się na pytanie, szorstkie, ale usprawiedliwione, dlaczego mieszam się w nie swoje sprawy. Na szczęście, nim posunąłem się dalej, spostrzegłem, jaką broń dają przeciw sobie, i cofnąłem się szybko. Wiedziałem, iż żyjąc sam wśród ludzi, i to ludzi bez wyjątku potężniejszych ode mnie, nie zdołam nigdy, w jaki bądź sposób wziąłbym się do rzeczy, zabezpieczyć się

<sup>20</sup>sonet z *Mizantropa* — słynna scena lektury sonetu Oronta z *Mizantropa* Moliera [akt II, scena 2, w której poproszony o zdanie Alceste z bezwzględną szczerością krytykuje wiersz; red. WL]. [przypis tłumacza]



od złego, które by mi chcieli wyrządzić. Jedna rzecz tylko była w mojej mocy, w razie gdyby chcieli przyczepić się do mnie, mianowicie poczynić sobie tak, aby mogli to uczynić jedynie niesprawiedliwie. Ta zasada, która zmusiła mnie do porzucenia pism księdza de Saint-Pierre, kazała mi często poniechać projektów o wiele bardziej mi drogich. Owi ludzie, co to zawsze gotowi są czynić zbrodnię z nieszczęścia, byłiby bardzo zdumieni, gdyby znali wszystkie ostrożności, które rozwinąłem w życiu, iżby nikt nie mógł mi ze słuszością powiedzieć w nieszczęściu: „*Sam je na siebie ściągnąłeś*”.

Zaniechawszy tego dzieła, pozostałem jakiś czas w niepewności co do pracy mającej po nim nastąpić. Ten okres bezczynności stał się mą zgubą przez to, iż w braku obcego przedmiotu, który by mnie zaprzętał, pozwolił się moim myślom zwrócić ku samemu sobie. Nie miałem już na przyszłość projektów, które by mogły zabawić mą wyobraźnię; nie miałem nawet możliwości tworzenia ich, ponieważ obecne moje położenie spełniało cel, w którym skupiały się wszystkie me pragnienia. Nie wiedziałem, czego mógłbym pragnąć, a mimo to, w sercu czułem jeszcze próżnię. Ten stan był tym okrutniejszy, ile że nie widziałem, w jakim kierunku życzyć sobie jego odmiany. Skupiłem wszystkie najtkliwsze uczucia w osobie wedle mego serca, która mi była wzajemna. Żyłem obok niej i z nią, swobodnie i, można powiedzieć, do sytości. Mimo to tajemne ściśnienie serca nie opuszczało mnie ani przy niej, ani z dala od niej. Posiadając ją, czułem, że mi brak jej jeszcze; sama ta myśl, że nie jestem wszystkim dla niej, czyniła, iż ona stawała się prawie niczym dla mnie.

Miałem przyjaciół obojey płci<sup>21</sup>, do których byłem przywiązany najbardziej tkliwą przyjaźnią, najdoskonalszym szacunkiem. Liczyłem na najszczerszą wzajemność z ich strony i nie przyszło mi nawet na myśl wątpić o ich szczerości. Mimo to ta przyjaźń była dla mnie więcej udręką niż słodyczą przez ich upór, wręcz zaciekłość w tym, aby się sprzeciwiać wszystkim moim upodobaniom, skłonnościom, całemu sposobowi życia. Wystarczyło, bym pragnął jakiejś rzeczy, która obchodziła tylko mnie i nie zależała od nich, aby widzieć, jak wszyscy jednoczą się natychmiast, zmuszając mnie do wyrzeczenia się jej. Ta zaciekłość w tym, aby kontrolować mnie we wszystkich fantazjach, zaciekłość tym bardziej niesprawiedliwa, iż ja nie tylko nie kontrolowałem ich chęci, ale nie pytałem o nie nawet, stała mi się okrutnie uciążliwa. W końcu nie zdarzyło mi się otrzymać listu od którego z nich, abym otwierając, nie doświadczył jakiegoś lęku, aż nadto usprawiedliwionego treścią. Znajdowałem, iż ze strony ludzi młodszych ode mnie i bardzo potrzebujących dla siebie nauk, którymi mnie raczyli, za wiele było tego traktowania mnie jak dziecko. „Kochajcie mnie — powtarzałem — jak ja was kocham; poza tym nie mieszajcie się do mych spraw, jak ja do waszych: oto wszystko, czego żądam”. Jeżeli z tych dwóch rzeczy spełnili moją prośbę w jednej, to z pewnością nie w tej ostatniej.

Miałem mieszkanie ustronne, w uroczej samotni; będąc panem u siebie, mogłem, zdawałoby się, żyć wedle ochoty, bez niczyjego prawa do wścibiania nosa. Ale to mieszkanie nakładało mi obowiązki, miłe, lecz nieuchronne. Cała wolność była jedynie złudą; bardziej niż jakiegokolwiek rozkazy własna wola musiała trzymać mnie w jarzmie. Nie miałem ani jednego dnia, w którym, wstając rano, mógłbym sobie powiedzieć: „Użyję tego dnia, jak mi się spodoba”. Więcej jeszcze: poza mą zależnością od planów pani d’Epinay, odczuwałem drugą, bardziej jeszcze dokuczliwą — zależność od publiczności i odwiedzających. Dość znaczne oddalenie od Paryża nie przeszkadzało, iż codziennie nawiedzały mnie zgraje próżniaków, którzy nie wiedząc, co począć ze swoim czasem, marnotrawili mój bez cienia skrupułu. Wówczas, kiedy się tego najmniej spodziewałem, spadały mi na głowę takie szlachetne odwiedziny i rzadko zdarzyło mi się uczynić ładny projekt na cały dzień, aby go jakiś przybysz nie zamącił.

Krótko mówiąc: pośród dóbr, których najbardziej pożądałem, nie znajdując czystego szczęścia, wracałem rzutami myśli ku szczęśliwym dniom młodości i wykrzykiwałem niekiedy z westchnieniem: „Ach, to już nie to, co moje Charmettes!”.

Wspomnienia rozmaitych epok życia doprowadziły mnie do zastanowienia się nad punktem, do którego doszedłem. Znalazłem się już na schyłku lat, wydany na łup bolesnej choroby i jak mniemałem, przy końcu drogi życia, nie zakosztowawszy w całej pełni niemal żadnej z rozkoszy, których serce moje było tak spragnione, nie dawszy ujścia żywym

<sup>21</sup> obojey płci (daw.) — dziś: obojga płci. [przypis edytorski]

uczuciom, których czułem w sobie zapasy, nie wysączywszy, nie uszczknąwszy bodaj tej upajającej rozkoszy, do której czułem się w duszy zdolny i która z braku przedmiotu tkwiła w niej ciągle zdławiona, nie mogąc wydzielić się inaczej jak tylko westchnieniem.

W jaki sposób było możliwe, abym z duszą z natury tak wylaną<sup>22</sup>, dla której żyć to było kochać, nie znalazł dotąd przyjaciela wyłącznie dla siebie, prawdziwego przyjaciela, ja, który czułem się tak stworzony do tych związków? W jaki sposób było możebne, abym przy zmysłach tak zapalnych, z sercem przesiąkniętym miłością, nie mógł bodaj raz zapłonąć tym ogniem dla określonego przedmiotu? Pożerany potrzebą kochania, nie mogąc jej nigdy w pełni zaspokoić, patrzałem, jak zbliżam się do bram starości i mam umrzeć, nie poznawszy życia!

Te smutne, ale rozczulające myśli pograżyły mnie w zadumie pełnej żalu, a zarazem nie pozbawionej słodyczy. Zdawało mi się, że los jest mi winien coś, czego mi nie dał. Na co dał mi się urodzić z cudownymi zdatnościami, aby je zostawić do końca bez użytku? Poczucie wewnętrznej wartości, rodząc we mnie świadomość krzywdy, wynagradzało mi ją do pewnego stopnia i wyciskało z oczu łzy, którym z lubością pozwalałem płynąć.

Oddawałem się tym dumaniom w najpiękniejszej porze roku, w czerwcu, w cieniu świeżej zieloności, przy śpiewie słowika, szmerze strumienia. Wszystko spiknęło się, aby mnie pograżyć w tej zbyt upajającej miękkości, dla której byłem stworzony, ale od której powinienem być na zawsze oswobodzić twardy i surowy ton, na jaki nastroiło mnie długie wewnętrzne wrzenie. Na nieszczęście przypomniał mi się obiad w Toune i spotkanie z dwiema uroczymi dziewczynami, o tej samej porze, w miejscowości niemal podobnej do tej, w jakiej znajdowałem się w tej chwili. Wspomnienie to, jeszcze słodsze przez łączącą się z nim pamięć ówczesnej niewinności, przyniosło mi inne, tegoż samego rodzaju. Niebawem ujrzałem w myślach koło siebie wszystkie istoty, które napawały wzruszeniem mą młodość: pannę Galley, de Graffenried, de Breil, panią Bazile, de Larnage, moje młode uczennice, aż do powabnej Zulietty, której serce moje nie mogło zapomnieć. Ujrzałem się otoczony serajem<sup>23</sup> hurys<sup>24</sup>, dawnych znajomych; najżywszy pociąg, jaki odczuwałem dla nich, nie był u mnie nowym uczuciem. Krew rozpala się i kipi, głowa mi się zawraca mimo szpakowatych już włosów i oto poważny obywatel Genewy, oto surowy Jan Jakub, bliski czterdziestu pięciu lat, staje się nagle z powrotem romansowym pasterzem. Odurzenie, które mnie ogarnęło, mimo iż nagłe i szalone, było tak uporczywe i silne, iż aby mnie zeń wyleczyć, trzeba było dopiero szeregu nieprzewidzianych i straszliwych nieszczęść, w które mnie wtrąciło.

Odurzenie to, mimo iż tak głębokie, nie doszło wszelako do tego, aby mi dało zapomnieć o mym wieku i położeniu, abym się miał ludzić, iż mogę jeszcze wzbudzić miłość, abym się skusił podzielić z kimś wreszcie tym ogniem pożerającym, lecz jałowym, jaki od dzieciństwa daremnie trawił me serce. Nie spodziewałem się, nie pragnąłem nawet tego. Wiedziałem, że czas miłości przeszedł; nadto czułem śmieszność postarzałych miłośników, abym miał w nią popaść. Nie ja, z pewnością, miałem się stać zarozumiałym i pewnym siebie na schyłku, skoro nim byłem tak mało w kwiecie swojego wieku. Zresztą, zamiłowany w spokoju, lękałbym się burz domowych; nadto szczerze przy tym kochałem Teresę, aby ją narażać na tę zgryzotę, iżby miała mnie widzieć niosącego w dani innej kobiecie uczucia żywsze niż te, które we mnie budziła.

Cóż uczyniłem w tej okoliczności? Czytelnik już odgadł, jeżeli dotąd towarzyszył mi z uwagą. Niepodobnieństwo osiągnięcia rzeczywistych istot wtrąciło mnie w krainę urojęń. Nie widząc na świecie nic istniejącego, co by godnym było mego szału, syciłem go w świecie idealnym, który twórcza wyobraźnia zaludniła niebawem istotami wedle mego serca. Nigdy ta ucieczka nie zjawiała się bardziej w porę i nigdy nie okazała się tak płodna. Pograżony w nieustannej ekstazie, upajałem się bez miary najrozkoszniejszymi uczuciami, jakie kiedykolwiek gościły w sercu człowieka. Zapominając zupełnie o rodzaju ludzkim, tworzyłem sobie społeczeństwa doskonałych istot, równie niebiańskich przez swoje cnoty, co przez swą piękność, pewnych, tkliwych, wiernych przyjaciół, takich, jakich nie znałem nigdy tu na ziemi. Zasmakowałem do tego stopnia w tym bujaniu w obłokach,

<sup>22</sup>wylany — dziś: wylewny. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>seraj — tu: kobieca część domu muzułmańskiego, harem. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>hurysa — w islamie: jedna z wiecznie pięknych i młodych dziewic, czekających wiernych w raju muzułmańskim; przen.: piękna dziewczyna o orientalnej urodzie. [przypis edytorski]

Wspomnienia

Marzenie

pośród uroczych przedmiotów, którymi się otoczyłem, iż spędzałem tak godziny, dni całe, bez rachuby; tracąc pamięć wszelkiej innej rzeczy, ledwie zjadłem coś naprędce, już rwałem się szukać schronienia w mych gajach. Kiedy, gotów ulecieć w zaczarowane kraje, widziałem, jak zjawiają się nieszczęśni śmiertelnicy, którzy przychodzili zatrzymywać mnie na ziemi, nie mogłem ani pomiarkować, ani ukryć swej niechęci; nie będąc już panem siebie, przyjmowałem ich w sposób tak szorstki, że słusznie można by go nazwać brutalstwem. To pomnażało jedynie mą reputację mizantropa, z przyczyn, które zjednałyby mi wręcz przeciwne mniemanie, gdyby ludzie lepiej umieli czytać w mym sercu.

W pełni największej egzaltacji, uczulem się ściągnięty nagle na ziemię, niby latawiec uwięziony sznurkiem. Natura przywołała mnie na miejsce, zsyłając mi dość żywy napad zwykłego cierpienia. Uciekłem się do jedyne go lekarstwa, jakie było zdolne nieść mi ulgę — do sondy. To spowodowało pauzę w mych anielskich amorach: poza tym bowiem, iż człowiek nie jest zdolny do miłości, kiedy cierpi, wyobraźnia moja, która ożywia się na wsi, wśród zieloności, usycha i obumiera w pokoju, pod deskami powały. Często żalowałem, że nie istnieją *driady*<sup>25</sup>; im to niechybnie byłbym oddał swoje serce.

Inne przykrości domowe pomnożyły w tym samym czasie moje utrapienia. Pani Le Vasseur, obsypując mnie równocześnie miodowymi słówkami, odstręczała ode mnie córkę ile mogła. Otrzymałem z mego dawnego sąsiedztwa listy, które pouczyły mnie, że zacna stara zaciągnęła bez mej wiedzy liczne długi na imię Teresy, która wiedziała o tym i nic mi nie mówiła. Długi, które musiałem płacić, gniewały mnie o wiele mniej niż tajemnica, jaką z nich czyniono. Ha! W jaki sposób ta, dla której ja nie miałem nigdy żadnej tajemnicy, mogła ją mieć dla mnie? Czy można coś ukrywać przed kimś, kogo się kocha? Holbachowska koteria, nie widząc, bym objawiał tęsknotę za Paryżem, zaczynała na dobre się obawiać, iż mogę szczerze podobać sobie na wsi i być dość szalonym, aby tam zostać. Stąd zaczęły się dokuczliwości, za pomocą których starano się mnie pośrednio sprowadzić do miasta. Diderot, nie chcąc zrazu odsłonić przyłbicy, wyprawił do mnie na początek Deleyre'a<sup>26</sup>, którego z nim sam zapoznałem, a który, nie pojmując właściwego celu intrygi, przejmował i przynosił mi wrażenia, jakich Diderot zechciał mu udzielić.

Wszystko jakby się zmawiało, aby mnie wyrwać z mego słodkiego i szalonego marzenia. Nie minął jeszcze mój atak, kiedy otrzymałem egzemplarz poematu *Na ruinę Lizbony*<sup>27</sup>. Przypuszczałem, iż przysłano mi go na zlecenie autora. To nałożyło na mnie obowiązek napisania doń i wyrażenia zdania o utworze. Uczyniłem to w liście, który ogłoszono drukiem znacznie później, bez mego pozwolenia, jak o tym wspomnę w dalszym ciągu.

Uderzony, iż widzę tego biednego człowieka, przywalonego, aby tak rzec, pomyślnością i sławą, jak gorzko wciąż deklamuje przeciw nędzom życia i znajduje ustawicznie, iż wszystko jest złe, powziąłem szalony pomysł, aby mu przemówić do duszy i udowodnić mu, że wszystko jest dobre. Wolter, udając wciąż, iż wierzy w Boga, wierzył w istocie zawsze jedynie w diabła, skoro jego rzekomy bóg jest złośliwą istotą, która wedle niego znajduje rozkosz jedynie w wyrządzaniu szkody. Bijąca w oczy niedorzeczność tej nauki oburzająca jest zwłaszcza u człowieka, który, spoczywając w puchach szczęścia, stara się doprowadzić do rozpacz swych bliźnich za pomocą strasznego i okrutnego obrazu wszystkich klęsk, od których on jest wolny. Bardziej niż on będąc powołany, aby policzyć i zważyć niedole ludzkiego życia, uczyniłem ich sprawiedliwy bilans i udowodniłem mu, że ze wszystkich tych niedoli nie masz ani jednej, za które Opatrzność byłaby odpowiedzialna i która by nie miała źródła raczej w nadużyciu, jakie człowiek czyni ze swych zdolności, niż w samej naturze. Potraktowałem go w tym liście z wszelkimi możebnymi względami, uważaniem, oględnością, mogę nawet powiedzieć szacunkiem. Mimo to, znając jego miłość własną w najwyższym stopniu wrażliwą, nie posłałem tego listu samemu Wolterowi, ale doktorowi Tronchin, jego lekarzowi i przyjacielowi z zupełną swobodą doręczenia lub zniszczenia, wedle tego, co mu się wyda właściwsze. Tronchin doręczył list. Wolter odpisał mi w kilku słowach, iż będąc równocześnie i sam chory,

Bóg, Dobro, Zło

<sup>25</sup>*driady* (mit. gr.) — boginki leśne, duchy drzew. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Deleyre*, [*Alexandre*] (1726–1797) — pisarz z grupy encyklopedystów, później sekretarz ambasady Choiseula w Wiedniu, wreszcie członek konwentu, gdzie głosował za śmiercią Ludwika XVI. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*Na ruinę Lizbony* — poemat Woltera, napisany pod wrażeniem trzęsienia ziemi w Lizbonie, którego ofiarą padło kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. [przypis tłumacza]

i mając w domu chorobę, odkłada na inny czas odpowiedź; po czym nigdy nie odezwał się już w tej kwestii. Tronchin, przysyłając mi pismo Woltera, dołączył od siebie kilka uwag niezdradzających zbyt wiele szacunku dla osoby piszącego.

Nigdy nie ogłosiłem ani nie pokazałem tych dwóch listów, nie lubiąc czynić popisu z tego rodzaju drobnych tryumfów; ale znajdują się one w oryginale w mych zbiorach (plik A, nr 20 i 21). Później Wolter ogłosił odpowiedź, którą mi przyrzekł, ale mi jej nie przesłał. Jest nią mianowicie powieść pt. *Kandyd*<sup>28</sup>, o której nie mogę mówić, ponieważ jej nie czytałem.

Wszystkie te wydarzenia powinny były radykalnie mnie wyleczyć z moich fantastycznych miłości. Był to może sposób, jaki nastroczało mi niebo, aby uprzedzić ich zgubne następstwa; ale zła gwiazda okazała się silniejsza. Ledwie zacząłem znów wychodzić z domu, serce, głowa i nogi wróciły na te same ścieżki. Powiadam: te same, pod pewnym względem przynajmniej; myśli moje bowiem, nieco mniej wybujałe, zostały tym razem na ziemi, ale wzięwszy sobie za towarzystwo tak niezrównany wybór wszystkiego, co mogłoby się znaleźć na niej uroczego i godnego miłości, iż doskonałość ta była zgoła nie mniej chimeryczna niż urojony świat, który opuściłem.

Wyobraziłem sobie miłość, przyjaźń, dwa bóstwa mego serca, pod najbardziej czarującymi postaciami. Uczyniłem sobie tę rozkosz, aby je stroić we wszystkie uroki płci, którą zawsze ubóstwiałem. Wymarzyłem dwie przyjaciółki raczej niż dwóch przyjaciół, ponieważ przykład ten, jeżeli jest rzadszy, jest zarazem i bardziej powabny. Obdarzyłem je charakterami pokrewnymi, ale różnymi; powierzchownością nie bezwzględnie doskonałą, ale wedle mego smaku, ożywioną dobrocią i tkliwością. Jedną uczyniłem brunetką, drugą blondynką; jedną żywą, drugą łagodną; jedną stateczną, drugą słabą, ale słabością tak chwytającą za serce, iż cnota zdawała się jedynie zyskiwać na tym. Dałem jednej kochanka, któremu druga była tkliwą przyjaciółką, a nawet czymś więcej; ale nie dopuściłem do współzawodnictwa, sprzeczek, zazdrości, ponieważ wszelkie przykre uczucie z trudnością rodzi się w mej wyobraźni i ponieważ nie chciałem przyćmić tego lubego obrazka niczym, co by miało poniżyć naturę. Rozmarzony dwoma uroczymi modelami, utożsamiałem się, ile w mej mocy, z kochankiem i przyjacielem; ale uczyniłem go młodym i pełnym powabu, dając mu poza tym zalety i wady, które czułem w sobie.

Aby pomieścić osoby mego romansu w ramie, która by im odpowiadała, przeszedłem kolejno w myśli najpiękniejsze miejsca, jakie oglądałem w swych podróżach. Ale nie mogłem znaleźć dość lubego siola, dość mówiącego do serca krajobrazu. Doliny Tesalii byłyby mnie może zadowoliliły, gdybym je widział; ale wyobrażenia moja, znużona rojeniem, pragnęła jakiegoś rzeczywistego miejsca, które by jej mogło służyć za punkt oparcia i dać mi złudzenie co do rzeczywistości mieszkańców, których tam chciałem osiedlić. Długo myślałem o Wyspach Boromejskich, których urok zachwyił mnie; ale widziałem w nich zbyt wiele ozdoby i sztuki jak dla moich bohaterów. Trzeba mi było wszelako jeziora; wybrałem wreszcie to, koło którego serce moje nigdy nie przestało błędzić. Zatrzymałem się przy tej okolicy, w której od dawna pragnienia me pomieściły mą rezydencję w urojonym szczęściu, do którego mnie los ograniczył. Miejsce rodzinne biednej mamusi miało dla mnie urok silniejszy nad inne. Kontrasty położenia, bogactwo i różnorodność widoków, wspaniałość, majestat całości, która czaruje zmysły, przenika serce, podnosi duszę, skłoniły mnie do reszty: pomieściłem w Vevai swoje młode pupilki. Oto wszystko, co wymyśliłem od pierwszego rzutu; reszta narosła dopiero stopniowo.

Długo ograniczałem się do ogólnikowego planu, ponieważ wystarczał, aby napełnić mą wyobraźnię lubymi przedmiotami, serce zaś uczuciami, którymi lubi się karmić. Fikcje te, nawiedzając mnie raz po raz, nabrały wreszcie silniejszego istnienia i ustaliły się w mózgu pod określoną postacią. Wówczas przyszła mi ochota wyrazić na papierze kilka scen, które mi się nastroczały, i przypominając sobie wszystko, co czułem w młodości, dać w ten sposób niejako upust potrzebie kochania, której nie mogłem zaspokoić, a która mnie pożerała.

Rzuciłem zrazu na papier kilka luźnych listów, bez ciągu, bez związku; kiedy przychodziło mi zeszyc je z sobą, byłem często w wielkim kłopotcie. Co może się zdawać trudne

<sup>28</sup>Kandyd — najgłośniejsza z powiastek filozoficznych Woltera, wymierzona przeciw Leibnizowskiemu „optymizmowi” i filozofii spekulatywnej. [przypis tłumacza]

do wiary, a jest wszelako bardzo prawdziwe, to iż dwie pierwsze części romansu powstały prawie całkowicie w ten sposób, bez obmyślonego planu, a nawet bez przewidywania, iż kiedyś przyjdzie mi pokusa uczynić zeń prawidłowy utwór. Toteż czytelnik widzi, iż te dwie części, powstałe z nieobrobionych w tym celu materiałów, pełne są rozwlekłości i gadulstwa, których nie znajduje się w dalszym ciągu.

W porze najwyższego nasilenia marzeń spadły na mnie odwiedziny pani d'Houdetot, pierwsze, jakimi zaszczyliła mnie w życiu, ale, na nieszczęście, jak się okaże później, nie ostatnie. Hrabina d'Houdetot<sup>29</sup> była córką nieboszczyka de Bellegarde, generalnego dzierżawcy, siostrą pana d'Epinay i panów de Lalive i de la Briche, którzy obaj później zajmowali stanowisko szambelanów przy ambasadach. Wspominałem o naszej znajomości datującej z jej panieńskich czasów. Od chwili zamażpójścia widywałem panią d'Houdetot jedynie na większych zebraniach w Chevrette, u pani d'Epinay, jej bratowej. Spędziwszy nieraz szereg dni w jej towarzystwie, tak w Chevrette, jak w Epinay, nie tylko uważałem ją za osobę nader miłą, ale także zdawało mi się, iż widzę w niej życzliwość dla siebie. Lubiła przechadzać się ze mną; oboje byliśmy tęgie piechury, rozmowa zaś nie słabła między nami ani na chwilę. Mimo to nie odwiedziłem pani d'Houdetot nigdy w Paryżu, chociaż prosiła mnie o to, a nawet nalegała wiele razy. Stosunki jej z panem de Saint-Lambert, z którym i ja zaprzyjaźniłem się w tej epoce, uczyniły mi ją tym bardziej zajmującą; i właśnie aby mi przywieźć nowiny od wspólnego przyjaciela, który bawił wówczas, o ile mi się zdaje, w Mahon<sup>30</sup>, przybyła mnie odwiedzić w Pustelni.

Wizyta ta wypadła coś niby początek powieści. Pani d'Houdetot zbłądziła w drodze. Woźnica, opuściwszy gościnniec, który zakreślał koło, chciał przeciąć wprost od młyna w Clairvaux do Pustelni. Karoca uwięzła w błocie; pani d'Houdetot wysiadła i chciała iść piechotą. Leciutki trzewiczki zdarły się w jednej chwili, ugrzęzła w błocie; ledwie z największym wysiłkiem służba zdołała ją wydobyć; wreszcie, dotarła do Pustelni w butach, napełniając atmosferę wybuchami śmiechu, którym zawtórowałem, patrząc na stan, w jakim przybyła. Trzeba ją było przebrać od stóp do głowy; Teresa zajęła się tym. Zaprosiłem hrabinę, aby zapomniała o swej godności i przyjęła wiejski podwieczorek, który bardzo jej przypadł do smaku. Było późno, bawiła tylko chwilę; ale czas ten spłynął tak wesoło, że zasmakowała w mej Pustelni i zdawała się skłonna wrócić. Wykonała ten zamiar dopiero w następnym roku; ale, niestety! odwłoka ta nie ocaliła mnie.

Spędziłem jesień na zajęciu, którego by się nikt nie domyślił: na strzeżeniu owoców pana d'Epinay. Pustelnia była zbiornikiem wód dla parku w Chevrette. Był tam ogród otoczony murem, obsadzony szpalerem i innymi drzewami, które dawały panu d'Epinay więcej owoców niż sad w Chevrette, mimo że kradziono z nich trzy czwarte. Aby nie być zupełnie bezużytecznym gościem, podjąłem się opieki nad ogrodem i nadzoru nad ogrodnikiem. Wszystko szło dobrze aż do pory owoców; ale w miarę jak dojrzewały, widziałem jak znikają; co się z nimi działo, nie wiadomo. Ogrodnik upewniał, że to koszatki<sup>31</sup> zjadają wszystko. Wydałem wojnę koszatkom, wytepiłem ich sporo: mimo to owoce znikwały tak samo. Śledziłem póty, aż wreszcie doszedłem, że sam ogrodnik był wielką koszatką. Mieszkał w Montmorency, skąd przybywał nocami wraz z żoną i dziećmi, aby wynosić składy owoców, które nagromadził w ciągu dnia i które sprzedawał w halach w Paryżu tak publicznie, jak gdyby posiadał własny ogród. Nędznik ten, którego obsypywałem

Kradzież

<sup>29</sup>hrabina d'Houdetot, [Elisabeth Françoise Sophie Lalive de Bellegarde] (1730–1813) — która dożyła sędziwego wieku, opromieniona w latach porewolucyjnych nimbem ubóstwianej Russa, była zdaniem współczesnych osobą dużych zalet umysłu i charakteru. Obdarowana miłym talentem wierszowania, z którego korzystała jedynie dla towarzyskiej igraszki, pozostawiła kilkadziesiąt drobnych utworów, z których najbardziej znany jest zgrabny ośmiowersz, ułożony z przyczyny odjazdu kochanka (Saint-Lamberta): *L'amant que j'adore, / Prêt à me quitter, / D'un instant encore! Voulait profiter, / Félicité vaine, / Qu'on ne peut saisir, / Trop près de la peine! Pour être un plaisir!* Związek jej z Saint-Lambertem trwałością swą tak odbijał od obyczajów epoki, iż zjednął pani d'Houdetot ogólny szacunek. Zamażił go nieco w ostatnich latach mąż, pan d'Houdetot, który po śmierci długoletniej kochanki bez ceremonii zakwaterował się do domu mieszkającej z Saint-Lambertem żony, z którą nie żył od lat kilkudziesięciu. Co więcej, pan d'Houdetot uroczystie odprawił przypadające wkrótce potem „złote wesele”! Opis tej uroczystości, doprowadzonej do skutku ku wielkiemu niezadowoleniu Saint-Lamberta, zepchniętego siłą rzeczy do drugorzędnej roli, stanowi ciekawy przyczynek do historii obyczajów XVIII w. [przypis tłumacza]

<sup>30</sup>bawił wówczas (...) w Mahon — służąc w armii francuskiej oblegającej w maju i czerwcu 1756 brytyjskiego garnizonu w Mahon (ob. Maó) na Minorce podczas wojny siedmioletniej. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>koszatka — drobny gryzoń z rodziny popielicowatych. [przypis edytorski]

dobrodziejstwami, którego dzieci ubierała Teresa, a którego ojca, zawodowego żebraka, niemal żywiłem, ograbiał nas równie łatwo jak bezczelnie, ile że nikt z nas trojga nie był dość czujny, aby dopilnować porządku: tak w ciągu jednej nocy zdołał obrabować doszczętnie mą piwnicę, którą nazajutrz zastałem próżną. Póki sądziłem, iż łupi jedynie mnie, znosiłem wszystko; ale kiedy mi przyszło zdać sprawę ze stanu owoców, byłem zmuszony wymienić złodzieja. Pani d'Epina y prosiła, abym go zapłacił, wyrzucił z domu i poszukał innego; co też uczyniłem. Ponieważ ten drab krążył co noc koło Pustelni, uzbrojony okutym drągiem wyglądającym jak maczuga, w towarzystwie innych hultajów tegoż samego kalibru, tedy pragnąc upewnić moje „gospodynie”, lękające się niezmiernie tego człowieka, kazałem jego następcy sypiać co noc w Pustelni; gdy zaś i to jeszcze ich nie uspokoiło, poprosiłem panią d'Epina y o fuzję, którą umieściłem w pokoju ogrodnika. Poleciłem mu zresztą, aby się nią posłużył jedynie w potrzebie, w razie gdyby ktoś próbował wylać drzwi lub wdrapać się do ogrodu, i aby strzelał wyłącznie prochem, jedynie dla przestraszenia złodziei. Była to z pewnością najlżejsza ostrożność, jakiej dla wspólnego bezpieczeństwa mógł się chwycić człowiek niepokojony przez złoczyńców, mając spędzić zimę wśród lasu, sam z dwiema bojaźliwymi kobietami.

Nabyłem też i małego pieska, aby służył za stróża. W owym czasie wybrał się do mnie w odwiedzin y Deleyre; opowiedziałem mu całą przygodę i śmiałem się wraz z nim ze swego bojowego rynsztunku. Za powrotem do Paryża on z kolei chciał zabawić Diderota tym opowiadaniem, i oto jak Holbachowska koteria dowiedziała się, że na dobre zamierzam spędzić zimę w Pustelni. Ta wytrwałość, której nie mogli sobie wyobrazić, zbiła ich z tropu; w oczekiwaniu, aż wymyślą jakąś inną dokuczliwość, aby mi zatruć pobyt, nasłali na mnie za pośrednictwem Diderota tegoż samego Deleyre, który znalazłszy zrazu ostrożność moją zupełnie naturalną, doszedł w końcu do wniosku, iż jest ona niezgodna z moimi zasadami i więcej niż śmieszna. Objawiło się to w listach, w których obsypywał mnie żarcikami gorzkimi i dość dotkliwymi, abym się mógł obrazić, gdybym był nastrojony w tym kierunku. Ale wówczas, przepojony serdecznymi i tkliwymi uczuciami, niezdolny do żadnych innych, widziałem w jego cierpkich sarkazmach jedynie niewinne koncepty i uważałem za prostą pustotę to, co każdy byłby osądził jako zuchwałe błazeństwo.

Przy pomocy czujności i starań zdołałem dopilnować ogrodu tak dobrze, iż mimo że urodzaj na owoce był tego roku prawie żaden, zbiór dał trzy razy tyle co w poprzedzających latach. Trzeba przyznać, że nie oszczędzałem starań, aby go ubezpieczyć, do tego stopnia, iż sam eskortowałem przesyłki, które wyprawiałem do Epina y i do Chevette, i sam ładowałem koszyki. Przypominam sobie, jak nieśliśmy wraz z „ciotką” jeden tak ciężki, iż omal upadając pod ciężarem, musieliśmy spoczywać co dziesięć kroków i przybyliśmy cali w pocie.

(1757) Skoro początek słotnej pory zaczął mnie więzić w mieszkaniu, chciałem podjąć swoje domowe zatrudnienia; nie było sposobu. Wszędzie widziałem jeno dwie urocze przyjaciółki, ich przyjaciela, ich otoczenie, okolice, którą zamieszkiwały, przedmioty stworzone lub upiękkszzone dla nich moją wyobraźnią. Nie należałem już ani chwili do siebie; szaleństwo nie opuszczało mnie. Po daremnych wysiłkach, aby oddalić od siebie te urojenia, poddałem się wreszcie w zupełności ich czarowi i zajmowałem się już jedynie tym, aby wprowadzić w nie pewien ciąg i związek i stworzyć rodzaj powieści.

Jedna rzecz nękała mnie w całej sprawie, mianowicie wstyd zadania kłamu samemu sobie tak jawnie i głośno. Po surowych zasadach, które obwieściłem z takim hałasem, po nieubłaganych poglądach, które z taką siłą głosiłem, po tylu gryzących wycieczkach przeciw zniewieściałym książkom oddychającym miłością i rozkoszą, czy można sobie wyobrazić coś bardziej niespodzianego, rażącego niż widok mnie samego wpisującego się naraz własną ręką w poczet autorów, których osądziłem tak surowo? Czulem tę niekonsekwencję w całej sile, wyrzucałem ją sobie, rumieniłem się, złościłem; ale wszystko to nie wystarczało, aby mnie przywieść do rozumu. Opanowany zupełnie, musiałem się zdać na łaskę i niełaskę wyobraźni i wydać się na pastwę ludzkich gadań, zostawiając zresztą na potem rozważanie, czy namyślę się pokazać swój utwór czy nie: nie przypuszczałem bowiem jeszcze, abym go miał ogłosić.

Tak rozstrzygnąwszy sprawę, rzuciłem się na łeb na szyję w marzenia; tak długo obracałem je w głowie na wszystkie strony, aż wreszcie utworzyłem plan, którego wykonanie



znane jest publiczności. Było to z pewnością najlepsze, co mogłem wydobyć z mych szaleństw: miłość dobrego, która nigdy nie opuściła mego serca, zwróciła je ku przedmiotom użytecznym, na których moralność mogła tylko zyskać. Obrazy rozkoszy straciłyby cały powab, gdyby im zbrakło słodkiego kolorytu niewinności. Dziewczyna, która uległa swej słabości, może być dla nas przedmiotem pożałowania, zajmującym przez swoje uczucie i często tym więcej godnym miłości. Ale kto zdoła znieść bez oburzenia widowisko obyczajów dzisiejszego świata? Co może być ohydniejsze niż gadulstwo niewiernej żony, która depcąc jawnie nogami wszystkie obowiązki, żąda, aby mąż wdzięczny jej był, jak za łaskę, za to, iż raczyła nie dać się schwytać na gorącym uczynku? Istoty doskonałe nie są zgodne z naturą i nauki ich nie przemawiają do nas. Ale że młoda osoba, zrodzona z sercem równie uczuwiwym jak czułym, daje się, będąc dziewczyną, zwyciężyć miłości, później zaś, wyszedłszy za mąż, znajduje siłę, aby zwyciężyć z kolei swą miłość i stać się z powrotem cnotliwą — ktokolwiek wam powie, że ten obraz, w całości swej, jest gorszący i nieużyteczny, ten jest kłamcą i obłudnikiem; nie słuchajcie go.

Poza tym celem, tyjącym obyczajów i uczuciowości małżeńskiej, a tym samym zespolonym zasadniczo z całym porządkiem społecznym, miałem na oku i drugi, bardziej sekretny, odnoszący się do zgody i pokoju publicznego; przedmiot większy, ważniejszy może sam w sobie, a co najmniej na tę chwilę, w której go obmyślałem. Burza wszczęta przez *Encyklopedię*<sup>32</sup> nie tylko nie uspokajała się, ale doszła wówczas szczytu. Oba stronnictwa, rozpętane przeciw sobie z największą zacieklnością, podobniejsze były raczej do rozjuszonych wilków szarpiących się zajadłe niż do chrześcijan i filozofów, którzy chcą wzajem oświecić się, przekonać i sprowadzić na drogę prawdy. Aby zatarg wyrodził się w wojnę domową, brakło może obu stronnictwom jedynie dość ruchliwych i wpływowych wodzów; Bóg zaś wie, co byłaby wydała wojna domowa na tle religijnym, wojna, w której najokrutniejsza nietolerancja równa była zaiste po obu stronach. Będąc urodzonym nieprzyjacielem wszelkiego ducha stronnictwa, powiedziałem szczerze jednym i drugiem twarde prawdy, których żadna ze stron nie chciała słuchać. Wpadłem na inny sposób, który w mej naiwności wydał mi się cudowny: mianowicie złagodzić wzajemną nienawiść, niwecząc obustronne przesady, i pokazać każdemu stronnictwu zasługi i cnoty drugiego, godne powszechnej czci oraz poszanowania u wszystkich śmiertelnych. Ten projekt, niezbyt rozsądny (przypuszczał bowiem istnienie dobrej wiary u ludzi, wtrącał mnie zatem w ten sam błąd, jaki zarzucałem księdzu de Saint-Pierre), wywołał skutek, jaki musiał wywołać: nie pojednał stronnictw, a złączył je tylko w napaści na mnie. Nim doświadczenie pouczyło mnie o mym szaleństwie, oddawałem się swemu dziełu z zapalem, śmiem powiedzieć, godnym ożywiającej mnie pobudki. Nakreśliłem dwa charaktery, Wolmara i Julii<sup>33</sup>, w zachwyceniu, które dawało mi nadzieję, iż uczynię je oba godnymi sympatii, a co więcej, iż wrażenie to wzmoże się dzięki kontrastom.

Zadowolony, iż z grubsza naszkicowałem plan, wróciłem do poszczególnych scen, które skreśliłem poprzednio; ze sposobu, w jaki je ująłem, powstały dwie pierwsze części *Julii*. Stworzyłem je i przepisałem na czysto w ciągu zimy z niewymowną przyjemnością, używając najpiękniejszego złoconego papieru, lazuruowego i srebrnego proszku do suszenia pisma<sup>34</sup>, a niebieskiej wstążeczki do zeszywania kajetów, słowem nie znajdując nic dość wykwintnego, dość ładnego dla tych uroczych dziewczyn, za którymi szalałem jak drugi Pigmalion<sup>35</sup>. Co wieczór przy kominku odczytywałem po kilka razy te dwie części „gosposiom”. Córka, nic nie mówiąc, płakała wraz ze mną z rozczulenia; matka, która

<sup>32</sup>*Burza wszczęta przez Encyklopedię...* — kolejne tomy *Encyklopedii* wydawano bez przeszkód od czerwca 1751 do listopada 1757; z powodu hasel podkreślających prawo do wolności religijnej, prezentujących krytyczne podejście do Biblii, Kościoła katolickiego, rządów absolutystycznych i feudalnej organizacji społeczeństwa, *Encyklopedia* została wpisana do kościelnego indeksu ksiąg zakazanych (1758) zaś rząd francuski cofnął zezwolenie na jej druk (marzec 1759); przygotowywane potajemnie kolejne tomy (8–17) wydano w 1765 formalnie w Neuchâtel, poza granicami Francji. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*Wolmar i Julia* — postacie słynnego romansu *Nowa Heloiza* (pierwotnie *Julia*). [pełny tytuł romansu to *Julia, czyli Nowa Heloiza*, zaś tytuł pierwszego wydania brzmiał: *Listy dwojga kochanków, mieszkańców małego miasteczka u stóp Alp*; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>34</sup>*proszku do suszenia pisma* — dawniej świeżo zapisane strony posypywano drobnym piaskiem, żeby przyspieszyć schnięcie atramentu. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Pigmalion* (mit. gr.) — król Cypru i rzeźbiarz, który zakochał się we własnym dziele, wyrzeźbionej z kości słoniowej kobiecie. Nadał jej imię Galatea, a bogini Afrodyta na jego usilne prośby ożywiła posąg. [przypis edytorski]

nie znajdując swoich ulubionych zakrętasów, nie rozumiała ani słowa, słuchała dość obojętnie i poprzestawała, w chwilach milczenia, na tym, iż powtarzała ciągle: „To bardzo piękne, proszę pana”.

Pani d'Épinay, niespokojna o mnie, iż znalazłem się tak sam w zimie wśród lasu, w odosobnionym domku, przysyłała bardzo często zasięgać wiadomości. Nigdy nie doświadczyłem równie szczerych objawów jej przyjaźni i nigdy też moja przyjaźń nie odwzajemniała ich bardziej żywo. Zawiniłbym, gdybym, wśród tych objawów, nie zaznaczył, iż przesyła mi swój portret, prosząc mnie, abym jej ułatwił zdobycie wzajem mojego, pędzła La Tour<sup>36</sup>, wystawionego swego czasu w Salonie<sup>37</sup>. Nie godzi mi się ominąć również innego dowodu jej pamięci; szczególnie ten wyda się śmieszny, ale przez wrażenie, jakie na mnie uczynił, stanowi on rys do historii mego charakteru. Jednego dnia, w czasie silnego mrozu, otwierając paczkę, w której pani d'Épinay przysyłała mi różne sprawunki, jakimi ją obarczyłem, znalazłem obok nich spódniczkę z angielskiej flaneli; pani d'Épinay, jak mi pisała, nosiła ją sama, a obecnie życzyła sobie, abym kazał z niej uszyć ciepłą kamizelkę. Sposób, w jaki skreślony był bilecik, był uroczy, pełen serdeczności i prostoty. Troskliwość ta, więcej niż przyjacielska, rozrzewniła mnie; miałem uczucie, jak gdyby pani d'Épinay sama się odarła, aby mnie przyodziać; wzruszony do głębi, ucałowałem, po dwadzieścia razy, płacząc, list i spódniczkę. Teresa myślała, że oszalałem. Osobliwym jest, iż ze wszystkich oznak przyjaźni, jakimi pani d'Épinay mnie obsypała, żadna tak mnie nie wzruszyła jak ta; nawet już po naszym zerwaniu nie mogłem pomyśleć o tym bez wzruszenia. Długo zachowałem ten bilecik i miałbym go jeszcze, gdyby nie był podzielil losu innych moich listów z owego czasu.

Dar

Mimo iż cierpienie pęcherza mało dawało mi folgi tej zimy, tak iż przez szereg tygodni skazany byłem na użytek sondy, była to jednak, razem wzięwszy, pora, która od czasu osiedlenia we Francji spłynęła mi w największej słodyczy i spokoju. Przez kilka miesięcy, w ciągu których ostrość pory roku ubezpieczała mnie od natrętów, napawałem się, więcej niż kiedykolwiek, niezależnym, równym i prostym życiem, którego urok wzrastał dla mnie, w miarę jak go kosztowałem, bez innego towarzystwa jak dwóch moich „gospodyń” w rzeczywistości, a dwóch uroczych kuzynek w wyobraźni. Wówczas to zwłaszcza winażowałem sobie, z każdym dniem więcej, roztropnego postanowienia, na które się zdobyłem bez względu na krzyki przyjaciół, pogniewanych, iż wyzwalam się od ich tyranii; kiedy zaś dowiedziałem się o zamachu szaleńca<sup>38</sup>, kiedy Deleyre i pani d'Épinay donosili mi w listach o niepokoju i zamęcie, jaki panuje w Paryżu, jakże dziękowałem niebu, iż oddaliło mnie od tych widowisk ohydy i zbrodni, które byłyby jeno podscyły, zaogniły żółć, jaką poruszał we mnie widok publicznych nieporządków; podczas gdy tu, widząc dokoła swego schronienia same jeno pogodne i lube przedmioty, serce moje poddawało się słodkim uczuciom. Zapisuję z upodobaniem bieg ostatnich spokojnych chwil, jakich mi użyczono. Wiosna, która nastąpiła po tej tak spokojnej zimie, patrzyła na kielkowanie ziarna nieszczęść, jakie pozostają mi do opisanie. W gąszczu tych nieszczęść nie spotkamy już podobnej pauzy, która by mi dała bodaj chwilę swobody dla zacerpnięcia oddechu.

Jednakże, o ile sobie przypominam, w czasie tego wytchnienia i na łonie mej samotności, klika holbachistów nie zostawiła mnie w zupełnym spokoju. Diderot zwłaszcza szukał jakiejś zaczepki: albo się bardzo myłę, albo też w ciągu tej właśnie zimy pojawił się *Syn naturalny*<sup>39</sup>, o którym przyjdzie mi niebawem mówić. Poza tym, iż dla przyczyn, które odsłonię w dalszym ciągu, mało zostało dokumentów z tej epoki, i te nawet, które mi zostawiono, nie są zbyt ściśle co do daty. Diderot nie datował nigdy listów. Pani d'Épinay, pani d'Houdetot datowały jedynie dniem tygodnia; Deleyre najczęściej tak samo. Kiedy chciałem uporządkować te listy wedle kolei, trzeba było uzupełniać po omacku niepewne daty, tak iż nie ze wszystkim mogę na nich polegać. Tak, nie mogąc

<sup>36</sup>*La Tour, Maurice Quentin de (1704–1788)* — francuski malarz portrecista, tworzący przede wszystkim dzieła pastelowe; sportretował m.in. Ludwika XV, Woltera, Rousseau, d'Alemberta, Madame Pompadour. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*Salon Paryski* — organizowana cyklicznie oficjalna wystawa sztuki, na której prezentowano publicznie prace artystów Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby; pierwszą wystawę zorganizowano po raz pierwszy w 1667 w Salon Carré w Luwrze (stąd nazwa). [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*zamach szaleńca* — zamach Damiensa na króla Ludwika XV, 4 stycznia 1757. [przypis tłumacza]

<sup>39</sup>*Syn naturalny* — dramat Diderota [*Le Fils naturel*, wyd. 1757; red. WL]. [przypis tłumacza]

oznaczyć z pewnością początku tych niesnasek, wolę raczej przedstawić w jednym ustępie wszystko, co mogę sobie przypomnieć.

Powrót wiosny podwoił me tkliwe szaleństwo; porwany miłosnym uniesieniem, ułożyłem do ostatnich części *Julii* szereg listów odbijających wiernie zachwycenie, w jakim je kreśliłem. Mogę przytoczyć między innymi list elizejski<sup>40</sup> i przejażdżkę po jeziorze, które, jeśli się nie mylę, znajdują się na końcu czwartej części. Ktokolwiek, czytając te dwa listy, nie czuje jak mu serce topnieje i mięknie w rozczuleniu, które mi je podyktowało, winien zamknąć książkę: nie jest mu dane sądzić o rzeczach uczucia.

W tym właśnie czasie zaskoczyły mnie niespodzianie drugie odwiedziny pani d'Houdetot. W nieobecności męża, który był kapitanem jazdy, oraz kochanka, również służącego wojskowo, osiedliła się w Eaubonne, w dolinie Montmorency, gdzie najęła dość ładny domek. Stamtąd zrobiła nową wycieczkę do Pustelni. Podróż tę odbyła na koniu i po męsku. Mimo że nie lubię takich maskarad, uległem romantycznemu wrażeniu tego spotkania: tym razem, to była miłość. Ponieważ była to pierwsza i jedyna w moim życiu, następstwa jej zaś uczynią ją na zawsze pamiętną i straszliwą memu wspomnieniu, niech mi będzie wolno zapaść się nieco w szczegóły.

Hrabina d'Houdetot zbliżała się do trzydziestki. Nie była ładna; twarz naznaczona śladami ospy; płeć nie odznaczała się delikatnością; miała krótki wzrok i oczy trochę okrągłe; ale na ogół wyglądała młodo; fizjonomia jej, zarazem żywa i słodka, tchnęła pieśczołą. Miała las bujnych, czarnych, kręcących się włosów, które spadały po kostki. Kibić wiotka; we wszystkich ruchach było coś nieśmiałego i wdzięcznego zarazem. Usposobienie bardzo naturalne i miłe: wesołość, roztrzepanie i prostota kojarzyły się w nim szczęśliwie; obfitowała w czarujące koncepty, których nie szukała, a które tryskały niekiedy mimo jej woli. Posiadała wiele przyjemnych talentów, grała na klawikordzie, tańczyła, układała dość ładne wierszyki. Charakter miała wprost anielski; słodycz duszy stanowiła jego podłoże; ale jeżeli wyłączymy rozagę i siłę, można powiedzieć, iż kojarzyły się w nim wszystkie cnoty. Była zwłaszcza osobą tak pewną w obcowaniu, tak rzetelną w stosunkach, iż nawet nieprzyjaciele nie potrzebowali się przed nią ukrywać. Rozumiem przez nieprzyjaciół tych, a raczej te, które ją nienawidziły; co do niej samej bowiem, serce jej nie było zdolne do nienawiści i sądzę, że ta właściwość znacznie przyczyniła się do zbudzenia we mnie uczuć dla niej. W najbardziej poufnych i przyjaznych zwierzeniach nigdy nie słyszałem, aby mówiła źle o nieobecnych, nawet o bratowej. Nie umiała przed nikim ani ukryć swych myśli, ani nawet powściągnąć żadnego uczucia: jestem przekonany, że mówiła o swoim kochanku nawet mężowi, tak jak mówiła o nim przyjaciółom, znajomym, całemu światu. Czystości i uczciwości jej wybornej natury dowodzi wreszcie nieodparcie to, iż straszliwie roztrzepana, strzelając najpocieszniejsze bąki, nieraz pozwalała wymknąć się z ust rzeczom bardzo nierozważnym dla niej samej, ale nigdy zelżywym dla innych.

Wydano ją za mąż bardzo wcześnie i bez jej woli, za hrabiego d'Houdetot, przyzwolonego człowieka, dobrego żołnierza, ale gracza, procesowicza, dość przykrego w pożyciu i którego nigdy nie kochała. Znalazła w panu de Saint-Lambert<sup>41</sup> wszystkie walory, jakie posiadał jej mąż, obok bardziej ujmujących przymiotów: dowcipu, charakteru, talentów. Jeśli coś w ogóle zdolne jest zyskać pobłażliwość obyczajom naszej epoki, to z pewnością przywiązanie oczyszczone swą trwałością, uszlachetnione formą i ugruntowane jedynie na wzajemnym szacunku.

Pani d'Houdetot odwiedzała mnie, jak mogłem mniemać, trochę z upodobania, ale głównie przez wzgląd na Saint-Lamberta. Zachęcał ją do tego, rozumiejąc słusznie, iż przyjaźń, rozwijająca się między nami, wytworzy stosunki przyjemne dla wszystkich trojga. Pani d'Houdetot wiedziała, iż związek jej nie jest dla mnie tajemnicą; za czym, mogąc mówić swobodnie, tym bardziej czuła się dobrze w moim towarzystwie. Przybyła; ujrzałem ją; byłem pijany miłością bez przedmiotu; pijaństwo to urzekło moje oczy, przedmiot ten

Miłość

<sup>40</sup>list elizejski — list XI części IV *Nowej Heloizy*, z opisem przechadzki po ogrodzie nazwanym Elizjum, od miejsca pośmiertnej szczęśliwości i wiecznej wiosny w krainie zmarłych w mit. greckiej. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Saint-Lambert, [Jean François de] (1716–1803) — w chwili wydarzeń w Pustelni liczył lat 41. Z rodziny szlacheckiej ale ubogiej, poświęcił się karierze wojskowej, uprawiając przy tym poezję. Pierwszym jego tytułem literackim była głośna przygoda miłosna z przyjaciółką Woltera, margrabiną du Châtelet, w której następstwie margrabina zmarła w połogu. Jako poeta zimny i suchy, jako człowiek więcej szanowany niż lubiany. Należał do grupy encyklopedystów; napisał rodzaj świeckiego katechizmu odbijającego poglądy „sensualistyczne” Helwecjusza i Holbacha. Związek jego z panią d'Houdetot trwał do końca jego życia. [przypis tłumacza]

ucieleśnił się w niej. Ujrzałem mą Julię w pani d'Houdetot, a niebawem widziałem już tylko panią d'Houdetot, ale przybraną we wszystkie doskonałości, którymi ozdobiłem bóstwo swego serca. Aby mnie dobić, zaczęła mówić ze mną o Saint-Lambertcie, i to z całym zapalem namiętności. Zaraźliwa siła miłości! Słuchając jej, będąc w jej pobliżu, czułem przebiegające mnie rozkoszne drżenie, jakiego nie doświadczyłem jeszcze. W miarę jak mówiła, ogarniało mnie wzruszenie; sądziłem, iż biorę udział jedynie w jej uczuciach, podczas gdy to ja sam zaczynałem doświadczać podobnych; pochłaniałem wielkimi łykami zatrutą czarę, czując wówczas jedynie jej słodycz. W końcu, bez swojej i mojej wiedzy, obudziła we mnie wszystko to, co starała się odmalować, mówiąc o swym kochanku. Niestety! Jakże to było niewczesne, jak okrutne zapłonąć równie gorącą jak nieszczęśliwą namiętnością do kobiety, której serce przepelnione było innym!

Mimo nadzwyczajnych wzruszeń, jakich doświadczałem w jej pobliżu, nie miałem zrazu świadomości tego, co się stało; dopiero po jej odjeździe, chcąc myśleć o Julii, spostrzegłem, iż mogę myśleć jedynie o pani d'Houdetot. Wówczas spadła mi huska z oczu: uczułem swoje nieszczęście, jęknąłem pod nim, ale nie przewidywałem jego skutków.

Długi czas wahałem się co do sposobu, w jaki mam się zachować: jak gdyby prawdziwa miłość była zdolna trzymać się jakichkolwiek postanowień i rozważań! Nie uporałem się jeszcze z tym problemem, kiedy pani d'Houdetot znów zaskoczyła mnie znienacka. Wówczas wiedziałem już wszystko. Wstyd, towarzysz występku, uczynił mnie wobec niej niemym i drżącym; nie śmiałem otworzyć ust ani podnieść oczu; trwałem cały czas w nieopisanym pomieszaniu, tak iż niepodobna było, aby nie spostrzegła się na tym. Obrąłem tę drogę, iż przyznałem się do swego stanu, pozwalając domyślić się przyczyny: to znaczyło nazwać ją dość jasno!

Gdybym był młody i powabny i gdyby, w następstwie, pani d'Houdetot okazała się słabą, potępiłbym tutaj jej zachowanie; ale to wszystko nie miało miejsca, mogę tedy jedynie przyklasnąć jej i podziwiać ją. Postanowienie, które obrała, było zarazem szlachetne i roztropne. Nie mogła nagle odsunąć się ode mnie bez wyjawienia przyczyny Saint-Lambertowi, który sam nakłonił ją do tych odwiedzin; to by znaczyło narażać dwóch przyjaciół na zerwanie, może na zatarg, którego chciała uniknąć. Miała dla mnie szacunek i życzliwość. Szaleństwo moje obudziło w niej współczucie; nie schlebując mu, użaliła się nad nim i starała się mnie zeń uleczyć. Pragnęła szczerze zachować swemu kochankowi i sobie przyjaciela, którego cenila; o niczym nie mówiła mi z takim zapalem, jak o miłym i serdecznym stosunku, który mógłby się wytworzyć między nami trojgiem, skoro przyjdę do rozsądku. Nie zawsze zresztą ograniczała się do tych przyjacielskich napomnień; w potrzebie nie szczędziła mi i surowszych wymówek, na które bardzo zasłużyłem.

Nie szczędziłem ich również sam sobie. Skoro tylko zostałem sam, opamiętałem się; uczułem się spokojniejszy po wyznaniu: miłość wiadoma osobie, która ją budzi, staje się tym samym znośniejszą. Siła, z jaką wyrzucałem sobie me szaleństwo, winna mnie była zeń uleczyć, gdyby to było możliwe. Jakichż potężnych pobudek nie wzywałem na pomoc, aby je zdławić! Moje obyczaje, uczucia, zasady, wstyd, zdrada, zbrodnia, nadużycie skarbu powierzonego przez przyjaźń, śmieszność wreszcie, jaką było płonąć, w moim wieku, najszałamą namiętnością dla osoby, której serce, zajęte kim innym, nie mogło mi w niczym odpłacić ani też zostawić żadnej nadziei; co więcej, namiętnością, która nie tylko nie mogła nic zyskać przez wytrwanie, ale stawała się z każdym dniem trudniejszą do ścierpienia!

Kto by uwierzył, że ten ostatni wzgląd, który powinien był dodać wagi wszystkim innym, raczej przyczynił się właśnie do usunięcia ich na bok? Cóż za skrupuł, pomyślałem, może mi bronić szaleństwa najszkodliwszego jedynie mnie samemu? Czyż jestem młodym rycerzem, tak bardzo niebezpiecznym dla pani d'Houdetot? Nie powiedziałby kto, słysząc moje pretensjonalne lamenty, że moje zaloty, powierzchowność, elegancja mogą jej zawrócić w głowie? Ech, biedny Janie Jakubie, kochajże się ze spokojnym sumieniem, ile masz ochotę, i nie lękaj się, aby twe westchnienia miały w czym grozić Saint-Lambertowi!

Czytelnik widział, że nigdy, nawet za młodu, nie byłem skłonny do zarozumiałości. Ten sposób myślenia leżał więc w mojej naturze, a zarazem sprzyjał mej namiętności; to było dosyć, abym mu się poddał bez zastrzeżeń. Zacząłem się wręcz śmiać z niedorzecznych skrupułów, które sobie czyniłem, więcej z próżności (powiedziałem sobie) niż z rozsądku.

Wielka nauka dla uczciwych dusz, do których występki nie szturmują nigdy wprost, ale znajduje sposób, aby je podejść, maskując się zawsze sofizmatem, a nieraz jakąś cnotą.

Pozbywszy się wyrzutów, niebawem straciłem świadomość wszelkiej miary. Proszę, niech czytelnik zechce zwrócić uwagę, w jaki sposób namiętność moja szła po linii mej natury, aby mnie wreszcie wciągnąć w przepaść. Zrazu przybrała wygląd pokorny, aby mnie uspokoić; aby zaś popchnąć mnie do śmielszych zakusów, spotęgowała tę pokorę aż do nieufności. Pani d'Houdetot, nie przestając mnie przywoływać do obowiązku, do rozsądku, nie schlebując ani na chwilę memu szaleństwu, obchodziła się ze mną poza tym bardzo łaskawie i przybrała ton najtkliwszej przyjaźni. Uczucie to byłoby mi starczyło, ręczę, gdybym wierzył w jego szczerość; ale znajdując przyjaźń tę zbyt czułą, aby miała być prawdziwą, wpakowałem sobie w głowę, że miłość moja, tak mało odpowiednia memu wiekowi, memu sposobowi życia, zozydzała mnie w oczach pani d'Houdetot; że ta młoda swawolnica pragnie jedynie natrząsać się ze mnie i z mych spóźnionych roztkliwień; że opowiedziała wszystko Saint-Lambertowi i że wraz z kochankiem, oburzonym mym wiarołomstwem, porozumieli się, aby mi do reszty zawrócić głowę, a potem mnie wyszydzić. To głupstwo, które w dwudziestu sześciu latach kazało mi się zachować najniedorzeczniej w świecie wobec pani de Larnage, osoby prawie nieznaomej, byłoby do wybaczenia w czterdziestym piątym wobec pani d'Houdetot, gdybym nie wiedział, że i ona, i jej kochanek byli oboje zbyt godnymi ludźmi, aby sobie pozwolić na tak barbarzyńską zabawę.

Pani d'Houdetot nadal wpadała do mnie z odwiedzinami, które niebawem zacząłem odwzajemniać. Lubiała chodzić, zarówno jak ja: odbywaliśmy długie przechadzki w zaczarowane krainy. Szczęśliwy, że kocham i że śmiem mówić o tym, byłbym całą duszą oddawał się słodyczom mego stanu, gdyby szaleństwo moje nie niweczyło jego uroku. Pani d'Houdetot nie rozumiała zrazu dzikich humorów, z jakimi przyjmowałem jej serdeczności: ale moje serce, niezdolne nigdy ukryć tego, co się w nim dzieje, niedługo zostawiło ją w nieświadomości mych podejrzeń. Zrazu chciała obrócić je w żart — na próżno: wywołała tym, co najwyżej, nowe wybuchy wściekłości. Zmieniła ton. Nieznuzona w swej współczującej słodyczy, obsypywała mnie wymówkami, które przejęły mnie do głębi. Urojone moje obawy obudziły w niej niepokój, którego rychło zdołałem nadużyć. Domagałem się dowodów, że nie drwi sobie ze mnie. Spostrzegła, iż nie ma innego sposobu, aby mnie upewnić. Stałem się natarczywszy; położenie zaczęło być trudne. Zdumiewające, wyjątkowe może jest, iż kobieta, która raz dopuściła tego rodzaju targów, wywinęła się z nich tak tanim kosztem. Nie odmówiła mi niczego, czego może udzielić najtkliwsza przyjaźń. Nie użyła niczego, co by mogło stanowić niewierność z jej strony; musiałem ku swemu upokorzeniu patrzeć, jak płomień, którym lekkie jej fawory rozpały moje zmysły, w niej samej nie rozniecił nigdy najłżejszej iskierki.

Rzekłem gdzieś, iż nie trzeba niczego udzielać zmysłom, skoro się zamierza odmówić im czegokolwiek. Aby dać poznać, jak bardzo ta zasada okazała się fałszywą z panią d'Houdetot i jak bardzo miała ona słuszność, polegając na samej sobie, trzeba by wejść w szczegóły naszych długich i częstych sam na sam; trzeba by je odtworzyć w całej ich żywości, przez czas tych czterech miesięcy, które spędziliśmy razem w zbliżeniu niemal bez przykładu! Ach, jeżeli tak długo zapóźniłem się z poznaniem prawdziwej miłości, jakże drogo serce me i zmysły spłaciły tę zwłokę! Jakichż upojeń, uniesień musi się doświadczyć obok przedmiotu kochanego z wzajemnością, jeżeli nawet niepodzielana miłość może obudzić to wszystko, co ja wówczas przechodziłem!

Ale niesłusznie mówię „miłość niepodzielana”; ukochana moja podzielała ją; miłość była równa z obu stron, mimo iż nie wzajemna. Byliśmy oboje pijani miłością: ona dla swego kochanka, ja dla niej; nasze westchnienia, rozkoszne łyż zlewały się razem. Byliśmy wzajem dla siebie parą tkliwych powierników, uczucia nasze były tak pokrewne, iż niepodobna było, aby się nie schodziły poniekąd. Wszelako w samej pełni tego niebezpiecznego odurzenia ona nie zapominała się ani na chwilę; ja zaś zaklinam się, przysięgam, iż jeżeli, oszaleniony<sup>42</sup> niekiedy zmysłami, kusilem się, aby ją uczynić niewierną, nigdy tego naprawdę nie pragnąłem. Gwałtowność mej namiętności powściągała ją własną swą mocą. Obowiązek wyrzeczenia się nastroił mą duszę na wysoki ton. Blask wszystkich cnot

Miłość, Pożądanie

<sup>42</sup>oszaleniony — doprowadzony do szaleństwa. [przypis edytorski]

zdobił w mych oczach bóstwo mego serca; skaląc jego boski obraz znaczyło unicestwić je. Byłbym mógł popełnić zbrodnię; popełniłem ją po sto razy w sercu; ale pokalać mą Zofię! Ach, czyż to było możliwe? Nie, nie; powiedziałem jej to sam sto razy, że gdyby nawet własna jej wola uczyniła mnie panem jej losu, wówczas nawet, poza jakimś krótkim momentem szaleństwa, odmówiłbym szczęścia za tę cenę. Zbyt ją kochałem, aby ją chcieć posiadać.

Z Pustelni do Eaubonne jest blisko mila; w czasie mych częstych bytności nieraz zdarzyło mi się tam nocować. Jednego razu, spożywszy sam na sam wieczerzę, poszliśmy się przejść po ogrodzie w bardzo piękną noc księżycową. W głębi ogrodu znajdowała się dość długa aleja: dochodziło się nią do ładnego gajku ozdobionego kaskadą, której myśl ja poddałem, a którą pani d'Houdetot kazała wykonać. Nieśmiertelne wspomnienie niewinności i rozkoszy! W tym to gajku, siedząc z nią na darniowej ławce pod akacją osypaną kwieciami, znalazłem dla oddania wzruszeń mego serca w istocie godny język. Było to pierwszy i ostatni raz w życiu; ale byłem wzniosły, jeżeli można tak nazwać wszystko, co najtkliwsza i najgorętsza miłość może zrodzić lubego i porywającego w sercu człowieka. Ileż upajających łez wylałem na jej kolana! Ileż wycisnąłem ich z jej oczu, mimo jej woli! Wreszcie, nie panując już nad sobą, wykrzyknęła: „Nie, nigdy żaden człowiek nie był godniejszy miłości i nigdy kochanek nie kochał tkliwiej od ciebie! Ale przyjaciel twój, Saint-Lambert, słucha nas, a moje serce nie umiałoby pokochać dwa razy”. Umilkłem, wdychając; uściskałem ją... Cóż za uścisk! Ale to było wszystko. Mijało pół roku, jak żyła sama, to jest z dala od kochanka i od męża; upływały trzy miesiące, jak widywałem ją co dzień, a zawsze dech miłości unosił się pośród nas. Wieczeraliśmy we dwoje, byliśmy sami w gajku przy świetle księżycy i po dwóch godzinach rozmowy pełnej najżywszych i najczulszych uniesień wyszła o północy z tego gaju i z ramion przyjaciela równie nietknięta, równie czysta sercem i ciałem, jak weszła. Czytelnicy, zważcie wszystkie te okoliczności; nie dodam nic więcej.

I niech nikt sobie nie wyobraża, że zmysły zostawiały mnie przy niej w spokoju, jak przy Teresie, mamusi. Powiedziałem już, tym razem była to miłość, i to miłość w całym jej napięciu i szaleństwie. Nie będę opisywał wzruszeń, drżenia, palpacji, konwulsyjnych skurczów ani omdleń serca, jakich doświadczałem nieustannie: można sądzić o moim stanie z wrażenia, jakie sam jej obraz czynił na mnie. Wspominałem, iż z Pustelni do Eaubonne był spory kawałek drogi; szedłem zazwyczaj przez wzgórza Andilly, które są urocze. Idąc, marzyłem o tej, którą miałem ujrzeć, o serdecznym powitaniu, które mi zgotuje, o pocałunku, który mnie czeka za przybyciem. Sam ten pocałunek, ten złowrogi pocałunek, nim go nawet otrzymałem, rozpałał mi krew do tego stopnia, iż w głowie mi się mąciło, ćmiło w oczach, drżące kolana nie mogły mnie utrzymać; trzeba mi było zatrzymać się, usiąść; cały organizm znajdował się w niepojętym zamęcie; bliski byłem omdlenia. Świadom już niebezpieczeństwa, starałem się, ruszając w drogę, oderwać się, myśleć o czym innym. Jeszcze nie uszedłem dwudziestu kroków, kiedy też same objawy i wszystkie objawy, które były ich następstwem, oblegały mnie na nowo, bez możliwości obrony; co bądź siłłem się począć, nie sądzę, aby bodaj raz zdarzyło mi się odbyć tę drogę bezkarnie. Przybywałem do Eaubonne słaby, wyczerpany, złamany, ledwie wlokąc się na nogach. Z chwilą gdy ją ujrzałem, natychmiast odzyskiwałem siły, czułem już przy niej jedynie utrapienie niewyczerpanej, a zawsze beużytecznej żywotności. Po drodze, niezbyt daleko od Eaubonne, znajdowało się powabne wzgórze zwane Olimpem; czasem, wyszedłszy każde ze swej strony, spotykaliśmy się w tym punkcie. Przybywałem pierwszy; moją rzeczą było oczekiwać jej: ale jakże to oczekiwanie kosztowało mnie drogo! Aby się rozerwać, próbowałem kreślić ołówkiem listy, które mógłbym pisać najczystsza krwią; nigdy nie zdołałem dokończyć paru stronic, które by się dało odczytać. Kiedy znajdowała je w dziupli, którąśmy obrali w tym celu, mogła jedynie wyczytać z nich stan, istotnie opłakany, w jakim znajdowałem się, pisząc. Stan ten, a zwłaszcza jego trwanie w ciągu trzech miesięcy nieustannego podrażnienia i wyrzeczeń, doprowadził mnie do wyczerpania, z którego nie zdołałem się podnieść przez lata całe. On to sprowadził mi w końcu przepuklinę, którą uniosę albo która mnie uniesie do grobu. Takim było jedynie nasycenie miłosne człowieka o najbardziej płomiennym, ale zarazem najbardziej nieśmiałym temperamencie, jaki kiedykolwiek stworzyła natura. Takie były ostatnie piękne dni,



jakich użyczono mi na ziemi: tu zaczyna się długie pasmo nieszczęść, w których niewiele zdarzy się chwil wytchnienia.

Czytelnik widział w całym biegu mego życia, że moje serce, przejrzyste jak kryształ, nie umiało nigdy, ani na minutę, ukryć żywszego uczucia, które w nim zagościło. Można osądzić, czy było mi długo możebne ukrywać miłość do pani d'Houdetot. Zażyłość nasza była w oczy; nie kryliśmy się z nią ani nie czynili tajemnicy. Nie była tej natury, aby wymagała takich ostrożności. Pani d'Houdetot miała dla mnie najtkliwszą przyjaźń, której nie poczytywała sobie za występki; ja miałem dla niej szacunek, o którym lepiej niż ktokolwiek wiedziałem, jak bardzo jest usprawiedliwiony. Ona była żywa, roztrzepana, nieuważna; ja — szczerzy, niezręczny, dumny, niecierpliwy, porywczy; dawaliśmy tedy, w naszym niebezpiecznym spokoju sumienia, więcej pozorów przeciw sobie, niż gdybyśmy byli w istocie winni. Bywaliśmy często w Chevrette, spotykaliśmy się tam nieraz, niekiedy nawet z umowy. Spędzaliśmy tam czas jak zazwyczaj, przechadzając się całe dni sam na sam, mówiąc o naszej zobopólnej miłości, o naszych obowiązkach, o nieobecnych przyjaciół, o naszych niewinnych projektach; wszystko to w parku, naprzeciw apartamentów pani d'Epinay, pod jej oknami, skąd, nie przestając nas śledzić i sądząc, iż czynimy sobie z niej urągawisko, napawała serce swoje wściekłością i oburzeniem.

Kobiety posiadają wszystkie sztukę skrywania swej wściekłości, zwłaszcza jeśli jest bardzo żywa; pani d'Epinay zwłaszcza, gwałtowna, ale panująca nad sobą, ma tę umiejętność w wysokim stopniu. Udała, iż nic nie widzi, niczego nie podejrzewa; tym bardziej rozwijała dla mnie względy, uprzejmość, niemal zalotność; równocześnie zaś jawnie przyniatała swą szwagierkę obejściem wprost niegrzecznym i nacechowanym wzdargą, której, zdawałoby się, pragnęła i mnie udzielić. Można odgadnąć, że się jej to nie udawało; ale przechodziłem mękę. Rozdzierany sprzecznymi uczuciami, równocześnie niemal to czułem się ujęty serdecznością pani d'Epinay, to znów ledwie mogłem wstrzymać gniew, kiedy widziałem, jak uchyla pani d'Houdetot. Anielska słodycz tej ostatniej pozwalała jej wszystko ścierpieć bez skargi, a nawet bez zbytniego żalu. Była zresztą często tak roz-targniona, a zawsze tak mało wrażliwa na te rzeczy, że po największej części nie zwracała uwagi na postępowanie bratowej.

Byłem tak pochłonięty swą namiętnością, iż nie widząc nic poza Zofią (było to imię pani d'Houdetot), nie zauważyłem nawet, że stałem się bajką wszystkich domowych i gości. Baron d'Holbach, który nigdy, o ile mi wiadomo, nie bywał w Chevrette, był z liczby tych ostatnich. Gdybym był równie nieufny, jak stałem się później, byłbym silnie podejrzewał panią d'Epinay, iż ułożyła tę podróż, aby dostarczyć baronowi uciśniej rozrywki, pokazując mu „obywatela” zakochanym. Ale byłem wówczas tak głupi, iż nie widziałem nawet tego, co biło wszystkich w oczy. Cała moja naiwność nie przeszkodziła mi wszelako zauważyć, iż baron wydawał się bardziej zadowolony, bardziej jowialny niż zazwyczaj. Zamiast patrzeć na mnie spoje łba jak zwykle, zasypywał mnie mnóstwem uszczypków i konceptów, których nie rozumiałem. Otwierałem szeroko oczy, nie odpowiadając; pani d'Epinay trzymała się za boki od śmiechu; nie rozumiałem, co ich ukąsiło. Ponieważ wszystko to nie przekraczało jeszcze granic żartu, jedyną drogą dla mnie, nawet gdybym się spostrzegł, byłoby wziąć go, na wesoło, za dobrą monetę. Ale faktem jest, iż poprzez drwiącą wesołość barona widać było błyszczącą w jego oczach złośliwą radość, która byłaby mnie może zaniepokoiła, gdybym ją zauważył wówczas równie wyraźnie, jak sobie przypomniałem później.

Jednego dnia, kiedy szedłem odwiedzić panią d'Houdetot do Eaubonne (wróciła właśnie z wycieczki do Paryża), zastałem ją smutną, widziałem, że płakała. Byłem zmuszony powściągać się, ponieważ pani de Blainville, siostra jej męża, była z nami, ale skoro tylko znalazłem sposobną chwilę, wyraziłem swój niepokój. „Ach! — rzekła z westchnieniem. — Obawiam się, że pańskie szaleństwa przyjdzie mi zapłacić spokojem życia. Powiadomiono Saint-Lamberta o wszystkim, i to w złośliwy sposób. Uznaje mą niewinność w tej sprawie, ale jest nierad i co gorsza nie wszystko mi mówi. Szczęściem nie ukrywałam mu naszej zażyłości, która zadzierzgnęła się z jego poręki. Listy moje były pełne pana, równie jak serce; nie tałam mu pańskiej szaleńczej miłości, z której spodziewałam się pana uleczyć, a którą, nie mówiąc tego wprost, widzę, iż ma mi za złe. Obmówiono nas przed nim, oczerniono mnie; ale mniejsza. Albo zerwijmy zupełnie, albo bądź pan takim, jak należy. Nie chcę już mieć nic do skrywania przed człowiekiem, którego kocham”.

Oto chwila, w której po raz pierwszy boleśnie odczułem wstyd swego upokorzenia, poczucie własnej winy wobec młodej kobiety, której słuszne wymówki znosiłem, a której winieniem był być mentorem. Oburzenie moje na samego siebie byłoby może starczyło, aby zwyciężyć mą słabość, gdyby tkliwe współczucie, jakie budziła we mnie niewinna jej ofiara, nie zmiękczyło tym bardziej jeszcze mego serca. Ach! Zali<sup>43</sup> mogłem zatwardzić je w tej chwili, kiedy zraszały je lzy, wnikające w nie do głębi? Roztkliwienie zmieniło się niebawem w gniew przeciw podłym donosicielom, którzy widzieli jedynie winę występnego, lecz mimowolnego uczucia, nie przypuszczając, nie wyobrażając sobie nawet szczerzej uczciwości serca, będącej jej odkupieniem. Niedługo pozostaliśmy w wątpliwości co do ręki, z której pochodził cios.

Wiedzieliśmy oboje, że pani d'Epinau koresponduje z Saint-Lambertem. Nie była to pierwsza burza, jaką ściągnęła na panią d'Houdetot; od dawna już wszelkimi sposobami próbowała oderwać od niej Saint-Lamberta, a powodzenie niektórych jej usiłowań pozwalało drzeć o przyszłość. Zresztą, Grimm, który, o ile mi się zdaje, podążył za panem de Castries do armii, bawił, podobnie jak Saint-Lambert, w Westfalii; widywali się niekiedy. Grimm pozwolił sobie swego czasu wobec pani d'Houdetot na pewne zakusy, które się nie powiodły; urażony, przestał zupełnie u niej bywać. Można osądzić, jakim uczuciem, przy znanej jego skromności, napęliło go przypuszczenie, iż osoba ta przełożyła nadeń człowieka starszego, o którym on, od czasu jak żył w wielkim świecie, odzywał się jedynie tonem protektora.

Podejrzenia moje co do pani d'Epinau zmieniły się w pewność, skoro dowiedziałem się, co zaszło u mnie w domu. Ilekroć bawiłem w Chevrette, Teresa zachodziła tam często, bądź celem oddania mi listów, bądź też dla starań, jakich wymagał lichy stan mego zdrowia. Pani d'Epinau spytała jej, czy nie koresponduje z panią d'Houdetot. Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, pani d'Epinau zaczęła nalegać na Teresę, aby w danym razie oddała jej do rąk listy pani d'Houdetot, ręcząc, iż zapieczętuje je z powrotem bez śladu. Teresa, nie okazując, jak bardzo ją oburzyła ta propozycja i nie ostrzegając mnie nawet, poprzestała na tym, iż starannie ukrywała listy, które mi przynosiła. Ostrożność ta była nader szczęśliwa, ponieważ pani d'Epinau kazała śledzić chwilę jej przybycia i, czekając na drodze, posunęła niejednokrotnie śmiałość aż do tego, iż przetrząsała fartuszek Teresy. Uczyniła więc: zapowiedziawszy się jednego dnia z panem de Margency do Pustelni na obiad (pierwszy raz od czasu, jak tam mieszkałem), skorzystała z czasu, kiedy przechadzałem się z Margency, aby wejść wraz z Teresą i jej matką do mego gabinetu i nalegać, aby jej pokazały listy pani d'Houdetot. Gdyby matka wiedziała, gdzie są listy, wydałaby je z pewnością; ale na szczęście wiedziała o tym jedynie córka i zaprzeczyła, abym je w ogóle przechowywał. W tym wypadku, kłamstwo było niewątpliwie czynem pełnym uczciwości, szlachetności i wiary, podczas gdy prawda byłaby prostą zdradą. Pani d'Epinau, widząc, iż nie zdoła Teresy skusić, siła się podrażnić ją zazdrością, wymawiając jej słabość i zaślepienie. „W jaki sposób — rzekła — możesz nie widzieć, iż mają z sobą występne stosunki? Jeżeli mimo bijących w oczy faktów potrzebujesz jeszcze innych dowodów, zgódź się na to, co ci mówię. Powiadasz, że on drze listy pani d'Houdetot natychmiast po przeczytaniu. Dobrze więc! Zbierz starannie kawałki i daj mi. Podejmuję się je złożyć”. Oto nauki, jakie moja przyjaciółka dawała mojej towarzysze życia.

Teresa była na tyle delikatna, iż dość długo ukrywała przede mną wszystkie te usiłowania; ale widząc moją zgryzotę, czuła się w obowiązku powiedzieć mi wszystko, iżbym, wiedząc z kim mam do czynienia, uczynił, co należy dla zabezpieczenia się od zrad, jakie mi gotowano. Nie da się opisać mego oburzenia i wściekłości. Zamiast maskować się wobec pani d'Epinau, jej wzorem, i walczyć z nią na podstępny, poddałem się bez hamulca wrodzonej porywczosci; ze zwykłą nieopatrznością, wybuchnąłem jawnie. Można sądzić o mej nierozwadze z następujących listów, które wykazują jasno sposób postępowania obu stron w całej sprawie.

*Bilecik pani d'Epinau (plik A, nr 44)*

Czemu nie pokazujesz się, drogi przyjacielu? Jestem niespokojna o Pana. Tak mnie zapewniałeś, iż tylko zajrzysz do Pustelni i wrócisz natychmiast! Na to zapewnienie zwolniłam Pana; i oto, po wszystkich zakłękach, tydzień

<sup>43</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

nie dajesz znaku życia. Gdybym nie miała wiadomości, że jesteś w dobrym zdrowiu, myślałabym, że Pan chory. Spodziewałam się Pana przedwczoraj i wczoraj; dotąd Cię nie ma. Mój Boże! Co się z Panem dzieje? Nie masz Pan pilnych spraw; nie masz również i zmartwień, pochlebiam sobie bowiem, iż przybyłbyś natychmiast mi je zwierzyć. Jesteś więc chory! Wyrwij mnie Pan, proszę, z niepokoju, wierzaj mi, bardzo żywego. Bądź zdrow, drogi przyjacielu; niech to pozdrowienie ściągnie mi w zamian rychłą wiadomość o Tobie.

*Odpowiedź*

List

*Środa rano*

Nie mogę dać jeszcze żadnej odpowiedzi. Czekam, aż rzecz się rozjaśni, co musi przyjść prędzej lub później. Nim to nastąpi, bądź Pani pewna, że oczerniona niewinność znajdzie obrońcę dość żarliwego, aby potwarz, skądkolwiek by pochodziła, musiała pożałować swego uczynku.

*Drugi list pani d'Epina (plik A, nr 45)*

List

Wie Pan, że Pański list mnie przeraża? Co to wszystko znaczy? Odczytałam go więcej niż dwadzieścia pięć razy. Doprawdy, nic nie rozumiem. Widzę tylko, że jest Pan niespokojny i udręczony i że czekasz, aż to minie, aby pomówić ze mną. Mój drogi przyjacielu, czy taka była nasza umowa? Cóż się stało z przyjaźnią, zaufaniem? W jakiż sposób je straciłam? Czy na mnie, czy o mnie jesteś zagniewany? Jak bądź się rzeczy mają, przyjdź Pan jeszcze dziś wieczór, zaklinam. Pamiętaj, że przyrzekłeś mi, nie ma tygodnia jeszcze, nic nie chować na sercu i zwierzać mi się ze wszystkim. Mój drogi przyjacielu, ja żyję w tej ufności... Ot, jeszcze raz odczytałam Twój list: nie pojmuję go, jak i wprzódy, ale o dreszcz mnie przyprawia. Zdaje mi się, że jesteś w okrutnym podnieceniu. Chciałabym Cię uspokoić; ale ponieważ nie znam przedmiotu, nie wiem, co powiedzieć, chyba tylko, że czuję się równie nieszczęśliwa jak Pan, aż do chwili, w której Cię ujrzę. Jeżeli nie pokaże się Pan do szóstej wieczór, jadę jutro do Pustelni bez względu na pogodę i na stan mego zdrowia; nie umiałabym wyżyć w tym niepokoju. Do widzenia, drogi, dobry przyjacielu. Na wszelki wypadek ważę się Panu powiedzieć, nie wiedząc, czy tego potrzebujesz czy nie, abyś starał się uważać na siebie i panować nad podnieceniem, które wyobraźnia sprowadza pod wpływem samotności. Mucha staje się potworem; często tego doświadczyłam.

*Odpowiedź*

List

*Środa wieczór*

Nie mogę Pani odwiedzić ani przyjąć odwiedzin, póki będzie trwał stan mego niepokoju. Zaufanie, o którym Pani mówi, uleciało i nielatwo je będzie odzyskać. W naleganiu Pani widzę obecnie jedynie chęć wydobywania z cudzych wyznań jakiejś korzyści odpowiadającej Pani widokom; serce zaś moje, tak skłonne do wylania wobec serca otwartego na jego przyjęcie, zamyka się przed podstępem i chytryością. Poznaję Pani zwykły spryt w rzekomej trudności, z jaką przychodzi Ci zrozumieć mój bilecik. Czy ma mnie Pani za tak naiwnego, abym uwierzył, że go nie rozumiałaś? Nie; ale potrafię pokonać Pani wykręty siłą mej szczeroci. Wytłumaczę się jaśniej, aby się stać dla Pani jeszcze trudniejszym do zrozumienia.

Dwoje kochanków, związanych tkliwym węzłem i godnych kochać się wzajem, posiada moje serce. Domyślam się, iż nie będzie Pani wiedziała, o kim mówię, chyba że nazwę ich po imieniu. Mam powody mniemać, iż próbowano zasiać między nimi niezgodę i że posłużono się mą osobą, aby obudzić zazdrość w sercu jednego z nich. Wybór nie jest dość zręczny, ale

zdawał się wygodny osobie na tyle złośliwej, a o tę złośliwość posądzam Panią. Mam nadzieję, że to już bardziej jasne.

Tak więc kobieta, którą najwyżej na świecie považam, miałaby świadomie popełnić to bezceństwo, aby dzielić swoje serce i osobę między dwóch kochanków, a ja miałbym być jednym z tych nikczemników? Gdybym wiedział, że przez jedną chwilę mogłaś tak myśleć o niej i o mnie, znienawidziłbym Panią do śmierci. Ale uważam Panią za zdolną mówić tak, nie myśleć. Nie rozumiem w takim wypadku, któremu z trojga chciałaś Pani zaszkodzić; ale jeżeli cenisz Pani spokój, drżysz przed tym, czym Ci grozi powodzenie tego zamiaru. Nie ukrywałem ani przed Panią, ani przed tamtą osobą, jak bardzo pewne związki naganne są w mych oczach; ale godzę się wreszcie, aby się kończyły uczuciem równie szlachetnym jak jego źródło i aby nieprawa miłość mieniła się w wiekuiętą przyjaźń. Ja, który nigdy nie wyrządziłem nic złego nikomu, miałbym niewinnie służyć za narzędzie przeciw tym, którzy mi są drodzy? Nie, nie przebaczyłbym Pani tego nigdy, stałbym się twym najnieubłagańszym wrogiem. Jedynie Pani tajemnice mogą być pewne poszanowania, nie będę bowiem nigdy człowiekiem bez wiary.

Nie wyobrażam sobie, aby wątpliwości moje mogły trwać zbyt długo. Niebawem dowiem się, czym<sup>44</sup> się omylił. Wówczas trzeba mi będzie może naprawić wielką krzywdę i uczynić to z taką radością, jak jeszcze nic w życiu. Ale czy wie Pani, w jaki sposób okupię swoje błędy przez ten krótki przeciąg czasu, jaki mam jeszcze pozostać w pobliżu Pani? Czyniąc to, czego nie uczyni nikt inny prócz mnie: mówiąc Pani szczerze, co o Tobie myślałem w świecie i jakie szczerby trzeba Ci naprawić w swojej reputacji. Mimo wszystkich mniemanych przyjaciół, którzy Cię otaczają, skoro mnie stracisz, możesz pożegnać się z prawdą; nie znajdziesz już nikogo, kto by Ci ją powiedział.

*Trzeci list pani d'Epinay (plik A, nr 46)*

Nie rozumiałam dzisiejszego rannego listu: tak mówiłam, ponieważ tak było. Rozumiem wieczorny; niech się Pan nie obawia, abym kiedy odpowiedziała nań; zbyt spieszo mi go zapomnieć. Mimo iż budzisz Pan we mnie litość, nie mogłam się obronić goryczy, jaką napelnił mi duszę. Ja! posługiwać się z Panem podstępem, chytrością; ja! oskarżona o najczarniejsze bezceństwo! Żegnaj mi; żałuję, że mogłaś mnie... Żegnaj: nie wiem sama, co mówię... Żegnaj: pilno mi będzie przebaczyć Panu. Przyjdiesz Pan, kiedy zechcesz! Znajdziesz przyjęcie lepsze, niżby na to zasługiwały Pańskie podejrzenia. Przestań się Pan jedynie kłopotać o moją reputację. Mało dbam, co świat o mnie myśli. Postępowanie moje jest dobre, to mi wystarcza. Poza tym nie miałam najmniejszego pojęcia, co się zdarzyło dwojgu osób, które mi są równie drogie jak Panu.

List

Ten ostatni list wydobyl mnie z okrutnego kłopotu, wtrącił natomiast w inny, bynajmniej nie lżejszy. Mimo że wszystkie te listy i odpowiedzi odbyły drogę tam i z powrotem w ciągu jednego dnia, z nadzwyczajną szybkością, czas ten wystarczył, aby ostudzić nieco me szaleństwo i dać mi się zastanowić nad ogromem nieopatrzności. Pani d'Houdetot na wszystko zaklinała mnie, abym zachował się spokojnie, abym jej zostawił troskę o załatwienie sprawy oraz abym unikał, zwłaszcza w danym momencie, wszelkich zrywań i rozgłosu; ja zaś za pomocą otwartych i okrutnych obelg do reszty dopełniłem miary wściekłości w sercu kobiety aż nadto już podrażnionej. Przyjmując naturalny bieg rzeczy, winienem był oczekiwać z jej strony odpowiedzi tak dumnej, tak wzgardliwej i lekceważącej, iż otrzymawszy ją, nie mógłbym, pod grozą skończonej nikczemności, uchylić się od natychmiastowego opuszczenia jej domu. Szczęściem pani d'Epinay, bardziej jeszcze zręczna, niż ja byłem porywczy, oszczędziła mi dzięki formie swego listu tej ostateczności. Ale trzeba było albo opuścić dom, albo pospieszyć do niej w tejsze chwili; innego wyboru

List, Klótnia

<sup>44</sup>*czym się omylił* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; znaczenie: czy się omyliłem. [przypis edytorski]

nie było. Obrabiałem to ostatnie, bardzo zakłopotany mą rolą w wyjaśnieniu, które przewidywałem. W jaki sposób bowiem wywinąć się, nie narażając ani pani d'Houdetot, ani Teresy? A biada tej, którą bym wymienił! Zemsta przebiegłej i nieubłaganej kobiety nie cofnęłaby się z pewnością przed niczym wobec tej, która by się stała jej pastwą. Dlatego to, pragnąc uprzedzić to nieszczęście, wspominałem w listach swoich jedynie o podejrzeniach, aby nie być zmuszonym przytaczać dowodów. Prawda, iż to czyniło wybuch mój jeszcze trudniejszym do usprawiedliwienia, ponieważ w żadnym wypadku proste podejrzenia nie uprawniały mnie do potraktowania kobiety, zwłaszcza przyjaciółki, tak, jak ja uczyniłem z panią d'Epinay. Ale tu zaczyna się wielkie i szlachetne zadanie, które godnie wypełniłem; błędy swoje oraz ukryte słabości odpokutowałem w ten sposób, iż wziąłem na siebie winy o wiele cięższe, do których byłem niezdolny i których nie popełniłem nigdy.

Wbrew spodziewaniu nie przyszło do sceny, której się obawiałem; skończyło się na strachu. Ujrawszy mnie, pani d'Epinay rzuciła mi się na szyję, rozpluwając się we łzach. To tak niespodziane przyjęcie, i to ze strony dawnej przyjaciółki, wzruszyło mnie niezmiernie; rozplakałem się również. Rzekłem kilka słów, nie mających wiele związku, ona również kilka, mających go jeszcze mniej, i wszystko skończyło się na tym. Dano wieczrę: siedliśmy do stołu. W oczekiwaniu wyjaśnienia, odłożonego, jak sądziłem, na po wieczery, czułem się bardzo nieswój; tak bowiem poddaję się najłżejszemu wrażeniu, które mnie zaprzęta, iż nie umiałbym go ukryć nawet najmniej przenikliwym oczom. Wygląd mój, pełen zakłopotania, musiał dodać pani d'Epinay odwagi; mimo to wołała nie kusić licha: zarówno potem, jak przedtem nie przyszło do żadnych wyjaśnień. Tak samo minął dzień następny; nasze milczące sam na sam wypełniała jedynie obojętna rozmowa lub też serdeczne wylewy z mej strony, w których, oświadczając, iż nie mogę jeszcze nic stanowczego powiedzieć na uzasadnienie podejrzeń, zaklinałem się najzupełniej szczerze, że jeśli okażą się nieuzasadnione, życie całe obrócę na naprawianie tej krzywdy. Pani d'Epinay nie objawiła najmniejszej ciekawości, aby dowiedzieć się bliżej, co to za podejrzenia ani jak mi przyszły do głowy. Całe zatem pojednanie, tak z jej strony, jak z mojej, ograniczyło się do uścisku przy pierwszym widzeniu. Ponieważ ona jedna była obrażona, przynajmniej formalnie, sądziłem, że nie do mnie należy starać się o wyjaśnienie, którego nie szukała ona sama; toteż wróciłem tak, jak przyszedłem. Żyjąc zresztą z panią d'Epinay nadal tak jak wprzód, zapomniałem niebawem prawie zupełnie tej sprzeczki i wierzyłem głupio, że ona zapomniała również, ponieważ nie zdradzała niczym, aby było inaczej.

Nie była to, jak się niebawem pokaże, jedyna zgryzota, jaką na mnie sprowadziła moja słabość; miałem i inne, nie mniej dotkliwe, do których nie dałem powodu. Źródłem ich była jedynie chęć wyrwania mnie z mej samotni<sup>45</sup>, drogą zaś do tego celu dręczenie mnie. Te utrapienia pochodziły ze strony Diderota i holbachistów. Od czasu mego osiedlenia w Pustelni Diderot nie przestał mnie tam nękać, czy to sam, czy przez Deleyra; przekonałem się niebawem, z żarcików tego ostatniego na temat mych sielankowych wycieczek, z jaką przyjemnością przedzierzgnęli pustelnika w czulego pasterza. Ale nie to stało się źródłem zatargów z Diderotem; miały one ważniejsze przyczyny. Po ogłoszeniu *Syna naturalnego* przysłał mi egzemplarz; przeczytałem go z zaciekawieniem i uwagą, jakich używa się dziełu przyjaciela. Odczytując rodzaj dialogowanej poetyki, jaką doń dołączył, zdziwiłem się, a nawet zasmuciłem, znajdując między wieloma nieprzyjemnymi, ale dającymi się strawić wycieczkami przeciw samotnikom tę twardą i gorzką sentencję, podaną bez żadnych restrykcji: „Jedynie człowiek zły żyje samotnie”<sup>46</sup>. Sentencja ta jest dwuznaczna i następcza, o ile mi się zdaje, dwa wykłady<sup>47</sup>, jeden bardzo prawdziwy, drugi bardzo fałszywy: niepodobieństwem jest, aby człowiek, który jest i chce być sam, mógł i chciał szkodzić komukolwiek, a tym samym, aby był zły.

Sentencja tedy sama przez się domagała się objaśnienia; wymagała go bardziej jeszcze ze strony autora, który, wówczas gdy ją drukował, miał przyjaciela żyjącego w samotności. Zdawało mi się rażącym i nieprzystwoitym, iż Diderot przy ogłaszaniu książki mógł albo

Samotnik

<sup>45</sup>Źródłem ich była jedynie chęć wyrwania mnie z mej samotni — to znaczy, wyrwania z niej starej, która była im potrzebna do zorganizowania spisku. Zdumiewającym jest, iż przez cały czas tej długiej burzy głupia moja łatwowierność nie pozwoliła mi zrozumieć, że to nie mnie, ale ją życzyli sobie mieć w Paryżu. [przypis autorski]

<sup>46</sup>Jedynie człowiek zły żyje samotnie — *Syn naturalny*, akt IV, scena 3. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>wykład (daw.) — wykładnia, interpretacja. [przypis edytorski]

zapomnieć o tym samotnym przyjacielu, albo też, o ile pamiętał, nie uczynił, przynajmniej ogólnikowo, chlubnego i sprawiedliwego wyjątku. Był go zresztą winien, moim zdaniem, nie tylko temu przyjacielowi, ale tylu szanownym mędrcom, którzy we wszelkich czasach szukali spokoju i ciszy w samotności i z których po raz pierwszy, odkąd świat istnieje, ośmielił się ktoś jednym pociągnięciem pióra uczynić bez różnicy samych zbrodniarzy.

Kochałem tkliwie Diderota, cenilem go szczerze i liczyłem z pełną ufnością na też same uczucia z jego strony. Ale, znękanym jego zaciekłością w wiecznym sprzeciwianiu się moim upodobaniom, skłonnościom, sposobowi życia, zwłaszcza w rzeczach, które obchodzą tylko mnie samego; zniecierpliwionym tym, iż człowiek młodszy ode mnie koniecznie sili się wodzić mnie na pasku jak dziecko; zrażony jego łatwością w przyrzekaniu a niedbałością w dotrzymywaniu; znudzony tyloma schadzkami, które naznaczył, a na które się nie stawiał, i lekkością, z jaką naznaczał znów nowe, aby znów im chybić; zmęczony tym, iż czekałem go bezużytecznie po kilka razy na miesiąc w dnię naznaczone przez niego samego i jadłem samotnie obiad wieczór, wyszedłszy naprzeciw niego aż do Saint-Denis i naczekawszy się go przez cały dzień, miałem już serce obolałe od jego wciąż ponawianych uchybień.

To ostatnie wydało mi się cięższe i dotknęło mnie tym więcej. Napisałem doń, użalając się, ale ze słodyczą i rozczuleniem, które sprawiły, iż pisząc, oblałem papier łzami; list mój był dość wzruszający, aby i jemu wzajem łzy wycisnąć. Nikt nie zgadłby odpowiedzi, którą otrzymałem: oto dosłowne jej brzmienie (plik A, nr 33):

Bardzo mi rad, iż utwór mój podobał Ci się, że Cię wzruszył. Nie dzielisz mego zdania co do pustelników; mów o nich, co Ci się spodoba, będziesz jedynym na świecie, co do którego w to uwierzę; a i tak jeszcze dużo by o tym mówić, gdyby można mówić szczerze bez urazy. Kobieta osiemdziesięcioletnia! etc. Przytoczono mi zdanie z listu syna pani d'Epina, które musiało Cię bardzo zaboląć, jeżeli dobrze znam grunt twego charakteru.

Trzeba objaśnić dwa ostatnie zdania.

W początkach mego pobytu w Pustelni, stara Le Vasseur niezbyt podobała sobie<sup>48</sup> w tym mieszkaniu, znajdując je zbyt samotnym. Utyskiwania jej doszły do mej wiadomości: ofiarowałem się odesłać ją do Paryża, jeżeli tam się czuje lepiej; opłacać jej mieszkanie i mieć o nią pieczę zupełnie tak samo, jak gdyby była jeszcze w moim domu. Odrzuciła mą ofertę, zaręczyła, że czuje się bardzo dobrze w Pustelni, że wiejskie powietrze bardzo jej służy; a widać było, że to prawda, ponieważ młodniała tu, można rzec, z każdym dniem i miała się o wiele lepiej niż w Paryżu. Teresa upewniła mnie, iż matka byłaby w gruncie bardzo zmartwiona, gdybyśmy opuścili Pustelnię, która w istocie była uroczym miejscem pobytu, zwłaszcza iż stara bardzo lubiła krzątać się koło ogrodu i owoców stanowiących jej wydział; ale że mówi to, co jej kazano, aby mnie skłonić do powrotu do Paryża.

Skoro to zawiodło, „przyjaciele” moi starali się uzyskać na drodze skrupułów to, czego nie osiągnęli, odwołując się do prostej względności. Zaczęli mi wyrzucać, iż trzymam starą kobietę z dala od pomocy, jakiej mogłaby potrzebować w swoim wieku; zapomnieli o tym, że i ona i wiele innych wiekowych osób, których dni przedłuża tameczne doskonałe powietrze, mogą w razie potrzeby mieć tę pomoc z Montmorency odległego o dwa kroki; jak gdyby starcy byli tylko w Paryżu i jakby nigdzie indziej niepodobna im było istnieć! Pani Le Vasseur, która jadła dużo i nadzwyczaj żarłocznie, podlegała wylewom żółci i silnym biegunkom; trwały niekiedy po kilka dni i służyły jej za naturalne lekarstwo. W Paryżu nie szukała żadnej pomocy i pozwałała działać naturze. Tak samo postępowała i w Pustelni, wiedząc dobrze, że to jest najlepsze, co może uczynić. To nic: dlatego że na wsi nie ma lekarzy i aptekarzy, trzymać ją tam, znaczyło chcieć jej śmierci, mimo iż miewała się jak najlepiej! Diderot winien był określić, w jakim wieku nie godzi się, pod groźbę morderstwa, pozwolić żyć starym ludziom poza rogatkami Paryża.

Było to jedno z dwóch okrutnych oskarżeń, na podstawie, których nie wyłączał mnie ze swego wyroku, iż „jedynie zły człowiek żyje samotnie”; to oznaczał jego patetyczny wykrzyknik, i owo *et caetera*<sup>49</sup>, które dodał tak łaskawie: „Kobieta osiemdziesięcioletnia! etc.”

<sup>48</sup> *podobać sobie w czymś* (daw.) — mieć w czymś upodobanie; gustować w czymś. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *et caetera* (łac.) — i tak dalej. [przypis edytorski]

Sądziłem, iż nie mogę lepiej odpowiedzieć na ten zarzut, niż odwołując się do samej Le Vasseur. Poprosiłem ją, aby po prostu wyraziła swe uczucia w liście do pani d'Epina. Aby jej dać większą swobodę, nie chciałem widzieć listu, a pokazałem jej własny, który dołączam poniżej, napisany do pani d'Epina. Chodzi w nim o odpowiedź, jaką chciałem dać Diderotowi na inny jego list, jeszcze dotkliwszy, której to odpowiedzi pani d'Epina nie pozwoliła mi wysłać.

List

#### *Czwartek*

Pani Le Vasseur ma pisać do Ciebie, droga przyjaciółko; prosiłem ją, aby oświadczyła szczerze, co myśli. Aby jej dać zupełną swobodę, powiedziałem, że nie chcę widzieć jej listu; proszę też nie mówić mi, co zawiera.

Nie wysłę mego listu, skoro Pani jest przeciwna; ale ponieważ czuję się nader ciężko obrażony, uznając tedy, iż słuszność jest po jego stronie, popełniłbym podłość i fałsz, na które nie mogę sobie pozwolić. Ewangelia każe wprawdzie temu, kto otrzyma policzek, nadstawić drugi, ale nie prosić o przebaczenie. Przypomina Pani sobie tego człowieka z komedii, który krzyczy gwałtu, okładając kijem? Oto rola filozofa<sup>50</sup>.

Niech się Pani nie ludzi, iż zdołasz go powstrzymać od przybycia wobec tej niepogody. Gniew użyczy mu czasu i sił, których nie stało przyjaźni; pierwszy to raz w życiu przybędzie w dniu, w którym się oznajmił. Zniesie wszelkie trudy, aby mi powtórzyć ustnie obelgi, jakimi mnie obrzuca; ale niech nie liczy na to, abym je zniósł cierpliwie. Wróci do Paryża odchorować to widzenie; ja zaś stanę się, jak zwykle, człowiekiem bardzo niegodziwym. Cóż robić? Trzeba cierpieć.

Ale czy nie podziwia Pani konsekwencji tego człowieka, który chciał po mnie przyjechać dorożką do Saint-Denis, zjeść tam obiad, odwiedzić mnie dorożką, a któremu w tydzień później (plik A, nr 34), „położenie majątkowe nie pozwala przybyć do »Pustelni« inaczej niż pieszo”? Nie jest absolutnie niemożliwe (aby użyć jego języka), że w obu wypadkach przemawiał w dobrej wierze; ale w takim razie w ciągu tego tygodnia musiały zajść osobliwe zmiany w stanie jego majątku.

Biorę żywy udział w zmartwieniu, o jakie Panią przyprawia choroba Jej matki; ale widzi Pani, iż przykrość Jej nie może się równać z moją. Mniej człowiek cierpi, widząc osoby, które kocha, dotknięte chorobą, niż doznając ich niesprawiedliwości i okrucieństwa.

Żegnaj mi, dobra przyjaciółko: ostatni to już raz mówię Pani o tej nieszczęsnej sprawie. Wspomina mi Pani o wycieczce do Paryża z zimną krwią, która ucieszyłaby mnie w każdej innej porze.

Napisałem Diderotowi, co uczyniłem w kwestii starej Le Vasseur, na życzenie samej pani d'Epina. Pani Le Vasseur wybrała, jak można się domyślać, pobyt w Pustelni, gdzie czuła się bardzo dobrze, gdzie miała zawsze towarzystwo i żyła sobie nader przyjemnie. Diderot, nie wiedząc już sam, co mi zarzucić, obrócił przeciw mnie tę moją względność, a zarazem nie przestawał poczytywać mi za zbrodnię pobytu pani Le Vasseur w Pustelni, mimo że sama życzyła sobie tam zostać i mimo że i wprzód, i teraz, jedynie od niej zależało wrócić do Paryża, zachowując wszelkie tytuły do pomocy z mej strony.

List

Oto wytłumaczenie pierwszego zarzutu listu Diderota, nr 33. Wytłumaczenie drugiego mieści się w jego liście nr 34. „Literat (było to żartobliwe miano nadane przez Grimma synowi pani d'Epina), Literat musiał Ci napisać, że znajduje się na wałach z jakich dwudziestu biedaków, którzy umierają z zimna i głodu, i czekają szeląga, którego im dawałeś. Oto próbka naszych rozmówek...; gdybyś słyszał resztę, tak samo by Cię zabawiła”.

List

Oto moja odpowiedź na ten straszliwy argument, z którego Diderot wydawał się tak dumny:

<sup>50</sup>Oto rola filozofa — „filozof” było przydomkiem Diderota. [przypis edytorski]

Zdaje mi się, iż odpisałem Literatowi, to znaczy synowi generalnego dzierżawcy, iż nie żałuję biedaków, których widział na wałach czekających rzekomo na mego szeląga; przypuszczam, że ich prawdopodobnie hojnie obdarował; mianuję go swoim zastępcą, przy czym żebracy paryscy nie powinni stracić na zamianie. Nie tak łatwo przyszłoby mi znaleźć zastępstwo dla biednych z Montmorency, jeszcze bardziej potrzebujących. Jest tu czcigodny starzec, który spędziwszy życie całe w pracy, niezdolny już pracować dłużej, umiera z głodu na stare lata. Sumienie moje bardziej jest rade z dwóch su, które mu dają co poniedziałek, niż ze stu funtów rozdanych wszystkim podmiejskim włóczęgom. Pocieszni doprawdy jesteście, panowie filozofowie, w tym, iż wszyscy uważacie mieszkańców miast za jedynych ludzi, wobec których ma się obowiązki. Na wsi to uczy się człowiek kochać ludzkość i służyć jej, w mieście uczy się tylko nią gardzić.

Miasto, Wieś, Pogarda

Oto osobliwe skrupuły, na podstawie których rozumny człowiek mógł być na tyle niedorzeczny, aby mi, z całą powagą, czynić zbrodnię z tego, że się usunął z Paryża i starać się własnym mym przykładem dowodzić, że nie można żyć poza stolicą, nie stając się tym samym niegodziwym człowiekiem. Nie pojmuję dziś, jak mogłem być na tyle niemądry, aby mu odpowiadać i złościć się, zamiast rozśmiać mu się w nos za całą odpowiedź. Mimo to wyroki pani d'Épinay i wrzaski Holbachowskiej kliki tak dalece narzuciły wszystkim jego sposób widzenia, iż powszechnie uważano mnie w tej sprawie za winowajcę, i nawet pani d'Houdetot, żarliwa wielbicielka Diderota, żądała, abym pojechał doń do Paryża i abym poniósł moralne koszty pojednania, które, mimo iż z mej strony bardzo szczerze i zupełnie, okazało się wszelako mało trwałym. Zwycięskim argumentem, którym pokonała me serce, było to, że w tej chwili Diderot był nieszczęśliwy. Poza burzą rozpętaną przeciw *Encyklopedii*, cierpiał on również wiele przykrości z przyczyny swej sztuki, co do której, mimo krótkiej przedmowy umieszczonej na wstępie, obwiniano go, iż wziął ją całkowicie z Goldoniego<sup>51</sup>. Diderot, jeszcze bardziej tkliwy na krytykę od Woltera, szarpany był wówczas ze wszystkich stron. Pani de Graffigny<sup>52</sup> miała nawet tę złośliwość, aby rozpuszczać wieść, że ja zerwałem z nim z tej przyczyny. Uważałem, iż obowiązkiem słuszności i szlachetności będzie dowieść publicznie, że tak nie jest: pospieszyłem spędzić dwa dni nie tylko z nim, ale u niego. Była to, od czasu osiedlenia w Pustelni, moja druga podróż do Paryża. Pierwszą podjąłem, aby pospieszyć do biednego Gauffécourta powalonego atakiem apopleksji<sup>53</sup>, z której nie podniósł się nigdy zupełnie; nie opuściłem jego łóża, aż niebezpieczeństwo minęło.

Diderot przyjął mnie serdecznie. Ileż win może wymazać uścisk przyjaciela! Jakaż uraza zdoła po nim wytrwać w sercu? Wyjaśnienia były krótkie. Nie trzeba ich wiele tam, gdzie obraza była zobopólna. Wówczas pozostaje tylko jedna rzecz, mianowicie zapomnieć. Nie było tutaj żadnych podziemnych min, przynajmniej ja nie wiedziałem o żadnych; to nie to, co z panią d'Épinay. Pokazał mi plan *Ojca rodziny*<sup>54</sup>. „Oto — rzekłem — najlepsza obrona *Syna naturalnego*. Nie odpowiadaj nic, pracuj pilnie nad tą sztuką, a potem rzuć ją w twarz wrogom za całą odpowiedź”. Uczynił tak, i na dobre mu to wyszło. Mijało już blisko pół roku, jak posłałem Diderotowi pierwsze dwie części *Julii*, aby mi powiedział swoje zdanie. Nie przeczytał ich jeszcze. Przeczytaliśmy jeden zeszty razem. Znalazł, iż jest w nim dużo *gadania*: to jego wyrażenie; to znaczy: dużo słów i brzęku. Ja sam czułem już wprzód to samo; ale była to gadatliwość gorączki, nigdy nie zdołałem tego wyczyścić. Ostatnie części nie mają już tej wady. Czwarta zwłaszcza i szósta to arcydzieła stylu.

Literat, Pycha

Na drugi dzień po mym przybyciu Diderot chciał mnie koniecznie zaprowadzić na wieczrę do pana d'Holbach. Stosunki moje z baronem były nieszczęśliwe; pragnąłem

<sup>51</sup> *Goldoni*, [Carlo] (1707–1793) — najwybitniejszy komediopisarz włoski. Sztuki jego były bardzo wzięte w Paryżu, niektóre nawet były napisane wprost po francusku (*Le bourru bienfaisant*). [przypis tłumacza]

<sup>52</sup> *Graffigny*, *Françoise de* (1695–1758) — powieściopisarka francuska, autorka dramatów, prowadziła salon literacki; stała się słynna dzięki powieści *Lettres d'une Péruwienne* (Listy Peruwianki, 1747). [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *apopleksja* — wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *Ojciec rodziny* — *Le Père de famille* (1758), pięcioaktowy dramat mieszczański prozą napisany przez Diderota, druga po *Synu naturalnym* sztuka tego gatunku w teatrze francuskim. [przypis edytorski]



nawet zerwać umowę co do rękopisu chemii<sup>55</sup>, tak mnie drażniło jakiekolwiek zobowiązanie wobec tego człowieka. Diderot pokonał wszystko. Przysiągł mi, że d'Holbach kocha mnie z całego serca; że trzeba mu przebaczyć ton, który ma wobec wszystkich i który przyjaciółom jego bardziej niż komukolwiek daje się we znaki. Przedstawił mi, iż odrzucić dochód z tego rękopisu, przyjmując go dwa lata wprzód, jest dla ofiarodawcy zniewagą, na którą nie zasłużył, i że ta odmowa może być nawet źle tłumaczona, jako ukryta wymówka za tak długą zwłokę w dopełnieniu umowy. „Widuję Holbacha co dzień — dodał — znam lepiej niż ktokolwiek stan jego duszy. Gdybym nie wiedział, iż w gruncie jest ci życzliwy, czy sądzisz, że przyjaciel byłby zdolny radzić ci nikczemność?” Słowem, wobec mej zwykłej słabości, dałem się przekonać; poszliśmy wieczerzać u barona, który mnie przywitał jak zwykle. Natomiast żona jego przyjęła mnie zimno i prawie niegrzecznie. Nie poznałem już tej miłej Karoliny, która niegdyś jako panna okazywała mi tyle życzliwości. Od dawna miałem to uczucie, że odkąd Grimm zaczął bywać w domu państwa d'Aine, skończyła się bezpowrotnie sympatia, którą okazywano mi tam dawniej.

Podczas gdy bawiłem w Paryżu, Saint-Lambert przybył z armii. Ponieważ nie wiedziałem o tym, ujrzałem go aż po swoim powrocie na wieś, najpierw w Chevrette, później w Pustelni, gdzie zaprosił się do mnie z panią d'Houdetot na obiad. Można sobie wyobrazić uciechę, z jaką ich przyjąłem! Ale jeszcze większą radość odczułem, patrząc na doskonałą harmonię między nimi. Rad, iż nie zmaćmiłem ich szczęścia, sam czułem się tym szczęśliwy. Mogę przysiąc, iż przez cały czas mej szalonej namiętności, ale zwłaszcza w tym momencie, gdybym mógł odebrać Saint-Lambertowi panią d'Houdetot, nie chciałbym i nie miałbym nawet pokusy uczynić tego. Wydała mi się tak urocza ze swą miłością dla niego, że trudno mi było wyobrazić sobie, aby kochając mnie, mogła nią być w równym stopniu. Nie pragnąc zgoła zamącić ich związku, wszystko, czego najistotniej pragnąłem w mym szaleństwie, to, aby się pozwoliła kochać. Wreszcie, mimo całej namiętności, którą pałałem dla niej, równie lubie zdało mi się być powiernikiem, co przedmiotem jej miłości i ani przez chwilę nie patrzyłem na jej kochankę jako na rywala, ale zawsze jako na przyjaciela. Powie mi kto, że w takim razie to nie była miłość: dobrze więc, w takim razie było to coś więcej.

Co się tyczy Saint-Lamberta, to zachował się jak człowiek rozsądny i sprawiedliwy: ponieważ ja sam byłem winny, ja sam zostałem ukarany i to nawet pobłażliwie. Obszedł się ze mną surowo, ale życzliwie; przekonałem się, iż straciłem nieco w jego szacunku, ale nic w przyjaźni. Pocieszyłem się, świadom, iż tę stratę przyjdzie mi łatwiej odzyskać niż tamtą i że Saint-Lambert zbyt jest rozumny, aby mimowolną i przelotną słabość utożsamiać z wadą charakteru. Jeżeli było coś mej winy we wszystkim, co się stało, to bardzo niewiele. Czy ja szukałem towarzystwa jego kochanki? Czy nie on sam skierował ją do mnie? Czy nie ona mnie odwiedziła? Czy mogłem uchylić się od przyjęcia jej? Co mogłem uczynić? Oni jedni byli sprawcami złego, a ja ucierpiałem. Na moim miejscu, on byłby zrobił to samo co ja, może gorzej: ostatecznie bowiem, mimo całej wierności, szlachetności charakteru, pani d'Houdetot była kobietą; Saint-Lambert był daleko; sposobność była częsta, pokusy żywe i trudno by jej było zawsze się bronić równie skutecznie wobec bardziej przedsiębiorczego mężczyzny. Było to z pewnością wiele dla nas obojga, iż w podobnej sytuacji zdołaliśmy zakreślić granice, których nigdy nie pozwoliliśmy sobie przekroczyć.

Mimo iż w głębi serca oddawałem sobie dość zaszczytne świadectwo, pozory były przeciw mnie. Niezwyciężony wstyd, któremu zawsze byłem podległy, dawał mi wobec Saint-Lamberta wygląd winowajcy, on zaś niejednokrotnie nadużywał tego, aby mnie upokorzyć. Czytałem mu po obiedzie list, który w zeszłym roku napisałem do Woltera, a o którym Saint-Lambert słyszał. Usnął podczas czytania; i ja, niegdyś tak dumny, dziś tak ogłupiały, nie śmiałem przerwać lektury; czytałem dalej, podczas gdy on chrapał na cały głos! Takie były moje nieprawości i takie jego sposoby zemsty; ale wspaniałomyślność nie pozwalała mu używać ich kiedy indziej, jak tylko wówczas gdy byliśmy we troje.

Po jego wyjeździe zastałem panią d'Houdetot bardzo odmienioną. Zdziwiło mnie to, tak jak gdybym nie powinien był spodziewać się tego; uczułem się dotknięty więcej,

<sup>55</sup>umowę co do rękopisu chemii — d'Holbach tłumaczył i streszczał prace niemieckie z zakresu chemii i geologii, podsumowując postępy naukowe w tych dziedzinach w artykułach w *Encyklopedii*. Zapewne umowa dotyczyła publikacji jednego z tłumaczeń za pośrednictwem Rousseau. [przypis edytorski]

niż należało, i przeszedłem to bardzo boleśnie. Wszystko, po czym spodziewałem się uleczenia, tym głębiej jedynie zatapiało w serce moje grot, który w końcu raczej złamałem, niż wyrwałem.

Byłem ze wszech miar gotowy przezwyciężyć się do reszty i nie szczędzić niczego, aby zmienić mą szaloną namiętność w przyjaźń czystą i trwałą. Miałem w tym względzie najpiękniejsze w świecie zamysły, dla których wykonania trzeba mi było pomocy pani d'Houdetot. Kiedy próbowałem mówić jej o tym, znalazłem ją roztargnioną i zakłopotaną; uczulem, iż przestała sobie podobać<sup>56</sup> w moim towarzystwie; ujrzałem jasno, że zaszło coś, czego nie chce mi powiedzieć i czego nie dowiedziałem się nigdy. Zmiana ta, której wyjaśnienia niepodobna mi było uzyskać, zgnębiła mnie. Pani d'Houdetot zażądała zwrotu listów, oddałem wszystkie; przy czym nie oszczędziła mi tej zniewagi, aby wątpić przez chwilę w mą sumienność w tej mierze. Wątpienie to było jeszcze jednym nieoczekiwanym rozdarciem mego serca, które powinna była znać tak dobrze! Oddała mi sprawiedliwość, ale nie natychmiast; zrozumiałem, że dopiero przejrzawszy pakiet, który jej zwróciłem, uczuła całą niesłuszność posądzenia; widziałem nawet, że je sobie wyrzuca i błąd ten obrócił się na mą korzyść. Nie godziło się żądać zwrotu listów bez zwrócenia mi moich. Powiedziała, że je spaliła; ośmieliłem się ja znów wątpić o tym i wyznaję, że wątpię dziś jeszcze. Nie, nie rzuca się w ogień podobnych listów. Publiczności wydały się płomienne listy z *Julii*. Boże ty mój! Cóż by powiedziano o tych! Nie, nie, nigdy osoba, która zdoła wzbudzić podobną namiętność, nie będzie miała siły spalić jej dowodów. Ale nie obawiam się również, aby ich nadużyła; nie sądzę, aby była do tego zdolna; co więcej, postarałem się temu zapobiec. Głupia, ale nieprzeparta obawa, aby się nie stać przedmiotem drwin, kazała mi wziąć korespondencję z tonu, który by mnie ubezpieczył przed wszelką niedyskrecją. Posunąłem aż do tykania<sup>57</sup> poufalość, na którą ważyłem się w moim szale: ale co za tykanie! Z pewnością nie odczuła go jako obrazę. Mimo to pani d'Houdetot wymawiała mi kilkakrotnie ten ton, ale bez skutku, wymówki jej podsycaly jedynie moje obawy; zresztą, nie mogłem zdobyć się na to, aby się cofać wstecz. Jeżeli te listy istnieją jeszcze i jeśli kiedy ujrzą światło dzienne, świat dowie się jak kochałem.

Boleść, jaką sprawiło mi oziębienie pani d'Houdetot i pewność, iż na nie nie zasłużyłem, zrodziła we mnie osobliwą myśl uzalenia się samemu Saint-Lambertowi na tę zmianę. W oczekiwaniu odpowiedzi na list, który napisałem doń w tym przedmiocie, szukałem uspokojenia w rozrywkach, do których powinienem był uciec się wcześniej. Zapowiadały się uroczyste przyjęcia w Chevrette: przygotowałem muzykę. Przyjemność popisania się wobec pani d'Houdetot talentem, który lubiła, pobudził mą werwę; do ożywienia jej przyczyniał się jeszcze inny powód, a mianowicie chęć pokazania, że autor *Wiejskiego uróżka* posiada znajomość muzyki, od dawna bowiem spostrzegalem, iż ktoś pracuje nad tym, aby to podać w wątpliwość, przynajmniej co się tyczy kompozycji. Początki moje w Paryżu, próby, jakim mnie poddano wiele razy, tak u pana Dupin, jak u pana de la Poplinière, szereg utworów, które ułożyłem w ciągu czternastu lat w otoczeniu najślawniejszych artystów i pod ich oczyma, wreszcie opera *Tkliwe Muzy* i nawet *Wróżek*, motet napisany dla panny Fel i odśpiewany przez nią na koncercie religijnym, tyle konferencji, jakie odbyłem w kwestii tej pięknej sztuki z największymi mistrzami, wszystko to, zdawałoby się, powinno by uchylić lub rozproszyć podobną wątpliwość. Istniała ona wszelako, nawet w Chevrette, i widziałem, że sam pan d'Epina nie jest od niej wolny. Nie okazując, iż cośkolwiek zauważyłem, podjąłem się ułożyć dlań motet na poświęcenie kaplicy w Chevrette i prosiłem, aby mi dostarczył słów wedle swego wyboru. Polecił sporządzenie ich panu de Linant, preceptorowi<sup>58</sup> swego syna. De Linant napisał słowa odpowiednie do przedmiotu; w tydzień motet był gotowy. Tym razem wściekłość i rozżalenie były mą muzą, nigdy tęższa muzyka nie wyszła z moich rąk. Tekst zaczyna się od słów: *Ecce sedes hic Tonantis*<sup>59</sup><sup>60</sup>. Początek uroczystością swoją odpowiada słowom, cały zaś dalszy ciąg motetu odznacza się pięknnością melodii, która uderzyła wszystkich.

Muzyka

<sup>56</sup> *podobać sobie w czymś* (daw.) — mieć w czymś upodobanie; gustować w czymś. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *tykanie* — tu: zwracanie się do kogoś przez „ty”. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *preceptor* (z łac.) — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *Ecce sedes hic Tonantis* (łac.) — Oto siedziba Gromowładnego. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *Tekst zaczyna się od słów: Ecce sedes hic Tonantis* — dowiedziałem się później, że słowa te były pomysłu Santeuila i że pan de Linant przywłaszczył je sobie po cichu. [przypis autorski]

Opracowałem rzecz na wielką orkiestrę. D'Epina y zgromadził najlepszych symfonistów. Pani Bruna, śpiewaczka włoska, odśpiewała motet; towarzyszo no jej bardzo składnie. Motet miał tak wielkie powodzenie, że dano go później na koncercie religijnym, gdzie mimo pokątnych intryg i haniebnego wykonania zyskał dwa razy ten sam poklask. Poddałem na imieniny pana d'Epina y pomysł jakiejś sztuki, pół dramatu pół pantominy; tekst ułożyła pani d'Epina y, a ja również sporządziłem muzykę. Grimm, przybywszy do Chevrette, usłyszał o moich harmoniczn ych sukcesach. W godzinę później już nie było o nich mowy: ale przynajmniej, o ile wiem, nie podawano już w wątpliwość mojej znajomości kompozycji.

Ledwie Grimm zjawił się w Chevrette, gdzie już i wprzódy nie czułem się zbyt dobrze, uczynił mi pobyt zupełnie nie do zniesienia, a to przez swoje tony, jakich nie widziałem nigdy u nikogo i o których nawet nie miałem pojęcia. W wilię<sup>61</sup> jego przybycia wyrugowano mnie z uprzywilejowanego pokoju, który zajmowałem, przylegającego do pokoju pani d'Epina y; przygotowano go dla Grimma, mnie zaś dano inny, bardziej odległy. „Oto — rzekłem, śmiejąc się, do pani d'Epina y — jak nowi przybysze rugują dawnych”. Zdawała się zakłopotana. Zrozumiałem, tegoż samego wieczora, lepiej przyczynę owego przemieszczenia, dowiadując się, iż między oboma pokojami istnieją ukryte drzwi, o których pani d'Epina y uważała za zbyt cne mnie objaśniać. Stosunki jej z Grimmem nie były tajne nikomu, ani w domu, ani w świecie, ani nawet mężowi; mimo to, miał przysiąc się do nich przede mną, powiernikiem na wskroś pewnym i świadomym o wiele dla niej ważniejszych tajemnic, zapierała się zawsze bardzo stanowczo. Zrozumiałem, że ostrożność ta wychodzi od Grimma, który, posiadając sam wszystkie moje tajemnice, nie chciał, abym ja wzajem znał jego sekrety.

Mimo że dawne me uczucia, dotąd niewygasłe, jak również istotne zalety tego człowieka siliły się przemawiać, jak długo się dało, na jego korzyść, wszystko to nie mogło się jednak ostać wobec starań, jakich dokładał, aby zniweczyć mą przyjaźń. Poczynał sobie ze mną w sposób iście książęcy; ledwie że raczył oddać ukłon; nie zwracał się do mnie nigdy ani słowem, a niebawem odczył i mnie odzywiania się doń, jako że nie odpowiadał mi wcale. Wchodził wszędzie pierwszy, zajmował wszędzie pierwsze miejsce, nie zwracając na mnie najlżejszej uwagi. Mniejsza by zresztą, gdyby nie czynił tego z ubliżającą ostentacją: można osądzić z jednego rysu wśród tysiąca. Jednego wieczora pani d'Epina y, czując się nieco niezdrowa, prosiła, aby jej zanie siono jaki kasek do pokoju, i udała się do siebie, aby wieczerzać spokojnie przy kominku. Zaproponowała mi, abym się udał wraz z nią: poszedłem. Grimm przyszedł później. Zastawiono już dla nas mały stoliczek, a przy nim tylko dwa nakrycia. Podają; pani d'Epina y zajmuje miejsce w jednym rogu kominka; pan Grimm bierze fotel, rozsiada się w drugim rogu, przesuwając stół między nich dwoje, rozwija serwetę i zabiera się do jedzenia, nie odzywając się do mnie słowa. Pani d'Epina y czerwieni się i aby zwrócić mu uwagę na jego grubiaństwo, ustępuje mi swego miejsca. Grimm nie mówi nic, nie patrzy na mnie. Nie mając sposobu zbliżyć się do ognia, wolałem przechadzać się po pokoju, czekając aż mi przyniosą nakrycie. Pan Grimm pozwolił mi wieczerzać na brzeżku stołu, z dala od ognia, nie ruszywszy się nawet z miejsca, dla mnie, schorowanego, starszego wiekiem, dawniej zażyłego w domu, mnie, który go tam wprowadziłem i wobec którego nawet, jako faworyt gospodyni, obowiązany był poniekąd do robienia honorów. Całe jego postępowanie ze mną odpowiadało zupełnie tej próbie. Nie odnosił się do mnie właściwie nawet jak do kogoś niższego, ale jak do nieistniejącego. Trudno mi było, zaiste, poznać dawnego chmyza<sup>62</sup>, który u księcia de Saxe-Gotha czuł się zaszczycony mym spojrzeniem. Jeszcze trudniej mi było połączyć to wzgardliwe milczenie i obrażającą nadętość z rzekomo tkliwą przyjaźnią dla mnie, jaką chęłpił się wobec wszystkich, o których wiedział, że mi są życzliwi. Prawda, że objawiał ją jedynie tym, iż żalił się nad mą dolą, na którą ja nie skarżyłem się nigdy; iż współczuł z mym smutnym losem, z którego czułem się zadowolony, i biadał nad tym, że tak uparcie odrzucam życzliwe starania, jakimi niby to pragnął mnie otoczyć. Dzięki tej sztuce kazał podziwiać swą tkliwą szlachetność, potępiać mą niewdzięczną mizantropię<sup>63</sup>, i przyzwyczajał nieznacznie cały świat do myśli, iż między protektorem takim jak on a nędzarzem takim jak ja może

<sup>61</sup>wilia (daw.) a. wigilia — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie; w wilię: w przeddzień. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>chmyz (przestarz., pot.) — smarkacz. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>mizantropia (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

istnieć jedynie stosunek oparty na dobrodziejstwach i zobowiązaniach, bez przypuszczenia, nawet jako możliwości, przyjaźni na równej stopie. Co do mnie, próżno szukałem, w czym mógłbym być zobowiązany temu nowemu opiekunowi. Pożyczałem mu pieniędzy, on mnie nigdy; doglądałem go w chorobie, on ledwie że zaglądał do mnie, gdym był chory; dałem mu wszystkich mych przyjaciół, on mnie żadnego; wspierałem go ze wszystkich sił, on zaś jeżeli mnie się przysługiwał, to mniej publicznie i na inny sposób. Nigdy nie wyświadczył mi, ani nie ofiarował nawet przysługi żadnego rodzaju. W jaki sposób stał się moim Mecenasem<sup>64</sup>? W jaki sposób ja jego protegowanym? Nie mogłem tego nigdy pojąć i nie pojmuję dziś jeszcze.

Prawda, iż mniej albo więcej był on arogantem ze wszystkimi, ale z nikim tak brutalnie jak ze mną. Przypominam sobie, że jednego dnia Saint-Lambert omal nie rzucił mu talerza na głowę, kiedy mi zadał łgarstwo wobec całego stołu, mówiąc grubiańsko: „To nieprawda”. Do swego tonu z natury zarozumiałego dodał jeszcze nadętość parweniusza<sup>65</sup>; stał się wręcz śmieszny przez swoje fupy<sup>66</sup>. Obcowanie z możnymi zawróciło mu w głowie do tego stopnia, iż zaczął sam przybierać maniery spotykane u najmniej dorzecznich paniczów z tego świata. Nie wołał służącego inaczej jak przez: „Hej tam”, jak gdyby pośród mnogości swych ludzi Jego Dostojność nie wiedziała, który jest na służbie. Kiedy dawał mu jakieś zlecenia, rzucał pieniądze na ziemię, zamiast dać do ręki. Wreszcie, zapominając zupełnie, że to człowiek, obchodził się z nim z tak nieprzyzwoitą wzgardą, z tak dotkliwym lekceważeniem, że ten biedny chłopiec, bardzo poczciwy z natury, opuścił służbę jedynie dlatego, iż nie mógł dłużej ścierpieć podobnego obchodzenia.

Równie zarozumiały jak próżny, ze swymi wielkimi mętnymi oczami i postawą tyczki od chmielu, miał pretensję do powodzenia u kobiet; od czasu zaś swego błazeństwa z panną Fel, uchodził u wielu za człowieka wielce uczuciowego. To wprowadziło go w modę i zaszczepiło mu smak do kobiecych przekwintów<sup>67</sup>: zaczął się bawić w pięknisia. Gotownia stała się dlań wielką sprawą życia; cały świat wiedział, że używa blanszu<sup>68</sup>, ja sam nawet, który długo nie chciałem uwierzyć, zacząłem w końcu to przypuszczać, nie tylko stąd, iż cera jego istotnie wypiękniała i że znajdowałem nieraz filiżankę z blanszem na gotowni<sup>69</sup>, ale dlatego, iż wszedłszy raz rano do jego pokoju, zastałem go czyszczącego paznokcie małą umyślnie sporządzoną szczoteczką, którą to czynność prowadził dalej dumnie wobec mnie. Poczciwy Gauffecourt, który miał język dość cięty, nazywał go wcale zabawnie „Tyran Biały”<sup>70</sup>.

Wszystko to były jeno śmieszności, ale bardzo antypatyczne dla mej natury. Zaczęły one wreszcie budzić we mnie podejrzenie co do jego charakteru. Trudno mi było uwierzyć, aby człowiek, który zdolny jest zawrócić sobie w głowie w ten sposób, mógł zachować mimo to serce nieskażone. Grimm niczym się tak nie szczycił jak tkliwością duszy i siłą uczucia. W jaki sposób mogłoby się to zgodzić z przywarami właściwymi jedynie małym duszom? W jaki sposób żywe i ustawiczne wybuchy, w których wrażliwe serce wyrывa się poza siebie, mogłyby mu pozwolić na tyle nieustannych starań około swej małej osoby? Ech! Boże! Ten, kto czuje, iż serce jego płonie tym niebiańskim ogniem, sili się wylać je na zewnątrz i pragnie odsłonić swe wnętrze; chciałby serce pomieścić na twarzy; nie przyjdzie mu na myśl szukać innej barwiczki.

Przypominam sobie streszczenie jego zasad moralnych, które przedstawiła mi pani d'Epina y i które przyjęła za swoje. Streszczenie to zasadzało się na jednym prawie: a to, że jedynym obowiązkiem człowieka jest iść we wszystkim za skłonnościami serca. Zasada ta, kiedy ją usłyszałem, dała mi straszliwie do myślenia, mimo iż brałem ją wówczas jedynie

<sup>64</sup>Mecenas, właśc. *Gaius Cilnius Maecenas* (70–8 p.n.e.) — rzym. polityk i pisarz, doradca i przyjaciel cesarza Augusta, opiekun i protektor najslawniejszych poetów rzymskich: Horacego, Owidiusza, Wergiliusza; jego nazwisko stało się synonimem patrona sztuki, literatury lub nauki. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>parweniusz — dorobkiewicz, który dostał się do wyższej klasy i nieumiejętnie naśladuje osoby z tej klasy. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>fupa — próżność, nadętość, zarozumiałość, fochy; dziś tylko w lm: fupy. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>przekwint (daw.) — przesadny wykwint, nadmierna wytworność. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>blansz (daw., z fr.) — biały puder do cery, bielidło. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>gotownia (daw.) — stolik z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka). [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Tyran Biały — żartobliwe nawiązanie do Tyranta Białego, bohatera jednego z romansów rycerskich, którymi zachwycał się Don Kichot (Miguel de Cervantes, *Don Kichot z La Manchy*, ks. II, rozdz. V; ks. V, rozdz. I). [przypis edytorski]

za igraszkę mózgu. Ale niebawem spostrzegłem, iż zasada ta jest w istocie programem jego postępowania; w dalszym ciągu zaś aż nadto przekonałem się o tym swoim kosztem. Jest to owa „doktryna wewnętrzna”, której mi nigdy nie wyjaśnił.

Przypomniałem sobie, iż już przed kilku laty ostrzegano mnie często, że to jest człowiek fałszywy, że tylko udaje sercowego, a zwłaszcza, że mnie nie lubi. Przypomniałem sobie anegdoty, jakie opowiadali mi w tym duchu Francueil i pani de Chenonceaux. Żadne z obojga nie szacowało go wysoko, a musieli go znać, skoro pani de Chenonceaux była córką pani de Rochechouart, bliskiej przyjaciółki nieboszczyka hrabiego de Frièse, Francueil zaś, bardzo wówczas zażyły z wicehrabią de Polignac, wiele przebywał w Palais-Royal w epoce, gdy Grimm zaczynał się tam wciskać<sup>71</sup>. Cały Paryż pełen był opowiadań o jego rozpaczach po śmierci hrabiego de Frièse. Chodziło o podtrzymanie reputacji, którą sobie stworzył po srogościach panny Fel. Lepiej niż ktokolwiek inny mogłem widzieć całe błazeństwo jego ówczesnego postępowania, gdybym był mniej zaślepiony. Trzeba go było gwałtem wlec do pałacu de Castries, gdzie godnie odegrał swą rolę, zatopiony w śmiertelnej zgryzocie. Tam co rano szedł do ogrodu wypłakać się do woli, trzymając przy oczach chustkę zwilżoną łzami, póki go ktoś mógł widzieć z pałacu; ale na skrócie alei ludzie, którzy przyglądali mu się niepostrzeżenie, zauważyli, że natychmiast chował chustkę do kieszeni i wyjmował książkę. Spostrzeżenie to obiegło rychło Paryż, ale równie szybko poszło w niepamięć. Ja sam zapomniałem o nim; pewien fakt, odnoszący się do mnie, przypomniał mi je. Leżałem ciężko chory w łóżku, przy ulicy de Grenelle; Grimm był na wsi. Jednego rana przybiegł, zdyszany, odwiedzić mnie, powiadając, iż wrócił w tej chwili do miasta; wkrótce potem dowiedziałem się, że wrócił poprzedniego dnia i że tegoż samego wieczora widziano go w teatrze.

Przypominam sobie tysiąc faktów tego rodzaju; ale spostrzeżenie, które ku memu zdziwieniu uczyniłem dopiero tak późno, uderzyło mnie bardziej niż wszystko inne. Zapoznałem go z wszystkimi moimi bliskimi bez wyjątku; wszyscy stali się jego przyjaciółmi. Tak ciężko mi było rozłączać się z nim, że z trudnością zgodziłbym się bywać w domu, do którego on nie miałby wstępu. Jedynie pani de Créqui wzdragała się go dopuścić, jakoż od tego czasu przestałem bywać u niej prawie zupełnie. Grimm ze swej strony nawiązał inne stosunki, tak własnym przemyśleniem, jak z poręki hrabiego de Frièse. Z wszystkich tych jego przyjaciół żaden nie stał się moim; nigdy Grimm nie odezwał się ani słowem, aby mnie zachęcić bodaj do poznania ich; a jeśli przypadkiem zdybałem kogoś u niego, nigdy nie spotkałem się z najłżejszym objawem przychylności z czyjejkolwiek strony. Nawet hrabia de Frièse, u którego Grimm mieszkał i z którym tym samym bardzo byłoby mi miło nawiązać stosunki, ani krewny jego hrabia de Schomberg, z którym Grimm był jeszcze poufalej, nie okazali mi najmniejszej zachęty w tej mierze.

Więcej jeszcze: moi własni przyjaciele, z którymi go zapoznałem i którzy wszyscy przed tą znajomością serdecznie byli do mnie przywiązani, zmienili się wybitnie dla mnie od tej pory. On nie zbliżył mnie nigdy z żadnym ze swych przyjaciół; ja jego ze wszystkimi; i w końcu on wszystkich ich odstręczył ode mnie. Jeżeli to są objawy przyjaźni, jakże się będzie objawiała nienawiść?

Diderot sam w początkach ostrzegł mnie kilka razy, że Grimm, którego obdarzam takim zaufaniem, nie jest mi życzliwy. Później co prawda odmienił sposób mówienia, wówczas kiedy sam przestał mi być przyjacielem.

Sposób, w jaki rozporządziłem dziećmi, nie wymagał niczyjej pomocy. Powiadomiłem wszelako o nim moich przyjaciół, jedynie aby być szczerym wobec nich i aby nie wydawać się w ich oczach lepszym niż jestem. Przyjaciół tych było troje: Diderot, Grimm, pani d'Epinay; Duclos, najbardziej godny mego zaufania, był jedynym, któremu się nie zwierzyłem. Dowiedział się wszelako; przez kogo, nie wiem. Nie jest prawdopodobne, aby ta niedyskrecja wyszła od pani d'Epinay, która wiedziała, iż idąc za jej przykładem, gdybym był do tego zdolny, miałem w ręku środki, aby się okrutnie zemścić. Zostają Grimm i Diderot, wówczas tak zespoleni w tylu rzeczach, zwłaszcza przeciw mnie, iż więcej niż prawdopodobnym jest, że zbrodnia ta była im wspólna. Założyłbym się, że

<sup>71</sup>przebywał w Palais-Royal w epoce, gdy Grimm zaczynał się tam wciskać — po śmierci swojego pracodawcy, hrabiego de Frièse, Grimm został sekretarzem księcia Ludwika Filipa Orleańskiego, który mieszkał w Palais-Royal, rodowej siedzibie orleańskiej linii Burbonów. [przypis edytorski]

Duclos, któremu nie zwierzyłem mego sekretu i który tym samym miał wobec mnie wolną rękę, jest jedynym, który mi go dochował.

Grimm i Diderot, pracując nad tym, aby oddalić ode mnie moje „gospodynie”, czynili, co mogli, aby Duclosa wciągnąć do swych planów: odsuwał zawsze ze wzgardą te próby. Dopiero później dowiedziałem się od niego o wszystkim, co zaszło między nimi w tym względzie; ale wówczas wiedziałem już dosyć od Teresy, aby poznać, że kryje się w tym jakiś tajemny zamiar i że chciano rozrzucić mną, jeżeli nie wbrew mej woli, to w każdym razie bez mej wiedzy lub też chciano się posłużyć tymi dwiema osobami jako narzędziem dla jakichś ukrytych zamiarów. Całego tego postępowania nie można z pewnością nazwać szczerym. Odmowa Duclosa dowodzi tego nieodparcie. Niech kto chce wierzy, że to była przyjaźń.

Ta rzekoma przyjaźń była mi równie zgubną na wewnątrz jak i na zewnątrz. Długie i częste rozmowy z panią Le Vasseur, prowadzone od wielu lat, zmieniły wyraźnie tę kobietę w stosunku do mnie, a zmiana z pewnością nie była na mą korzyść. Co oni knuli w czasie tych osobliwych sam na sam? Dlaczego ta głęboka tajemnica? Czy pogawędka z tą starą kobietą miała tyle uroku, aby się tak o nią zabiegać? Czy była tak ważna, by czynić z niej taką tajemnicę? Przez kilka lat, od których trwały te konszachty, wydawały mi się one tylko śmieszne; skoro później objąłem je myślą wstecz, zacząłem się im dziwić. Zdumienie to byłoby się posunęło aż do niepokoju, gdybym wiedział już wówczas, co ta kobieta mi gotuje.

Mimo rzekomego oddania mi, jakim Grimm popisował się wobec ludzi, a które trudno było pogodzić z tonem, który przybierał wobec mnie, nie doświadczyłem z jego strony niczego, co by mi wyszło na korzyść; a współczucie, jakim się chlubił, nie tyle zmierzało ku temu, aby mi pomóc, co aby mnie poniżyć. Odbierał mi nawet, o ile to było w jego mocy, rzemiosło, które sobie obrałem, okrzykując mnie wszędzie jako złego kopistę; przyznając zresztą, że mówił prawdę, ale nie jemu przystało ją głosić. Dawał dowody, że to nie żart, posługując się sam innym kopistą i nie zostawiając mi żadnego z klientów, których mógł odstręczyć. Można by myśleć, iż zamiarem jego było uczynić mnie, wprost co do środków egzystencji, zależnym od niego i od jego wpływów oraz zatamować mi jej źródło, póki nie dojdę do tej ostateczności.

Zebrawszy to wszystko, rozsądek kazał zamilczeć wreszcie głosowi dawnej sympatii, który odzywał się jeszcze. Osądziłem charakter tego człowieka jako co najmniej bardzo podejrzany, przyjaźń zaś jako fałszywą. Postanowiwszy ostatecznie z nim zerwać, uprzedziłem o tym panią d'Epinay, popierając swą decyzję licznymi faktami nie znoszącymi repliki, ale które uleciały mi już z pamięci.

Pani d'Epinay zwalczała silnie to postanowienie, nie bardzo wiedząc, co przeciwstawić racjom, na których było oparte. Nie porozumiała się jeszcze z Grimmem; ale nazajutrz, zamiast rozmówić się ustnie, oddała mi list bardzo zręczny, który wypracowali razem, a w którym, nie wchodząc w szczegóły żadnego faktu, usprawiedliwiała Grima właściwościami jego charakteru; wreszcie, wyrzucając mi, iż mogłem go posądzić o nieszczerłość, napominała, abym się z nim pojednał. List ten zachwiał mnie. W rozmowie, którą mieliśmy później, a w której zastałem panią d'Epinay lepiej przygotowaną niż za pierwszym razem, do reszty dałem się zwyciężyć. Zacząłem przypuszczać, że mogłem go źle osądzić i że w takim razie dopuściłem się istotnie wobec przyjaciela ciężkiej winy, którą winienem naprawić. Słowem — tak jak już kilka razy zrobiłem z Diderotem, z baronem d'Holbach — wół dobrowolnie, wół ze słabości, poczyniłem wszystkie pojednawcze kroki, których ja sam miałbym prawo wymagać; poszedłem do Grimma, jak drugi Grzegorz Dandin<sup>72</sup>, przeprosić go za zniewagi, które on mi wyrządził. Działalem w tym fałszywym przekonaniu, które kazało mi w życiu ścierpieć tyle upodzeń wobec mych rzekomych przyjaciół, iż nie ma nienawiści, której by się nie rozbroiło siłą łagodności i dobrego postępowania, podczas gdy, przeciwnie, nienawiść złych rośnie jeszcze w poczuciu niemożności znalezienia dla niej słuszych przyczyn, a świadomość własnej niesprawiedliwości staje się jedynie jednym zarzutem więcej przeciw temu, kto jest jej przedmiotem. Mam we własnych mych dziejach bardzo silny dowód tego pewnika

<sup>72</sup>Grzegorz Dandin — tytułowy bohater komedii Moliera *George Dandin* (w przekładzie polskim *Grzegorz Dandala*), który, naciskany przez teściów, przeproszał kochankę swojej żony. [przypis edytorski]

w Grimmie i w panu Tronchin, którzy stali się obaj mymi nieubłaganymi nieprzyjaciółmi z dobrej woli, z upodobania, z kaprysu, bez jakiegokolwiek przewiny z mej strony wobec którego z nich<sup>73</sup>; wściekłość zaś tej nienawiści wzmagą się z każdym dniem, jak u tygrysów, przez łatwość, z jaką przychodzi im ją sycić.

Spodziewałem się, iż, zawstydzony mą pojednawczością i pierwszym krokiem z mej strony, Grimm przyjmie mnie z otwartymi ramionami i z najtkliwszym wylaniem. Przyjął mnie jak cesarz rzymski, z wyniosłością, jakiej nigdy nie widziałem u nikogo. Nie byłem zgoła przygotowany na takie powitanie. Kiedy, zakłopotany tak mało dla mnie odpowiednią rolą, objaśniłem w niewielu słowach i nieśmiało przedmiot, który mnie sprowadza, Grimm, zanim mnie przypuścił z powrotem do łaski, wygłosił z wielkim majestatem długą, zawczasu obmyśloną mowę, która zawierała bogaty prospekt jego rzadkich cnót, zwłaszcza w przyjaźni. Położył nacisk na rzecz, która uderzyła mnie zaraz w pierwszej chwili: mianowicie że — jak wszyscy widzą — zachowuje niezmiennie tych samych przyjaciół. Słyszając to, uczyniłem sobie po cichu uwagę, że byłoby bardzo bolesnym dla mnie, gdybym ja miał stanowić w tej regule jedyny wyjątek. Powracał do tego punktu tak często i z taką lubością, że pomyślałem sobie, iż gdyby zasada ta płynęła jedynie ze skłonności serca, nie zwracałby na nią tyle uwagi; sądzę, iż raczej czynił z niej sobie metodę użyteczną dla widoków pięcia się w górę. Aż do tej pory ja byłem w tym samym położeniu: zachowałem wszystkich przyjaciół; od najwcześniejszego dzieciństwa nie straciłem ani jednego, chyba przez śmierć. Mimo to aż dotąd nawet nie zwróciłem uwagi na tę okoliczność; nie była to zasada, którą bym sobie przepisał. Skoro więc było to zaletą wspólną nam obu, dlaczegoż on chępił się nią z takim natręctwem, jeśli nie dlatego, że już z góry pragnął mi ją odjąć? Starał się następnie upokorzyć mnie dowodami pierwszeństwa, jakie wspólni przyjaciele dawali mu nade mną. Wiedziałem o tym równie dobrze jak on; chodziło jedynie o to, w jaki sposób uzyskał to pierwszeństwo: czy siłą swych cnót, czy zręcznością, wywyższając samego siebie lub starając się mnie poniżyć? Wreszcie, kiedy do syta zaznaczył całą przepaść między nami, dodając w ten sposób ceny łasce, którą mi miał wyświadczyć, użył mi pocałunku pokoju w formie lekkiego uścisku, podobnego do gestu, jakim król obejmuje świeżo pasowanych rycerzy. Miałem uczucie, że spadam z chmur, byłem oszołomiony, nie wiedziałem, co mówić, nie znajdowałem słowa. Cała ta scena robiła wrażenie reprimendy, jaką preceptor daje uczniowi, oszczędzając mu batoga. Ilekroć o tym myślę, zawsze na nowo czuję, jak mylne są sądy oparte na pozorach, do których pospolity ogół tyle przywiązuje wagi, i jak często pewność siebie i duma mieszczą się po stronie winowajcy, wstyd zaś i zakłopotanie po stronie niewinnego.

Pojedналиśmy się; była to zawsze ulga dla mego serca, które wszelkie nieporozumienia wtrącają w śmiertelny zamęt. Można się domyślić, że takie pojednanie nie zmieniło jego obejścia; odjęło mi jedynie prawo uskarżania się. Toteż postanowiłem cierpieć wszystko i nie mówić już nic.

Tyle utrapień, spadających cios po ciosie, wtrąciło mnie w przygnębienie, które nie zostawiło mi sił do odzyskania władzy nad samym sobą. Nie mając odpowiedzi od Saint-Lamberta, opuszczony przez panią d'Houdetot, nie śmiejąc już otworzyć serca nikomu, zaczynałem się obawiać, zali uczyniwszy z przyjaźni bóstwo mego serca, nie stawiłem życia na składaniu ofiar chimierom. Po tych doświadczeniach zostało mi ze wszystkich stosunków jedynie dwu ludzi, którzy zachowali cały mój szacunek i których serce moje darzyło pełną ufnością: Duclos, którego od osiedlenia się w Pustelni straciłem z oczu, i Saint-Lambert. Sądziłem, iż nie mogę lepiej naprawić win wobec tego ostatniego, niż otwierając mu serce w całej pełni: postanowiłem uczynić przed nim szczerą spowiedź wszystkiego, co nie narażało jego kochanki. Nie wątpię, iż pomysł ten był jeszcze pułapką mej namiętności, która w ten sposób siliła się zadzierzgnąć nowy węzeł zbliżenia z ubóstwianą kobietą; ale to pewna, iż byłbym się rzucił w ramiona jej kochanka bez zastrzeżeń, że byłbym się zupełnie powierzył jego wskazówkom i posunął szczerą tak

<sup>73</sup>W *Grimmie i w panu Tronchin* [...] bez jakiegokolwiek przewiny z mej strony wobec którego z nich — dałem temu ostatniemu przydomek „kuglarza” dopiero w długi czas po wybuchu jego jawnej nieprzyjaźni i po krwawych prześladowaniach, jakie wzniecił przeciwko mnie w Genewie i gdzie indziej. Usunąłem nawet ten przydomek, kiedy stałem się w zupełności ofiarą jego zabiegów. Niskie sposoby zemsty niegodne są mego serca, a nienawiść nigdy nie zdołała się w nim zagnieździć. [przypis autorski]

daleko, jak tylko możliwe. Byłem gotów napisać drugi list i jestem pewien, iż tym razem byłby mi odpowiedział, kiedy dowiedziałem się o smutnym powodzie jego milczenia. Pani d'Epina y powiadomiła mnie, że uległ atakowi paraliżu; pani d'Houdetot zaś, która sama rozchorowała się ze zmartwienia i nie była w stanie napisać do mnie natychmiast, doniosła mi w parę dni później z Paryża, gdzie bawiła wówczas, iż Saint-Lambert kazał się zawieźć do Aix-la-Chapelle<sup>74</sup>, aby tam brać kąpiele. Nie mówię, że smutna ta wiadomość zmartwiła mnie w tym stopniu co ją; ale wątpię, aby ścisnięcie serca, o jakie mnie przyprawiła, było mniej dotkliwe niż jej boleść i łzy. Zmartwienie stanem przyjaciela, wzmożone obawą, czy jego niepokój nie przyczynił się do tego stanu, wzruszyło mnie więcej niż wszystko, czego dotąd doznałem; uczulem boleśnie, iż nie stało<sup>75</sup> mi już w szacunku dla siebie samego siły, której potrzebowałem, aby znieść tyle udręczeń. Na szczęście szlachetny przyjaciel nie zostawił mnie długo w tym przygnębieniu; nie zapomniał o mnie mimo swego ataku. Niebawem dowiedziałem się od niego samego, że uczucia jego, jak również stan zdrowia, osądziłem gorzej, niż były w istocie. Ale czas już przyjść do wielkiego przewrotu w mej doli; do katastrofy, która podzieliła moje życie na dwie tak odmienne części i która bardzo błahę przyczynę dała tak straszliwe skutki.

Jednego dnia, kiedy się tego najmniej spodziewałem, pani d'Epina y wezwała mnie nagle. Wchodząc, ujrzałem w jej oczach i odczułem w obejściu pomieszanie, które uderzyło mnie tym żywiej, ile że wejrzenie to nie było jej zwyczajne, nikt bowiem lepiej niż ona nie umiał panować nad fizjonomią i gestem. „Mój drogi przyjacielu — rzekła — jadę do Genewy; płuca moje są w niedobrym stanie, zdrowie moje podupadło do tego stopnia, iż nie zwlekając ani chwili trzeba mi odwiedzić i poradzić się Tronchina”. Postanowienie to, powzięte tak nagle i właśnie z początkiem najniekorzystniejszej pory roku, zdumiało mnie tym więcej, iż kiedy dwa dni temu rozstawałem się z panią d'Epina y, nie było jeszcze mowy o niczym. Spytałem, kogo weźmie z sobą. Rzekła, iż bierze syna wraz z panem de Linant; po czym dodała od niechcenia: „A ty, mój odludku, nie wybrałbyś się także?”. Ponieważ nie przypuszczałem, aby mówiła serio, świadoma, iż w porze roku, która nadchodziła, ledwie zdolny jestem wychodzić z pokoju, zacząłem żartować na temat użyteczności towarzystwa chorego dla eskorty drugiego chorego. Zdawało się, że pani d'Epina y też nie uważa swoich słów za formalną propozycję, tak iż niebawem nie było o tym mowy. Mówiliśmy jedynie o przygotowaniach do podróży, którymi zajęła się nader gorliwie, mając zamiar ruszyć najdalej do dwu tygodni.

Nie potrzebowałem rozwinać zbyt wielkiej przenikliwości, aby zrozumieć, że podróż ta miała tajemną przyczynę, którą mi skrywano. Tajemnicę tę, która była w całym domu tajemnicą tylko dla mnie, zdradziła mi na drugi dzień Teresa, której udzielił wiadomości tej Teissier, marszałek dworu, który znowuż dowiedział się od panny służącej<sup>76</sup>. Mimo iż nie mam co do tego sekretu zobowiązań wobec pani d'Epina y, ponieważ nie posiadam go od niej, jest on zanadto związany z tymi, które wiem od niej wprost, abym go mógł od nich odłączyć; dlatego zamilczę o tym. Ale te tajemnice, które nigdy nie wyszły i nie wyjdą z moich ust ani spod mego pióra, były wiadome zbyt wielu osobom, aby mogły zostać nieznane w całym otoczeniu pani d'Epina y.

Powiadomiony o prawdziwej pobudce podróży, poznałem sekretny manewr nieprzyjacielskiej ręki w tym usiłowaniu zrobienia mnie opiekunem pani d'Epina y w podobnych okolicznościach; ale ona sama nalegała tak miękko, iż nadal nie przypisywałem wagi temu projektowi co do mej osoby. Śmiałem się jedynie w duchu z ładnej roli, jaką bym odegrał, gdybym popełnił to głupstwo, aby się jej podjąć. Zresztą, pani d'Epina y zyskała tylko na mej odmowie, zdołała bowiem wreszcie nakłonić męża, aby jej towarzyszył.

<sup>74</sup>Aix-la-Chapelle (fr.) — Akwizgran, Aachen, miasto uzdrowiskowe w Niemczech, przy granicy z Belgią i Holandią. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>stać (daw.) — wystarczyć. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>podróż ta miała tajemną przyczynę (...) zdradziła mi na drugi dzień Teresa — „tajemną przyczyną”, jaką na wiarę insynuacji Teresy podejrzewa Rousseau, była rzekoma ciąża pani d'Epina y, której sprawcą miał być Grimm, a której za płaszczyk chciano jakoby użyć Russa. Pomijając, iż ta kombinacja wydaje się już na pierwszy rzut oka dość niedorzeczna, sama kwestia owej ciąży bynajmniej nie jest rozstrzygnięta; Faguet w świeżej swej monografii oświadcza się przeciwko niej, dokumentując obszernie swoje stanowisko; natomiast przypuszcza, iż chodziło tu o wspomnianą już chorobę pani d'Epina y, udzieloną jej przez męża. Faguet podkreśla z naciskiem, iż cały gmach podejrzeń, który tak bardzo boleśnie miał się zawalić na dalsze życie pisarza, zbudowany był na lokajskiej gadaninie, znoszonej skwapliwie do uszu pisarza przez Teresę. [przypis tłumacza]



W kilka dni później, otrzymałem od Diderota list, który przytoczę. List ten, złożony tylko we dwoje, tak że całe wnętrze można było bez trudu odczytać, przesłał mi pod adresem pani d'Épinay. Doręczenie powierzono panu de Linant, preceptorowi syna i konfidentowi matki.

List

*List Diderota (plik A, nr 52)*

Przeznaczeniem moim jest kochać Cię i sprawiać Ci przykrość. Dowiaduję się, że pani d'Épinay jedzie do Genewy, nie słyszę zaś nic o tym, abyś się wybierał jej towarzyszyć. Mój przyjacielu, jeżeli jesteś rad z pani d'Épinay, trzeba z nią jechać; jeżeli nierad, tym bardziej trzeba jechać. Gniecie Cię ciężar zobowiązań, jakie masz wobec niej? Oto sposobność, aby się z nich wypłacić bodaj w części i sprawić sobie ulgę. Czy znajdziesz drugą sposobność w życiu, aby jej okazać swą wdzięczność? Jedzie do kraju, gdzie będzie zupełnie obca. Jest chora: będzie potrzebowała rozrywki i towarzystwa. Zima! Zapewne, mój przyjacielu. Skrupuły Twego zdrowia są może znacznie silniejsze, niż przypuszczam. Ale czy miewasz się gorzej dziś niż przed trzema miesiącami i niż będziesz się miał z początkiem wiosny? Czy za trzy miesiące odbyłbyś tę podróż wygodniej niż teraz? Co do mnie, wyznaję, iż gdybym nie mógł znieść jazdy powozem, wziąłbym kij w rękę i towarzyszyłbym jej piechotą. A przy tym czy nie lękasz się, że Twoje postąpienie będzie tłumaczone w ujemny sposób? Będą Cię posądzać o niewdzięczność lub o inną tajemną pobudkę. Wiem dobrze, że cokolwiek byś uczynił, będziesz miał zawsze za sobą świadectwo swego sumienia, ale czy samo to świadectwo wystarcza i czy wolno jest lekceważyć poza pewne granice sąd innych? Zresztą, mój przyjacielu, piszę ten list, aby mieć czyste sumienie wobec Ciebie i siebie. Jeżeli ci się nie podoba, rzuć go w ogień i niech nie będzie o tym mowy, tak jakbym w ogóle nie pisał. Pozdrawiam Cię, Kocham i ściskam.

W miarę jak czytałem list, opanowała mnie furia gniewu, ómienie w oczach, które ledwie pozwoliło mi go dokończyć. Mimo to niepodobna mi było nie zauważyć zrzęczości, z jaką Diderot przybiera tu na pozór ton bardziej łagodny, serdeczny, uprzejmiejszy niż w innych listach, w których tytułował mnie co najwyżej „drogim”, nie racząc dawać mi miana przyjaciela. Łatwo poznałem rykoszet, jakim dostał mi się ten list, w którym nadpis<sup>77</sup>, forma i droga dość niezręcznie ujawniały źródło natchnienia; zazwyczaj bowiem pisywaliśmy do siebie pocztą lub dylizansem z Montmorency, i to był pierwszy i ostatni raz, że Diderot posłużył się tą drogą.

Kiedy pierwszy napad oburzenia pozwolił mi wziąć pióro w rękę, nakreśliłem spieszenie następującą odpowiedź. Zaniósłem ją natychmiast do Chevrette celem pokazania jej pani d'Épinay, której w mym ślepym gniewie chciałem ją przeczytać, zarówno jak list Diderota.

List

Drogi przyjacielu, nie możesz znać ani siły zobowiązań, jakie mogę mieć wobec pani d'Épinay, ani stopnia, do jakiego mnie wiążą, ani czy ona istotnie potrzebuje mnie w tej podróży, ani czy pragnie, abym jej towarzyszył, ani czy możliwe jest mi to uczynić, ani racji, jakie mogę mieć, aby tego poniechać. Nie uchylam się od przedyskutowania z Tobą wszystkich tych punktów; ale nim to nastąpi, przyznaj, iż przepisywać mi tak stanowczo to, co powinienem uczynić, nie postarawszy się o dane do sądenia o tym, przyznaj, drogi filozofie, znaczy wyrokować jak prosty świszczypała<sup>78</sup>. Gorsze w całej sprawie wydaje mi się to, że rada Twoja nie pochodzi od Ciebie. Pomijając, że wcale nie mam ochoty dać sobą powodować, pod Twoją firmą<sup>79</sup>, osobom trzecim i czwartym, rykoszety tego rodzaju ujawniają, moim zdaniem, drogę niezbyt godną Twojej szczerości; otóż, dobrze uczyniłbyś, i dla siebie, i dla mnie, wstrzymując się od takich dróg na zawsze.

Obawiasz się, aby źle nie tłumaczono mego postępowania; ale wyzywam serce takie jak Twoje, czy ośmieli się myśleć źle o moim sercu. Inni być może

<sup>77</sup>nadpis — to, co jest napisane nad tekstem, nagłówek. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>świszczypała — człowiek lekkomyślny, nieodpowiedzialny. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>firma — przen.: nazwisko osoby mającej ustaloną reputację, dobrą sławę w jakiejś sprawie. [przypis edytorski]

mówiliby o mnie lepiej, gdybym był do nich podobniejszy. Niech mnie Bóg chroni od ich uznania! Niechaj źli szpiegują i tłumaczą moje kroki, Rousseau nie jest stworzony na to, aby się ich obawiać, a Diderot, aby im dawać ucho.

Jeżeli twój bilecik nie spodoba mi się, piszesz, abym go wrzucił w ogień i aby nie było już o nim mowy. Czy myślisz, że zapomina się w ten sposób coś, co pochodzi od Ciebie? Mój drogi, równie tanio załatwiasz się w przykrościach, które mi sprawiasz, z mymi łzami, jak z życiem moim i zdrowiem w trudach, które zalecasz mi podjąć. Gdybyś mógł poprawić się z tego, przyjaźń Twoja byłaby mi słodsza, a ja sam mniej byłbym godzien pożałowania.

Wchodząc do pokoju pani d'Épinay, zastałem tam i Grimma, z czego byłem bardzo rad. Przeczytałem im głośno i wyraźnie, z męstwem, jakiego bym w sobie nie przypuszczał, oba listy; skończywszy zaś, dorzuciłem kilka słów, ujawniających tym dobitniej moją opinię. Po tym akcie odwagi, nieoczekiwanej ze strony tak lękliwego człowieka, ujrzałem, że oboje stoją przygnieceni do ziemi, ogłuszeni, niezdolni wymówić słowa. Ujrzałem zwłaszcza tego wyniosłego człowieka, jak spuszcza oczy w dół i nie śmie wytrzymać iskier mego spojrzenia: ale w tejże samej chwili w głębi serca poprzysiągł mi zgubę i jestem pewien, że uradzili ją, nim się rozstali.

W tym samym mniej więcej czasie otrzymałem wreszcie przez panią d'Houdetot odpowiedź Saint-Lamberta (plik A, nr 57), datowaną jeszcze z Wolfenbutel, w niewiele dni po jego wypadku; była to odpowiedź na mój list, który znacznie zapóźnił się w drodze. Przyniosła mi pociechę, której bardzo potrzebowałem w tej chwili, a to dzięki dowodom szacunku i przyjaźni, których list był pełny, a które dały mi siłę i odwagę, aby na nie zasłużyć. Od tej chwili nie zboczyłem ani na moment z drogi obowiązku; ale to pewna, iż gdyby Saint-Lambert okazał się mniej rozsądnym, mniej szlachetnym, mniej zacnym człowiekiem, byłbym zgubiony bez ratunku.

Czas stawał się przykry; wszyscy zaczęli się wynosić ze wsi. Pani d'Houdetot uwiadomiła mnie o dniu, w którym miała przybyć pożegnać się z doliną, i naznaczyła spotkanie w Eaubonne. Dzień ten zeszedł się przypadkowo z dniem, w którym pani d'Épinay opuszczała Chevette, aby się udać do Paryża dla ostatecznych przygotowań podróży. Szczęściem, pojechała rano: miałem czas jeszcze, pożegnawszy ją, pospieszyć na obiad do jej bratowej. Miałem list Saint-Lamberta w kieszeni; idąc, odczytałem go wiele razy. List ten posłużył mi za tarczę przeciw mej słabości. Postanowiłem widzieć odtąd w pani d'Houdetot jedynie przyjaciółkę i kochankę mego przyjaciela, i dotrzymałem tego. Spędziłem z nią kilka godzin sam na sam w rozkosznym spokoju, o wiele przewyższającym, nawet co do stopnia upojenia, owe napady gorączkowego szału, jakich doznawałem aż do tąd obok niej. Ponieważ wiedziała aż nadto, iż serce moje się nie zmieniło, umiała ocenić wysiłki, jakich dołożyłem, aby się zwyciężyć; to podwoiło jej szacunek, z przyjemnością spostrzegłem, że przyjaźń jej nie wygasła. Oznajmiła mi bliski powrót Saint-Lamberta, który mimo iż dość dobrze wyleczony ze swego napadu, nie był już zdolny ponosić trudów wojennych i rzucał służbę, aby żyć spokojnie obok niej. Snuliśmy uroczne projekty bliskiego pożycia we troje i mogliśmy żywić nadzieję, że wykonanie tego zamiaru będzie trwałe, zważywszy, że wszystkie uczucia zdolne kojarzyć tkliwe i zacne serca stanowią jego podstawę i że łączyliśmy we troje dosyć talentów i wiadomości, aby wystarczyć samym sobie i nie czuć potrzeby nikogo obcego. Niestety! Oddając się nadziei tak lubego życia, nie myślałem o tym, jakie czeka mnie w istocie.

Rozmawialiśmy następnie o mym obecnym położeniu wobec pani d'Épinay. Pokazałem list Diderota i moją odpowiedź; opowiedziałem wszystko, co zaszło, i oznajmiłem zamiar opuszczenia Pustelni. Pani d'Houdetot sprzeciwiała się temu żywo i wytoczyła racje wszechpotężne dla mego serca. Wyznała mi, jak bardzo by pragnęła, abym odbył tę podróż do Genewy, przewidując, iż nie omieszkałoby by wpłatać jej samej w przyczynę mej odmowy: co w istocie list Diderota zdawał się z góry zapowiadać. Mimo to, ponieważ znała moje pobudki równie dobrze jak ja sam, nie nalegała co do tego punktu; ale zaklinała, aby za wszelką cenę unikać wszelkiego rozgłosu. Zaleciła mi, abym się starał zlagodzić mią odmowę za pomocą racji dość prawdopodobnych, aby oddalić niesłuszne przypuszczenia co do jej udziału w tej sprawie. Oświadczyłem, iż nakłada mi nielekkie zadanie; ale że w gotowości odpokutowania win, bodaj za cenę własnej reputacji, nie

Honor

zawaham się poświęcić jej dla dobra opinii pani d'Houdetot, we wszystkim, co honor pozwoli mi ścierpieć. Niebawem okaże się, czy umiałem dopełnić zobowiązania.

Mogę przysiąc, iż nie tylko moja nieszczęsna namiętność nie straciła nic ze swej siły, ale że, przeciwnie, nigdy nie kochałem mojej Zofii tak żywo, tak czule jak właśnie tego dnia. Ale tak silne było wrażenie, jakie sprawił na mnie list Saint-Lamberta, poczucie obowiązku i wstręt do przewrotności, iż przez cały czas tego widzenia zmysły zostawiły mnie w zupełnym spokoju; nawet nie miałem pokusy pocałowania jej w rękę. Kiedym odchodził, uściskała mnie wobec służby. Pocałunek ów, tak różny od tych, które wydarłem jej niekiedy w gaiku, był mi rękojmią, iż odzyskałem panowanie nad sobą. Jestem prawie pewny, iż, gdyby serce moje miało czas umocnić się w spokoju, nie byłoby mi trzeba ani trzech miesięcy, aby się wyleczyć doszczętnie.

Tu kończą się moje osobiste stosunki z panią d'Houdetot. Każdy może oceniać je z pozorów, wedle natury własnego serca; ale namiętność, którą tchnęła we mnie ta uroczą kobietą, namiętność najżywsza może, jaka kiedykolwiek gościła w sercu człowieka, będzie się zawsze szczyliła, wobec nieba i samej siebie, rzadkimi i uciążliwymi poświęceniami, jakie ponieśliśmy oboje dla obowiązku, honoru, miłości i przyjaźni. Staliśmy nadto wysoko wzajem w swoich oczach, aby się łatwo móc poniżyć. Trzeba być niegodnym wszelkiego szacunku, aby się zgodzić na utratę szacunku tak wysokiej ceny; sama potęga uczuć, które mogły nas przywieść do grzechu, nie pozwoliła, abyśmy go popełnili.

W ten sposób, po tak długiej przyjaźni dla jednej, a tak żywej miłości do drugiej z tych kobiet, pożegnałem się z nimi oddzielnie tegoż samego dnia: z jedną, aby jej już nie ujrzeć w życiu, z drugą, aby ją ujrzeć już tylko dwa razy, w okolicznościach, które opowiem później.

Po ich wyjeździe znalazłem się w wielkim kłopotcie: jak spełnić tyle zobowiązań nagłych a sprzecznych, wynikłych z mej nieopatrzności? Gdybym się znajdował w naturalnym stanie, wystarczyłoby mi po propozycji i odmowie podróży do Genewy nie mieszać się nadal do tego i wszystkiemu byłby koniec. Ale ja, przez głupotę, uczyniłem z tego sprawę, która nie mogła zostać bez jakiegoś rozwiązania. Niepodobna było uchylić się od wszelkich wyjaśnień inaczej, jak tylko opuszczając Pustelnię: otóż, przyrzekłem właśnie pani d'Houdetot, że tego nie uczynię, przynajmniej nie w tej chwili. Co więcej, żądała, abym usprawiedliwił wobec mych rzekomych przyjaciół odmowę tej podróży, iżby nie przypuszczano, że ona jest tej odmowy pobudką. Nie mogłem wszelako zarazem przytoczyć prawdziwej przyczyny bez ubliżenia pani d'Epinay, wobec której po wszystkim, co dla mnie uczyniła, miałem niewątpliwie obowiązki wdzięczności. Wszystko zważywszy, znalazłem się w twardej, ale nieuchronnej konieczności uchybienia pani d'Epinay, pani d'Houdetot albo sobie. Obrałem to ostatnie. Obrałem śmiało, stanowczo, bez wykrętów, z wielkodusznością godną niewątpliwie zmyć błędy, które doprowadziły mnie do tej ostateczności. Poświęcenie to, z którego nieprzyjaciele moi umieli wyciągnąć korzyść, którego czekali może, spowodowało zgubę mej reputacji i odjęło mi, dzięki ich staraniom, publiczny szacunek; ale wróciło mi własny i pocieszyło mnie w nieszczęściach. Nie pierwszy to raz, jak się okaże, uczyniłem podobne poświęcenie ani też nie ostatni raz skorzystano zeń, aby mnie pognębić. Grimm był jedynym, który zdawał się nie mieć żadnego udziału w tej sprawie; do niego tedy postanowiłem się zwrócić. Napisałem długi list, w którym przedstawiłem całą śmieszność czynienia mi rzekomego obowiązku z tej podróży do Genewy, bezużyteczność, kłopotliwość nawet mego towarzystwa dla pani d'Epinay, a równocześnie ciężary, jakie wynikłyby stąd dla mnie samego. Nie oparłem się w tym liście pokusie, aby Grimmowi dać do zrozumienia, że wiem o wszystkim i że wydaje mi się co najmniej osobliwe, abym ja musiał podjąć tę podróż, podczas gdy on sam uchyla się od niej i nikt nawet nie czyni o nim wzmianki. Ten list, w którym, nie mogąc jasno powiedzieć swoich racji, byłem zmuszony uciekać się często do kołowań, ściągających na mnie w oczach publiczności pozory raczej ujemne; ale dla ludzi, którzy jak Grimm byli świadomi faktów, które przemilczałem, a które usprawiedliwiały w całej pełni moje postępowanie, mógł być wzorem powściągliwości i dyskrecji. Nie lękałem się nawet wprowadzić jeszcze jednego motywu na swoją niekorzyść, przypisując zdanie Diderota innym mym przyjaciółom i dając do zrozumienia, że pani d'Houdetot zapatrywała się tak samo, co było prawdą, ale zamilczając, iż wysłuchawszy mych racji, zmieniła zda-

List

nie. Nie mogłem lepiej oczyścić jej z podejrzania zmowy, niż okazując się na tym punkcie niezadowolony z jej stanowiska.

List kończył się aktem ufności, którą każdy inny uczułby się wzruszony; wzywając Grimma, aby rozważył moje racje i aby mi potem objawił swe zdanie, oznajmiałem mu, iż zdanie to, bez względu jak wypadnie, będzie dla mnie rozstrzygające. Taką w istocie była moja intencja, nawet gdyby oświadczył się za podróżą; albowiem wobec tego, iż pan d'Epinay podjął się towarzyszyć żonie, rola moja stawała się zupełnie odmienna: podczas gdy zrazu mnie chciano uczynić kozłem ofiarnym i pomyślano o nim dopiero po mej odmowie.

Odpowiedź Grimma przyszła dość nierychło, a brzmiała nader osobliwie. Przytoczę ją tutaj (plik A, nr 59).

Wyjazd pani d'Epinay odłożony; syn jej zachorował i trzeba czekać aż wydobrzeje. Zastanowię się nad Twym listem; na razie siedź spokojnie w Pustelni. Zawiadomię Cię w swoim czasie o mym zdaniu. Ponieważ pani d'Epinay stanowczo nie wyjedzie przed upływem kilku dni, nic nie nagli. Na razie, jeżeli uważasz za stosowne, możesz jej przedstawić swoją gotowość, jakkolwiek wydaje mi się to dosyć obojętne; znając bowiem Twoje położenie równie dobrze jak Ty sam, nie wątpię, że odpowie na Twą ofiarę tak, jak powinna. Jedyne zysk z tego obrotu, to iż będziesz mógł powiedzieć tym, co Cię przyciskają do muru, że jeżeli nie pojechałeś, to nie z braku gotowości. Zresztą, nie widzę dlaczego chcesz bezwarunkowo, aby filozof był tu rzecznikiem całego świata, i ponieważ, jego zdaniem, powinienś jechać, dlaczego przypuszczasz, że wszyscy przyjaciele rozumieją o tym tak samo? Jeżeli napiszesz do pani d'Epinay, odpowiedź jej może ci posłużyć za replikę wszystkim tym przyjaciółom, skoro tak Ci leży na sercu to, aby im zamknąć usta. Bądź zdrów, pozdrowienia pani Le Vasseur i Śledczemu<sup>80</sup>.

Tknięty zdumieniem przy czytaniu tego listu, dociekałem z niepokojem, co by mógł oznaczać i nie mogłem odgadnąć. Jak to! Zamiast z całą prostotą odpowiedzieć na moje pismo, on żąda czasu do „zastanowienia” się nad nim, jak gdyby już ta zwłoka, która poprzedziła jego odpowiedź, nie była wystarczająca! Uprzedza mnie nawet, że decyzja jego odwlecze się jakiś czas, jak gdyby chodziło o głęboki problem do rozwiązania lub też jak gdyby ważnym było dla jego widoków odjąć mi wszelki sposób przeniknięcia jego zapatrywań aż do chwili, w której zechce mi je objawić. Co znaczą, ostatecznie, te ostrożności, odwłoki, tajemnice? Czy w ten sposób odpowiada się zaufaniu? Czy tak postępuje człowiek prosty i szczerzy? Szukałem na próżno jakiegoś usprawiedliwienia dla tego postępków i nie mogłem znaleźć. Jakkolwiek krył się pod nim zamiar, jeśli był przeciwny moim, położenie Grimma ułatwiało jego wykonanie, ja zaś nie miałem żadnego sposobu przeciwdziałania. Zażywający łask w domu możnego księcia, mile widziany w świecie, nadający ton towarzystwom, w których obracaliśmy się obaj, a których był wyrocznią, mógł ze zwykłą zręcznością kierować wedle upodobania całą akcją; podczas gdy ja, samotny w swej Pustelni, z dala od wszystkiego, bez niczyjej porady, bez styczności z nikim, nie miałem innej drogi, jak tylko czekać i siedzieć cicho. Napisałem jedynie do pani d'Epinay, z powodu choroby jej syna, list możliwie najbardziej przyjacielski, w którym wszelako strzegłem się wpaść w pułapkę i ani słowem nie ofiarowałem się z gotowością podróży.

Po wiekach oczekiwania w okrutnej niepewności, w jaką wtrącił mnie ten barbarzyński człowiek, dowiedziałem się, po upływie ośmiu czy dziesięciu dni, że pani d'Epinay wyjechała. Równocześnie otrzymałem od Grimma drugi list. Zawierał jedynie kilka wierszy, których nie zdołałem doczytać... Było to zerwanie, ale w słowach takich, które może poddyktować jedynie najbardziej piekielna nienawiść i które nawet stawały się głupie przez to, iż chciały być dotkliwie obrażające. Bronił mi swego widoku, tak jakby mi bronił przystępu do swego państwa. List ten, gdybym był zdolny odczytać go z zimniejszą krwią, byłby mnie pobudził do serdecznego śmiechu. Nie przepisawszy go, nie dokończywszy nawet czytać, odesłałem go, dołączając tę odpowiedź:

<sup>80</sup> *pozdrowienia [...] Śledczemu* — stary Le Vasseur, którego żona trzymała dość krótko, nazywał ją „sędzią śledczym”. Grimm dawał niekiedy żartem miano to córce, dla skrócenia zaś opuszczał pierwszy wyraz. [przypis tłumacza]

Opierałem się mej słusznej nieufności; obecnie, zbyt późno, poznaję Pana.

Oto więc list, na którego obmyślenie potrzebowałeś tyle czasu: zwracam go Panu; nie jest pisany do mnie. Co do mego listu, możesz go Pan pokazać całemu światu i nienawidzić mnie otwarcie; będzie to z Pańskiej strony jednym fałszem mniej.

Wzmianka, iż może pokazać moje poprzednie pismo, odnosiła się do jednego punktu jego listu, z którego będzie można osądzić głęboką przebiegłość, z jaką pokierował tą sprawą.

Wspomniałem, iż wobec ludzi nie obznajmionych z całą kwestią list mój mógł dostarczyć wiele argumentów przeciw mnie. Grimm spostrzegł to z radością; ale jak wyzyskać tę przewagę, nie narażając siebie? Pokazując list, ściągał na siebie zarzut, iż nadużył ufności przyjaciela. Aby wyjść z tego kłopotu, postanowił zerwać ze mną w sposób najbardziej dotkliwy i zaznaczyć w swoim liście łaskę, jaką mi czyni, iż nie pokazuje mego listu. Był zupełnie pewien, że w pierwszym porywie wzgardzę tą udaną dyskrecją i pozwolę mu pokazać mój list całemu światu. Tego właśnie pragnął i wszystko spełniło się tak, jak przygotował. Puścił w obieg mój list po całym Paryżu, z komentarzami swego wymysłu, które wszelako nie zyskały takiego sukcesu, jak sobie obiecywał. Uważano, iż pozwolenie pokazania listu, które ze mnie wycisnął, nie obmywa go z zarzutu, iż tak lekko wziął mnie za słowo, aby mi szkodzić. Pytano uporczywie, jakie są moje osobiste przewiny wobec niego, zdolne usprawiedliwić podobną nienawiść. Wreszcie uważano, że gdybym nawet ponosił winy, które każałyby mu zerwać, przyjaźń, nawet wygasła, posiada jeszcze pewne prawa, i te prawa powinien być uszanować. Ale na nieszczęście Paryż jest lekki; doraźne refleksje rychło zacierają się w pamięci. Nieszczęsny nieobecny idzie w kąt, tryumfator narzuca się swą obecnością; intryga i złośliwość podają sobie ręce, ponawiają ataki i niebawem działanie ich, wciąż podejmowane na nowo, zaciera poprzednie wrażenia.

Oto jak, omamiwszy mnie na tak długo, człowiek ten zrzucił wreszcie maskę, przekonany, iż w stanie rzeczy, do którego doprowadził, już jej nie potrzebuje. Zwolniony od obawy skrzywdzenia we własnym sercu tego nędznika, zdałem go jego własnemu losowi i przestałem o nim myśleć. W tydzień po otrzymaniu tego listu nadeszła również od pani d'Epinau odpowiedź, datowana z Genewy, na mój poprzedni list (plik B, nr 10). Z tonu, jaki przybrała po raz pierwszy w życiu, zrozumiałem, iż oboje, licząc na powodzenie swego planu, działają w porozumieniu i że uważając mnie za człowieka zgubionego bez ratunku, oddają się już bez ryzyka przyjemności zdławienia mnie do reszty.

Stan mój, w istocie, był w najwyższym stopniu oplakany. Widziałem, iż wszyscy oddalają się ode mnie, nie mogłem zaś zrozumieć jak i dlaczego. Diderot, który chełpił się, że ostał się przy mnie, i to sam jeden, od trzech miesięcy przyrzekał mi swoje odwiedziny, ale nie przybywał. Nadchodziła zima, wraz z nią dawały mi się uczuć napady zwykłych cierpień. Natura moja, mimo iż silna, nie mogła wytrzymać starcia tylu sprzecznych namiętności: znajdowałem się w stanie wyczerpania, które nie zostawiało mi sił ani odwagi do jakiegokolwiek odporu. Gdyby moje zobowiązania, gdyby ustawiczne przedstawienia Diderota i pani d'Houdetot pozwoliły mi nawet w tej chwili opuścić Pustelnię, nie wiedziałem ani gdzie iść, ani jak się dowlec. Tkwiłem nieruchomy i oglupiały, nie zdolny działać ani myśleć. Sama myśl o zrobieniu kroku, napisaniu listu, wyrzeczeniu słowa przyprawiała mnie o drżenie. Nie mogłem wszelako zostawić listu pani d'Epinau bez odpowiedzi; znaczyłoby to uznać się godnym obejścia, jakim ona i jej przyjaciel mnie sponiewierali. Postanowiłem zaznaczyć swoje uczucia i zamiary, nie wątpiąc ani na chwilę, iż ludzkość, wspaniałomyślność, przyzwoitość, dobre skłonności, jakich mimo wszystko dopatrywałem się w niej, każą pani d'Epinau bez wahania przychylić się do nich. Oto mój list.

*Z Pustelni, 23 listopada 1757*

Gdyby się umierało z bolesti, już bym nie żył. Ale, ostatecznie, pogodziłem się z losem. Przyjaźń między nami wygasła; ale nawet przyjaźń umarła zachowuje jeszcze prawa, które umiem szanować. Nie zapomniałem dobroci

Pani dla mnie; może Pani liczyć z mej strony na całą wdzięczność, jaką można mieć dla kogoś, kogo nie wolno już kochać. Wszelkie inne wyjaśnienia byłyby zbyt bezużyteczne: niech Panią sędzi sumienie; ja w moim jestem czysty.

Chciałem opuścić Pustelnię, i tak byłem powinien. Ale ludzie życzliwi mi twierdzą, iż trzeba zostać tu do wiosny; skoro przyjaciele moi tak sobie życzą, zostaną do wiosny, jeżeli Pani się zgodzi.

Napisawszy i wysławszy ten list, myślałem już tylko o tym, aby odzyskać spokój w Pustelni, pielęgnując swoje zdrowie, starając się odzyskać siły i przygotowując wszystko, aby ją opuścić na wiosnę, bez rozgłosu i bez pozorów zerwania. Ale taki obrót rzeczy nie był na rękę Grimmowi i pani d'Epinau, jak się okaże za chwilę.

W kilka dni później spotkała mnie radość: odwiedziny Diderota tyle razy zapowiadane i znowu odkładane, przysły wreszcie do skutku. Nie mogły przyjść bardziej w porę. Był to mój najdawniejszy przyjaciel, jedyny prawie, który mi został; można osądzić, z jaką radością ujrzałem go w tych okolicznościach. Serce moje było pełne; wylałem je na jego sercu. Objąłem go co do wielu faktów, które mu zamilczano, przekręcano lub zmyślano. Powiadomiłem go o wszystkim, co się stało, o tyle, o ile mi wolno było mówić. Nie silłem się zamilczeć tego, o czym wiedział aż nadto dobrze, iż miłość, równie nieszczęśliwa jak szalona, stała się narzędziem mej zguby; ale nie zdradziłem ni słowem, aby pani d'Houdetot wiedziała o niej lub przynajmniej, abym ja jej ją wyznał. Powiedziałem mu o niegodnych podstępach pani d'Epinau dla pochwycenia niewinnych listów, jakie pisała do mnie jej bratowa. Chciałem, aby dowiedział się tych szczegółów z własnych ust osób, które ta pani silła się pozyskać dla swych planów. Teresa zeznała wszystko wiernie; ale któż wystawi sobie moje oburzenie, kiedy przyszła kolej na matkę i kiedy, w żywe oczy, oświadczyła i stwierdziła stanowczo, że o niczym podobnym nie wie! Tak rzekła i nie było sposobu wydobyć z niej czegokolwiek. Nie minęły jeszcze cztery dni, jak mnie samemu opowiedziała całą przygodę; i oto zadaje mi łgarstwo wobec przyjaciela! Ten rys dopełnił już miary; uczułem żywo, jak byłem nieostrożny, aby tak długo trzymać przy sobie taką kobietę. Nie zadałem sobie trudu potraktowania jej tak, jakby zasługiwała; ledwie raczyłem jej rzucić kilka słów wzgardy. Uczułem, ile winien jestem córce, której niezachwiana prawość odbijała tym silniej od niegodnej nikczemności matki. Ale od tej chwili postanowienie moje co do starej zapadło; czekałem już tylko chwili, aby je wykonać.

Chwila ta nadeszła wcześniej, niż się spodziewałem. 10 grudnia otrzymałem od pani d'Epinau odpowiedź na poprzedni list. Oto jej zawartość (plik B, nr 11).

*Genewa, 1 grudnia 1757*

Szereg lat dawałam Panu wszelkie dowody przyjaźni i życzliwości; obecnie zostaje mi jedynie ubolewać nad Panem. Jest Pan bardzo nieszczęśliwy. Pragnę, aby sumienie Pańskie było równie spokojne jak moje. Inaczej trzeba by mi się lękać o spokój Pańskiego życia.

Skoro chce pan opuścić Pustelnię, i skoro *powinieneś* to uczynić, dziwię się, iż przyjaciele Pańscy Go zatrzymują. Co do mnie, nie zwykłam radzić się nikogo w rzeczach dotyczących się moich obowiązków, nie mam też Panu już nic do powiedzenia w kwestii Pańskich.

Wypowiedzenie domu tak niespodziane, ale wyrażone tak dobitnie, nie pozwoliło mi się wahać ani chwili. Trzeba było wynosić się natychmiast, bez względu na pogodę, na stan zdrowia, choćbym miał nocować w lesie i na śniegu, który wówczas pokrywał ziemię, i bez względu na to, co mogłaby myśleć i uczynić pani d'Houdetot. Byłem gotów poddać się jej woli we wszystkim, ale nie aż do upodlenia.

Nigdy w życiu nie znalazłem się w straszliwszym kłopotcie; ale postanowienie moje było niezłomne; przysiągłem, iż cokolwiek się stanie, do tygodnia nie będzie mnie w Pustelni. Zabrałem się tedy do pakowania rzeczy, gotów zostawić je raczej w szczerym polu, niżbym miał nie zwrócić kluczy w ciągu tygodnia. Chciałem zwłaszcza, aby wszystko było dokonane, nim poczta zdąży zanieść jakikolwiek list do Genewy i przynieść stamtąd odpowiedź. Byłem pełen energii, jakiej w życiu nie odczuwałem; wróciła mi pełnia sił.

Godność moja i oburzenie dały mi hart, na który pani d'Epina nie liczyła. Przypadek przyszedł z pomocą mej determinacji. Pan Mathas, fiskalny pełnomocnik księcia de Condé, usłyszał o mym kłopotcie. Ofiarował mi domek, który posiadał w ogrodzie swoim w Mont-Louis, w Montmorency. Przyjąłem skwapliwie i z wdzięcznością. Niebawem załatwiłem potrzebne sprawunki; kupiłem naprędce kilka sprzętów, które, dołączone do naszych dawnych, pozwoliły mi, wraz z Teresą, rozpocząć nowe gospodarstwo. Kazałem przewieźć rzeczy z wielkim trudem i kosztem; mimo śniegu i gołoledzi przenosiny odbyły się w ciągu dwóch dni. Piętnastego grudnia oddałem klucze od Pustelni, pokrywwszy zasługi ogrodnika, skoro nie mogłem zapłacić komornego.

Co do pani Le Vasseur, oświadczyłem jej, że trzeba nam się rozstać. Córka chciała mnie uprosić; byłem nieugięty. Wyprawiłem ją do Paryża dylizansem pocztowym, wraz z wszystkimi rzeczami i sprzętami, które posiadała wspólnie z córką. Dałem jej nieco pieniędzy, zobowiązałem się płacić za nią komorne u jej dzieci lub gdzie indziej, jak również pomagać do egzystencji w granicach możliwości i nigdy nie dać jej cierpieć braku chleba, póki ja sam go będę miał.

Wreszcie na trzeci dzień po przybyciu do Mont-Louis, napisałem do pani d'Epina następujący list:

*Montmorency, 17 grudnia 1757*

Prostą i jasną rzeczą jest, łaskawa Pani, iż trzeba mi bezzwłocznie opuścić jej dom, skoro nie życzy sobie, abym w nim został. Otrzymałszy wiadomość, iż nie godzi się Pani, bym spędził w Pustelni resztę zimy, opuściłem ją tedy 15 grudnia. Przeznaczeniem moim było zamieszkać tam wbrew mej woli i wyprowadzić się tak samo. Dziękuję pani za gościnę, jaką mi ofiarowałaś; dziękowałbym jeszcze bardziej, gdybym mniej drogo ją opłacił. Zresztą ma Pani rację, uważając mnie za nieszczęśliwego; nikt w świecie nie wie lepiej od Pani, jak bardzo w istocie nim jestem. Jeżeli nieszczęściem jest omylić się w wyborze przyjaciół, drugim, nie mniej okrutnym, jest ocknąć się z tak słodkiej omyłki.

Taką jest wierna opowieść mego pobytu w Pustelni i przyczyny, które kazały mi ją opuścić. Nie mogłem skrócić tego opowiadania; ważnym było przedstawić jego bieg z największą dokładnością, ile że ten okres mego życia miał na dalszy jego przebieg wpływ, który będzie sięgał aż do ostatniego mego dnia.

## KSIEGA X

(1758). Nadzwyczajne siły, które w chwili rozstania się z Pustelnią, czerpałem z przemijającego podniecenia, opuściły mnie natychmiast, skoro raz znalazłem się poza progiem. Ledwie rozgościłem się w nowym mieszkaniu, kiedy gwałtowne i częste ataki zatrzymywania moczu powikłały się nowym niedomaganiem, mianowicie przepukliną, która dręczyła mnie od pewnego czasu, mimo że nie zdawałem sobie sprawy z jej istoty. Niebawem nawiedziły mnie najokrutniejsze przypadłości. Lekarz Thierry, dawny przyjaciel, odwiedził mnie i oświecił co do mego stanu. Sondy, katetery<sup>81</sup>, bandaż, cały arsenał niedomagań wieku, dały mi twardo uczuć, że nie wolno mieć bezkarnie młodego serca, kiedy ciało przestało być młode. Nadejście pięknej pory nie wróciło mi sił; spędziłem cały ten rok 1758 w stanie osłabienia, które budziło we mnie myśl, iż dochodzę kresu mej drogi. Patrzałem na zbliżający się koniec prawie z upragnieniem. Otrzeźwiony z majaków przyjaźni, oderwany od wszystkiego, co mi czyniło życie drogim, nie widziałem przed sobą nic, co by mi je mogło uczynić przyjemnym; widziałem już same tylko nędze i niedole, które nie pozwalały mi cieszyć się sobą. Wzdychałem do chwili, w której stanę się wolny i umknę się swoim wrogom. Ale powróćmy do toku wydarzeń.

Zdaje się, że moje przeniesienie do Montmorency zaskoczyło panią d'Epina: prawdopodobnie nie spodziewała się tego. Mój smutny stan, ostrość pory roku, powszechnie

<sup>81</sup>kateter — cewnik, rurka wprowadzana do pęcherza w celu sztucznego odprowadzania moczu. [przypis edytorski]

opuszczenie, w jakim się znalazłem, wszystko to pozwalało jej przypuszczać, wraz z Grimmem, iż przywodząc mnie do ostateczności, zniewolą mnie do proszenia o łaskę i znizenia się do najgorszych upodnień, byle mnie zostawiono w schronieniu, które honor nakazywał opuścić. Wyprowadziłem się tak nagle, iż nie mieli czasu uprzedzić tego ciosu. Z tą chwilą nie zostało im nic, jak tylko grać o podwójną stawkę: zgubić mnie do reszty, albo też starać się ściągnąć mnie z powrotem. Grimm obrał pierwszą drogę; ale sądzę, że pani d'Epina y byłaby wolała drugą; wnoszę to z jej odpowiedzi na mój ostatni list, w której złagodziła znacznie ton przybrany poprzednio i zdawała się otwierać furtkę dla pojednania. Długa odwłoka<sup>82</sup> tej ostatniej odpowiedzi, na którą kazała mi czekać cały miesiąc, dostatecznie wskazuje, w jakim kłopotcie musiała się znaleźć, aby nadać zakończeniu sprawy przyzwoitą formę; sądzę też, że odpowiedź tę poprzedziła gruntowna narada. Nie mogła posunąć się dalej, nie narażając się: ale po poprzednich listach pani d'Epina y i po moim nagłym opuszczeniu domu uderzyć musi troskliwość, z jaką czuwa w całym liście, aby nie wtrącić ani jednego przykrego słowa. Przepiszę go w całości, aby czytelnik mógł osądzić (plik B, nr 23).

*Genewa, 17 stycznia 1758*

List Pański z 17 grudnia otrzymałam dopiero wczoraj. Przesłano mi go w skrzynce pełnej rozmaitych rzeczy, która wędrowała cały ten czas. Odpowiem jedynie na przypisek; co do listu, nie rozumiem go dobrze; gdybyśmy znaleźli sposobność do wyjaśnień, rada byłabym wszystko, co zaszło, położyć na karb nieporozumienia. Wracam do przypisku. Przypomina Pan sobie zapewne, iż ułożyliśmy się, że zasługi ogrodnika Pustelni będą przechodzić przez Pańskie ręce, aby mu tym wyraźniej dać uczuć, że zależny jest od Pana, i aby Panu oszczędzić niedorzecznych i nieprzyzwoitych scen, na jakie sobie pozwalał jego poprzednik. Dowodem tego jest, iż pierwsze kwartały jego zasług oddano Panu do rąk i że ugodziliśmy się na krótki czas przed moim wyjazdem, iż odbierze Pan to, co Pan wyłożył. Wiem, że Pan czynił zrazu trudności w tej mierze; ale wszakże tych zaliczek udzielił Pan na moją prośbę, prostym było tedy, iż ja je pokryję; porozumieliśmy się zresztą co do tego punktu. Otóż Cahouet<sup>83</sup> donosi mi, że Pan nie chciał przyjąć pieniędzy. Jest w tym niewątpliwie jakieś nieporozumienie. Wysyłam równocześnie rozkaz, aby Panu wręczono tę kwotę, i nie rozumiem, dlaczego Pan chce płacić mego ogrodnika, wbrew umowie i nawet poza termin, do którego mieszkałeś w Pustelni. Spodziewam się tedy, iż przypomniawszy sobie wszystkie okoliczności, które miałam zaszczyt przytoczyć, nie odmówisz przyjęcia zwrotu sumy, jaką zechciałeś uprzejmie zaliczyć na mój rachunek.

Po wszystkim, co zaszło, nie mogąc już mieć zaufania do pani d'Epina y, nie chciałem wchodzić z nią w żadne stosunki; nie odpowiedziałem na list i korespondencja urwała się. Widząc, że decyzja moja jest niezłomna, i ona również zajęła zdecydowane stanowisko; wchodząc od tej chwili we wszystkie intencje Grimma i Holbachowskiej koterii, dołączyła swoje wysiłki do ich starań, aby mnie zepchnąć na dno. Podczas gdy oni pracowali w Paryżu, działała w Genewie. Grimm, który później pospieszył tam za panią d'Epina y, dokończył tego, co ona zaczęła. Tronchin, którego bez trudu przyszło im pozyskać, wspierał ich potężnie i stał się najzjadlejszym z moich prześladowców, mimo iż, podobnie jak Grimm, nie miał nigdy żadnego powodu do uskarżania się na mnie. Wszyscy troje jednomyślnie zasiali w Genewie ziarno, które, jak się pokaże, weszło w cztery lata później.

Trudniej przyszło im to w Paryżu, gdzie byłem więcej znany i gdzie serca, mniej skłonne do nienawiści, nie tak łatwo przyjęły zatrute podszepty. Aby tym zręczniejsze zadać cios, zaczęli od rozgłaszania, że to ja z nimi zerwałem (patrz list Deleyre'a, plik B, nr 30). Następnie, udając wciąż moich przyjaciół, rozsiewali zręcznie złośliwe oskarżenia, niby to skargi na niesprawiedliwość przyjaciela. Dzięki tej postawie łatwiej zdołali znaleźć posłuch

<sup>82</sup>odwłoka (daw.) — zwłoka, odłożenie sprawy. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Cahouet — główny nadzorca posiadłości pani d'Epina y. [przypis edytorski]



świata i skierować na mnie całe jego potępienie. Głuche oskarżenia o przewrotność i niewdzięczność, rzucone z wszelkimi pozorami dobroduszości, działały tym skuteczniej. Dowiedziałem się, iż obwiniają mnie o potworne niegodziwości, ale nigdy nie mogłem się dowiedzieć, na czym one polegają. Wszystko, co mogłem wyciągnąć z tych pogłosek, sprowadzało się do czterech kapitalnych zbrodni: 1° moje usunięcie się na wieś; 2° miłość do pani d'Houdetot; 3° odmowa towarzyszenia pani d'Épinay do Genewy; 4° opuszczenie Pustelni. Jeżeli dołączyli do tego inne zarzuty, wzięli się do tego tak zręcznie, iż wprost niepodobna mi było dowiedzieć się kiedykolwiek, co było ich przedmiotem.

Pod tą datą tedy mogę, jak sądzę, ustalić fundamenty systemu, przyjętego później przez tych, którzy rozrządzają mym losem. Postępy tej metody okazały się tak szybkie i skuteczne, iż wydawałyby się cudem dla kogoś, kto by nie wiedział, z jaką łatwością znachodzi<sup>84</sup> grunt to, co sprzyja złośliwości ludzkiej. Postaram się w krótkich słowach przedstawić wszystko, co zdołałem poznać z tego tajemnego i głębokiego systemu.

Posiadając nazwisko sławne już i znane w całej Europie, zachowałem prostotę pierwszych swych upodobań. Śmiertelna niechęć do wszystkiego, co nazywa się stronnictwem, koterią, kliką, zachowała mnie wolnym, niezależnym, bez żadnego łańcucha prócz węzłów serca. Sam, obcy, odosobniony, bez oparcia, rodziny, dzierżący się jeno zasad swych i obowiązków, szedłem nieustraszenie drogą cnoty, nie schlebając, nie oszczędzając nigdy nikogo z ujmą dla sprawiedliwości i prawdy. Co więcej, usunąwszy się od dwóch lat w samotnię, bez styczności z nowinkami, bez stosunków ze sprawami świata, niczego nie świadom i nie ciekawy żyłem o cztery mile od Paryża, równie odcięty od tej stolicy przez swą obojętność, co gdybym znajdował się za oceanem, gdzieś na wyspie Tinian<sup>85</sup>.

Grimm, Diderot, d'Holbach, przeciwnie, w samym centrum ruchu, żyli i bywali w najszerszym świecie, i dzielili poniekąd między siebie wszystkie jego sfery. Wielcy panowie, pięknoduchy, literaci, dygnitarze, kobiety — wszyscy mieli dla nich ucho. Można ocenić przewagę, jaką to położenie daje trzem ludziom doskonale zjednoczonym przeciw czwartemu, w położeniu, w jakim ja się znalazłem. To prawda, że Diderot i d'Holbach nie byli (przynajmniej trudno mi w to uwierzyć) ludźmi zdolnymi do zbyt czarnych kno-wań; jeden nie miał po temu dość złośliwości, drugi sprytu; ale to właśnie czyniło skład tej klikki tym doskonalszym. Grimm sam jeden budował w głowie plan i odsłaniał zeń tamtym obu jedynie tyle, ile było trzeba dla współdziałania. Wpływ, jaki miał na nich, czynił udział ten nader łatwym, a skutek odpowiadał w zupełności uzdolnieniom jego w tej mierze.

Z tym to niepospolitym talentem, czując przewagę swej pozycji, powziął projekt obalenia mej reputacji od fundamentów do stropu i nie narażając się samemu, stworzenia mi wręcz przeciwnej opinii. Zaczął od tego, iż wzniósł dokoła mnie gmach ciemności; a uczynił to tak zręcznie, iż niepodobna mi było przeniknąć jego machinacji, aby je oświecić i zdemaskować.

Przedsięwzięcie to było o tyle trudne, iż trzeba było złagodzić jego niegodziwość w oczach tych, którzy mieli w nim współdziałać. Trzeba było oszukać uczciwych ludzi, trzeba było odsunąć ode mnie cały świat, nie zostawić mi ani jednego przyjaciela, bądź wśród wielkich, bądź wśród małych. Co mówię! Trzeba było zapobiec, aby bodaj słowo prawdy nie przedostało się do mnie. Gdyby jeden szlachetny człowiek przyszedł mi powiedzieć: „Udajesz cnotliwego, a oto jak cię traktują i wedle czego cię sądzą: co możesz na to powiedzieć?“, wówczas prawda odniosłaby tryumf, a Grimm byłby zgubiony. Wiedział o tym, ale zgłębił własne serce i szacował ludzi tylko tyle, ile są warci. Przykro mi dla honoru ludzkości, iż obliczenia jego okazały się tak trafne.

Posuwając się w tych podziemiach, pragnąc iść pewnie, musiał iść wolno. Mija dwanaście lat, jak dąży za swoim planem, a najtrudniejsze zostaje jeszcze do zrobienia: to jest oszukać całą publiczność. Istnieją wśród niej oczy, które śledziły go pilniej, niż mnie-

Nienawiść, Fałsz

<sup>84</sup>znachodzić (daw.) — znajdować. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Tinian — jedna z trzech głównych wysp północnej części archipelagu Marianów, w pld.-zach. części Oceanu Spokojnego; od końca XVII w. stanowiła port zawinięcia dla europejskich statków uzupełniających tam zapasy wody i żywności. W *Nowej Heloizie* Saint-Preux odwiedza tę wyspę w podróży dookoła świata. [przypis edytorski]

ma. Lęka się tego i nie śmie jeszcze wydobyć swych knowań na światło dzienne<sup>86</sup>. Ale znalazł niezbyt trudny sposób wciągnięcia w to władzy, władzy, która ma mnie w rękę. Wsparty tą pomocą, posuwa się naprzód z mniejszym ryzykiem. Ponieważ satelici władzy mało zazwyczaj troszczą się o uczciwość, a jeszcze mniej o szczerość, nie zachodzi obawa niedyskrecji jakiegos uczciwego człowieka. Rzeczą pierwszorzędną wagi dla mego prześladowcy jest to, aby rozsunąć dokoła mnie nieprzeniknione ciemności i aby nici spisku były mi wciąż zakryte; wie dobrze, że mimo całej sztuki, z jaką usnuł swoje sieci, nie wytrzymałyby one mego spojrzenia. Jego wielka zręczność polega na tym, aby mnie pozornie oszczędzać wówczas, gdy mnie spotwarza, i aby nawet swojej perfidii nadać pozory wspaniałomyślności.

Pierwsze skutki tego systemu odczułem w głuchych oskarżeniach koterii Holbachowskiej, przy czym niepodobna mi było dowiedzieć się ani nawet domyślić, na czym polegają te oskarżenia. Deleyre donosił mi w listach, iż przypisują mi jakieś niegodziwości; Diderot, bardziej tajemniczo, powiadał toż samo; ilekroć zaś z jednym i drugim wdałem się w wyjaśnienia, wszystko sprowadzało się do kilku przytoczonych poprzednio punktów. Czułem stopniowe oziębienie w listach pani d'Houdetot. Nie mogłem tego oziębienia przypisać Saint-Lambertowi, który wciąż utrzymywał ze mną korespondencję niezmiennie przyjazną, a nawet odwiedził mnie za powrotem. Nie mogłem również poczuwać się sam do winy w tym względzie, ponieważ rozstaliśmy się bardzo serdecznie, nic zaś od tego czasu nie zaszło z mej strony poza wyjazdem z Pustelni, którego pani d'Houdetot sama odczuła konieczność. Nie wiedząc tedy, do czego odnieść to oziębienie, którego ona nie przyznawała, ale co do którego serce moje nie mogło się mylić, byłem niespokojny o wszystko. Wiedziałem, że liczy się niezmiernie z bratową i z Grimmem, z przyczyny ich zażyłości z Saint-Lambertem; lękałem się tego wpływu. Niepokój ten odnowił moje rany i wprowadził w mą korespondencję ton burzliwy, tak iż wreszcie pani d'Houdetot zmierzyła ją sobie zupełnie. Domyślałem się mnóstwa drażniących i okrutnych rzeczy, nie widząc nic wyraźnie. Dla człowieka o łatwo zapalnej imaginacji trudno sobie wyobrazić nieznośniejsze położenie. Gdybym był zupełnie odosobniony, gdybym w ogóle o niczym nie wiedział, uspokoiłbym się może; ale serce moje tkwiło jeszcze w więzach, przez które nieprzyjaciele moi wiedzieli, iż mogą mnie dosięgnąć na tysiąc sposobów, a słabe promyki przenikające do mego schronienia służyły jedynie na to, aby mi dać odczuć mroki tajemnic, które mi ukrywano.

Byłbym załamał się, nie wątpię o tym, pod tym cierpieniem zbyt okrutnym, zbyt nieznośnym dla mej otwartej i szczerzej natury, która, niezdolna do ukrywania własnych uczuć, odczuwa lęk przed wszelką tajemnicą. Szczęściem, nastreczyły mi się inne przedmioty i ośwładnęły mym sercem tak dalece, iż uczyniły bardzo zbawczą dywersję w myślach, zaprzatających mnie mimo chęci. W czasie ostatnich odwiedzin w Pustelni Diderot wspomniął mi o artykule *Genewa*, który d'Alembert zamieścił w *Encyklopedii*<sup>87</sup>; objaśnił mi, że ten artykuł, napisany w porozumieniu z wpływowymi obywatelami tego miasta, ma za cel stworzenie teatru w Genewie; że poczyniono już kroki w tej sprawie i powołanie do życia tej instytucji nastąpi niebawem. Ponieważ Diderot zdawał się pochwalać ten zamiar, nie wątpiąc o powodzeniu, ja zaś miałem z nim zbyt wiele innych spraw do wyjaśnienia, nie miałem chęci rozpoczynać dyskusji w tym przedmiocie i nie rzekłem nic; ale, oburzony tą robotą, mającą na celu opętanie mej ojczyzny, czekałem z niecierpliwością tomu *Encyklopedii* zawierającego artykuł, aby zobaczyć, czy nie znajdzie się sposób napisania jakiej odpowiedzi, która by mogła odwrócić ten nieszczęsny zamach. Otrzymałem tom niebawem po osiedleniu w Mont-Louis; artykuł wydał mi się napisany z wielką zręcznością i sztuką, godny pióra, z którego wyszedł. To nie ostudziło mnie wszelako w chęci odpowiedzi; mimo przygnębienia, w jakim się znajdowałem, mimo swoich utrapień i cierpień, mimo dokuczliwej pory roku i niewygód nowego mieszkania, gdzie nie miałem jeszcze czasu się urządzić, zabrałem się do dzieła z zapalem, który zwyciężył wszystko.

<sup>86</sup>nie śmie jeszcze wydobyć swych knowań na światło dzienne — od czasu jak pisałem te słowa, uczynił ten krok z najpewniejszym i najbardziej niepojętym powodzeniem. Sądzę, iż to Tronchin udzielił mu odwagi i środków. [przypis autorski]

<sup>87</sup>o artykule „Genewa”, który d'Alembert zamieścił w *Encyklopedii* — w siódmym tomie *Encyklopedii*, wydanym w październiku 1757. [przypis edytorski]

Podczas dość ostrej zimy, w lutym, i w stanie, który opisałem poprzednio, siedłem co dnia spędzić dwie godziny rano i tyleż po południu w baszcie otwartej ze wszystkich stron, znajdującej się opodal mego mieszkania. Baszta ta, stanowiąca zakończenie terasowatej alei, wychodziła na dolinę i jezioro Montmorency; na skraju widnokregu widać było prosty ale czcigodny zamek Saint-Gratien, schronienie cnotliwego Catinata<sup>88</sup>. W tym to miejscu, wówczas lodowato mroźnym, bez ochrony od śniegu i wiatru, bez innego ognia jak tylko płomień mego serca, ułożyłem, w ciągu trzech tygodni, mój *List do d'Alemberta o widowiskach*<sup>89</sup>. Był to (*Julia* bowiem była zaledwie w połowie roboty) pierwszy mój utwór, nad którym praca połączona była z przyjemnością. Aż dotąd cnotliwe oburzenie służyło mi za muzę; tym razem miejsce jego zajęła tkliwość i słodycz duszy. Niesprawiedliwości, których byłem tylko świadkiem, podrażniły mnie; te, których sam stałem się przedmiotem, przejęły mnie smutkiem. Smutek ten, wolny od żółci, był jedynie wypływem zbyt kochającego, zbyt czulego serca: zawiedzione przez tych, których sądziło wedle własnej miary, zmuszone było cofnąć się w głąb siebie. Przepelnione ostatnimi zdarzeniami, jeszcze wzruszone od tyłu gwałtownych wstrząsnięć, serce moje mieszało poczucie swych cierpień z ideami zrodzonymi z medytacji nad przedmiotem; skojarzenie to odbiło się na mej pracy. Sam nie wiedząc o tym, opisałem swoje obecne położenie: odmalowałem Grimma, panią d'Epina, panią d'Houdetot, Saint-Lamberta, samego siebie. Ileż rozkosznych łez wylałem wśród pisania! Niestety! Nadto czuć w tym utworze, że miłość, ta nieszczęsna miłość, z której siliłem się wyleczyć, nie opuściła jeszcze mego serca. Do tego wszystkiego mieszało się niejako rozczulenie nad samym sobą; miałem uczucie, że umieram i że po raz ostatni żegnam się z publicznością. Daleki od obawy śmierci, patrzałem na jej zbliżanie się z radością; ale żal mi było, iż mam opuszczać bliźnich, nim zdołałem im objawić całą swą wartość; nim uzyskali świadomość jak bardzo zasługiwałbym na miłość z ich strony, gdyby mnie znali lepiej. Oto tajemne przyczyny osobliwego tonu, który panuje w tym dziele i który odbija tak zadziwiająco od poprzedniego utworu<sup>90</sup>.

Wykończyłem i przepisywałem na czysto ten utwór, gotując się go oddać do druku, kiedy po długim milczeniu otrzymałem list od pani d'Houdetot. List ten pogrążył mnie w nowym zmartwieniu, najwyższym, jakie kiedykolwiek odczułem. Donosiła mi w tym piśmie (plik B, nr 34), że miłość moja dla niej stanowi bajkę całego Paryża; że zwierzyłem się z niej ludziom, którzy rozgłosili publicznie moje rzekome wyznania; że te pogłoski, doszedłszy do jej kochanka, omal nie kosztowały go życia. Wreszcie (pisała) oddał jej sprawiedliwość i nastąpiło pojednanie; ale przez wzgląd na niego, jak również na samą siebie i własną dobrą sławę, winna jest zerwać wszelkie stosunki ze mną; poza tym upewnia mnie, iż oboje nie przestaną pamiętać o mnie, będą mnie bronić wobec świata i od czasu do czasu ona sama będzie zasięgać o mnie wiadomości.

„I ty także, Diderot! — wykrzyknąłem. — Niegodny przyjacielu!...” Nie mogłem wszelako zdobyć się jeszcze na to, aby nań wydać wyrok. Słabość moją znali i inni ludzie, którzy mogli nadużyć jego nazwiska. Chciałem wątpić... ale niebawem nie mogłem. Saint-Lambert dopełnił niebawem postępu godnego jego szlachetnego serca. Znając dostatecznie mą duszę, osądził, w jakim stanie muszę się znajdować, zdradzony przez jednych, opuszczony przez drugich. Odwiedził mnie. Za pierwszym razem niewiele mógł mi czasu poświęcić. Wrócił raz jeszcze. Na nieszczęście, nie spodziewałem się go: nie zastał mnie w domu. Teresa, która go przyjęła, miała z nim więcej niż dwugodzinną rozmowę; udzielili sobie wzajem wielu faktów, których znajomość była bardzo ważna dla nas obu. Któż opisze zdumienie, z jakim dowiedziałem się za jego pośrednictwem, iż nikt w świecie nie wątpi, że ja żyłem poprzednio z panią d'Epina tak, jak Grimm obecnie! Zdumienie moje można porównać jedynie z tym, które objawił sam Saint-Lambert, dowiadując się, iż pogłoska ta jest fałszem. Saint-Lambert, ku wielkiemu niezadowole-

<sup>88</sup> *Catinat, Nicolas* (1637–1712) — marszałek Francji za czasów Ludwika XIV; wśród dowódców wyróżniał się tym, że nie szafował życiem żołnierzy, nie miał wysokich ambicji, zaś po porażce w wojnie o sukcesję hiszpańską osiadł na wsi i zajął się uprawianiem ogrodu. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *List do d'Alemberta o widowiskach* — list ten miał olbrzymi rozgłos i wywołał około 400 broszur i pism polemicznych. [Tekst Rousseau stanowił krytyczną analizę wpływu teatru na społeczeństwo i ostrzegał przed złym wpływem, jaki może mieć teatr w Genewie na moralność i patriotyzm mieszkańców; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>90</sup> *od poprzedniego utworu* — tj. *Rozprawy o nierówności*. [przypis edytorski]

niu tej damy, był w tym samym położeniu co ja; wszystkie zaś wyjaśnienia wynikły z tej rozmowy do reszty zgasiły we mnie wszelki żal, iż zerwałem z nią bez powrotu. Odnosnie do pani d'Houdetot, Saint-Lambert wyjaśnił Teresie wiele okoliczności nieznanymi ani jej, ani pani d'Houdetot; znałem je jedynie ja sam, wyznałem je jednemu tylko Diderotowi, pod pieczęcią tajemnicy; i właśnie Saint-Lamberta wybrał sobie, aby mu je zwierzyć! Ten ostatni rys dopełnił miary; powziąwszy niezłomny zamiar zerwania z Diderotem na zawsze, zastanawiałem się już tylko nad sposobem; spostrzegłem bowiem, że zerwania sekretne obracają się na mą niekorzyść, przez to, iż zostawiają maskę przyjaźni moim najokrutniejszym wrogiem.

Reguły przystojności, obowiązujące pod tym względem w świecie, wypływają, można powiedzieć, z ducha kłamstwa i zdrady. Uchodzić jeszcze za czyjegoś przyjaciela, wówczas gdy w istocie już się nim nie jest, znaczy zachowywać sobie środki szkodenia mu, wprowadzając w błąd uczciwych ludzi. Przypomniałem sobie, iż kiedy wielki Montesquieu zerwał z księdzem Tournemine, pospieszył ogłosić to publicznie, mówiąc całemu światu: „Nie słuchajcie ani ojca de Tournemine ani mnie, kiedy będziemy o sobie mówić wzajem; przestaliśmy bowiem być przyjaciółmi”. To postąpienie znalazło ogólny poklask; wszyscy chwalili jego szczerość i szlachetność. Postanowiłem wobec Diderota iść za tym samym przykładem; ale w jaki sposób z mojego ustronia ogłosić to zerwanie w sposób niewątpliwy, a jednak wolny od skandalu? Przyszło mi na myśl umieścić w moim dziele, w formie przypisu, ustęp z *Księgi Eklezjastyka*<sup>91</sup>, który by oznajmiał zerwanie, a nawet powód jego, dość jasno dla wtajemniczonych, nie znaczył zaś nic dla ludzi obcych. Poza tym, w samym dziele, starałem się, do przyjaciela, którego się wyrzekłem, odnosić z wszelkimi honorami, jakie powinno się zawsze oddawać przyjaźni nawet wygasłej. Można stwierdzić to wszystko w samym dziele.

Istnieje w świecie jedynie szczęście lub nieszczęście; zdaje się, że w niepowodzeniu wszelki akt odwagi jest zbrodnią. Ten sam rys, który podziwiano u Montesquieugo, na mnie ściągnął wyłącznie naganę i wyrzuty. Ledwie dzieło moje wyszło spod prasy, otrzymaawszy pierwsze egzemplarze, posłałem jeden Saint-Lambertowi, który poprzedniego dnia przesłał mi, w imieniu pani d'Houdetot i swoim, bilecik pełen najczulszej przyjaźni (plik B, nr 37). Oto list, który napisał, odsyłając mi egzemplarz (plik B, nr 38).

List

*Eaubonne, 10 października 1758*

Doprawdy, nie mogę przyjąć podarku, który mi Pan uczynił. W ustępie przedmowy, gdzie pod adresem Diderota cytuję Pan ustęp z *Eklezjasty* (myli się: z *Eklezjastyka*)<sup>92</sup>, książka wypadła mi z rąk. Po rozmowach naszych tego lata zdawałeś się Pan przekonany, iż Diderot nie jest winien rzekomych niedyskrecji, które mu przypisujesz. Być może ma jakieś winy w stosunku do Pana: nie wiem; ale to wiem dobrze, iż nie dawały Panu prawa czynić mu publicznej zniewagi. Nie są Panu tajne prześladowania, które znosi w tej chwili; i oto głos dawnego przyjaciela miesza się do krzyków zawiści! Nie umiem ukryć, jak bardzo mnie oburza to okrucieństwo. Nie żyję blisko z Diderotem, ale szanuję go i odczuwam szczerze przykrość, jaką Pan czynisz człowiekowi, któremu (przynajmniej o ile mi wiadomo) zarzucałeś zawsze jedynie nieco słabości. Nadto różnię się z Panem co do zasad, abyśmy się mogli porozumieć. Zapomnij Pan o moim istnieniu; przyjdzie to Panu bez trudności. Nie wyświadczyłem nikomu ani dobrego, ani złego, o którym trzeba by długo pamiętać. Co do mnie, przyrzekam Panu zapomnieć o twej osobie i zachować pamięć jedynie o pańskich talentach.

Czułem się nie mniej rozdartym jak oburzony tym listem; pod wpływem nadmiaru nieszczęść, odnajdując wreszcie swą dumę, odpowiedziałem co następuje:

List

<sup>91</sup>*Księga Eklezjastyka* — jedna z dydaktycznych ksiąg biblijnych, znana też pt. *Księga Mądrości Syracha*; w Syr 22:21–22 mowa o tym, że kto wyciąga miecz na przyjaciela lub źle się do niego odzywa, ma jeszcze drogę powrotu, ale wyjawienie tajemnicy i zdrada zawsze zrywają przyjaźń. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>ustęp z *Eklezjasty* (myli się: z *Eklezjastyka*) — łatwe do pomylenia określenie nazwy biblijnych ksiąg dydaktycznych: *Eklezjasty*, inaczej *Księga Kobeleta*, oraz *Eklezjastyka*, inaczej *Księga Mądrości Syracha*. [przypis edytorski]

*Montmorency, 11 października 1758*

Czytając Pański list, uczyniłem Panu ten zaszczyt, iż zdumiałem się nim, a zarazem byłem na tyle głupi, iż mnie zabolął; ale nie uważam, aby był godny odpowiedzi.

Nie życzę sobie nadal kopiować nut pani d'Houdetot. Jeżeli nie jest po jej myśli zachować to, co już ma, może mi odesłać, zwrócę pieniądze. Jeżeli zatrzyma, w każdym razie proszę, aby przysłała po resztę swego papieru i pieniędzy. Proszę, aby mi równocześnie zwróciła prospekt, który u niej złożyłem. Żegnaj Pana.

Stalość w niedoli drażni serca nikczemne, ale podoba się szlachetnym. Zdaje się, że ten bilet sprawił, iż Saint-Lambert wszedł w siebie i pożałował tego, co uczynił; ale, zbyt dumny on znowuż, aby przyznać się otwarcie do błędu, pochwyił, przygotował może sposób złagodzenia ciosu, który mi zadał. W dwa tygodnie później otrzymałem od pana d'Epina następujący list (plik B, nr 10).

Cnota  
List

*Czwartek 26*

Otrzymałem książkę, którą był Pan łaskaw mi przysłać; przeczytałem ją z największą przyjemnością. Jest to uczucie, którego doświadczałem zawsze przy lekturze wszystkich dzieł Pańskiego pióra. Chciej Pan przyjąć wyrazy szczerego podziękowania. Byłbym pospieszył złożyć je Panu osobiście, gdyby interesy pozwoliły mi zamieszkać jakiś czas w Pańskim sąsiedztwie, ale bardzo rzadko odwiedzałem Chevrette w tym roku. Państwo Dupin zapowiedzieli się tam do mnie na obiad w przyszły czwartek. Mam nadzieję, że panowie de Saint-Lambert, de Francueil i pani d'Houdetot wybiorą się również; zrobi mi Pan prawdziwą przyjemność, jeżeli zechcesz powiększyć nasze grono. Wszystkie osoby, które będą miał u siebie, pragną Pana oglądać i z radością podzielą ze mną przyjemność spędzenia kilku godzin w jego towarzystwie. Mam zaszczyt polecić się, z prawdziwym poważaniem, etc.

List ten przyprowadził mnie o straszliwe bicie serca. Od roku byłem przedmiotem bajek całego Paryża; otóż na myśl, iż mam wystawić się na widowisko w oczach pani d'Houdetot, doznawałem drżenia; trudno mi było znaleźć dość odwagi, aby przebyć tę próbę. Mimo to, skoro ona i Saint-Lambert życzyli sobie tego, skoro d'Epina mówił w imieniu wszystkich zaproszonych, wymieniał zaś same tylko osoby, które bardzo rad byłem widzieć, nie sądziłem, ostatecznie, abym dopuszczał się niewłaściwości przyjmując obiad, na który do pewnego stopnia zaproszony byłem przez całe towarzystwo. Przyrzekłem tedy. W niedzielę była niepogoda; pan d'Epina przysłał po mnie karocę i pojechałem.

Przybycie moje wywarło wrażenie. Nigdy nie byłem przedmiotem bardziej uprzedzającego przyjęcia. Można by rzec, iż całe towarzystwo czuło, jak bardzo potrzebuję takiego umocnienia. Jedyne we Francji serca zdolne są do tego rodzaju delikatności. Zostałem wszelako więcej osób, niż się spodziewałem; między innymi hrabiego d'Houdetot, którego wcale nie znałem, i jego siostrę, panią de Blainville, bez której byłbym się chętnie obszedł. Zjawiała się w przeszłym roku często w Eaubonne; pani d'Houdetot w czasie naszych samotnych przechadzek nieraz uciekała się do różnych sposobów, aby się pozbyć jej towarzystwa. Osoba ta powzięła stąd do mnie niechęć, którą zaspokoila do syta w czasie tego obiadu; łatwo bowiem zgadnąć, iż obecność hrabiego d'Houdetot i Saint-Lamberta nie usposabiała galerii<sup>93</sup> na mą korzyść i że człowiek nieśmiały zazwyczaj już w czasie najłatwiejszej rozmowy nie błyszczał nadto dowcipem w tych okolicznościach. Nigdy nie wycierpiałem tyle, nigdy nie byłem bardziej onieśmielony ani też kluty szpilczkami bardziej niespodziewanie. Wreszcie, kiedy ruszono od stołu, wymknąłem się

<sup>93</sup>*galeria* — publiczność z najwyższych miejsc w teatrze; tu przen.: widzowie, obecni. [przypis edytorski]

megierze<sup>94</sup>. Doznałem tej przyjemności, iż Saint-Lambert i pani d'Houdetot podeszli do mnie: przegadaliśmy wspólnie parę godzin o rzeczach obojętnych, to prawda, ale tak samo poufale jak niegdyś, przed mym szaleństwem. Serce moje umiało ocenić ten postęp i gdyby Saint-Lambert mógł w nim czytać, byłby z pewnością zadowolony. Mogę przysiąc, iż mimo że w pierwszej chwili widok pani d'Houdetot przypawił mi o palpitacje graniczące z omdleniem, wracając, prawie nie myślałem o niej: zajęty byłem jedynie Saint-Lambertem.

Mimo złośliwych sarkazmów pani de Blainville, obiad ten zrobił mi wiele dobrego; zadowolony byłem z siebie, że się od niego nie wymówiłem. Przekonałem się nie tylko, że intrygi Grimma i holbachistów nie odstrychnęły ode mnie dawnych znajomych, ale jeszcze milej odczułem to, że uczucia pani d'Houdetot i Saint-Lamberta mniej się zmieniły, niż przypuszczałem. Zrozumiałem, iż więcej było zazdrości niż lekceważenia w tym, iż trzyma ją w takim oddaleniu ode mnie. To mnie pocieszyło i uspokoiło. Pewien, iż nie jestem przedmiotem wzgardy dla tych, których poważam, starałem się z większą odwagą i powrotem pracować nad własnym sercem. Jeżeli nie zdołałem zdławić w nim całkowicie występnej i nieszczęśliwej namiętności, umiarkowałem bodaj tak dobrze jej resztki, iż od tego czasu nie dopuściłem się ani jednego błędu. Pod wpływem nalegań pani d'Houdetot przyjąłem z powrotem nuty do kopiowania; posyłałem jej nadal moje utwory, w miarę jak się ukazywały; co wszystko sprowadzało mi z jej strony od czasu do czasu przesyłki i bileciki, obojętne, lecz życzliwe. Uczyniła nawet więcej, jak się pokaże w dalszym ciągu; słowem, wzajemne postępowanie wszystkich trojga, od chwili gdy stosunki nasze rozluźniły się, może posłużyć za przykład, w jaki sposób przyzwoici ludzie się rozchodzą, kiedy im tak wypadnie.

Druga korzyść, którą przyniósł mi ten obiad, było to, iż mówiono o nim w Paryżu; tym samym posłużył jako nieodparte zaprzeczenie pogłosek, jakie rozsiewali moi przyjaciele, że jestem śmiertelnie poróżniony ze wszystkimi, którzy byli tam obecni, a zwłaszcza z panem d'Epinay. Opuszczając Pustelnię, napisałem doń nader uprzejmy list z podziękowaniem, na który odpowiedział nie mniej dwornie; odtąd uprzejme stosunki między nami nie uległy zamięnieniu, tak z nim, jak z panem de Lalive, jego bratem, który nawet odwiedził mnie w Montmorency i posyłał mi swoje sztychy. Poza dwiema szwagierkami pani d'Houdetot nie byłem nigdy na złej stopie z nikim z tej rodziny.

*List do d'Alemberta* miał wielkie powodzenie. Wszystkie moje utwory miały je; ale sukces tego właśnie był mi szczególnie pożądany. Nauczył publiczność mieć się na baczności przed podszeptami Holbachowskiej koterii. Kiedy osiedliłem się w Pustelni, klika ta przepowiedziała ze zwykłą zarozumiałością, że nie wytrzymam tam ani trzech miesięcy. Kiedy ujrzeli, że wytrzymałem dwadzieścia i że, zmuszony opuścić swą siedzibę, znowu obrałem mieszkanie na wsi, utrzymywali, że czynię to przez czysty upór; że nudzę się śmiertelnie w swoim odludziu, ale że, trawiony pychą, raczej wolałbym zginąć jako ofiara swego uporu, niż zaprzecić się siebie i wrócić do Paryża. Otóż *List do d'Alemberta* oddychał niekłamaną pogodą duszy, której niepodobna było nie odczuć. Gdybym w swoim ustroniu był trawiony goryczą, odbiłoby się to w tonie. Gorycz panowała we wszystkich moich utworach pisanych w Paryżu; nie było jej w tym pierwszym, który ułożyłem na wsi. Dla tych, którzy umieją patrzeć, spostrzeżenie to było rozstrzygające. Widać było, że wróciłem do swego żywiołu.

Mimo to samo dzieło, choć tak pełne słodyczy, uczyniło mi, przez moje zwyczajne niezgrabstwo i nieszczęście, nowego wroga w świecie literackim. Poznałem u pana de la Poplinière, Marmontela, i spotykałem go później w domu barona. Marmontel<sup>95</sup> wydawał wówczas „Francuskiego Merkurego”. Zazwyczaj miałem tę dumę, iż nie posyłałem swoich utworów dziennikarzom; otóż, chciałem posłać Marmontelowi mój *List*, ale tak, aby nie sądził, iż czynię to, aby osiągnąć wzmiankę w „Merkurym”. Napisałem tedy na egzemplarzu, iż przesyłam go nie redaktorowi „Merkurego”, ale panu Marmontel. Sądziłem, iż czynię mu piękny komplement; on dopatrzył się w tym okrutnej zniewagi i stał się mym nieubłaganym wrogiem. Napisał o moim utworze w sposób grzeczny, ale z żółcią, któ-

<sup>94</sup>megiera (pot.) — kobieta klótlwa i złośliwa; od imienia jednej z erynii, bogiń zemsty w mit. gr. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>Marmontel, [Jean-François] (1723–1799) — głośny pisarz ówczesny, którego *Powieści moralne* cieszyły się wzięciem w całej Europie. [przypis tłumacza]

raż się łatwo czuje; odtąd nie pominął żadnej sposobności szkodzenia mi w towarzystwie, a znęcania się nade mną pośrednio w swoich pismach. Tak trudno jest ugłaskać arcydrażliwą miłość własną literatów i tak bardzo należy pamiętać, aby w uprzejmościach, które się im świadczy, nie zostawić nic, co by mogło mieć bodaj najlżejszy pozór dwuznacznika!

(1759) Spokojniejszy ze wszystkich stron, skorzystałem ze swobody i niezależności, aby regularniej prowadzić swoje prace. Dokończyłem w ciągu zimy *Julię* i posłałem ją Reyowi, który dał ją wydrukować w następnym roku. Praca ta doznała jednak, mimo wszystko, przerwy, wskutek małej dywersji, dosyć nawet nieprzyjemnej. Dowiedziałem się, że przygotowują w Operze wznowienie *Wiejskiego wróżka*. Oburzony tym bezwstydnym rozporządzeniem mają własnością, wyszukałem memoriał, jaki swego czasu posłałem panu d'Argenson, a który został bez odpowiedzi, i przerobiwszy go trochę, doręczyłem go za pośrednictwem pana Sellon<sup>96</sup>, rezydenta Genewy, hrabiemu de Saint-Florentin, który zajął miejsce pana d'Argenson w wydziale Opery. Saint-Florentin przyrzekł odpowiedź, ale nie dał żadnej. Duclos, którego powiadomiłem o swoim kroku, pomówił z zarządem, który ofiarował się zwrócić mi nie operę, ale wolny bilet wstępu, teraz, kiedy nie mogłem zeń korzystać! Widząc, że z żadnej strony nie mogę się spodziewać sprawiedliwości, poniechałem całej sprawy; dyrekcja zaś Opery, nie odpowiadając na moje racje ani nie słuchając ich nawet, nadal pozwalała sobie rozporządzać *Wiejskim wróżkiem* jak swoją własnością i czerpać zeń zyski, które, bez żadnego zaprzeczenia, należą się jedynie mnie.

Od czasu jak strząsnąłem jarzmo tyranów, wiodłem dość przyjemne i spokojne życie. Pozbawiony uroku zbyt żywych przywiązań, byłem równocześnie wolny od ich kajdanów<sup>97</sup>. Zmierzony przyjaciółmi-protektorami, którzy chcieli bezwarunkowo rozrządzać moim losem i poddawać mnie, mimo mej chęci, niewoli swych rzekomych dobrodziejstw, postanowiłem na przyszłość trzymać się jedynie stosunków wspartych na prostej życzliwości, które nie kępując swobody, stanowią urok życia, a których podstawą jest obustronna równość. Tego rodzaju stosunków miałem tyle, ile było trzeba, aby kosztować słodczy towarzystwa bez jego przymusu; skoro zaś spróbowałem tego rodzaju życia, uczulem, iż taki właśnie tryb odpowiada memu wiekowi i pozwala mi dokończyć dni w spokoju, z dala od burzy, swarów i udręczeń, które dopiero co na wpół mnie pogrążyły.

Podczas pobytu w Pustelni i od czasu osiedlenia się w Montmorency, poczyniłem w sąsiedztwie parę znajomości, miłych, a nie obowiązujących do niczego. Na ich czele był młody Loiseau de Mauléon<sup>98</sup>, który stawiając wówczas pierwsze kroki w palestrze<sup>99</sup>, nie wiedział, jakie go w niej czeka miejsce. Nie miałem, jak on, wątpliwości w tej mierze. Wywróżyłem mu rychło znakomitą przyszłość, którą też urzeczywistnił. Przepowiedziałem mu, że jeżeli okaże się surowym w wyborze spraw i zawsze będzie tylko obrońcą sprawiedliwości i cnoty, talent jego, podniesiony tym szczytnym poczuciem, dosięgnie wyżyn największych mówców. Poszedł za moją radą i odczuł jej słusność. Obrona jego w sprawie pana de Portes godna jest Demostenesa<sup>100</sup>. Zjeżdżał, co roku, spędzić wakacje o ćwierć mili od Pustelni w Saint-Brice, w dobrach Mauléon, należących do jego matki, gdzie niegdyś mieszkał wielki Bossuet<sup>101</sup>. Oto dobra, których szlachectwo, po takich dziedzicach, niełatwe stało się do podtrzymania.

Miałem w teźże samej wiosce Saint-Brice księgarza Guérin, człowieka rozumnego, wykształconego, miłego i bardzo niepospolitego w swoim zawodzie. Zapoznał mnie rów-

<sup>96</sup>Sellon, Jean-François (1707–1790) — dyplomata z Genewy, ambasador we Francji w latach 1749–1764. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>kajdanów — dziś popr. forma D. Im: kajdan. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>Mauléon, Alexandre-Jérôme Loiseau de (1728–1771) — sławny prawnik francuski; w 1762 był obrońcą Jeana Calasa, protestanta oskarżonego o zamordowanie syna, który rzekomo chciał przejść na katolicyzm; sprawa stała się głośna dzięki zaangażowaniu Wóltera, m.in. opublikowaniu przez niego pierwszej części *Traktatu o tolerancji*. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>palestra — ogół adwokatów; adwokatura. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Demostenes (384–322 p.n.e.) — słynny mówca gr., głośny zwłaszcza dzięki swym mowom przeciw królowi macedońskiemu Filipowi (tzw. filipiki). [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Bossuet, Jacques-Bénigne (1627–1704) — kaznodzieja i biskup francuski, wychowawca Ludwika XIV. [przypis edytorski]

niez z Janem Néaulme, księgarzem z Amsterdamu, swoim współnikiem i przyjacielem, który później wydał *Emila*.

Miałem, bliżej jeszcze niż Saint-Brice, księdza Maltora, proboszcza z Grosley, bardziej stworzonego na męża stanu i na ministra niż na wioskowego proboszcza; gdyby talenty rozstrzygały o stanowiskach, powierzono by mu co najmniej rządu diecezji. Był on swego czasu sekretarzem hrabiego de Luc i znał bardzo blisko Jana-Baptystę Rousseau. Równie pełen szacunku dla pamięci tego znakomitego banity, co wstrętu do nikczemnego Saurina, który go zgubił, znał on z życia obu tych ludzi wiele ciekawych anegdotek, których Séguy nie pomieścił w *życiorysie Russa*, jeszcze rękopiśmiennym. Upewniał mnie, iż hrabia de Luc nie tylko nie miał powodu uskarżać się na Russa, ale zachował dlań do końca najgorętszą przyjaźń. Ksiądz Maltor, któremu pan de Vintimille<sup>102</sup> dał był, po śmierci jego chlebobdawcy, to dość przyzwoite stanowisko, współdziałał niegdyś w wielu sprawach, które mimo podeszłego wieku, miał jeszcze w pamięci i o których opowiadał bardzo dobrze. Rozmowa jego, nie mniej pouczająca jak ciekawa, nie trąciła bynajmniej wiejskim księżyną: łączył ton doskonałego światowca z wiadomościami dyplomaty. Był to ze wszystkich stałych sąsiadów człowiek, którego towarzystwo było mi najmiłsze i którego najbardziej żał mi było porzucić.

Miałem w Montmorency znajomych oratorian, między innymi ojca Berthier<sup>103</sup>, profesora fizyki, który mimo lekkiej powłoki bakalarstwa<sup>104</sup> pociągnął mnie przez swój szczerą i dobroduszny charakter. Trudno mi było wszelako pogodzić tę wielką prostotę z ochotą i sztuką, jakie rozwijał, aby się wcisnąć wszędzie: między wielkich panów, kobiety, bigotów, filozofów. Umiał dostroić się do wszystkich. Bardzo lubiłem jego towarzystwo. Mówiłem o nim z tym i owym; widocznie to, co mówiłem, doszło do jego uszu. Jednego dnia, podśmiewając się, podziękował mi, iż uważam go za tak „pocziwą duszę”. Zauważyłem w śmiechu jego coś sardonicznego<sup>105</sup>, co zmieniło jego fizjonomię w moich oczach i co od tego czasu nieraz przychodziło mi na pamięć. Nie mogę lepiej porównać tego uśmiechu niż z uśmiechem Panurga, kupującego barany od Jendorka<sup>106</sup>. Znajomość nasza zaczęła się niedługo po moim przybyciu do Pustelni, gdzie ojciec Berthier odwiedzał mnie bardzo często. Osiedłem już na stałe w Montmorency, kiedy on opuścił je, aby zamieszkać w Paryżu. Widywał tam panią Le Vasseur. Jednego dnia, kiedy najmniej o tym myślałem, napisał do mnie w imieniu tej kobiety, zawiadamiając, iż pan Grimm ofiaruje się zapewnić jej utrzymanie, i prosząc o pozwolenie przyjęcia tej ofiary. Dowiedziałem się, iż chodzi o pensję trzystu funtów i że pani Le Vasseur ma zamieszkać w Deuil, między Chevrette a Montmorency. Nie umiem opisać wrażenia, jakie uczyniła na mnie ta wiadomość, która byłaby mniej zdumiewająca, gdyby Grimm miał dziesięć tysięcy funtów renty albo też gdyby jakieś łatwiejsze do zrozumienia stosunki wiązały go z tą kobietą. Swego czasu czyniono mi niepojętą zbrodnię z tego, iż ściągnąłem ją na wieś; otóż teraz pan Grimm zamierzał na nowo osadzić ją na wsi, jak gdyby ta osoba odmłodziła od owego czasu. Zrozumiałem, że dobra stara prosi mnie o pozwolenie, bez którego mogłaby się obejść, jedynie, aby się nie narazić na utratę zasiłku, jaki ma ode mnie. Mimo że to miłosierdzie wydało mi się bardzo niezwykłe, nie uderzyło mnie jeszcze tyle wówczas, co w dalszym ciągu. Ale gdybym nawet wiedział wszystko to, co przeniknąłem później, i tak byłbym dał zezwolenie, tak jak to uczyniłem i jak byłem zmuszony uczynić, chyba żebym sam przelicytował ofiary pana Grimma. Od tego czasu ojciec Berthier wyleczył mnie nieco od pomawiania go o dobroduszność, która to reputacja jemu samemu wydała się tak uciechą i w którą go tak nieopatrznie ustroiłem.

Ten ojciec Berthier miał dwóch znajomych, zabiegających się<sup>107</sup> znowuż o mą znajomość. Czemu, nie wiem; niewiele bowiem było wspólności między naszymi upodoba-

<sup>102</sup>Vintimille, Charles Gaspard Guillaume de (1655–1746) — fr. duchowny, biskup Marsylii (1692–1708), arcybiskup Aix (1708–1729), następnie arcybiskup Paryża (1729–1746). [przypis edytorski]

<sup>103</sup>Berthier, Joseph-Étienne (1702–1783) — fr. profesor fizyki. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>bakalarstwo (daw.) — tu lekcew.: nawyki nauczycielskie, na wzór bakalarzy, średniowiecznych uczonych niższego stopnia. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>sardoniczny — o uśmiechu, wyrazie twarzy itp.: szyderczy. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>Panurga, kupującego barany od Jendorka — słynna scena z *Pantagruela* Rabelais’go. [przypis tłumacza]

<sup>107</sup>zabiegających się — dziś popr.: ubiegających się a. zabiegających. [przypis edytorski]



niami. Były to dzieci Melchizedecha<sup>108</sup>: nikt nie znał ich ojczyzny, rodziny, ani prawdopodobnie istotnego nazwiska. Byli jansenistami, a uchodzili za przebranych księży, może dla śmiesznego sposobu noszenia rapierów, bez których się nie ruszali. Zdziwiająca tajemniczość, jaką otaczali każdy postępek, dawała im wygląd przywódców stronnictwa; nigdy też nie wątpiłem, że muszą pracować w jakiejś duchownej gazetce. Jeden, wysoki, dobrotliwy, namaszczony, nazywał się Ferrand; drugi, mały, krępy, drwiący, obraźliwy — Minard. Byli rzekomo skuzynowani. Mieszkali w Paryżu, wraz z d'Alembertem<sup>109</sup> u jego mamki, pani Rousseau; wynajęli zaś w Montmorency mały domek na lato. Prowadzili gospodarstwo sami, bez służącego, nawet bez chłopca do posyłek. Kolejno każdy z nich miał swój tydzień, w ciągu którego chodził na zakupy, gotował i sprzątał. Zresztą utrzymywali dom na stopie wcale przyzwoitej; jadaliliśmy niekiedy wzajem u siebie. Nie wiem, dlaczego im zależało na mnie; co do mnie, zależało mi na nich jedynie dlatego, że grywali w szachy: aby uzyskać jedną lichą partyjkę, cierpiałem cztery godziny nudów. Ponieważ wciskali nos wszędzie i do wszystkiego chcieli się mieszać, Teresa nazywała ich „kumoszkami” i ta nazwa została im w Montmorency.

Takie były, obok mego gospodarza, pana Mathas, poczciwego człowieka, główne moje wiejskie znajomości. Zostało mi ich dosyć w Paryżu; mógłbym tam żyć, gdybym zechciał, przyjemnie, poza kołem pisarzy, w którym jednego tylko Duclosa liczyłem za przyjaciela, Deleyre bowiem był jeszcze zbyt młody. Mimo że, przyjrawszy się z bliska machinacjom filozoficznej kliki odnośnie do mnie, odstrychnął się od niej zupełnie (lub przynajmniej tak mniemałem), nie mogłem jeszcze zapomnieć łatwości, z jaką zgodził się być wobec mnie rzecznikiem tych figur.

Przed wszystkim, miałem mego starego i szanownego przyjaciela, pana Roguin. Był to przyjaciel z dawnych dobrych czasów; zawdzięczałem go nie swoim pismom, ale samemu sobie i dla tej przyczyny zawsze został mi wierny. Miałem dobrego Leniepsa, mego krajana, oraz córkę jego, wówczas żyjącą jeszcze, panią Lambert. Miałem młodego Genewczyka, nazwiskiem Coindet; był to, o ile mi się zdawało, dobry chłopiec, dbały, uczynny, gorliwy, ale prostaczek, łatwowierny, łakomy, samochwał; ten zaczął mnie nawiedzać od początku mego osiedlenia w Pustelni i bez niczyjej poręki, jedynie siłą własnej wytrwałości, zadomowił się niebawem u mnie wbrew mej woli. Miał nieco zamięłowania do rysunku i kręcił się w kołach artystów. Przydał mi się, kiedy chodziło o sztychy do *Julii*; podjął się dozoru nad rysunkami i wykonaniem płyt i dobrze wywiązał się z zadania.

Miałem dom państwa Dupin, który, mniej świetny niż za najlepszych dni pani Dupin, był jeszcze mimo to, dzięki zaletom gospodarzy i wyborowi towarzystwa, jednym z najznamienitszych w Paryżu. Ponieważ opuściłem ich nie dlatego, aby komu innemu dać pierwszeństwo, ale tylko aby żyć niezależnie, nie przestali się do mnie odnosić z przyjaźnią; jakoż byłem pewny, iż o każdej porze znajdę u pani Dupin dobre przyjęcie. Mogłem ją nawet liczyć do swoich sąsiadek, od czasu jak sobie urządziła letnie mieszkanie w Clichy, gdzie zachodziłem czasem na dzień lub dwa i gdzie bywałem częściej, gdyby panie Dupin i de Chenonceaux żyły z sobą w lepszym porozumieniu. Ale trudność podzielenia się w jednym domu między dwie kobiety, które nie sympatyzowały ze sobą, czyniła mi gościnę w Clichy zbyt uciążliwą. Przywiązany do pani de Chenonceaux przyjaźnią bardziej równą i poufałą, wołałem ją widywać swobodniej w Deuil, niemal o dwa kroki, gdzie najęła mały domek; wreszcie także u siebie, gdzie odwiedzała mnie dość często.

Miałem panią de Créqui, która utonąwszy po uszy w dewocji, przestała widywać d'Alembertów, Marmontelów i w ogóle panów pisarzy, z wyjątkiem, jak się zdaje, księdza Trublet<sup>110</sup>, świętoszka, który ją samą nawet dosyć nudził. Co do mnie, szukała nadal chętnie mego towarzystwa; nie straciłem nic z jej życzliwości i serdeczności naszych sto-

<sup>108</sup>Melchizedech a. Melchizedek — tajemniczy kapłan Boga i król z biblijnej *Księgi Rodzaju* (Rdz 14,18-20), którego pochodzenia nie podano. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>z d'Alembertem u jego mamki — d'Alembert był naturalnym synem słynnej pani de Tencin. Wychowany przez prostą, ale zacną kobietę, panią Rousseau, zachował dla niej zawsze serdeczną wdzięczność i nigdy nie chciał szukać zbliżenia z matką, która się go zaparła dzieckiem. [przypis tłumacza]

<sup>110</sup>Trublet, [Nicolas Charles Joseph (1697-1770)] — mierny ówczesny pisarz, zresztą figura znana z niechlujstwa i natręctwa [duchowny i moralista, najbardziej znany ze starcia z Wolterem, któremu skrytykował *Henriadę*; red. WL]. [przypis tłumacza]

sunków. Przysłała mi pulardy<sup>111</sup> z Mans na święta; wybierała się odwiedzić mnie na rok przyszły, już było wszystko ułożone, kiedy podróż pani de Luxembourg pokrzyżowała jej plany. Należy się jej tu osobne miejsce; będzie je zawsze miała, i to bardzo poczesne, w mym wspomnieniu.

Miałem człowieka, którego, wyjąwszy Roguina, winienem był pomieścić w pierwszym rządzie: mego dawnego kolegę i przyjaciela Carria, niegdyś tytularnego sekretarza ambasady hiszpańskiej w Wenecji, później w Szwecji, gdzie został z ramienia dworu substytutem<sup>112</sup>, a wreszcie prawdziwym sekretarzem ambasady w Paryżu. Wpadł do mnie do Montmorency wówczas, gdy się go najmniej spodziewałem. Miał na piersi order hiszpański, którego nazwy zapomniałem, oraz piękny krzyż wysadzany kamieniami. Wywodząc swoje szlachectwo, zmuszony był dorzucić jedną głoskę do nazwiska: nosił obecnie miano kawalera de Carrion. Znalazłem<sup>113</sup> go zawsze tym samym: to samo nieocenione serce, umysł z każdym dniem bogatszy w uroki. Byłbym wrócił z nim do dawnej zażyłości, gdyby Coindet, wciskając się między nas swoim zwyczajem, nie skorzystał z mego oddalenia, aby się wślizgnąć na moje miejsce w jego przyjaźń i zaufanie, ciągle występując jako mój przyjaciel i rzekomo działając dla mego dobra.

Wspomnienie Carriona przywodzi mi na pamięć jednego z moich wiejskich sąsiadów: tym bardziej trzeba mi o nim wspomnieć, ile że muszę się przyznać do błędu nie do darowania, któremu się wobec niego dopuścił. Był to zacny Le Blond, który okazał się dla mnie tak usłużny w Wenecji, a który wybrałszy się w podróż do Francji wraz z rodziną, wynajął domek w Briche, niedaleko Montmorency<sup>114</sup>. Skoro tylko dowiedziałem się o tym sąsiedztwie, ucieszyłem się z całego serca; poczytywałem sobie za przyjemność raczej niż za obowiązek złożyć mu wizytę. Wyruszyłem w tym celu nazajutrz. Spotkałem w drodze osoby, które właśnie wybrały się do mnie; trzeba było wrócić z nimi. W dwa dni później ruszam znowu: pojechał na obiad do Paryża wraz z całą rodziną. Trzeci raz, Le Blond był w domu; usłyszałem głosy kobiece, ujrzałem u bramy karocę: wystraszyłem się. Chciałem bodaj za pierwszym razem widzieć go swobodnie i porozmawiać o dawnych znajomych. Ostatecznie odkładałem tak długo z dnia na dzień odwiedzinę, aż wstyd dopełnienia tak późno podobnego obowiązku sprawił, iż wcale go nie dopełniłem. Zaniedbanie to, którym pan Le Blond musiał być słusznie oburzony, dało lenistwu memu pozory niewdzięczności; mimo to czułem się w sercu tak mało winny, iż gdybym mógł sprawić panu Le Blond jakąś prawdziwą przyjemność, nawet bez jego wiedzy, jestem zupełnie pewien, iż nie okazałbym się w tym leniwy. Ale indolencja, niedbalstwo i niezaradność w dopełnianiu drobnych obowiązków wyrządziły mi więcej szkody niż wielkie przywary. Moje najgorsze błędy pochodziły z zaniedbania: rzadko zrobiłem to, czego nie było trzeba, ale na nieszczęście jeszcze rzadziej to, co było trzeba.

Skoro oto wróciłem do moich weneckich znajomości, nie powinienem zapomnieć o jednej, która sięga tamtych czasów, a którą zaniedbałem, jak i inne, dopiero od niedawna. Mam na myśli pana de Joinville, który od swego powrotu z Genui, okazywał mi wiele uprzejmości. Lubił bardzo zachodzić do mnie i rozmawiać o Włoszech i o szaleństwach pana de Montaigu, którego wiele rysów znał przez ministerium spraw zagranicznych, gdzie miał liczne znajomości. Pan de Joinville stał się stopniowo tak gorliwy w szukaniu mego towarzystwa, iż było mi to nawet nieraz uciążliwe; mimo że mieszkaliśmy w bardzo oddalonych dzielnicach, przychodziło do burz między nami, skoro minęło kilka dni, a ja nie byłem u niego na obiedzie. Kiedy jechał do Joinville, chciał mnie zawsze zabierać z sobą; ale raz wybrałszy się tam na tydzień, który wydał mi się bardzo długi, nie chciałem już ponawiać tego doświadczenia. Był to niewątpliwie dobrze wychowany i godny człowiek, miły nawet pod wielu względami; ale skąpo obdarzony pod względem inteligencji: był piękny, rozmiłowany w sobie jak Narcyz<sup>115</sup> i dosyć nudny. Miał osobliwy

<sup>111</sup>pularda — młoda kura, wysterylizowana i specjalnie tuczona dla uzyskania szczególnie delikatnego mięsa. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>substytut (praw.) — zastępca; w oryginale: *chargé des affaires*. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>znaleźć kogoś jakimś (daw.) — uznać, że ktoś jest jakiś; ocenić jako. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>zacny Le Blond, który, który okazał się dla mnie tak usłużny w Wenecji, a który wybrałszy się w podróż do Francji... — kiedy pisałem te słowa, pełen dawnej i ślepej ufności, daleki byłem od podejrzewania prawdziwej pobudki i następstw tej wycieczki do Paryża. [przypis autorski]

<sup>115</sup>Narcyz (mit. gr.) — urodziwy syn boga rzecznego Kefissosa, który wzgardził miłością nimfy Echo, za co rozgniewana Afrodyta wzbudziła w nim miłość do własnego obrazu odbitego w wodzie. Bez ustanku wpatrzony

zbiór, jedyny może na świecie, którym zajmował się dużo i zajmował nim swoich gości, mimo że nieraz mniej ich to bawiło od niego. Był to bardzo kompletny zbiór wszystkich piosenek ze dworu i z Paryża, sięgający pięćdziesięciu lat; znajdowało się tam wiele anegdot, których próżno szukałoby się gdzie indziej. Oto pamiętniki do historii Francji, jakich nie spotkałoby się w innym narodzie.

Jednego dnia, w samej pełni zażyłości, pan de Joinville przyjął mnie w sposób tak zimny, tak mrozący lodem, tak odległy od zwykłego tonu, iż dawszy mu sposobność do wytłumaczenia tej zmiany, a nawet poprosiwszy o to, wyszedłem z postanowieniem niewrócenia więcej i dotrzymałem tego; nie ujrzy mnie bowiem nikt tam, gdzie raz mnie źle przyjęto, a nie było tutaj Diderota, który by przemawiał za panem de Joinville. Próżno łamałem sobie głowę, czym mogłem zawinąć wobec niego: nie umiałem zgadnąć. Byłem pewien, iż nigdy ani o nim, ani o jego bliskich nie odezwałem się inaczej jak tylko w sposób najbardziej zaszczytny, byłem doń bowiem szczerze przywiązany. Poza tym, iż w tym wypadku miałbym jeno samo dobre do powiedzenia, trzymałem się tej niezłomnej zasady, aby zawsze mówić dobrze o domach, w których bywałem.

Wreszcie, po długim przetrwaniu, oto na jaki domysł wpadłem. Ostatni raz kiedyś się widzieli, pan de Joinville zaprosił mnie na kolację do znajomych sobie dziewcząt. Oprócz nas było paru urzędników z ministerium spraw zagranicznych, ludzi bardzo na miejscu, zarówno w tonie, jak w zachowaniu dalekich od popisywania się rozpustą; co do mnie zaś, mogę przysiąc, iż spędziłem ów wieczór na dość smutnych rozmyśleniach nad nieszczęśliwym losem tych istot. Nie zapłaciłem swego udziału w wieczerzy, ponieważ pan de Joinville nas zaprosił; nie ofiarowałem też nic jego dziewczętom, ponieważ nie dałem im — jak niegdyś *Padoanie* — sposobności zarobienia. Wyszliśmy wszyscy dość weseli i w doskonałej harmonii. Nie widziałem od tego czasu owych dziewcząt; w kilka dni potem wybrałem się na obiad do pana de Joinville, którego również od tej pory nie widziałem i który przyjął mnie tak, jak mówię. Nie mogłem sobie wyobrazić innej przyczyny prócz jakiegoś nieporozumienia w związku z tą wieczerzą. Widząc, iż pan de Joinville nie chce się wdawać w wyjaśnienia, zaciąłem się i ja i przestałem go odwiedzać; ale posyłałem mu nadal swoje utwory: często kazał mi wyrażać swoje zachwyty i spotkawszy mnie jednego dnia w przedśionku Komedii, obsypał mnie z powodu mej abstynencji nader uprzejmymi wymówkami, co mnie wszelako nie sprowadziło z powrotem. Cała ta sprawa bardziej miała charakter jakichś dąsów niż zerwania. Jednakże ponieważ ani nie widziałem pana de Joinville od tego czasu, ani nie słyszałem o nim od bardzo dawna, zbyt późno byłoby nawiązywać te stosunki po przerwie kilku lat. Oto czemu pan de Joinville nie wchodzi tu w moją listę, mimo że dość długo bywałem w jego domu.

Nie będę nawet pomnżał tej listy wieloma innymi mniej bliskimi znajomościami. Stosunek z niektórymi osobami rozluźnił się z powodu mej nieobecności; widywałem je wszelako niekiedy na wsi, u siebie i w sąsiedztwie, jak na przykład księży de Condillac, de Mably; panów de Mairan, de Lalive, de Boisgelou, Watelet, Ancelet i innych, których za długo byłoby wyliczać. Przejdę również lekko nad stosunkiem z panem de Margency, podkomorzym królewskim, eksczlunkiem koterii Holbachowskiej, którą opuścił tak samo jak ja, i eksprzyjacielem pani d'Epina, od której odsunął się tak samo jak ja; również nad znajomością z jego przyjacielem, Desmahis<sup>116</sup>, głośnym, mimo iż nie na długo, autorem komedii *Impertinent*. Pierwszy był moim sąsiadem, ile że majątek noszący jego nazwisko leżał blisko Montmorency. Znalismy się od dawna, ale sąsiedztwo i pewna wspólność doświadczeń zbliżyły nas bardziej. Desmahis umarł wkrótce potem. Był to człowiek utalentowany i bystry, ale był po trosze oryginałem swej komedii, zwłaszcza co do pretensji wobec kobiet; nie zostawił też po sobie zbytniego żalu.

Ale nie sposób mi pominąć nowego stosunku z owego czasu; stosunku, który zbyt wpłynął na resztę mego życia, abym mógł nie skreślić tu jego początków. Chodzi o pana de Lamoignon de Malesherbes<sup>117</sup>, pierwszego prezydenta trybunału podatkowego. Miał on wówczas wydział księgarń, a sprawował to stanowisko w sposób równie światły jak

w swój wizerunek, Narcyz przestał dbać o wszystko inne i zmarł, a na jego grobie wyrósł biały kwiat, noszący jego imię. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>Desmahis, [właśc. *Joseph-François-Édouard de Corsembleu*] (1722–1761) — znany głównie przez swą komedię *Bilet perdu ou l'Impertinent*. [przypis tłumacza]

<sup>117</sup>Malesherbes — zob. przypis w księdze VIII. [przypis edytorski]

ludzki, ku wielkiemu zadowoleniu piśmienniczego świata. Nie przedłożyłem mu w Paryżu ani razu swoich służb; ale co się tyczy cenzury, zawsze doświadczyłem z jego strony najuprzejmniejszych względów; wiedziałem też, iż w niejednej okoliczności bardzo ostro obszedł się z tymi, którzy pisali przeciw mnie. Otrzymałem nowy dowód jego życzliwości z okazji *Julii*; ponieważ przesyłanie pocztą z Amsterdamu korekty tak wielkiego dzieła było bardzo kosztowne, pan de Malesherbes, sam zwolniony od opłaty pocztowej, zaproponował, aby arkusze nadsyłać pod jego adresem<sup>118</sup>, i przesyłał je z kolei mnie, również wolne od porta<sup>119</sup>, pod pieczęcią kanclerza, swego ojca. Skoro ukończono druk dzieła, nie pozwolił na jego sprzedaż we Francji, aż dopiero po wyczerpaniu wydania, które kazał sporządzić na moją korzyść wbrew mej woli. Ponieważ ten zysk byłby z mej strony kradzieżą na szkodę Reya, któremu sprzedałem rękopis, nie chciałem bez jego zezwolenia przyjąć honorarium, które mi przypadło. Rey zgodził się bardzo wspaniałomyślnie; chciałem podzielić z nim sto pistolów, jakie wyniosło to honorarium: nie przyjął. Za te sto pistolów miałem tę przykrość (o której pan de Malesherbes mnie nie uprzedził), iż ujrzałem swoje dzieło haniebnie okaleczone: tamowało też ono sprzedaż dobrego wydania, dopóki złe nie zostało wyczerpane.

Zawsze uważałem pana de Malesherbes za człowieka nieskazitelnej prawości. Cokolwiek mi się wydarzyło, nie pozwoliłem sobie ani na chwilę wątpić o jego uczciwości; ale, będąc równie słabym jak uczciwym, szkodzi on niekiedy ludziom, którymi się interesuje, przez to samo, że jest za nich zanadto ostrożny. Nie tylko usunął więcej niż sto stron w wydaniu paryskim, ale w egzemplarzu dobrego wydania, który posłał pani de Pompadour, dokonał operacji, która mogłaby nosić nazwę sfalszowania tekstu. Jest gdzieś powiedziane w tym dziele, że żona węglarza bardziej jest godna szacunku niż kochanka księcia. Zdanie to nasunęło mi się w gorączce pisania, bez żadnej aluzji, przysięgam. Odczytując książkę, spostrzegłem, iż będzie się w tym można dopatrywać ukrytej intencji. Wszelako w myśl nieostrożnej zasady, aby nic nie usuwać przez wzgląd na aluzje, jakich mógłby się ktoś dopatrzeć, o ile w sumieniu mam pewność, że pisząc, nie miałem ich na myśli, nie wykreśliłem tego zdania i zadowolilem się podstawieniem słowa „księcia”, zamiast „króla”, którego użyłem zrazu. To złagodzenie nie wydało się panu de Malesherbes dostatecznym: usunął całe zdanie, kazawszy umyślnie wydrukować kartkę i wkleić ją najrzęczniejszemu, jak się dało, w egzemplarz pani de Pompadour. Ta sztuczka nie uszła wiadomości faworyty; znalazły się dobre dusze, które ją objaśniły. Co do mnie, dowiedziałem się o tym aż znacznie później, kiedy zacząłem odczuwać skutki.

Czyż nie tu należy szukać pierwszego źródła tajonej, ale nieubłaganej nienawiści innej damy<sup>120</sup>, która była w podobnym położeniu, o czym ja nic nie wiedziałem, ani nie znałem jej nawet, pisząc ten ustęp? Kiedy książka ukazała się w druku, znałem już tę panią i czułem się bardzo niespokojny. Zwierzyłem się kawalerowi de Lorenzy, który wyśmiał mnie i upewnił, iż osoba, o którą chodzi, tak dalece nie jest obrażona, iż nawet nie zwróciła uwagi na ten ustęp. Uwierzyłem, zbyt lekko może; i wyzbyłem się obaw bardzo nie w porę.

Z początkiem zimy otrzymałem nowy objaw życzliwości pana de Malesherbes, który mnie bardzo mile wzruszył, mimo że nie uznałem za właściwe zeń korzystać. Zawakowało miejsce w „Dzienniku uczonych”<sup>121</sup>. Margency napisał do mnie, ofiarując mi je, rzekomo z własnego popędu. Ale łatwo mi było zrozumieć z formy jego listu (plik C, nr 33), że ma po temu instrukcje i upoważnienia; on sam oświadczył w dalszym ciągu (plik C, nr 47), że polecono mu zwrócić się do mnie z tą propozycją. Praca, której wymagało to miejsce, była niewielka; chodziło o jakieś dwa wyciągi na miesiąc, do których dostarczono by mi książek, tak iż nigdy nie byłbym w konieczności podejmowania jazdy do Paryża, nawet dla złożenia wizyt dziękczynnych. Wchodziłem przez to w towarzystwo uczonych pierwszorzędnej wartości; nie licząc, iż z pracą tak mało uciążliwą i której mogłem do-

Literat

<sup>118</sup>sam zwolniony od opłaty pocztowej, zaproponował, aby arkusze nadsyłać pod jego adresem — opłatę pocztową ponosił odbiorca listu, a nie nadawca. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>porto (z wł.) — opłata za przesyłkę. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>innej damy — pani de Boufflers, przyjaciółka księcia Conti [Marie-Charlotte de Campet de Saujon (1725–1800) była żoną księcia Edouarda de Boufflers-Rouverel, a kochanką Ludwika Franciszka Burbona, księcia de Conti; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>121</sup>„Dziennik uczonych”, fr. „Journal des Savants” — pierwsze w Europie czasopismo naukowe zajmujące się literaturą, powstałe w 1665, objęte patronatem króla Francji. [przypis edytorski]

konać tak wygodnie, łączyło się wynagrodzenie ośmiuset franków, przywiązane do tego miejsca. Zastanawiałem się kilka godzin, nim powziąłem decyzję, ale, mogę przysiąc, czyniłem to jedynie z obawy sprawienia przykrości Margency'emu i obrażenia pana de Malesherbes. Lęk przed nieznośnym przymusem, który by mi nie pozwolił pracować wedle chęci i zmuszał do trzymania się terminów, a bardziej jeszcze pewność, iż powierzone mi czynności wypełniałbym bardzo nieszczególnie, przeważały wszystko i skłoniły do odrzucenia stanowiska, do którego nie czułem się stworzony. Wiedziałem, że cały mój talent wypływa z pewnego rozżarzenia duszy przedmiotem zaprzatającym mnie w danej chwili i że jedynie miłość tego, co wielkie, prawdziwe i piękne, zdolna jest pobudzić mego ducha. I cóż by mnie obchodziły tematy większości książek, z których miałbym robić wyciągi, ba, i same książki? Obojętność dla przedmiotu zmroziłaby mi pióro i stępiła umysł. Wyobrażano sobie, że ja mogę pisać z rzemiosła jak wszyscy, podczas gdy zawsze byłem zdolny pisać jedynie namiętnością. Nie tego z pewnością potrzeba było „Dziennikowi Uczonych”. Napisałem tedy do Margency'ego list z podziękowaniem, możliwie najuprzejmiejszy. Wyszczególniłem tak dobrze swoje racje, iż niepodobna, aby bądź on, bądź pan de Malesherbes mogli uwierzyć, że jakiś kaprys albo duma są przyczyną mej odmowy. Toteż przyklasnęły jej obaj, nie zmieniając w niczym dawnej życzliwości dla mnie; zresztą, dochowano tak dobrze tajemnicy w całej sprawie, że ogół nie miał o niczym najmniejszego pojęcia.

Propozycja ta zjawiała się bardzo nie w porę; od jakiegoś czasu bowiem tworzyłem projekt porzucenia zupełnie literatury, a zwłaszcza zawodu autorskiego. Ostatnie moje przygody zbrzydziły mi bezwarunkowo panów literatów; rozumiałem zaś, iż niepodobna jest uprawiać wspólny zawód bez zachowania bodaj jakich wzajemnych stosunków. Nie mniej zrażony byłem do wielkiego świata i w ogóle do tego dwoistego życia, jakie prowadziłem, przez pół należąc do siebie samego, a przez pół do towarzystw, do których nie byłem stworzony. Czułem bardziej niż kiedykolwiek, na podstawie bolesnych doświadczeń, że wszelkie nierówne związki są zawsze niekorzystne dla strony słabszej. Żyjąc z ludźmi zamożnymi i innego stanu niż mój, mimo iż nie prowadziłem domu na ich sposób, byłem wszelako zmuszony naśladować ich w wielu rzeczach; a drobne wydatki, które były niczym dla nich, okazały się dla mnie nie mniej rujnujące, jak nieodzowne. Niech ktoś z nich wybierze się w gościnę na wieś: ma do obsługi własnego lokaja, tak przy stole, jak w pokoju; posyła go po wszystko, czego mu trzeba; nie mając nic osobiście do czynienia z miejscową służbą, nie widząc jej nawet, daje napiwki, kiedy i jak mu się podoba; ale ja, sam, bez służącego, byłem na łasce domowników, których względy trzeba było sobie nieodzownie kaptować<sup>122</sup> w obawie, aby mi się nadto nie dali we znaki. Traktowany na równi z państwem, musiałem i ja postępować z nimi po pańsku, a nawet być hojniejszy niż kto inny, ponieważ w istocie znacznie więcej ich potrzebowałem. Mniejsza jeszcze, kiedy jest mało służby; ale w domach, gdzie ja bywałem, było jej mnóstwo: wszyscy bardzo hardzi, wielcy franci<sup>123</sup>, bardzo zapobiegliwi, rozumie się koło własnego interesu, przy tym hultaje umieli się urządzać w taki sposób, że potrzebowałem kolejno usług wszystkich. Damy paryskie, mimo iż tak sprytne, nie mają żadnego pojęcia o tych rzeczach: starając się niby oszczędzać mą sakiewkę, rujnowały mnie po prostu. Kiedy wieczerałem u kogoś nieco dalej od domu, zamiast pozwolić, abym posłał po dorożkę, pani domu kazała zaprzęgać i odsyłała mnie własnym powozem. Bardzo była rada, iż oszczędzi mi dwadzieścia cztery su na fiakra<sup>124</sup>; o talarze, którego dawałem lokajowi i woźnicy, nie myślała. Kiedy dama jakaś pisała do mnie z Paryża do Pustelni lub do Montmorency, żałując czterech su porta, które jej list byłby mnie kosztował, posyłała mi go przez kogoś ze swych ludzi, który przybywał piechotą cały spocony i któremu dawałem obiad oraz talara, z pewnością bardzo sumiennie zasłużonego. Kiedy mnie zapraszała, abym spędził tydzień lub dwa na wsi, mówiła sobie w duchu: „Zawsze to będzie oszczędność dla tego biedaka; przez ten czas życie nie będzie go kosztować”. Nie zastanawiała się, że w zamian przez ten czas nie będę pracował; że moje gospodarstwo i komorne, i bielizna, i ubrania idą mimo to swoim trybem; że muszę podwójnie płacić balwierza<sup>125</sup> i że razem wzięwszy

Pieniądz, Bogactwo, Bieda

<sup>122</sup>kaptować (z łac.) — zdobywać, pozyskiwać. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>frant (daw.) — człowiek z pozoru sympatyczny, ale przebiegły, chytry. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>fiakier — dorożka; dorożkarz. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>balwierz (daw.) — fryzjer wykonujący również zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

pobyt kosztuje mnie o wiele drożej u niej niż u siebie. Mimo że ograniczałem moje drobne napiwki jedynie do domów, gdzie bywałem częściej, i tak były one dla mnie prawdziwą ruiną. Mogę upewnić, że u pani d'Houdetot w Eaubonne, gdzie nocowałem ledwie kilka razy, wyłożyłem co najmniej dwadzieścia pięć talarów; a więcej niż sto pistolów tak w Epinay, jak w Chevrette, przez te pięć czy sześć lat, które bywałem tam częściej. Wydatki te nieuniknione są dla człowieka z moją naturą, który nie umie postarać się o nic ani pamiętać o sobie, ani znieść widoku mruczącego i usługującego z niechęcią lokaja. U pani Dupin nawet, gdzie byłem domowy i gdzie świadczyłem służącym tysiąc grzeczności, usługi ich mogłem zdobyć jedynie brzękiem pieniądza. Z czasem trzeba mi było wyrzec się zupełnie tych drobnych datków, które w położeniu moim przerastały możliwość; wówczas o wiele ciężiej jeszcze dano mi uczuć odwrotne strony bywania u ludzi nierównych mi stanem. Gdyby jeszcze do życia było mi miłe, przeboleałbym wreszcie wydatki uciążliwe, ale połączone z przyjemnością; ale rujnować się, aby się nudzić, to już za wiele. Tak dotkliwie odczułem ciężar tego życia, iż korzystając ze swobody, jakiej kosztowałem w tej chwili, pragnąłem z całej duszy utrwalić tę swobodę, wyrzec się zupełnie wielkiego świata, pisania książek, wszelkiej styczności z literaturą i zamknąć się na resztę dni w ciasnej i spokojnej sferze, do której czułem się zrodzony.

Zysk z *Listu do d'Alemberta* i *Nowej Heloizy* skrzepił nieco me zasoby, które w Pustelni bardzo się wyczerpały. Miałem w ręku około tysiąca talarów. *Emil*, do którego zabrałem się na dobre po ukończeniu *Heloiizy*, posuwał się bardzo szybko; liczyłem, iż dochód z niego co najmniej podwoi tę sumę. Powziąłem projekt ulokowania swego kapitału tak, aby stworzyć projekt dożywotniej renty, która, wraz z moim zarobkiem kopisty, pozwoliłaby mi się utrzymać bez pisania. Miałem jeszcze dwa dzieła na warsztacie. Pierwszym były *Instytucje polityczne*. Zbadałem stan tej książki i uznałem, że wymaga jeszcze kilku lat pracy. Nie miałem odwagi pracować nad nią dalej i odwlekać swego projektu aż do jej ukończenia. Toteż, wyrzekając się tego dzieła, postanowiłem zużyć zeń to, co się da wydzielić, następnie zaś spalić resztę. Podjąwszy z zapalem tę pracę, bez uszczerbku dla *Emila*, dopełniłem w ciągu niespełna dwu lat ostatnich rysów *Umowy społecznej*.

Pozostawał *Dykcjonarz muzyczny*. Była to praca rzemieślnicza, którą można było prowadzić w każdej porze i która miała za cel jedynie zysk pieniężny. Zostawiałem sobie do woli swobodę rzucenia jej lub dokończenia wedle tego jak inne zasoby, zgromadzone razem, uczynią mi to źródło koniecznym lub zbędnym. Co do *Moralności urażen*, której zamysł pozostał w formie szkicu, poniechałem jej zupełnie.

Ponieważ, gdybym mógł obejść się zupełnie bez kopiowania, ostatecznym moim zamiarem było oddalić się z okolic Paryża, gdzie napływ odwiedzających przyczyniał mi zbyt wiele wydatków, kradnąc równocześnie czas potrzebny na ich zaopatrzenie, zastanawiałem się nad sposobem ubezpieczenia się w moim ustroniu od nudy, w jaką powiadają, iż popada pisarz, z chwilą gdy rzuci pióro. Otóż zapewniłem sobie zajęcie, zdolne wypełnić pustkę samotności, a wolne od pokusy drukowania czegokolwiek jeszcze za życia. Nie wiem przez jaki kaprys Rey nalegał na mnie od dawna, abym napisał pamiętniki. Mimo iż do tego czasu nie były one zbyt zajmujące co do faktów, czułem, że mogłyby nabrać wagi przez szczerość, jaką byłbym zdolny w nie włożyć. Postanowiłem stworzyć z nich dzieło jedyne przez swą bezprzykładną prawdomówność, iżby przynajmniej raz można było widzieć człowieka takim, jakim jest wewnątrz. Zawsze śmiałem się z fałszywej szczerości Montaigne'a, który udając, iż przyznaje się do błędów, troszczy się bardzo pilnie, aby te rzekome błędy przedstawić w jak najpoważniejszym świetle; podczas gdy ja, który uważałem się zawsze i uważam dotąd jeszcze, ogółem wzięwszy, za najlepszego z ludzi, czułem, że nie ma ludzkiego wnętrza, choćby było nawet najczystsze, aby nie kryło w sobie jakiej szpetnej przywary. Wiedziałem, że malują mnie wobec publiczności rysami tak mało podobnymi do moich, a niekiedy tak poczwarnymi, iż mimo błędów, których nie chciałem ukrywać, mogę jedynie zyskać, ukazując się takim, jakim jestem. Nie dało się tego dokonać, nie pokazując także innych ludzi w ich prawdziwej postaci, tym samym dzieło nie mogło się ukazać wcześniej aż po śmierci mojej i wielu innych osób. To ośmielało mnie tym bardziej do spisania *Wyznań*, za które nigdy nie będę się musiał przed nikim rumienić. Postanowiwszy tedy poświęcić swoje wczasy sumiennemu wykonaniu tego przedsięwzięcia, zabrałem się do gromadzenia listów i papierów, któ-

re mogły prowadzić albo pobudzać mą pamięć, żałując bardzo wszystkiego, co aż dotąd podarłem, spaliłem, zgnubiłem.

Ten zamiar zupełnego usunięcia się, jeden z najrozsądniejszych, jakie kiedykolwiek powziąłem, wycisnął się bardzo silnie w mym umyśle i już pracowałem nad jego wykonaniem, kiedy niebo, które gotowało mi inne losy, wtrąciło mnie w nowy wir.

Montmorency, dawne i piękne dziedzictwo znakomitego domu tego imienia, nie należy już doń od czasu konfiskaty. Przeszło, za pośrednictwem siostry księcia Henryka, do domu Kondeuszów<sup>126</sup>, który zmienił dawną nazwę Montmorency na Enghien. Księstwo to nie ma innego zamku, jak tylko starą wieżę, gdzie przechowuje się archiwa i przyjmuje hołdy wasali. Istnieje wszelako w Montmorency, czyli w Enghien, osobny dom, zbudowany przez Croisata, który, kryjąc w sobie wspaniałości najpyszniejszych zamków, zasługuje na to miano i nosi je też w istocie. Imponujący wygląd tej pięknej budowli, terasa, na której się wznosi, widok jedyny może na świecie, obszerny salon malowany ręką mistrzów, ogród sadzony przez sławnego Le Nôtre<sup>127</sup>, wszystko to tworzy całość, której uderzający majestat ma wszelako coś dziwnie prostego. Pan marszałek książę de Luxembourg<sup>128</sup>, który zajmował wówczas ów dom, zjeżdżał co roku do tego majątku, gdzie przodkowie jego byli niegdyś panami, aby dwa razy w roku spędzić tam pięć do sześciu tygodni. Bawił w charakterze prywatnej osoby, ale przepych jego trybu życia w niczym nie sprzeniewierzał się dawnej świetności domu. Za pierwszym razem kiedy przybył od czasu mego osiedlenia w Montmorency, oboje marszałkostwo posłali pokojowca, aby wyraził mi pozdrowienie z ich strony i zaprosił w imieniu państwa na wieczerzę, ilekroć będę miał ochotę. Za każdym nowym pobytem na wsi, księstwo ponawiali to samo pozdrowienie i zaprosiny. Przypominało mi to panią de Beuzenval, częstującą mnie obiadem w kredensie. Czasy zmieniły się; ale ja zostałem ten sam. Nie miałem ochoty obiadować w kredensie, a mało dbałem o stół pański. Byłbym raczej wolał, aby mnie zostawili tym, czym byłem, nie podejmując mnie i nie poniżając. Odpowiedziałem grzecznie i z szacunkiem na uprzejmości księstwa de Luxembourg, ale nie przyjąłem zaprosin; tak moje niedomagania, jak wrodzona nieśmiałość i trudność wymowy przyprawiały mnie o drżenie na samą myśl, abym się miał pokazać w zgromadzeniu dworskich dygnitarzy. Nie poszedłem nawet do zamku złożyć podziękowania, mimo że rozumiałem doskonale, że o to właśnie chodzi i że cała ta gorliwość raczej wynika z ciekawości niż z życzliwości.

Mimo to awanse ponawiały się ciągle, a nawet posunęły się dalej. Hrabina de Boufflers<sup>129</sup>, bardzo zażyła z panią marszałkową, przybywszy do Montmorency, posłała dowiedzieć się o moje zdrowie i ofiarowała się z chęcią odwiedzenia mnie. Odpowiedziałem jak należało, ale sam nie ruszyłem się z miejsca. W czasie świąt Wielkanocy 1759 kawaler de Lorenzy, należący do dworu księcia Conti i częsty gość u pani de Luxembourg, odwiedził mnie kilkakrotnie; zawarliśmy znajomość; namawiał mnie, abym się wybrał do zamku — nie usłuchałem. Wreszcie jednego popołudnia, kiedy najmniej się tego spodziewałem, ujrzałem nadchodzącego marszałka de Luxembourg w towarzystwie kilku osób. Wówczas nie było już sposobu się wywinąć; nie mogłem, pod groźą ściągnięcia na się opinii zuchwalca i prostaka, nie oddać wizyty, i nie przedłożyć służb pani marszałkowej, w której imieniu książę obsypał mnie najpochlebniejszymi oświadczeniami. Tak zaczęły się, pod złowrogą wróżbą, te stosunki. Nie mogłem dłużej się bronić, ale zbyt dobrze uzasadnione przeczucie kazało mi lękać się ich, póki się w nie nie wplątałem.

<sup>126</sup>Przeszło, za pośrednictwem siostry księcia Henryka, do domu Kondeuszów — książę Henryk II de Montmorency, ceniony dowódca wojskowy, przyłączył się do przeciwników kardynała Richelieu, głównego ministra Ludwika XIII, został jednak pokonany, ujęty i stracony (1632); tytuł przeszedł na jego siostrę, Charlotte Marguerite, która wyszła za mąż za Henryka II Burbona, księcia de Condé (Kondeusza). [przypis edytorski]

<sup>127</sup>Le Nôtre, André (1613–1700) — francuski architekt krajobrazu, nadworny ogrodnik króla Ludwika XIV, zaprojektował ogrody Wersalu. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>książę de Luxembourg — tu: Charles François II de Montmorency, książę Luxembourg (1702–1764), gubernator Normandii (od 1726) i marszałek Francji (od 1757). [przypis edytorski]

<sup>129</sup>hrabina de Boufflers [(1725–1800)] — rychło rozwiedziona z mężem, nawiązała stosunek z ks. de Conti, którego nawet usiłowała poślubić. Mania prześladowcza Russa każe mu widzieć w pani de Boufflers główną sprężynę intryg przeciw niemu; jednakże wszystkie jego podejrzenia w tej mierze zdają się być urojone. [przypis tłumacza]

Obawiałem się niezmiernie pani de Luxembourg<sup>130</sup>. Wiedziałem, że jest to osoba miła i powabna. Widywałem ją wielokrotnie w teatrze i u pani Dupin przed jakimi dziesięciu czy dwunastu laty, kiedy była księżną de Boufflers i jaśniała jeszcze blaskiem całej piękności. Ale uchodziła za kobietę złą; reputacja ta — zważywszy stanowisko osoby — przyprowadzała mnie o drżenie. Ledwie ją ujrzałem, uczulem się pobity. Wydała mi się czarująca, tym czarem urągającym czasowi, najbardziej stworzonym, aby działać na me serce. Spodziewałem się, iż rozmowa jej będzie kąśliwa i najeżona dowcipem. Nic podobnego; raczej o wiele lepiej. Konwersacja pani de Luxembourg nie błyszczy na pozór. To nie rakiety dowcipu, nawet nie to, co się nazywa spryt; raczej najwyborniejsza delikatność, która nie uderza nigdy, a miła jest zawsze. Uprzejmość jej jest tym bardziej odurzająca, że jest bardzo prosta; można by rzec, iż pochlebne słowa wrywają się jej bez myśli i że to serce jej wylewa się dlatego jedynie, że jest nazbyt pełne. Zdawało mi się od pierwszej wizyty, iż mimo lekliwego obejścia i ciężkich frazesów nie zrobiłem złego wrażenia. Każda z tych wielkich pań umie, jeżeli zechce, wzbudzić to przekonanie, bez względu, czy jest ono prawdą czy nie; ale nie każda umie jak pani de Luxembourg uczynić to przeświadczenie tak słodkim, iż nie przychodzi już na myśl wątpić o nim. Już od pierwszego dnia byłaby marszałkowa zdobyła mą całkowitą ufność, jak to nastąpiło rychło później, gdyby księżna de Montmorency, jej synowa, nieco postrzelona i dość złośliwa, nie wpadła na myśl wzięcia mnie w podwójny ogień zalotności. Zjednoczone komplementy mamy i udane kokieterie córki obudziły we mnie niejaki wątpliwości, czy nie wzięto mnie za ofiarę żartu.

Nielatwo by mi może było uwolnić się od tej obawy, gdyby nadzwyczajna życzliwość pana marszałka nie upewniła mnie, że i tamte objawy sympatii mogą brać poważnie. Zadziwiające jest, zważywszy mój nieśmiały charakter, jak łatwo przyszło mi wziąć go za słowo, kiedy mnie zapewniał, iż stosunek nasz pragnie postawić na stopie absolutnej równości; nawzajem znów marszałek wziął mnie za słowo co do absolutnej niezależności, jaką chciałem zachować. Oboje księstwo, przeświadczeni, że mam słuszne powody czuć się zadowolony ze swego stanu i nie chcąc go odmieniać, ani przez chwilę nie zdawali się zaprzętać sakiewką mą ni losem. Mimo iż nie mogłem wątpić o ich serdecznym zainteresowaniu, nigdy nie częstowali mnie żadnym stanowiskiem ani nie nastęrczali się ze swym poparciem, wyjąwszy jedyny raz, kiedy pani de Luxembourg okazywała chęć wprowadzenia mnie do Akademii Francuskiej. Zwróciłem uwagę na mą religię: oświadczyła, że to nie jest przeszkoda, w każdym zaś razie podejmowała się ją usunąć. Odpowiedziałem, iż mimo zaszczytu, jakim byłoby dla mnie być członkiem tak znamienitego ciała, wszelako skoro odmówiłem panu de Tressan i, do pewnego stopnia, królowi polskiemu, gdy mnie chciał powołać do Akademii w Nancy, nie wypada mi już wstępować do żadnej innej. Pani de Luxembourg nie nalegała i nie było już o tym mowy. Ta prostota stosunków z tak wielkim państwem, które mogło wszystko uczynić dla mnie, ile że pan de Luxembourg był, i wart był być, osobistym przyjacielem króla, stanowi osobliwy kontrast z nieustanną, równie natrętną, jak niewczesną opieką przyjaciół-protektorów, z którymi świeżo się rozstałem i których dążeniem było nie tyle usłużyć mi, ile mnie poniżyć.

Kiedy pan marszałek przybył mnie odwiedzić w Mont-Louis, przyjąłem go, wraz z jego świtą, w swoim jedynym pokoju, wielce zafrasowany: nie dlatego, że musiałem go posadzić wśród brudnych talerzy i potłuczonych garnków, ale dlatego, iż podłoga, wpółzgniła, rozsypywała się w próchno; obawiałem się, aby pod ciężarem tak liczne- go grona nie zapadła się zupełnie. Mniej zaprzętnięty własnym niebezpieczeństwem, ile tym, na które ów dobry pan wystawia się przez swą uprzejmość, co prędkiej pokwapilem się wyprowadzić go z domu, wiodąc mimo zimna, jakie jeszcze panowało, do mej baszty, otwartej na przestrzał i bez kominka. Kiedyśmy się tam znaleźli, wyjaśniłem powód swej niegościnnności. Książę opowiedział wizytę pani marszałkowej i oboje nalegali na mnie, abym w oczekiwaniu aż naprawią mi podłogę, przyjął mieszkanie w zamku lub też, jeśli

Gość

<sup>130</sup>pani de Luxembourg (1707–1787) — głośna z piękności, zaślubiła najpierw księcia de Boufflers. Młodość jej, nawet w oczach tej epoki skandaliczna, znalazła odbicie w satyrycznych piosenkach współczesnych. Oto urywek z jednej z nich, pióra pana de Tressan: *Quand Boufflers parut à la cour, / On crut voir la mère d'amour... / Et chacun l'avait à son tour.* Zaślubiwszy marszałka de Luxembourg, z którym wiązał ją dawny stosunek miłosny, w dojrzałych latach stała się w Paryżu wyrocznią tonu i reputacji. Machiawelizm, jaki insynuuje jej Rousseau w stosunku do niego, jest, jak się zdaje, jego urojeniem. [przypis tłumacza]



wolę, w ustronnym budynku położonym wśród parku a noszącym miano „zameczku”. Ta czarowna siedziba zasługuje, aby o niej wspomnieć.

Park lub ogród w Montmorency nie jest położony na równinie jak park w Chevrette. Jest nierówny, górzisty, sfalowany wzgórzami i dolinami, które zręczny artysta wyzyskał, tworząc z nich malownicze gaje, kaskady, perspektywy i w ten sposób siłą sztuki i talentu niejako pomnożył przestrzeń, samą z siebie dość szczupłą. Park ten uwieńczony jest u szczytu terasą i zamkiem; w dole tworzy on jakby gardziel, która otwiera się i rozszerza ku dolinie, a której zagłębienie wypełnione jest wielką płaszczyzną wodną. Między oranżerią, która zajmuje szerszy wylot kotliny, a jeziorem, otoczonym zboczami strojnymi w krzewy i drzewa, znajduje się ów zameczek. Budowla ta, z otaczającym kawałem ziemi, należała niegdyś do sławnego Le Brun<sup>131</sup>, który wznosił ją i przystroił z owym wytwornym smakiem zdobnictwa i architektury, jakim odznaczał się ten wielki malarz. Zameczek ten od tego czasu przebudowano, ale zawsze wedle pierwotnego rysunku. Jest mały, skromny, ale wykwintny. Ponieważ mieści się w kotlinie, między basenem oranżerii a wielką sadzawką, a tym samym narażony jest na wilgoć, przebito go w środku przejrzystym perystylem<sup>132</sup>, wspartym na dwóch rzędach kolumn. Przewiew powietrza rozprowadzony po całym budynku sprawia, iż jest suchy mimo swego położenia. Kiedy się patrzy na tę budowlę z przeciwległej wyżyny, wydaje się ona ze wszystkich stron otoczona wodą; mamy wrażenie, że widzimy zaczarowaną wyspę, albo też najpiękniejszą z trzech Wysp Boromejskich, zwaną Isola bella na Lago maggiore.

W tym to samotnym budynku dano mi do wyboru jedno z czterech kompletnych mieszkań, które zawiera, poza parterem, złożonym z sali balowej, bilardowej i kuchni. Wybrałem najmniejsze i najskromniejsze mieszkanko nad kuchnią, którą również objąłem w posiadanie. Pokoje były uroczo schludne; umeblowanie białe z niebieskim. W tej to głębokiej i rozkosznej samotni, w otoczeniu wód i lasów, wśród koncertu ptasząt, zapachu kwiatu pomarańczowego, ułożyłem, w nieustającej ekstazie, piątą księgę *Emila*, której dość świeży koloryt zawdzięczam w znacznej mierze ożywczym wpływom miejsca, w którym ją pisałem. Z jakąż skwapliwością biegłem co rano, o wschodzie słońca, wdychać balsamiczne powietrze! Jakąż smaczną kawę z mlekiem pijałem sam na sam z Teresą! Kotka moja i pies dotrzymywały nam towarzystwa. Ten dwór wystarczyłby mi na całe życie, nie dając zaznać ani chwili nudów. Czulem się tam jak w raju; żyłem w iście rajskiej niewinności i kosztowałem takiegoż szczęścia.

W czasie pobytu swego w lipcu oboje księstwo de Luxembourg okazali mi tyle względów, świadczyli tyle serdeczności, iż, mieszkając u nich i obsypywany świadectwami dobroci, nie mogłem odwdziżyć się inaczej jak tylko dotrzymując im pilnie towarzystwa. Nie opuszczałem ich prawie wcale. Rano szedłem przedłożyć służby pani marszałkowej; zatrzymywano mnie na obiedzie; po południu towarzyszyłem na przechadzkę panu marszałkowi; ale nie wieczerzałem w zamku, z przyczyny zbyt licznych gości i ponieważ wieczerzano, jak dla mnie, zbyt późno. Aż dotąd wszystko było na miejscu i nie byłoby w tym jeszcze nic złego, gdybym umiał się na tym ograniczyć. Ale nigdy nie potrafiłem zachować miary w przywiązaniu i dopełnić po prostu powinności towarzyskich. Dawałem zawsze wszystko albo nic; niebawem dałem wszystko. Widząc się podejmowanym, psutym przez osoby takiego stanowiska, przekroczyłem granice i powziąłem dla nich przyjaźń, jaką wolno jest mieć tylko dla równych sobie. Wlałem w stosunek do nich całą serdeczną poufalość, podczas gdy oni w swoim zachowaniu nigdy nie wyszli z granic grzeczności, do której mnie przyzwyczaili. Mimo to nigdy nie czulem się bardzo swobodny z panią marszałkową. Jakkolwiek nie byłem zupełnie pewien jej charakteru, mniej obawiałem się go jeszcze niż jej dowcipu. To była rzecz, która mi w niej najbardziej imponowała. Wiedziałem, że jest wybredna w towarzystwie i że ma prawo po temu. Wiedziałem, że kobiety, a zwłaszcza wielkie panie, chcą bezwarunkowo, aby je bawić, i że lepiej jest obrazić je niż znudzić. Z komentarzy jej o ludziach, którzy dopiero co opuścili salon, zgadywałem, co musi myśleć o moich niezgrabstwach. Wpadłem na sposób, aby się ocalić od kłopotu rozmowy: mianowicie czytać. Słyszała o *Julii*; wiedziała, że jest w druku; objawiła chęć poznania tego utworu. Ofiarowałem się przeczytać; przystała. Co rano udawałem się do

<sup>131</sup> *Le Brun, Charles* (1619–1690) — francuski malarz królewski, architekt, dekorator Wersalu i Luwru, współtwórca stylu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *perystyl* — wewnętrzny dziedziniec otoczony kolumnami. [przypis edytorski]

niej o dziesiątej: pan de Luxembourg zjawiał się również; zamykano drzwi. Czytałem, siedząc przy łóżku księżnej, i miarkowałem takie dawki lektury, iż byłoby jej starczyło na cały pobyt, gdyby nawet nie uległ przerwie. Powodzenie tego środka przeszło moje oczekiwanie. Pani de Luxembourg oszalała na punkcie Julii i jej autora; mówiła tylko o mnie, zajmowała się jedynie mną, prawiła mi komplementa od rana do wieczora, ścisła mnie po dziesięć razy dziennie. Życzyła sobie, abym przy stole siedział zawsze obok niej; kiedy kto z panów chciał zająć to miejsce, powiadała, że jest moje i sadzała go gdzie indziej. Można osądzić, jakie wrażenie czyniło na mnie to czarujące obejście, na mnie, którego tak ujmują najmniejsze objawy życzliwości. Przywiązałem się prawdziwie do marszałkowej, w proporcji do przywiązania, które ona mi objawiała. Patrząc na te zachwyty i czując w sobie tak mało uroków zdolnych je podtrzymać, jedyną mą obawą było to, aby nie zmieniły się one w przesyty; nieszczęściem dla mnie, obawa aż nazbyt uzasadniona!

Musiała snadź istnieć jakaś przyrodzona sprzeczność między jej a moim krojem umysłu, skoro, niezależnie od mnóstwa niezręczności, które mi się raz po raz wyrzywały w rozmowie, w listach nawet (i to wówczas, kiedy byliśmy najlepiej), trafiały się rzeczy, które się nie podobały księżnej, ja zaś nie mogłem odgadnąć dlaczego. Dam jeden przykład, a mógłbym dać ich dwadzieścia. Marszałkowa wiedziała, że sporządzałem dla pani d'Houdetot kopię *Heloizy*, po tyle a tyle od strony. Chciała również mieć kopię na tych samych warunkach. Przyrzekłem. Pomieszczając ją tym samym w liczbie swoich klientek, chciałem jej napisać coś ujmującego i grzecznego w tym przedmiocie; taki był przynajmniej mój zamiar. Oto odpowiedź, która ściągnęła mnie z chmur (plik C, nr 43).

List

*Wersal, wtorek*

Jestem szczęśliwa, jestem zachwycona; list Pański sprawił mi niezmierną przyjemność: spieszę, aby Panu donieść o tym i podziękować.

Oto co mi Pan pisze: „Mimo że jest Pani niewątpliwie bardzo szacowną klientką, mam niejaki skrupuły, aby przyjmować od Niej pieniądze: mnie by to raczej przystało opłacać przyjemność, którą jest dla mnie móc pracować dla Pani”. To dla mnie dosyć. Przykro mi, że nie wspomina Pan nigdy o swym zdrowiu, które obchodzi mnie nad wszystko. Jestem Panu oddana z całego serca; upewniam, iż z wielkim żalem przychodzi mi to pisać i że byłoby mi bardzo miło móc to Panu wyrazić osobiście. Pan de Luxembourg również kocha Pana bardzo i ścisła go z całego serca.

Otrzymawszy ten list, czym prędzej pospieszyłem odpowiedzieć, aby, nim zdołam ściślej rozpatrzeć rzecz całą, zaprotestować bodaj przeciw wszelkiemu ujemnemu rozumieniu mego listu. Straciwszy kilka dni na dociekaniach, z niepokojem łatwym do pojęcia, a ciągle nie mogąc nic zrozumieć, oto jaką wreszcie przesłałem ostatnią odpowiedź w tej materii.

*Montmorency, 8 grudnia 1759*

Od chwili wysłania ostatniego listu rozpatrywałem po sto razy ustęp, o którym mowa. Brałem go w znaczeniu zwykłym i prostym; brałem we wszelakim sensie, jaki mu można nadać i wyznaję Pani, księżno marszałkowo, że nie wiem już, czy to Pani należą się przeprosiny ode mnie, czy też mnie od Pani.

Minęło dziesięć lat od wymiany tych listów. Często myślałem nad tym od tego czasu; i taka jest dziś jeszcze tępość moja w tej materii, że nie zdołałem pojąć, co ona mogła znaleźć w tym ustępie, nie mówię już obrażającego, ale co mogłoby się jej nie podobać.<sup>133</sup>

Gdy mowa o rękopiśmiennym egzemplarzu *Heloizy*, który życzyła sobie mieć pani de Luxembourg, trzeba mi opowiedzieć, co wymyśliłem, aby mu nadać jakąś osobliwą

<sup>133</sup>nie zdołałem pojąć, [...] co mogłoby się jej nie podobać — powyższe zdarzenie jest charakterystyczne dla chorobliwej wręcz podejrzliwości Russa: jasne bowiem jest, iż pani de Luxembourg zupełnie szczerze była zachwycona jego listem i nie czuła się w żadnej mierze urażona. [przypis tłumacza]

cechę, różniącą go od wszystkich innych. Nakreśliłem swego czasu oddzielnie przygody milorda Edwarda i długo wahałem się z włączeniem ich, bądź w całości bądź częściowo, do tego dzieła, gdzie zdawało mi się, że ich brakuje. Wreszcie namyśliłem się usunąć je zupełnie, ponieważ odbijając tonem od reszty, zepsułyby wzruszającą prostotę utworu. Później, kiedy poznałem panią de Luxembourg, zyskałem inną, ważniejszą przyczynę: mianowicie w przygodach tych gra rolę margrabina rzymska, o bardzo odrażającym charakterze, której pewne rysy, mimo iż nie ściągały się do marszałkowej, mogłyby się do niej odnosić w oczach tych, którzy ją znali jedynie z reputacji. Bardzo byłem tedy rad z postanowienia, które powziąłem, i umocniłem się w nim tym bardziej. Ale w gorącym pragnieniu wzbogacenia egzemplarza księżnej czymś, czego by nie było w żadnym innym, sięgnąłem myślą po te nieszczęsne przygody i powziąłem zamiar dołączenia ich! Projekt szalony, którego niedorzeczność można wytłumaczyć jedynie ślepą fatalnością, wlokącą mnie do zguby! *Quos vult perdere, Jupiter dementat*<sup>134</sup>.

Byłem tak głupi, iż sporządziłem odpis bardzo starannie, bardzo pracowicie i posłałem księżnej ten ustęp, jako rzecz najpiękniejszą w świecie, uprzedzając wszelako (co było prawdą), iż spaliłem oryginał, że odpis jest tylko dla niej samej, że nigdy nikt nie ujrzy go na oczy, chyba że ona sama go pokaże. Wszystko to, zamiast, jak to rozumiałem, dowodzić w oczach marszałkowej mojej oględności i dyskrecji, było jedynie podkreśleniem aluzji, której się mogła dopatrzeć w obrażających ją rysach bohaterki tego ustępu. Posunąłem głupotę do tego stopnia, iż byłem pewny, że księżna będzie oczarowana moim postąpieniem. Nie spotkałem się z komplementami, których oczekiwałem, i nigdy ku swemu wielkiemu zdumieniu nie wspomniała mi o tym poszycie<sup>135</sup>. Co do mnie, wciąż zachwycony zachowaniem swoim w tej sprawie, dopiero po czasie, z innych objawów, osądziłem jego skutki.

Pominałem również, odnośnie do rękopisu marszałkowej, inną myśl, mniej niedorzeczną, ale która w odleglejszych następstwach okazała się równie zgubna. Tak wszystko sprzymierza się z dziełem losu, skoro podoba mu się wieść człowieka ku klęsce! Miałem zamiar ozdobić ten rękopis rysunkami sztychów, jako iż okazały się tego samego formatu. Zażądałem od Coindeta rysunków: były one, z wszelkich tytułów, moją własnością, tym bardziej, że odstąpiłem mu dochód ze sztychów, które miały wielki pokup<sup>136</sup>. Coindet był równie przebiegły, jak ja naiwny. Z mego uporczywego żądania rysunków domyślił się wreszcie, co zamierzam z nimi uczynić. Wówczas pod pozorem dodania jakichś ozdób wyjednał to, że mu je zostawiłem, i w końcu ofiarował je księstwu sam. *Ego versiculos feci, tulit alter honores*<sup>137</sup>.

To pomogło mu postawić się w pałacu na niejakej stopie. Od czasu mego osiedlenia w zameczku odwiedzał mnie tam często, a zawsze rano, zwłaszcza kiedy księstwo byli w Montmorency. To sprawiało, iż aby mu dotrzymać towarzystwa, nie szedłem do zamku. Wymawiano mi te zaniedbania; zdradziłem przyczynę. Polecono mi przyprowadzić z sobą pana Coindet, co też uczyniłem. Oto jedynie chodziło filutowi<sup>138</sup>. Tak, dzięki osobliwym względom, których tam zażywałem, totumfacki<sup>139</sup> pana Thélusson, którego ten raczył niekiedy dopuszczać do stołu, kiedy nie miał nikogo u siebie, znalazł się nagle u stołu marszałka Francji, wraz z księżętami, księżnymi i wszystkim, co było najświetniejszego na dworze. Nie zapomnę nigdy, jak jednego dnia, kiedy zmuszony był wcześniej wrócić do Paryża, książę marszałek rzekł po obiedzie do towarzystwa: „Chodźmy się przejść w stronę Saint-Denis; odprowadzimy pana Coindet”. To było za wiele na tego nieboraka: w głowie mu się zawróciło zupełnie. Co do mnie, czułem się tak wzruszony, że nie mogłem wymówić ani słowa. Szedłem z tyłu, płacząc jak dziecko i ginąc z ochoty ucałowania śladów stóp dobrego marszałka. Ale widzę, że historia mego rękopisu skłoniła mnie do uprzedzenia wypadków. Podejmijmy je po porządku, o ile pamięć mi pozwoli.

<sup>134</sup>*Quos vult perdere, Jupiter dementat* (łac.) — Kogo Jowisz chce zgubić, temu odbiera rozum. [przypis tłumacza]

<sup>135</sup>*poszyt* (daw.) — zszyta grupa kart w oprawie; dziś: zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*pokup* (daw.) — popyt na jakiś towar; *mieć pokup*: być poszukiwanym przez nabywców. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*Ego versiculos feci, tulit alter honores* (łac.) — Ja ułożyłem wiersze, a inny zgarnął zaszczyty. [przypis tłumacza]

<sup>138</sup>*filut* — ktoś przebiegły, spryciarz. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*totumfacki* — osoba zaufana i wypełniająca bez sprzeciwu wszelkie polecenia. [przypis edytorski]

Skoro tylko domek w Mont-Louis był gotów, kazałem go umeblować schludnie, po prostu i wróciłem tam na kwatery. Nie chciałem odstąpić od tego, co sobie ślubowałem opuszczając Pustelnię, aby mieć zawsze swoje własne, oddzielne mieszkanie; ale nie mogłem zarazem zdobyć się na to, aby opuścić mieszkanie w zamczku. Zatrzymałem klucz. Przywiązany wielce do rozkosznych śniadań w krużganku, często zachodziłem tam na noc, niekiedy spędzałem tam parę dni z rządu, niby na letnim mieszkaniu. Ze wszystkich obywateli Europy byłem wówczas może człowiekiem najlepiej i najprzyjemniej pomieszczonym. Pan Mathas, najzaczniejszy człowiek pod słońcem, zostawił mi zupełną swobodę kierowania naprawkami w Mont-Louis; prosił, abym rozrządzał jego ludźmi, on sam nie mieszał się do niczego. Zyskałem tedy możliwość, aby z jedyne go pokoju na pierwszym piętrze sporządzić sobie kompletny apartament, złożony z pokoju, przedpokoju i gotowalni. Na dole była kuchnia i pokój Teresy. Baszta, dzięki dobremu oszkleniu i kominkowi, jaki w niej urządzono, służyła mi za gabinet. Osiedliwszy się, zacząłem się bawić zdobieniem terasy, którą już ocieniały dwa rzędy lip; dodałem jeszcze dwa, aby uczynić rodzaj altany, kazałem wznieść stół i ławkę z kamienia; otoczyłem ją bzem, groszkiem, przewiercieniem<sup>140</sup>, zasadziłem grządki kwiatów równoległe do szpalery drzew. Terasa ta, wyższa niż terasa zamkowa, a z widokiem co najmniej równie ładnym i gdzie oswoiłem całe mnóstwo ptaków, służyła mi za uroczysty salon, w którym przyjmowałem oboje księstwo de Luxembourg, książąt de Villeroy i de Tingry, margrabiego d'Armentières, księżne de Montmorency, de Boufflers i inne osoby tej rangi, które nie dając się odstraszyć bardzo stromej i uciążliwej drodze, odbywały pielgrzymkę z zamku do Mont-Louis. Wszystkie te wizyty zawdzięczałem łasce państwa de Luxembourg; czułem to i serce moje umiało im być wdzięczne. W jednym z takich wylewów rozczulenia rzekłem raz do pana de Luxembourg, ściskając go: „Ach, panie marszałku, nienawidziłem możnych, nim poznałem pana; nienawidzę ich więcej jeszcze, od czasu gdy mi pan tak dobrze dałeś uczuć, jak łatwo byłoby im kazać się ubóstwiać”.

Zresztą, wzywam na świadków wszystkich, którzy mnie widywali w tej epoce, czy spostrzegli kiedy, aby ten blask osłepił mnie bodaj na chwilę, aby dym tego kadzidła uderzył mi do głowy; czy mnie widzieli mniej równym w zachowaniu, mniej skromnym w obejściu, mniej serdecznym z prostym ludem, mniej poufałym z sąsiadami, mniej skwapliwym do oddania przysługi każdemu wedle możliwości, przy czym nie dałem się nigdy zrazić niezliczonym, nieraz bardzo niedorzecznym dokuczliwościom, które mnie oblegały bez ustanku. Jeżeli serce ciągnęło mnie do zamku Montmorency przez szczere przywiązanie do jego państwa, wracało tak samo w moje sąsiedztwo, aby tam kosztować słodczy tego równego i prostego życia, bez którego nie ma dla mnie szczęścia. Teresa zaprzyjaźniła się z córką murarza, mego sąsiada, nazwiskiem Pilleu; ja, toż samo, wszedłem w zażyłość z ojcem. Spożywszy rano obiad w zamku, nie bez przymusu i jedynie, aby być posłusznym pani marszałkowej, z jakąż skwapliwością wracałem wieczerać z pocziwym Pilleu i jego rodziną, to u niego, to u mnie!

Oprócz tych dwóch mieszkań miałem trzecie w pałacu de Luxembourg. Księstwo tak bardzo nalegało na mnie, aby ich odwiedzić od czasu do czasu, iż uległem, mimo całego wstrętu do Paryża, gdzie od osiedlenia się w Pustelni byłem jedynie dwa razy. I u księstwa bywałem wyłącznie w umówione dni, jedynie na wieczere, i wracałem nazajutrz rano. Wchodziłem i wychodziłem przez ogród dotykający bulwaru, tak iż mogłem powiedzieć, z najściślejszą prawdą, iż nie dotknąłem stopą bruku Paryża.

Na łonie tej przelotnej pomyślności gotowała się już katastrofa, która miała zakreślić jej koniec. W niedługi czas po powrocie do Mont-Louis zawiązałem tam, wbrew woli, jak zwykle, nową znajomość, która znowuż stanowi epokę w mych dziejach. Czytelnik osądzi w dalszym ciągu, czy na złe czy na dobre. Była to margrabina de Verdelin, moja sąsiadka; mąż jej kupił domek w Soisy, koło Montmorency. Panna d'Ars, córka hrabiego d'Ars, z dobrej, ale zubożałej rodziny, zaślubiła pana de Verdelin. Był to człowiek stary, szpetny, głuchy, szorstki, brutal, zazdrosny, z pokiereszowaną twarzą, jednooki, poza tym niezły człeczyna, kiedy go kto umiał zażyć; miał piętnaście czy dwadzieścia tysięcy funtów renty, za które pannę wydano. Ten dudek, klnący, krzyczący, łający, grzmiący i pobudzający żonę

<sup>140</sup>przewiercień, wiciokrzew przewiercień (bot.) — ozdobne pnące o różowawych kwiatach i pomarańczowych owocach. [przypis edytorski]

do leż przez cały dzień, robił w końcu stale to, co ona chciała, a to, aby ją doprowadzić do wściekłości: umiała bowiem zawsze wmówić, że to on chce tego, a ona nie. Pan de Margency, o którym wspominałem, był przyjacielem pani, a stał się przyjacielem i pana. Było już kilka lat, jak im wynajął swój zamek de Margency, blisko Eaubonne i Andilly, i mieszkali tam właśnie w czasie moich zapałów dla pani d'Houdetot. Pani d'Houdetot i pani de Verdelin znały się przez panią d'Aubeterre, wspólną przyjaciółkę; że zaś ogród w Margency był na drodze pani d'Houdetot, gdy szła na Wzgórze Olimpu, swą ulubioną przechadzkę, pani de Verdelin dała jej klucz dla swobodnego przejścia. Przy pomocy tego klucza ja przechodziłem często tamtędy wraz z nią; ale nie lubiłem tych niespodzianych spotkań. Kiedy pani de Verdelin znalazła się przypadkiem na naszej drodze, zostawiałem obie panie, nie odzywając się słowem, i szedłem naprzód. Ten mało dworny obyczaj nie musiał mnie u niej zapisać w zbyt dobrej pamięci. Mimo to, kiedy przybyła do Soisy, nie omieszkła szukać mego towarzystwa. Zachodziła kilka razy do Mont-Louis, nie mogąc jednak nigdy zastać mnie w domu. Widząc, że nie oddaję wizyty, wpadła na pomysł, aby mnie zmusić do tego, posyłając mi kilka doniczek kwiatów na terasę. Trzeba było iść podziękować: to wystarczyło; i oto znajomość zawarta.

Stosunek ten zaczął się od burz, jak wszystkie te, w które wchodziłem wbrew chęci. Nie było w nim nawet nigdy prawdziwej harmonii. Krój umysłu pani de Verdelin był nazbyt przeciwny memu. Złośliwe uszczyпки<sup>141</sup> i koncepty wymykają się jej z ust z taką prostotą, że trzeba nieustannej uwagi, dla mnie bardzo męczącej, aby mieć świadomość kiedy się jest przedmiotem jej żartu. Rzadko słyszałem, aby mówiła dobrze o którymś z nieobecnych przyjaciół, nie wtrącając jakiegoś słówka dla ośmieszenia go. Czego nie widziała w złym świetle, widziała w śmiesznym, a przyjaciel jej Margency nie stanowił wyjątku w tej mierze. Co było mi w niej jeszcze nieznośne to nieustanna plaga posyłek, upominków, bilecików. Trzeba mi było bez ustanku wysilać dowcip, aby odpowiadać, dziękować lub odmawiać. Mimo to, w miarę jak widywaliśmy się dłużej, przywiązałem się do niej. Miała swoje zgrzyoty, jak i ja. Obustronne zwierzenia dały naszym sam na sam sporo uroku. Nic tak nie zespala serc jak słodycz płakania wspólnie. Szukaliśmy się, aby się pocieszać wzajem; ta potrzeba kazała mi często zamknąć oczy na wiele rzeczy. Byłem w stosunku do niej tak twardy w mej szczerości, okazałem niekiedy tak mało szacunku dla jej charakteru, że trzeba by w istocie szacować go bardzo wysoko, aby mniemać, iż może mi to szczerze przebaczyć. Oto próbka listów, jakie pisałem niekiedy do pani de Verdelin; a trzeba zaznaczyć, iż nigdy, w żadnej z odpowiedzi, nie wydawała się urażona:

List

*Montmorency, 5 listopada 1759*

Pisz mi Pani, iż „nie umiałaś się dobrze wyrazić”: pragnie mi Pani dać tym do zrozumienia, że ja się źle wyrażam. Mówi mi Pani o swoim rzekomym niezgrabstwie, aby dać mi uczuć moje. Chwalisz się, że jesteś jedynie prostą kobieciną, jak gdybyś się Pani obawiała, iż Cię ktoś weźmie za słowo; w końcu zasyłasz mi przeproszenia, aby mi dać do poznania, że ja Ci je jestem winien. Tak, Pani, wiem dobrze, to ja jestem głupiec, prostak i gorzej jeszcze, jeśli możebna; to ja źle dobieram wyrażań w obliczu pięknej damy paryskiej, która zwraca tyle uwagi na słówka i sama wyraża się tak dobrze jak Pani. Ale zważ, Pani, że ja biorę słowa w pospolitym sensie języka, nie troszcząc się o piękne znaczenie, jakie im daje świątobliwe towarzystwo paryskie. Jeżeli niekiedy wyrażenia moje są dwuznaczne, staram się, aby postępowanie moje określało ich intencje, etc.

Reszta listu mniej więcej z tego samego tonu. Zobaczcież odpowiedź (plik D, nr 41) i osądźcie, jak niewiarygodnie powściągliwym musiałoby być serce kobiety, które za podobny list zdolne byłoby odczuć jedynie tyle urazy, ile jej zdradza ta odpowiedź i ile mi jej ona sama kiedykolwiek okazała. Coindet, przedsiębiorczy, śmiały aż do bezczelności i który uprawiał nagonkę na wszystkich mych przyjaciół, wślizgnął się niebawem pod mą firmą do pani de Verdelin; wkrótce też stał się u niej, bez mojej wiedzy, o wiele zażywszy ode

<sup>141</sup>uszczyпка (daw.) — uszczypliwa uwaga pod czyimś adresem, przymówka. [przypis edytorski]

mnie. Była to osobliwa figura ten Coindet. Przedstawiał się w mym imieniu u wszystkich moich znajomych, wciskał się w dom, zapraszał się na obiady bez ceremonii. Przejęty zapałem swej przyjaźni dla mnie, mówił o mnie stale ze łzami w oczach; ale kiedy się ze mną spotkał, zachowywał głębokie milczenie o tych wszystkich stosunkach i o wszystkim, co wiedział, że może mnie interesować. Zamiast mi powiedzieć, co usłyszał lub rzekł, lub widział z rzeczy mogących mnie obchodzić, on słuchał moich zwierzeń, wyciągał je nawet. Z całego Paryża wiedział zawsze jedynie tyle, ile dowiadywał się ode mnie. Mimo iż wszyscy mówili mi o nim, on nie mówił mi o nikim: był skryty i tajemniczy jedynie ze swoim przyjacielem. Ale zostawmy na teraz Coindeta i panią de Verdelin. Wrócimy do nich w dalszym ciągu.

W jakiś czas po moim powrocie do Mont-Louis La Tour, malarz, zaszedł mnie odwiedzić i przyniósł mi mój portret pastelami, który wystawił był w Salonie przed kilku laty. Chciał mi swego czasu dać ten portret, ale nie przyjąłem. Tymczasem pani d'Épinay, która mi dała swój kontrefekt<sup>142</sup> i pragnęła mieć ten w zamian, wpłynęła na mnie, abym o niego poprosił. Zatrzymał go jeszcze dla wykończenia. Wśród tego przyszło zerwanie z panią d'Épinay; zwróciłem jej portret, nie było też mowy o daniu mego. Umieściłem go w swoim gabinecie w zameczku. Pan de Luxembourg zobaczył go i pochwalił; ofiarowałem mu go, przyjął; posłałem tedy portret do pałacu. Oboje marszałkostwo zrozumieli, że byłbym rad posiadać ich portrety. Kazali sporządzić miniatury, bardzo dobrego pędzla, dali je oprawić w puzderko na cukierki, ze szklanego kryształu, okładane złotem, i ofiarowali je w sposób najmiłszy w świecie. Byłem oczarowany. Pani de Luxembourg nie chciała w żaden sposób się zgodzić, aby jej portret umieszczono na wierzchu pudełka. Wymawiała mi kilka razy, że więcej kocham pana de Luxembourg niż ją; nie bronilem się, ponieważ była to prawda. Przez ten sposób umieszczenia portretu dała mi poznać, bardzo delikatnie, ale jasno, że nie zapomniała tej różnicy.

Uczyniłem, mniej więcej w tym czasie, głupstwo, które nie dopomogło mi do zachowania łask tej pani. Mimo że nie znałem wcale pana de Silhouette<sup>143</sup> i mało byłem skłonny z nim sympatyzować, miałem wysokie mniemanie o jego administracji. Skoro położył ciężką rękę na finansistach, widziałem, iż chwila, którą obrał, nie jest pomyślna dla tej operacji; mimo to zasyłałem serdeczne życzenia za jego powodzenie i kiedy dowiedziałem się, że go usunięto, napisałem doń w moim gapiostwie następujący list, którego z pewnością nie mam zamiaru usprawiedliwiać.

List

*Montmorency, 2 grudnia 1759*

Racz, Panie, przyjmując hołd samotnika, który jest Panu nieznanym, ale który ceni Pana za Jego talenty, szanuje za Jego administrację i który zaszczycił Pana przypuszczeniem, iż nie zostanie ona długo w Pańskich rękach. Nie mogąc ratować państwa inaczej niż kosztem stolicy, która go zgubiła, stawieś Pan czoło wrzaskom wyzyskiwaczy i lichwiarzy. Widząc, jak miążdżysz tych nędzników, zazdrościłem Panu Jego stanowiska; widząc jak je opuszczasz, nie sprzeniewierzywszy się samemu sobie, podziwiam Pana. Bądź Pan zadowolony z siebie, zostawia ono Panu zaszczyt, którym będziesz się cieszył długo bez współzawodnika. Przekleństwa hultajów stanowią chlubę sprawiedliwego.

(1760) Pani de Luxembourg, która wiedziała o mym liście, wspomniała mi o nim w czasie bytności wielkanocnej: pokazałem go; życzyła sobie mieć odpis, dałem go jej. Ale dając kopię listu, nie wiedziałem, że ona była jednym z owych „wyzyskiwaczy”, zainteresowanych w sprawie poddzierżawy, którzy wysadzili pana de Silhouette z jego miejsca. Powiedziałby ktoś, czytając listę moich niezgrabstw, że jakby umyślnie siłę się obudzić nienawiść powabnej i wszechmocnej kobiety; podczas gdy w istocie przywiązywałem się do niej z każdym dniem więcej. Bardzo byłem daleki od chęci ściągnięcia na

<sup>142</sup>kontrefekt (daw.) — portret, podobizna. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>Silhouette [Étienne de (1709–1767)] — kontroler finansów (1759), ośmieszony za pomocą rysunków, które od jego nazwiska zachowały nazwę „sylwetek”. [Silhouette po kosztownej wojnie siedmioletniej narzucił surowe rygory ekonomiczne, więc tanie obrazki z samym tylko konturem twarzy lub postaci nazywano sylwetkami; red. WL]. [przypis tłumacza]

siebie jej niełaski, mimo że niezręcznością swoją czyniłem wszystko w tej mierze. Sądzę, że zbyt jest objaśniać, iż do niej to odnosi się historia opiatu pana Tronchin, o której wspomniałem w pierwszej części; drugą damą była pani de Mirepoix. Nigdy żadna z nich nie wspomniała mi o tym ani nie zdradziła najbliższym śladem, iż pamięta; ale przypuszczać, iż pani de Luxembourg mogła istotnie zapomnieć, wydaje mi się bardzo nieprawdopodobne, nawet gdyby się nie znało dalszego ciągu wydarzeń. Co do mnie, zamykałem oczy na skutki swoich osielstw<sup>144</sup>, w tym głębokim przeświadczeniu, iż żadnego nie popełniłem z zamiarem obrazy: jak gdyby kiedykolwiek kobieta mogła przebaczyć coś podobnego, nawet przy zupełnej pewności braku złej intencji!

Wszelako, mimo iż księżna zdawała się nic nie widzieć, nic nie czuć, i mimo że nie zauważyłem jeszcze ani ostudzenia jej serdeczności ani zmiany w obejściu, jakieś nieustanne, rosnące nawet, dobrze ugruntowane przecucie kazało mi drżeć bez ustanku, iż niebawem przykrości zajmą miejsce tych zapalów. Czyż mogłem się spodziewać u tak wielkiej damy stałości zdolnej wytrzymać próbę mojej niezręczności w nadszaskiwaniu? Nie umiałem nawet ukryć wobec marszałkowej głuchego przecucia, które mnie dręczyło i czyniło tym bardziej markotnym. Za dowód niech posłuży następujący list, który zawiera bardzo osobliwą przepowiednię.

N. B.<sup>145</sup> Ten list, bez daty w moim notatniku, pochodzi najpóźniej z października 1760.

Jakaż Pani jest okrutna w swojej dobroci! Po co mącić spokój samotnika, który chciał się wyrzec uciech życia, byle nie czuć już jego utranień? Trawię dni na daremnym szukaniu trwałego przywiązania. Nie mogłem go znaleźć w sferach, w których mnie los pomiescił: mamż<sup>146</sup> go szukać w tej, do której Pani należy? Ambicja ani interes nie kuszą mnie; równie mało podlegam próżności jak obawie; umiem oprzeć się wszystkiemu, wyjąwszy dobroci. Dlaczego atakujecie oboje księstwo tę moją słabą stronę? Trzebaż ją zwalczać, skoro wobec oddalenia, jakie nas dzieli, wylewy tkliwych uczuć nie mogą zbliżyć waszych serc do mego! Czy wdzięczność starczy sercu, które nie umie oddać się w połowie i czuje się zdolne jedynie do przyjaźni? Przyjaźni, Pani marszałkovo! Ach! Oto me nieszczęście! Dobrze Panu, Panie marszałku, używać tego określenia: ale ja szalony jestem, iż biorę Cię za słowo. Wy się bawicie, ja się przywiązuję; a koniec tej zabawy gotuje mi nowe żale. Jak ja nienawidzę wszystkich waszych tytułów i jak mi Was żal, że je dźwigacie! Zdajecie mi się tak godni, aby kosztować uroków prywatnego życia! Czemuż nie mieszkanie w Clarens! Poszedłbym szukać u Was szczęścia moich dni — ale zamek Montmorency, ale pałac Luxembourg! Czyż to są miejsca, w których powinno się widzieć Jana Jakuba? Czyż tam przyjaciel równości winien nieść przywiązanie tkliwego serca, które płacąc w ten sposób zaszczyt, jaki je spotyka, mniema, iż daje tyle, ile otrzymuje? Jesteś Pani także dobra i tkliwa; wiem o tym, przekonałem się; żal mi, iż wcześniej nie mogłem w to uwierzyć; ale na stanowisku, które zajmujesz, przy Twoim sposobie życia, nic nie może czynić trwałego wrażenia. Wciąż nowe przedmioty zacierają kolejno pamięć dawnych, tak że żaden się temu nie oprze. Zapomnisz o mnie, Pani, doprowadziwszy mnie do stanu, w którym niepodobna mi będzie iść za Twoim przykładem. Czynisz Pani wszystko, aby sprawić nieszczęście mego życia: czy znajdziesz dla siebie usprawiedliwienie?

Wtrąciłem tam pana de Luxembourg, aby uczynić wyrzut zwrócony do niej mniej twardym; przyjaźni marszałka bowiem czułem się tak pewny, że nawet mi w myśli nie powstała obawa co do jej trwania. To, co mnie zastraszało ze strony marszałkowej, nie rozciągało się ani przez chwilę na niego. Nie miałem najmniejszej wątpliwości co do jego charakteru, który znałem jako słaby, lecz pewny. Tak samo nie lękałem się z jego strony

<sup>144</sup>osielstwo — głupota. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>N. B. — skrót od łac. *nota bene*: dosł. zauważ dobrze; właściwie: nawiasem mówiąc, à propos. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>mamż — konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż, o funkcji pytajnej; znaczenie: czy mam. [przypis edytorski]

oziębienia, jak nie spodziewałem się heroicznego przywiązania. Prostota, poufałość naszego stosunku świadczyła, jak bardzo liczyliśmy wzajem na siebie. Mieliśmy obaj słusność: będę czcił, kochał, póki mego życia, pamięć tego godnego pana. Co bądź ludzie mogli uczynić, aby go oddalić ode mnie, jestem tak samo pewien, iż umarł moim przyjacielem, co gdybym przyjął jego ostatnie tchnienie.

Za drugim pobytem księstwa w Montmorency, w r. 1760, skoro ukończyliśmy lekturę *Julii*, uciekłem się do *Emila*, znowuż szukając w nim ratunku. Tym razem nie poszło tak dobrze; czy to że temat mniej przypadł księżnej do smaku, czy że tyle czytania sprzykrzyło się jej w końcu. Mimo to, ponieważ wyrzucała mi nieraz, że daję się oszukiwać księgarzom, zażądała, abym jej zostawił staranie o druk dla wyciągnięcia większego dochodu. Zgodziłem się, ale pod wyraźnym warunkiem, że nie będziemy drukować we Francji. Na tym punkcie mieliśmy długą dysputę: ja twierdziłem, że nie tylko niemożliwe jest uzyskać milczące zezwolenie, ale nawet niebezpiecznie byłoby ubiegać się o nie, nie chciałem zaś inaczej zgodzić się na druk w granicach Francji; marszałkowa twierdziła, iż, wedle systemu obecnego rządu, dzieło to nie spotkałoby się z trudnościami nawet w cenzurze. Znalazła sposób, aby pozyskać dla swych poglądów pana de Malesherbes, który przesłał mi w tym przedmiocie długi list, cały pisany własną ręką. W liście tym dowodził mi, że *Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego* to utwór, który wszędzie winien i musi uzyskać aprobatę rodzaju ludzkiego, a zwłaszcza, w danych okolicznościach, francuskiego dworu. Zdumiony byłem, widząc, jak ten dygnitarz, zazwyczaj tak lękliwy, różowo patrzy na rzeczy w tej sprawie. Ponieważ druk książki, którą on zatwierdzał, stawał się tym samym legalny, nie miałem nic do przeciwstawienia zamiarowi oddania dzieła pod prasę. Mimo to przez nadzwyczajny skrupuł, żądałem ciągle, aby dzieło drukowało się w Holandii, i to u drukarza Néaulme, którego nie tylko wskazałem, ale uprzedziłem go o tym. Godziłem się zresztą, aby wydania dokonano na rachunek francuskiego księgarza i aby kiedy książka będzie ukończona, sprzedawał ją bądź w Paryżu, bądź gdzie się spodoba wydawcy, zważywszy, iż rozprzedaż mnie już nie dotyczy. Oto prawdziwa historia układu, który stanął między panią de Luxembourg a mną; po czym oddałem jej rękopis.

Księżna wzięła w podróż swoją wnuczkę, pannę de Boufflers, dziś księżnę de Lauzun. Nazywała się Amelia. Była to urocza osoba. Wejrzenie jej, słodycz, lękliwość były isticie dziewicze. Nic miłszego i bardziej pełnego słodyczy jak jej oblicze, nic tkliwszego i czystszeo razem niż uczucia, jakie budziła. Zresztą, było to dziecko; nie miała jeszcze jedenastu lat. Marszałkowa, która znajdowała wnuczkę zbyt nieśmiałą, dokładała starań, aby ją rozbudzić. Pozwoliła mi niejednokrotnie ucałować ją, co też czyniłem ze zwykłym niezgrabstwem. Zamiast miłych słówek, jakie kto inny rzekłby na mym miejscu, stałem niemy, zakłopotany; nie wiem, kto z dwojga bardziej był zawstydzony, biedna mała czy ja. Jednego dnia spotkałem ją samą na schodach zameczku; przyszła odwiedzić Teresę, z którą ochmistrzyńi jej rozmawiała jeszcze. Nie wiedząc, co powiedzieć panience, ofiarowałem się z pocałunkiem, którego w niewinności serca nie odmówiła, ile że otrzymała już jednego tegoż samego rana, na rozkaz babci i w jej obecności. Nazajutrz, czytając *Emila* przy wezglowiu marszałkowej, trafiłem właśnie na miejsce, w którym potępiam, i słusnie, to, com uczynił wczoraj. Księżnej wydało się spostrzeżenie moje słusnym; zrobiła w tej materii jakąś bardzo rozsądną uwagę, która mnie przypawiła o rumieniec. Jakże przeklinam moje niewiarygodne niezgrabstwo, które tak często dawało mi pozory podłe i występne, podczas gdy byłem tylko ciężki i nieśmiały! Niezgrabstwo, które świat bierze wręcz za fałszywą wymówkę u człowieka, o którym wie, iż poza tym nie jest bez talentów i dowcipu. Mogę przysiąc, iż przy tym tak nagannym pocałunku, tak samo jak przy wszystkich innych, serce i zmysły panny Amelii nie bardziej były czyste niż moje; mogę przysiąc nawet, że gdybym w teje chwili mógł uniknąć jej spotkania, byłbym to uczynił; mimo iż widok jej sprawiał mi szczerą przyjemność, przeważało zakłopotanie płynące z przymusu znalezienia na poczekaniu jakiegoś miłego słówka. W jaki sposób możebne jest, aby nawet dziecko onieśmielało człowieka, którego nie przestraszyła potęga królów? Jaką drogę obrać? Jak postępować, będąc pozbawionym wszelkiej doraźnej rzutkości dowcipu? Jeżeli zmuszam się, aby zagadać coś, gdy kogo spotkam, niechybnie powiem jakieś głupstwo; jeżeli nie powiem nic, jestem mizantropem, dzikim zwierzęciem, niedźwiedziem. Zupełna tępota byłaby mi mniej niekorzystna: ale brak talentów w pożyciu z ludźmi zmienił w narzędzie mej zguby te, które miałem na własny użytek.

Pocałunek, Dziecko



Z końcem tego pobytu pani de Luxembourg spełniła piękny uczynek, do którego i ja przyczyniłem się w części. Diderot, bardzo nieopatrznie, obraził księżnę de Robeck, córkę pana de Luxembourg<sup>147</sup>; Palissot, jej protegowany, pomścił ją za pomocą komedii *Filozofy*, w której mnie wystawił na pośmiewisko, a z Diderotem obszedł się bardzo zjadliwie. Jeżeli autor oszczędził mnie poniekąd, uczynił to, jak sądzę, nie tyle przez pamięć na zobowiązania swoje wobec mnie, ile z obawy narażenia się ojcu swej protektorki, o którym wiedział, że mi jest życzliwy. Księgarz Duchesne, którego wówczas nie znałem, przysłał mi egzemplarz; podejrzewam, iż stało się to na zlecenie Palissota; myślał może, iż sprawi mi przyjemność to pogwałcenie przyjaciela, z którym zerwałem. Bardzo się omylił. Zrywając z Diderotem, którego uważałem nie tyle za złego, ile za nieopatrzego i słabego, zachowałem zawsze dlań w duszy przywiązanie, nawet szacunek, a przede wszystkim poszanowanie dla dawnej przyjaźni, o której wiem, iż długi czas była równie szczerą z jego strony jak z mojej. Zupełnie inna rzecz z Grimmem, człowiekiem fałszywym z natury, który mnie nigdy nie kochał, który nawet nie jest zdolny kochać i który z lekkim sercem, bez przyczyny, jedynie, aby zadowolić swą czarną zawiść, stał się pod maską obłudy mym najokrutniejszym potwarzą. Ten nie jest już dla mnie niczym; tamten zawsze będzie dawnym przyjacielem. Serce mi się wzdrygało na widok tej wstrętnej sztuki; nie mogłem po prostu jej doczytać. Nie kończąc, odesłałem ją księgarzowi z następującym listem:

List

*Montmorency, 21 maja 1760*

Przeglądając sztukę, którą mi Pan przysłał, zadrzałem, widząc, iż jestem w niej przedmiotem pochwały. Nie przyjmuję tego ohydneho podarku. Jestem przekonany, iż posyłając mi ją, nie chciałeś mi Pan wyrządzić zniewagi; ale nie wiesz Pan albo zapomniawszy, że miałem zaszczyt być przyjacielem człowieka godnego szacunku, a niecznie oczernionego i spotwarzonego w tej książce.

Duchesne nie robił tajemnicy z mego listu. Diderot, którego powinien był wzruszyć, uraził się nim. Jego miłość własna nie mogła mi darować wyższości szlachetnego postępu. Dowiedziałem się, że żona jego wymyśla na mnie, gdzie może; niewiele mnie to obeszło, ile że osoba ta znana jest wszystkim jako przekupka i jędza.

Diderot znalazł z kolei mściciela w osobie księdza Morellet<sup>148</sup>, który wymierzył w Palissota broszurkę naśladowaną z *Malego proroka*, zatytułowaną *Widzenie*. W piśmie tym obraził bardzo niebacznie panią de Robeck, której przyjaciele wpakowali go do Bastylji; ona sama bowiem, z natury mało mściwa, a wówczas umierająca, z pewnością nie miała w tym udziału.

D'Alembert, który żył blisko z księdzem Morellet, napisał do mnie, z prośbą bym zechciał się wstawić u pani de Luxembourg o uwolnienie księdza w dowód wdzięczności przyrzekał jej pochwałę w *Encyklopedii*. Oto moja odpowiedź.

List

Nie czekałem Pańskiego listu, aby wyrazić marszałkowej de Luxembourg przykrość, jaką mi sprawiło uwięzienie księdza Morellet. Wie o moim zainteresowaniu tą sprawą, dowie się o Pańskim; wystarczyłoby jej zaś wiedzieć po prostu, że chodzi o godnego człowieka. Poza tym, mimo iż księżna i pan marszałek zaszczycają mnie przychylnością, która jest pociechą mego życia, i mimo iż fakt Pańskiej przyjaźni stanowi w ich oczach wysoką rekomendację dla księdza Morellet, nie wiem, do jakiego stopnia przystoi im użyć w tej potrzebie wpływów związanych z ich stanowiskiem i czcią należną ich osobom. Nie jestem nawet przekonany, czy cała ta sprawa istotnie ma

<sup>147</sup> Diderot, bardzo nieopatrznie, obraził księżnę de Robeck, córkę pana de Luxembourg — Anna-Maria Robecq (1725–1760) była córką księcia de Luxembourg z pierwszego małżeństwa. Palissot zaatakował encyklopedystów swoją komedią *Les Originaux* (*Oryginały*, 1755), następnie Diderota pomówiono o splagiatowanie Goldoniego. Wówczas Deleyre w celu odparcia zarzutów przetłumaczył sztuki Goldoniego na francuski i opublikował je anonimowo. Dedykacja tłumaczenia była skierowana do „księżnej X”, co spowodowało domysły, że chodzi o panią Robecq, przeciwniczkę encyklopedystów. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> Morellet, [André] (1727–1819) — literat i ekonomista, jeden z wybitniejszych encyklopedystów. [przypis tłumacza]

tak bliski związek z księżną de Robeck, jak Pan zdajesz się mniemać. Gdyby i tak było, nie trzeba się łudzić, aby przywilej zemsty należał wyłącznie do filozofów i aby kiedy im się podoba zejść do poziomu kobiet, kobiety tym samym miały się wznieść do wyżyn filozofii.

Zdam Panu sprawę z tego, co powie księżna de Luxembourg, skoro jej pokażę Pański list. Sądzę, iż znam ją dość dobrze, aby na razie móc Pana upewnić, że gdyby miała przyjemność dopomóc do uwolnienia księdza Morellet, nie przyjęłaby daniny wdzięczności, jaką pan przyrzekasz jej w *Encyklopedii*, mimo że uważałaby to za zaszczyt. Osoby jej pokroju świadczą dobro nie dla pochwały, ale dla uczynienia zadość dobroci serca.

Nie oszczędziłem niczego, aby pobudzić zapał i współczucie pani de Luxembourg na rzecz biednego więźnia, i powiodło mi się. Udała się do Wersalu umyślnie, aby pomówić z hrabią de Saint-Florentin; wyprawa ta skróciła jej pobyt w Montmorency. Marszałek zmuszony był opuścić je w tym samym czasie, spiesząc do Rouen, gdzie król posyłał go jako wielkorządcę Normandii, celem powściągnięcia niepokoju w tamtejszym parlamencie. Oto list, jaki na trzeci dzień po wyjeździe napisała do mnie pani de Luxembourg (plik D, nr 28).

List

*Wersal, środa*

Pan de Luxembourg wyjechał wczoraj o szóstej rano. Nie wiem jeszcze, czy udam się za nim. Czekam wiadomości, ponieważ on sam nie wie nawet, jak długo zabawi. Widziałam pana de Saint-Florentin, który jest najlepiej usposobiony dla księdza Morellet; są przeszkody, ale spodziewa się je zwyciężyć na pierwszej sesji z królem, która odbędzie się w najbliższą sobotę. Prosiłam również jako o łaskę, aby nie skazywano księdza Morellet na wygnanie, była bowiem o tym mowa: chciano go wysłać do Nancy. Oto, drogi Panie, co mogłam uzyskać; ale przyrzekam, że nie zostawię pana de Saint-Florentin w spokoju, póki sprawa nie skończy się tak, jak Pan tego pragnie. Korzystam ze sposobności, aby Panu wyrazić przykrość, jaką było dla mnie opuścić Go tak szybko; ale mam nadzieję, że Pan nie wątpi o tym. Jestem Pańską przyjaciółką z całego serca i na życie.

W kilka dni potem otrzymałem od d'Alemberta bilecik, który mi sprawił prawdziwą radość (plik D, nr 26).

List

*1 sierpnia*

Dzięki twoim staraniom, drogi filozofie, wypuszczono księdza z Bastylii i sprawa nie będzie miała następstw. Jedzie na wieś i przesyła Ci, zarówno jak ja, tysiąc podziękowań i serdeczności. *Vale et me ama*.<sup>149</sup>

Ksiądz napisał do mnie również, w kilka dni później, list z podziękowaniem (plik D, nr 29). Nie okazywał w nim, co prawda, zbyt serdecznego wylania i raczej do pewnego stopnia zdawał się pomniejszać usługę, którą mu oddałem. W jakiś czas potem spostrzegłem, iż d'Alembert i on, nie powiem: wyrugowali mnie, ale objęli następstwo po mnie w łaskach pani de Luxembourg i że straciłem u niej tyleż, ile oni zyskali. Mimo to bardzo daleki jestem od posądzenia księdza Morellet, aby przyczynił się do mej niełaski; zbyt go na to szanuję. Co do pana d'Alembert, nie powiem o nim nic tutaj: powrócę doń w dalszym ciągu.

Miałem w tym samym czasie inną sprawę, która spowodowała ostatni list, jaki napisałem do pana de Voltaire; list, który pobudził go do wielkich krzyków, jakoby o straszliwą zniewagę, ale którego nigdy nikomu nie pokazał. Uzupełnił zatem to, czego on nie chciał uczynić.

Ksiądz Trublet, którego znałem trochę, ale którego widywałem bardzo rzadko, napi-

List

<sup>149</sup>*Vale et me ama* (łac.) — Bądź zdrów i kochaj mnie. [przypis edytorski]

sał do mnie 13 czerwca 1760 (plik D, nr 11), uprzedzając, iż pan Formey, przyjaciel jego i korespondent, wydrukował w swoim dzienniku mój list do pana de Voltaire z przyczyny klęski lizbońskiej<sup>150</sup>. Książd Trublet chciał wymiarkować, jaką drogą list ów ukazał się w druku; otóż, jako człowiek nawykły chadzać jezuickimi drózkami, zapytał mnie o zdanie co do *przedruku* tego listu, nie zdradzając się ze swoim. Ponieważ nienawidzę tego rodzaju filutów, podziękowałem mu za grzeczność, ale oschle i surowo. Odczuł mój ton, co nie przeszkodziło mu kluczyć ze mną jeszcze w paru dalszych listach, aż się dowiedział wszystkiego, co chciał wiedzieć.

Zrozumiałem dobrze, mimo wszystko, co powiadał Trublet<sup>151</sup>, iż Formey nie spotkał tego listu już w druku i że to on pierwszy oddał go pod prasę. Znałem go jako bezczelnego rabusia, który bez ceremonii przywłaszcza sobie dochód z dzieła drugich, mimo iż nie okazał wówczas jeszcze tej nieprawdopodobnej bezczelności, aby zedrzeć z książki już opublikowanej nazwisko autora, położyć swoje i sprzedawać ją na swój dochód<sup>152</sup>. Ale w jaki sposób rękopis dostał się do jego rąk? Było to pytanie nietrudne, zaiste, do rozwiązania, ale ja, w mej naiwności, czułem się nim zakłopotany. Mimo iż w liście swoim odnosiłem się do Woltera w sposób bardzo dlań zaszczytny, mógłby on ostatecznie, mimo swego niezbyt poprawnego postępowania, mieć do mnie słuszne pretensje, gdybym wydrukował ten list bez jego zezwolenia. Postanowiłem tedy napisać doń w tym przedmiocie. Oto ów drugi list, na który Wolter nie dał żadnej odpowiedzi, a którym, aby swobodnie dać folgę swojej wobec mnie brutalności, udał, iż szalenie jest obrażony.

List

*Montmorency, 17 czerwca 1760*

Nie myślałem, iżbym miał jeszcze kiedy nawiązać z Panem korespondencję. Ale dowiedziawszy się, iż list, który napisałem do Pana w r. 1756, wydrukowano w Berlinie, czuję się w obowiązku zdać sprawę z postępowania mego w tym względzie i dopełnić tej powinności ze szczerością i prostotą.

List ten, istotnie skierowany do Pana, nie był przeznaczony do druku. Udzieliłem go pod dyskrecją trzem osobom, którym prawa przyjaźni nie pozwalały mi tego odmówić i którym też same prawa jeszcze mniej pozwalały na nadużycie depozytu przez pogwałcenie tajemnicy. Te trzy osoby to pani de Chenonceaux, synowa pani Dupin, dalej hrabina d'Houdetot i pewien Niemiec nazwiskiem Grimm. Pani de Chenonceaux życzyła sobie ujrzeć list ten w druku i prosiła o pozwolenie w tej mierze. Rzekłem, iż zależy to od Pana. Proszono Pana o upoważnienie, Pan odmówił i nie było o tym więcej mowy.

Tymczasem książd Trublet, z którym zresztą nie łączą mnie żadne stosunki, donosi mi, powodowany nadzwyczajną uprzejmością, iż otrzymał numery dziennika pana Formey, znalazł list, o który chodzi. W przedmowie, datowanej 23 grudnia 1759, wydawca powiada, iż list ów wpadł mu w ręce przed kilku tygodniami u księgarzy berlińskich<sup>153</sup> i że wiedząc, iż tego rodzaju ulotne pisemka znikają niebawem bez powrotu, uważał za właściwe dać mu miejsce w swoim dzienniku.

Oto wszystko, co mi wiadomo. Faktem jest, iż dotąd w Paryżu nie słyszano nawet o tym liście. Faktem jest, że egzemplarz, rękopiśmienny czy drukowany, który wpadł w ręce pana Formey, mógł wyjść jedynie od Pana, co nie jest prawdopodobne, lub od jednej z trzech osób, które przed

<sup>150</sup>klęska lizbońska — trzęsienie ziemi w Lizbonie 1 listopada 1755, bezpośrednio po którym wystąpiło tsunami; jeden z najtragiczniejszych tego rodzaju kataklizmów w historii: zginęło ok. 90 tysięcy osób, Lizbona została całkowicie zrujnowana. Poemat Woltera na ten temat spowodował polemikę Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>mimo wszystko, co powiadał Trublet — mimo wszystkiego, co powiadał Trublet. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>zedrzeć z książki już opublikowanej nazwisko autora, położyć swoje i sprzedawać ją na swój dochód — w ten sposób później przywłaszczał sobie *Emila* [przyp. z wyd. fr., którego nie ma w rękopisie; Johann Heinrich Samuel Formey (1711–1797) wydał pod własnym nazwiskiem zmienioną przez siebie wersję *Emila*, opatrując tytułem *L'Emile chrétien consacré à l'utilité publique* (Emil chrześcijański poświęcony użyteczności publicznej, 1764); red. WL]. [przypis redakcyjny]

<sup>153</sup>wydawca powiada, iż list ów wpadł mu w ręce przed kilku tygodniami u księgarzy berlińskich — Formey wziął go z broszury braci Cramer z Genewy, oficjalnych wydawców Woltera. [przypis edytorski]

chwilą wymienilem. Wreszcie, faktem jest, że te obie panie niezdolne są do takiego nadużycia zaufania. Niepodobna mi więcej dowiedzieć się z mego odludzia. Pan masz stosunki, przy pomocy których łatwo by Panu było — przypuściwszy, że rzecz jest tego warta — dojść do źródła i sprawdzić fakty.

W tym samym liście ksiądz Trublet donosi mi, że zachował numer dziennika w dyskrecji i nie pożyczę go nikomu bez mego pozwolenia, którego z pewnością nie udzielę. Ale być może egzemplarz ten nie jest jedyny w Paryżu. Pragnę, niech mi Pan wierzy, aby listu nie oddano do druku w tym mieście, i zrobię, co będę mógł w tej mierze; ale gdybym nie mógł tego uniknąć i gdybym uwiadomiony na czas mógł zyskać przywilej pierwszeństwa, wówczas nie wahałbym się wydrukować go sam. To mi się wydaje sprawiedliwe i naturalne.

Co do Pańskiej odpowiedzi na ten list, nie udzieliłem jej nikomu i może Pan być spokojny, że nie wyjdzie w druku bez Pańskiego zezwolenia; to pewna zaś, iż nie popełnię tej niewłaściwości, aby Pana o nie prosić. Wiem dobrze, że co jeden człowiek pisze do drugiego, tego nie pisze dla publiczności. Ale gdybyś Pan zechciał skreślić odpowiedź przeznaczoną do druku i przesłać mi ją, przyrzekam, iż wiernie dołączę ją do swego listu i nie odeprę jej ani jednym słowem. Nie jestem Panu życzliwy: uczyniłeś mi Pan najdotkliwsze zło, jakie tylko mogłeś, mnie, swemu uczniowi i entuzjastcie. Zgubiłeś pan Genewę w odpłatę schronienia, które tam otrzymałeś; odwróciłeś ode mnie serca moich współobywateli w nagrodę hołdów, jakie wśród nich Panu zdobyłem. Pan to uczyniłeś mi pobyt w mej ojczyźnie nieznośnym; Pan zmusisz mnie, bym umarł na obcej ziemi, pozbawiony wszelkiej pociechy umierających, rzucony, za cały honor, do kloaczego dołu, podczas gdy wszystkie zaszczyty, których człowiek może dostąpić, będą Panu towarzyszyły w moim kraju. Słowem, nienawidzę Pana, ponieważ tak chciałeś; ale nienawidzę Pana jak człowiek raczej godny kochać Pana, gdybyś był zechciał. Ze wszystkich uczuć, jakimi serce moje było przejęte dla Pana, został jedynie podziw, którego nie można odmówić Pańskiemu geniuszowi, i miłość Pańskich dzieł. Jeżeli mogę szanować w Panu tylko Pańskie talenty, to nie moja wina. Nigdy nie uchybię szacunekowi, który im przynależy, ani względom, które ten szacunek nakłada. Żegnaj Pana<sup>154</sup>.

Pośród tych drobnych utrapień literackich, które umacniały mnie coraz więcej w mym postanowieniu, spotkał mnie zaszczyt, że wszystkich, jakie literatura na mnie ściągnęła, największy i najmilszy memu sercu: mianowicie odwiedziny, jakimi książe de Conti<sup>155</sup> zaszczycił mnie po dwakroć, raz w zameczku, drugi raz w Mont-Louis. Wybrał nawet oba razy czas, kiedy pani de Luxembourg nie było w Montmorency, aby zaznaczyć tym wyraźniej, że przybywa tylko dla mnie. Nigdy nie wątpiłem, iż pierwsze dowody względów tego księcia zawdzięczam paniom de Luxembourg i de Boufflers; ale nie wątpię również, iż jedynie własnym jego uczuciom i sobie winien jestem te, którymi nie przestał mnie zaszczycać od owego czasu<sup>156</sup>.

Ponieważ mieszkańko moje w Mont-Louis było bardzo szczupłe, położenie zaś baszty urocze, zaprowadziłem tam księcia, który na domiar łaski zechciał, abym miał zaszczyt zagrać z nim partię szachów. Wiedziałem, że bije kawalera de Lorenzy, który był mocniejszy ode mnie. Wszelako mimo znaków i min kawalera i obecnych, min, których uda-

Gra, Pochlebstwo

<sup>154</sup>...*Żegnaj Pana* — Czytelnik zechce zauważyć, że od siedmiu lat, przed którymi list ten został napisany, nie wspominałem o nim ani nie pokazałem go żywej duszy. Tak samo było z dwoma listami, do których napisania zmusił mnie pan Hume w lecie ostatniego roku; dopiero on wszczął o nie gwałt, wszystkim wiadomy. To, co mam złego powiedzieć o swoich nieprzyjaciolach, mówię im samym w cztery oczy; jeżeli jest do powiedzenia coś dobrego, mówię to publicznie i z całego serca. [przypis autorski]

<sup>155</sup>*Książę de Conti* — Ludwik Franciszek de Bourbon, książę de Conti (1717–1776), jeden z najświetniejszych wodzów swego czasu, zdawał się przeznaczony do wielkiej przyszłości, ale usunięty w cień przez Maurycygo Saskiego nie chciał zajmować przy nim drugorzędnego stanowiska i wycofał się ze służby wojskowej w r. 1747. [przypis tłumacza]

<sup>156</sup>*Nigdy nie wątpiłem, iż pierwsze dowody względów...* — zważcie wytrwałość tego ślepego i głupiego zaufania, wśród wszystkich wydarzeń, które powinny były najbardziej mnie z niego ocucić. Ustało ono dopiero od mego powrotu do Paryża w r. 1770. [przypis autorski]

lem, że nie widzę, wygrałem dwie partie z rządu. Kończąc, rzekłem pełnym szacunku, lecz poważnym tonem: „Zanadto poważam Waszą Królewską Wysokość, aby nie pobić jej zawsze w szachy”. Ten wielki książę, pełen bystrości i rozumu, godny, aby mu oszczędzono pochlebstwa, uczuł w istocie, przynajmniej tak myślę, że ja jeden odnoszę się doń jak do człowieka, i mam wszelkie powody przypuszczać, iż poczytał mi to za dobre.

Gdyby mi nawet wziął za złe, nie wyrzucałbym sobie, iż nie chciałem go w niczym oszukać; nie mam też z pewnością przyczyny wyrzucać sobie, bym źle odpowiedział w sercu na jego łaskawość. Zbłądziłem chyba w tym, iż niekiedy odpowiedziałem niezręcznie, podczas gdy sam książę wkładał nieskończony urok w sposób, w jaki mi ją okazywał.

W krótki czas potem kazał mi posłać kosz dziczyzny, który przyjąłem, jak byłem powinien. Za jakiś czas posłał mi znowuż taki kosz; jeden z łowczych napisał z rozkazu księcia, iż jest to łup polowania jego wysokości, część zwierzyny zabitej jego własną ręką. Przyjąłem jeszcze; ale napisałem do pani de Boufflers, że następny raz już nie przyjmę. Ten list spotkał się z ogólną naganą, i słusznie. Odrzucać podarek kilku sztuk zwierzyny od księcia krwi, który co więcej, okrasza swą przesyłkę tyłą łaskawości, to już nie tyle delikatność człowieka dumnego pragnącego zachować niezależność, ile brak wychowania prostaka nieznającego własnej roli. Nigdy nie mogłem odczytać tego listu w swoim zbiorze, iżbym się nie rumienił i nie wyrzucał sobie, że go napisałem. Ale, ostatecznie, jeśli podjąłem te *Wyznania*, to nie po to, aby pokrywać milczeniem swoje głupstwa, a to, o którym mowa, nadto oburza mnie samego, aby mi wolno było je zataić.

Jeśli na domiar nie popełniłem tego szaleństwa, aby się stać rywalem księcia, mało do tego brakowało: wówczas bowiem pani de Boufflers była jego kochanką, a ja nic o tym nie wiedziałem. Zachodziła dość często do mnie w towarzystwie kawalera de Lorenzy. Była jeszcze młoda i piękna, przybierała rzymskie tony, ja byłem zawsze nastrojony romantycznie: to dosyć harmonizowało z sobą. Omalże nie poszedłem na lep; zdaje mi się, że hrabina to spostrzegła, kawaler również; przynajmniej odzywał się w tym duchu, i to bynajmniej nie w sposób zdolny mnie zniechęcić. Ale tym razem byłem rozsądny; był wielki czas, w pięćdziesiątym roku! Pamiętny lekcji, jaką dałem siwoszom<sup>157</sup> w swoim *Liście do d'Alemberta*, uczulem wstyd, iż sam korzystam z niej tak lichy; zresztą, dowiedziawszy się o tym, o czym nie wiedziałem, byłbym musiał chyba zupełnie stracić głowę, aby tak wysoko skierować współzawodnictwo. Wreszcie, niezupełnie może jeszcze wyleczony z namiętności dla pani d'Houdetot, czulem, że nic nie mogłoby jej zastąpić w moim sercu, i pożegnałem się z miłością na resztę życia. W chwili gdy to piszę, spotkały mnie świeżo ze strony młodej kobiety, która miała swoje widoki, bardzo niebezpieczne awanse; ale jeżeli ona udała, że zapomina o mej sześćdziesiątce, ja nie zapomniałem o tym ani na chwilę. Wydstawszy się z tej matni, nie lękam się już upadków i rękę za siebie na resztę swoich dni.

Pani de Boufflers, spostrzegłszy wzruszenie, w jakie mnie wprowadziła, mogła również spostrzec, iż zapanowałem nad nim. Nie jestem ani dość szalony, ani dość próżny, aby mniemać, iż ja, w swoim wieku, mogłem spodobać się jej bodaj na chwilę; ale z pewnych odezwań się jej do Teresy sądzę, iż obudziłem w niej ciekawość. Jeżeli tak było i jeżeli w istocie hrabina nie przebaczyła mi zawodu, trzeba przyznać, iż byłem w istocie stworzony, aby się stać ofiarą mych słabości, skoro miłość zwycięska była mi tak opłakana, miłość zaś zwyciężona stała mi się jeszcze bardziej złowrogą.

Tu kończy się zbiór listów, które służyły mi za przewodnika w tych dwu księgach. Dalej już będę szedł jedynie śladem wspomnień; w tej okrutnej epoce wyrwały się one we mnie tak głęboko, wrażenie zaś, które mi po nich zostało, jest tak silne, iż, zgubiony w niezmiernym morzu niedoli, nie mogę zapomnieć szczegółów pierwszego rozbicia, mimo iż następstwa jego następczą mi jedynie mętny obraz. Tak więc w następnej księdze mogę się jeszcze posuwać dość pewną stopą. Jeżeli pójdę dalej, to już tylko po omacku.

Dar, Grzeczność

Starość, Miłość

<sup>157</sup>Pamiętny lekcji, jaką dałem siwoszom... — Rousseau zwracał uwagę, że w sztukach teatralnych starsi mężczyźni angażujący się w związki i miłości z młodymi kobietami są ośmieszani jako zazdrośnicy. [przypis edytorski]

## KSIEGA XI

(1761) Mimo że *Julia*, która od dawna była pod prasą, nie pojawiła się jeszcze z końcem roku 1760, zaczynała już być przedmiotem wielkiego hałasu. Pani de Luxembourg opowiadała o niej na dworze, pani d'Houdetot w Paryżu. Ta ostatnia uzyskała nawet ode mnie dla Saint-Lamberta pozwolenie odczytania jej z rękopisu królowi polskiemu, który był zachwycony. Duclos, któremu też dałem utwór swój do przeczytania, wspominał o nim w Akademii. Cały Paryż oczekiwał z niecierpliwością tego romansu: księgarnie obleżone były przez ludzi, którzy pytali o termin ukazania się książki. Ukazała się wreszcie, a powodzenie, wbrew zwykłej kolei rzeczy, odpowiedziało niecierpliwości oczekiwania. Następczyni tronu<sup>158</sup>, która przeczytała *Julię* jedna z pierwszych, nazwała ją w rozmowie z panem de Luxembourg czarującą książką. W świecie pismaków, mniemania były podzielone; ale w towarzystwie było tylko jedno zdanie; kobiety zwłaszcza upoiły się książką i autorem tak dalece, iż mało znalazłoby się dam, nawet w najwyższych sferach, których podboju nie byłbym dokonał, gdybym objawił ochotę. Miałem na to dowody, których nie chcę przytaczać na piśmie, a które, nawet nie poparte doświadczeniem, uprawniają mnie do tego mniemania. Osobliwe jest, że ta książka zyskała większe powodzenie we Francji niż w innych krajach Europy, mimo iż Francuzi, tak mężczyźni, jak kobiety, nie grają w niej zbyt pięknej roli. Zgoła przeciwnie memu spodziewaniu, najmniejsze powodzenie miała książka w Szwajcarii, największe w Paryżu. Czyżby przyjaźń, miłość, cnota bardziej królowały w Paryżu niż gdzie indziej? Nie, z pewnością; ale króluje tam jeszcze ów przedziwny zmysł, który przejmie serce wzruszeniem na ich widok; ten zmysł każe nam cenić w drugich czyste, czułe, uczciwe uczucia, których sami już nie posiadamy. Zepsucie jest obecnie wszędzie to samo; nie ma już ani obyczajów, ani cnoty w Europie, ale jeżeli gdzie istnieje jakiś kult dla nich, w Paryżu należy go szukać<sup>159</sup>.

Trzeba, w gąszczu tylu przesądów i sztucznych namiętności, umieć dobrze analizować serce ludzkie, aby rozpoznać w nim prawdziwy głos natury. Trzeba delikatności smaku, której nabywa się jedynie w szkole wielkiego świata, aby czuć, jeśli wolno się tak wyrazić, wszystkie subtelności serca, jakich to dzieło jest pełne. Kładę bez obawy czwartą jego część obok *Księżnej de Cleves*<sup>160</sup> i twierdzę, że gdyby oba te utwory znane były jedynie na prowincji, nigdy by nie oceniono całej ich wartości. Nie trzeba się tedy dziwić, że największe powodzenie zyskała książka na dworze. Obfituje ona w rysy żywe, ale dyskretne, które muszą się tam podobać, ponieważ wzrok bardziej jest wycwiczony w przenikaniu ich. I tu wszelako jeszcze trzeba rozróżniać. Lektura ta z pewnością nie jest odpowiednia dla owych ludzi, których całym rozumem jest spryt, którzy bystrzy są jedynie w dostrzeganiu złego i którzy nie widzą nic zgoła tam, gdzie jest samo jeno dobre do widzenia. Gdyby na przykład wydano *Julię* w pewnym kraju, który mam na myśli, jestem pewien, że nikt nie dokończyłby czytania i że pochowano by ją zaraz przy narodzinach.

Większą część listów, które napisano do mnie z przyczyny tego dzieła, zgromadziłem w pakiecie, znajdującym się w rękach pani de Nadaillac. Jeżeli kiedy ten zbiorek ujrzy światło dzienne, pokażą się tam rzeczy bardzo osobliwe oraz sprzeczności sądów, ujawniające, co znaczy mieć do czynienia z publicznością. Rzecz, na którą najmniej zwrócono uwagę, a która zawsze będzie czynić z tej książki dzieło jedyne w swoim rodzaju, to prostota przedmiotu i rozwój akcji, która, skupiona w trojgu osób, utrzymuje się przez całe sześć tomów, bez epizodów, bez romantycznych przygód, bez jakichkolwiek satyrycznych wycieczek ani w osobach, ani w wydarzeniach. Diderot oddawał wielkie pochwały Richardsonowi<sup>161</sup> z powodu zadziwiającej różnorodności jego obrazów i obfitości figur. Richardson ma w istocie zasługę, iż wszystkie jego postacie są dobrze scharakteryzowane; ale co się tyczy ich ilości, to zbliża go ona do najbardziej mdłych romansistów, którzy jałowość myśli ratują obfitością działających osób i przygód. Łatwo jest pobudzić uwagę,

<sup>158</sup> *Następczyni tronu* — chodzi o delfinę Francji, żonę następcy tronu, najstarszego syna Ludwika XV, Ludwika Ferdynanda; była nią Maria Józefa Saska (1731–1767), córka Augusta III, elektora Saksonii i króla Polski. [przypis edytorski]

<sup>159</sup> ...nie ma już ani obyczajów, ani cnoty w Europie, ale jeżeli gdzie istnieje jakiś kult dla nich, w Paryżu należy go szukać — pisałem te słowa w r. 1769. [przypis autorski]

<sup>160</sup> *Księżna de Cleves* — głośna powieść pani de la Fayette z końca XVII w. [przypis tłumacza]

<sup>161</sup> *Richardson* [*Samuel*] (1689–1761) — twórca nowożytniej powieści angielskiej, autor *Klarysy Harlowe*, *Pameli*, *Grandissona* etc. [przypis tłumacza]

przedstawiając nowe twarze i niesłychane wydarzenia, które przesuwają się niby obrazy latarni magicznej<sup>162</sup>; ale utrzymać ciągle to zainteresowanie przy tych samych przedmiotach i bez cudownych wypadków — to z pewnością jest trudniejsze. Jeżeli, przy równości innych warunków, prostota tematu przydaje piękności dziełu, romanse Richardsona, wyższe w tyłu innych rzeczach, nie mogłyby na tym punkcie równać się z moim. Dziś jest on mimo to martwy, wiem o tym i wiem przyczynę<sup>163</sup>; ale zmartwychwstanie.

Całą mą obawą było, aby, właśnie przez swą prostotę, bieg akcji nie stał się nudny. Lękałem się, czy zdołam wznicić zainteresowanie dość żywe, aby w tym stanie utrzymało się do końca. Upewnił mnie fakt, który sam jeden bardziej mi pochlebił niż wszystkie komplementy, jakie zyskał mi ten utwór.

Książka ukazała się z końcem karnawału. Kolporter zaniósł ją do księżnej de Talmont<sup>164</sup> w dzień balu Opery. Po wieczery księżna kazała się ubrać, aby iść na bal, i czekając pory odjazdu, wzięła do czytania nowy romans. O północy kazała, aby zaprzężono i czytała dalej. Oznajmiono, że pojazd czeka; nie odpowiedziała nic. Służba, widząc, iż księżna zapomina o wszystkim, zwróciła jej uwagę, że jest druga po północy. „Nic nie nagli” — rzekła, czytając ciągle. W jakiś czas później, ponieważ zegarek stanął, zadzwoniła, aby dowiedzieć się, która godzina. Powiedziano, że czwarta. „Kiedy tak — rzekła — to już za późno, aby jechać, niech wyprzęgną”. Kazała się rozebrać i spędziła resztę nocy na czytaniu.

Od czasu jak mi opowiedziano ten rys, pragnąłem zawsze poznać panią de Talmont, nie tylko, aby dowiedzieć się od niej samej, czy to jest ścisła prawda, ale także ponieważ zawsze byłem przeświadczony, że nie można się przejąć *Heloizą* tak żywo, o ile się nie posiada tego szóstego zmysłu, tego zmysłu moralnego, którym obdarzonych jest tak mało serc, a bez którego żadne nie zdoła zrozumieć mego serca.

Jedno jeszcze zyskało mi sympatię kobiet: mianowicie przekonanie, że pisałem w mej książce własną historię i że ja sam jestem bohaterem tego romansu. Przeświadczenie to było tak ustalone, iż pani de Polignac napisała do pani de Verdelin z prośbą o uzyskanie u mnie, abym pozwolił jej zobaczyć portret Julii. Cały świat był przekonany, iż niepodobna wyrazić tak żywo uczuć, których się nie doświadczyło, ani odmalować w ten sposób uniesień miłości inaczej niż na modłę własnego serca. Co do tego, mieli słuszność; to pewna, iż pisałem ten romans w najbardziej płomiennych ekstazach; ale mylili się, mniemając, iż trzeba było rzeczywistych przedmiotów, aby je wywołać. Nikt nie mógł mieć pojęcia, do jakiego stopnia umiem się zapalić dla istot urojonych. Gdyby nie pewne reminiscencje młodości i gdyby nie zjawienie pani d’Houdetot, miłość, którą czulem i opisałem, miałyby za przedmiot jedynie sylfidy<sup>165</sup>. Nie chciałem ani potwierdzać, ani rozpraszać błędu, który wychodził mi na korzyść. W dialogowanej przedmowie, którą dałem wydrukować oddzielnie, można zobaczyć, w jaki sposób umiałem zostawić publiczność w zawieszaniu. Rygoryści twierdzą, że powinienem był wręcz oświadczyć prawdę. Co do mnie, nie widzę, co miałyby mnie do tego zmuszać; mniemam, że takie wyznanie, uczynione bez potrzeby, bardziej byłoby głupotą niż szczerością.

Mniej więcej w tym samym czasie ukazał się *Wieczny pokój*, którego rękopis odstąpiłem w poprzednim roku niejakiemu Bastide, wydawcy dziennika zatytułowanego „Świat”<sup>166</sup>, w który chciał, po woli czy niewoli, wpakować wszystkie moje rękopisy. Należał on do znajomych Duclosa i przyszedł w jego imieniu nalegać, abym mu pomógł wypełnić „Świat”. Słyszał o *Julii* i pragnął, abym ją dał do jego pisma: chciał, abym dał *Emila*: byłby chciał, abym dał *Umowę społeczną*, gdyby podejrzewał jej istnienie. Wreszcie, zmęczony tą natarczywością, zgodziłem się oddać za dwanaście ludwików wyciąg z *Wiecznego pokoju*. Z układu wynikało, że pan Bastide ma go zamieścić w swoim dzienniku, ale skoro tylko stał się właścicielem rękopisu, uznał za właściwe wydrukować go oddzielnie, z pewnymi skreśleniami żądanymi przez cenzora. Cóż by się stało, gdybym

<sup>162</sup>latarnia magiczna — prosty projektor, rzucający na ścianę obraz namalowany na szkle. Uważany za wynalazek siedemnastowiecznego jezuita Athanasiusa Kirchera. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>wiem przyczynę — dziś: znam przyczynę. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>Kolporter zaniósł ją do księżnej de Talmont — to nie była księżna de Talmont, ale inna dama, której nazwiska nie znam; niemniej sam fakt nie ulega wątpliwości. [przypis autorski]

<sup>165</sup>sylfida — żeńska postać sylfa, tj. ducha uosabiającego żywioł powietrza; przen. kobieta smukła, delikatna, pełna wdzięku. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>„Świat” — tu: „Le Monde”, francuski przegląd literacki wydawany jako dwutygodnik od grudnia 1760 do lutego 1761 przez Jean-François de Bastide’a. [przypis edytorski]

dołączył mój komentarz do tego dzieła, o którym na szczęście nie wspomniałem i który nie był objęty układem? Komentarz ten znajduje się do dziś dnia w rękopisie, w moich papierach. Gdyby kiedy ujrzał światło dzienne, okazałoby się, jak pocieszne musiały mi się wydać koncepta i zarozumiałe tony Woltera w tym przedmiocie, mnie, co widziałem w tak prawdziwym świetle kompetencję tego nieboraka w sprawach politycznych, w których silił się głos zabierać.

W pełni powodzenia u publiczności i łaski u dam czułem, iż stanowisko moje w pałacu Luxembourg podupada. Nie u marszałka, który podwajał raczej z każdym dniem swą przyjaźń i dobroć, ale u marszałkowej. Od czasu, gdy nie miałem już co czytać, apartamenty jej stały mi się mniej dostępne. W czasie pobytu księżnej w Montmorency, mimo iż przedkładałem jej służby dość regularnie, widywałem ją już tylko przy stole. Również miejsce moje koło księżnej poszło w zaniedbanie. Ponieważ nie ofiarowywała mi go i w ogóle odzywała się do mnie mało, a ja również niewiele miałem jej do powiedzenia, chętniej siadałem na innym miejscu, gdzie czułem się swobodniej, zwłaszcza wieczorem; bezwiednie przywykłem pomału sadowić się bliżej pana marszałka.

Gdy mowa o wieczorze, przypominam sobie, iż rzekłem, że nie wieczerzałem w zamku. Tak było, w istocie, z początkiem znajomości; ale ponieważ pan de Luxembourg nie jadał obiadu i nie siadał nawet do stołu, wynikło stąd, iż po upływie wielu miesięcy i będąc bardzo już zażyły w domu, nie jadłem jeszcze ani razu w jego towarzystwie. Był na tyle łaskaw, iż zauważył to. To stało się przyczyną, iż niekiedy, zwłaszcza gdy było mniej osób, zostawałem w pałacu na wieczerzę. Bardzo mi to przypadło do smaku, ile że obiad jadło się tam naprędce i jak to mówią, prawie że stojący; wieczerza natomiast była bardzo długa, ponieważ zażywano przy niej spoczynku po powrocie z dalekiej przechadzki; bardzo dobra, ponieważ pan de Luxembourg był smakoszem; i bardzo przyjemna, ponieważ księżna marszałkowa robiła honory w sposób czarujący. Bez tego wytłumaczenia trudno byłoby zrozumieć koniec pewnego listu pana de Luxembourg (plik C, nr 36), gdzie powiada, iż przypomina sobie z rozkoszą nasze przechadzki, zwłaszcza, dodaje, kiedy wchodząc z powrotem w dziedziniec, nie spostrzegaliśmy śladów pojazdów. Ponieważ co rano graczowano piasek na podwórzu, aby zatrzeć wyżłobione koleje, oceniałem z łatwością, z ilości śladów, jak liczne towarzystwo przybyło w ciągu popołudnia.

Rok 1761 dopełnił miary ustawicznych strat, których doświadczył ten dobry pan, od czasu gdy miałem zaszczyt go poznać; jak gdyby niedole, które los gotował, miały się zacząć od człowieka, do którego najbardziej byłem przywiązany i który najbardziej na to zasługiwał. W pierwszym roku stracił siostrę, księżnę de Villeroy; w drugim córkę, księżnę de Robeck; w trzecim postradał w księciu de Montmorency jedyne syna, a w hrabi de Luxembourg wnuka, jedyne i ostatnie podpory rodu i mienia. Zniósł wszystkie te straty z pozornym męstwem; ale serce jego nie przestało broczyć przez resztę życia i od tego czasu zdrowie marszałka zaczęło podupadać. Nieprzewidziana i tragiczna śmierć syna musiała mu być tym boleśniejsza, ile że przyszła właśnie w chwili, w której król przyznał mu dla tego syna, a przyrzekł dla wnuka, dziedziczość jego szarży kapitana przybocznej gwardii. Dożył tej boleści, iż musiał patrzeć, jak gaśnie pomału to ostatnie dziecko rokujące najpiękniejsze nadzieje, i to przez ślepe zaufanie matki do lekarza, który dał zginać biednemu dziecku z wycieńczenia, karmiąc je, za całe pożywienie, lekarstwami. Niestety! Gdyby mi chciano wierzyć, dziadek i wnuk byłiby jeszcze obaj przy życiu. Czegóż nie mówiłem, czegóż nie pisałem marszałkowi, ileż przedstawiem<sup>167</sup> czyniłem pani de Montmorency, przestrzegając przed tym trybem życia, więcej niż surowym, jaki na wiarę lekarza nałożyła synowi! Pani de Luxembourg, która myślała tak jak ja, nie chciała sobie usurpować powagi matki; pan de Luxembourg, człowiek łagodny i słaby, nie lubił się sprzeciwiać. Pani de Montmorency pokładała w doktorze Bordeu wiarę, którą syn jej przypłacił w końcu życiem. Jakże to biedne dziecko było rade, kiedy mogło uzyskać pozwolenie, aby się wyrwać z panią de Boufflers do Mont-Louis, zaprosić się na podwieczorek do Teresy i wprowadzić jakiś kęs pożywienia do wygłodzonego żołądka! Jak bardzo współczułem w duchu z nędzą wielkości, widząc, jak ten jedyne dziedzic tak wielkiego majątku, tak wielkiego imienia, pożera z chciwością żebraka liche kawałat-

Choroba, Lekarz

<sup>167</sup>przedstawienia — tu: przedstawiane argumenty, tłumaczenia. [przypis edytorski]



ko chleba! Słowem, daremne mi było mówić i robić, lekarz zwyciężył i dziecko umarło z głodu.

Ta sama ufność w szarlatanów, która przyprawiła o śmierć wnuka, wykopała grób dziadkowi, a co więcej dołączyła się do niej i nieopatrzność płynąca z chęci ukrywania niedomagań wieku. Pan de Luxembourg podlegał okresami bólom w wielkim palcu u nogi; podczas pobytu w Montmorency odwiedził go taki atak, połączony z bezsennością i lekką gorączką. Ośmieliłem się wymówić słowo „pedogra<sup>168</sup>”; pani de Luxembourg ofuknęła mnie. Pokojowiec, a zarazem przyboczny chirurg pana marszałka twierdził, że to nie pedogra, i zabrał się do opatrywania palca kojącą maścią. Niestety bólem uśmierzył się; kiedy wrócił, nie omieszkało użyć tego samego środka. Ogólny stan zaczął cierpieć od tego leczenia, bóle zdwoiły się, a w tym samym stosunku i lekarstwa. Pani de Luxembourg, która przejrzała wreszcie, iż to jest pedogra, sprzeciwiła się tej niedorzecznej kuracji. Zaczęto się przed nią kryć i po upływie kilku lat pan Luxembourg zginął z własnej winy, przez ten upór, iż chciał się uleczyć. Ale nie uprzedzajmy nieszczęść: ileż ich przed tym jeszcze mam do opowiedzenia!

Osobliwie jest, z jaką fatalnością każde moje słowo, każdy postępek zdawały się pomnażać niezadowolenie marszałkowej, wówczas właśnie kiedy najbardziej zależało mi na tym, aby zachować jej życzliwość. Zgryzoty, których pan de Luxembourg doświadczał raz po raz, tym silniej przywiązywały mnie do niego, a tym samym do księżnej: wydawali mi się bowiem zawsze tak szczerze zespoleni, iż uczucia, jakie się miało dla jednego z dwojga, rozciągały się z konieczności na drugie. Pan marszałek starzał się. Jego gorliwość w służbie dworu, starania, jakich wymagała ta służba, nieustanne polowania i inne obowiązki, wymagałyby sił młodego człowieka; nie widziałem zaś dla niego żadnych pobudek zdolnych podtrzymać zapał do tego trybu życia. Skoro godności jego miały się rozprószyć, a imię wygasnąć, bezprzedmiotowym stało się prowadzić mozolne życie, którego głównym celem było zachować łaskę monarchy dla dzieci. Jednego dnia, kiedy byliśmy tylko we troje i kiedy marszałek uskarżał się na ciężar dworskich obowiązków, mówiąc jak człowiek, którego poniesione straty zniechęciły do wszystkiego, ośmieliłem się wspomnieć o wycofaniu się i udzielić mu radę, którą Cyneasz dał Pyrrusowi. Westchnął i nie odpowiedział stanowczo. Ale za pierwszym razem, kiedy pani de Luxembourg spotkała mnie na osobności, wymówiła mi żywo tę radę, która jak mi się zdało, zaniepokoiła ją. Dodała uwagę, która uderzyła mnie swą słusnością i sprawiła, iż nigdy już nie poruszyłem tej struny: mianowicie, że długie przyzwyczajenie do życia na dworze staje się prawdziwą potrzebą i że nawet, w danych okolicznościach, może ono stanowić dla pana de Luxembourg zbawienną rozrywkę. Spoczynek, który mu radę (dodała), byłby dlań nie tyle wytchnieniem, ile wygnaniem, w którym beczynność, nuda, smutek strawiłyby go niebawem do reszty. Mimo iż uznałem bez wahania słusność argumentów księżnej, mimo że powinna była liczyć na przyrzeczenie, które uczyniłem i którego dotrzymałem, nie wydała mi się nigdy zupełnie uspokojona na tym punkcie. Przypominam sobie, że od tego czasu rozmowy moje sam na sam z panem marszałkiem stały się rzadsze i prawie zawsze przerywane.

Podczas gdy niezręczność moja i nieszczęście podały sobie ręce, aby mi szkodzić w oczach marszałkowej, ludzie, których widywała i których najbardziej lubiła, też mi nie pomagali. Kawaler de Boufflers<sup>169</sup> zwłaszcza, młody człowiek o niezrównanej błyskotliwości dowcipu, nie wydawał mi się nigdy dobrze dla mnie usposobiony. Nie tylko on jeden z towarzystwa pani marszałkowej nie okazał mi nigdy żadnych względów, ale zdawało mi się wręcz, że za każdym jego pobylem w Montmorency tracę coś w jej oczach. Prawda, iż gdyby nawet nie miał tego zamiaru, wystarczyła sama jego obecność; tak dalece wdziek i sposób jego rozmowy uwydatniały dotkliwie ciężkość moich *spropositi*<sup>170</sup>. Przez dwa

<sup>168</sup>*pedogra* (daw.) — dziś: podagra, choroba zniekształcająca i powiększająca staw dużego palca u nogi, której towarzyszą okresowe napadowe bóle. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*kawaler de Boufflers*, [właśc. *Stanislas de Boufflers*] (1738–1815) — jedna z bardzo ciekawych i charakterystycznych figur XVIII w. Przeznaczony zrazu do stanu duchownego porzucił go niebawem dla służby wojskowej; w r. 1771 puścił się do Polski, aby walczyć w szeregach konfederatów, ale zatrzymano go w Wiedniu. Błyskotliwy swój umysł i talent literacki wydawał głównie w listach do przyjaciół i w drobnych utworach o treści zwykle dość swobodnej. W r. 1778 mimo nikłego dobytku pisarskiego został członkiem Akademii Francuskiej. [przypis tłumacza]

<sup>170</sup>*spropositi* (wł.) — głupstwa, niewłaściwości, niedorzeczności. [przypis edytorski]

pierwsze lata kawaler niemal nie pokazywał się w Montmorency; wówczas, dzięki po-  
 bliżności pani marszałkowej, pozycja moja była tam wcale niezła; ale skoro tylko zaczął  
 bywać nieco częściej, byłem zmiażdżony bez ratunku. Byłbym szczerze pragnął schronić  
 się pod jego skrzydło i znaleźć sposób zyskania jego sympatii; ale toż samo niezgrabstwo,  
 które czyniło mi potrzebnymi jego względy, nie pozwoliło mi ich pozyskać. Niezręcz-  
 ne wysiłki w tej mierze zgubiły mnie do reszty w oczach marszałkowej, a nic zgoła mi  
 nie pomogły wobec kawalera. Przy takim bogactwie dowcipu człowiek ten mógłby dojść  
 do wszystkiego; ale niezdolność przyłożenia się do czegokolwiek i skłonność do ciągłych  
 rozrywek pozwoliły mu osiągnąć jedynie półtalenty we wszelkim rodzaju. W zamian za  
 to posiada ich wiele, a to wszystko, czego trzeba w wielkim świecie, to jest tam, gdzie  
 pragnie błyszczeć. Układa bardzo zręcznie wierszyki, pisze bardzo ładne listy, brzdąka  
 nieco na cytrze<sup>171</sup> i bawi się po trochu pastelami. Zabrał się do robienia portretu pani de  
 Luxembourg: portret był ohydny. Księżna twierdziła, że zupełnie niepodobny, i tak było  
 w istocie. Zdrójca kawaler spytał mnie o zdanie; a ja jak głupiec i kłamca powiedziałem,  
 że jest podobny. Chciałem pochlebić jemu, ale nie pochlebilem marszałkowej, która za-  
 notowała to w swoich rejestrach; kawaler zaś, przywiódłszy mnie na hak, wyśmiał się  
 ze mnie. Smutny rezultat tych spóźnionych wysiłków nauczył mnie, aby się nie silić na  
 pochlebstwa i prawienie komplementów wbrew przekonaniu.

Mój talent polegał na mówieniu ludziom prawd użytecznych, ale twardych, z energią  
 i odwagą; trzeba było się tego trzymać. Nie byłem stworzony, nie mówię już, aby schlebiać,  
 ale aby chwalić. Niezręczność pochwał, gdy nimi chciałem kogoś obdarzyć, sprawiła mi  
 więcej złego, niż ostrość krytyki. Mam tu do zacytowania jeden przykład tak straszliwy,  
 iż następstwa jego nie tylko rozstrzygnęły o moim losie na resztę życia, ale rozstrzygną  
 może na wieczne czasy o mej reputacji.

W czasie pobytu księstwa w Montmorency pan de Choiseul<sup>172</sup> zajeżdżał niekiedy do  
 zamku na wieczerzę. Przybył jednego dnia właśnie po mym odejściu. Zaczęto mówić  
 o mnie: pan de Luxembourg opowiedział moje weneckie przygody z panem de Mon-  
 taigu. Pan de Choiseul rzekł, iż szkoda, że rzucił tę drogę, i że gdybym chciał na nią  
 wrócić, najchętniej by mi to ułatwił. Pan de Luxembourg powtórzył mi te słowa; pochle-  
 biły mi one tym więcej, ile że nie przywykłem być psuty przez ministrów; i nie ręczę, czy  
 mimo postanowień, gdyby zdrowie pozwoliło mi o tym myśleć, nie dałbym się skusić do  
 popełnienia nowego głupstwa. Ambicja władała mną jedynie przez te krótkie przerwy,  
 w których wszelka inna namiętność zostawiała mnie swobodnym; ale jedna z tych pauz  
 wystarczyłaby, aby mnie zagarnąć. Te dobre chęci pana de Choiseul, zyskując mu mą  
 sympatię, pomnożyły szacunek, jaki z niektórych czynności jego ministerium powziąłem  
 był dla jego talentów; w szczególności Pakt Rodzinny<sup>173</sup> zwiastował mi w nim męża stanu  
 pierwszego rzędu. Stawiałem pana de Choiseul tym wyżej, im mniej miałem szacunku  
 dla jego poprzedników, nie wyłączając pani de Pompadour, którą uważałem za rodzaj  
 pierwszego ministra; i kiedy obiegały pogłoski, iż rzecz waży się między dwojgiem i że  
 jedno z nich wysadzi drugie, życzyłem szczerze zwycięstwa panu de Choiseul, w mnie-  
 maniu, iż równocześnie zasylam życzenia za chwałę Francji. Zawsze czułem antypatię do  
 pani de Pompadour, nawet wówczas, kiedy, przed jej dworską karierą, jeszcze pod nazwi-  
 skiem pani d'Etioles, widywałem ją u pani de la Poplinière. Od tego czasu miałem do niej  
 urazę za milczenie jej w sprawie Diderota i za całe postępowanie w stosunku do mnie, tak  
 z okazji *Festynów Ramiry* i *Tkliwych Muz* jak z racji *Wiejskiego wróżka*, który nie przyniósł  
 mi, w żadnej walucie, korzyści proporcjonalnych do powodzenia. W ogóle we wszelkich  
 okolicznościach pani ta okazała się bardzo mało skłonna do wyświadczenia mi jakiej usłu-  
 gi: co nie przeszkodziło, iż kawaler de Lorenzy starał się mnie skłonić, abym napisał coś  
 na jej pochwałę, dając do zrozumienia, że może to być dla mnie z korzyścią. Propozycja  
 ta oburzyła mnie tym więcej, ile że rozumiałem, że kawaler nie czyni jej z własnego wy-

<sup>171</sup>cytra (z gr. kitarra) — instrument muzyczny strunowy szarpany. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>Choiseul, [Etienne François de] (1719–1789) — minister [spraw zagranicznych] Ludwika XV, dzięki oso-  
 bistym talentom i dobrym stosunkom z panią de Pompadour rządził wszechwładnie Francją. Po śmierci pani  
 de Pompadour, nie mogąc pojednać się ze wschodzącą gwiazdą pani du Barry, uległ w tej nierównej walce  
 i otrzymał dymisję. [przypis tłumacza]

<sup>173</sup>Pakt Rodzinny a. Pakt Familijny (1761) — sojusz zawarty podczas wojny siedmioletniej pomiędzy pań-  
 stwami rządzonymi przez Burbonów: Francją, Hiszpanią, Neapolem i Parmą, mający na celu powstrzymanie  
 ekspansji brytyjskiej. [przypis edytorski]

mysłu: człowiek ten, sam zupełnie zero, myślał i działał jedynie z ramienia drugich. Zbyt mało umiem panować nad sobą, aby ukryć swą wzdargę dla takiego handlu; nie kryłem się też przed nikim z brakiem sympatii dla faworyty. Wiedziała o tym, jestem pewny; toteż kiedy zasylałem w duchu życzenia za panem de Choiseul, własny interes kojarzył się z naturalną skłonnością. Przejęty szacunkiem dla jego talentów, pełen wdzięczności za dobre chęci, nie znając go poza tym z innej strony, nie znając w swoim odludziu zupełnie jego upodobań i sposobu życia, patrzałem nań zawczasu jak na mściciela publicznego i mojego razem. Wykonczając wówczas ostatnie szczegóły *Umowy społecznej*, zaznaczyłem w niej, jednym rysem, co myślałem o poprzednich ministeriach i o tym, które zaczynało je zaćmiewać. Chybiłem w tej okoliczności swojej najstalszej maksymie; a co więcej nie zastanowiłem się, iż kiedy się chce mocno pochwalić i mocno zganić w jednym i tym samym ustępie, nie wymieniając osób, trzeba tak dostosować pochwałę do tych, których dotyczy, aby najbardziej nawet drażliwa miłość własna nie mogła znaleźć miejsca na *qui pro quo*. Czulem się w tej mierze tak obłudnie spokojny, iż nawet na myśl mi nie przyszło, aby ktoś mógł się omylić. Pokaże się niebawem, czy miałem słuszność.

Jednym z moich przywilejów było to, iż zawsze w gronie mych znajomych były kobiety autorki. Sądziłem, iż bodaj w najwyższym świecie uniknę tej doli. Zgoła nie: poszła i tam za mną. Pani de Luxembourg nie była nigdy, o ile wiem, dotknięta tą manią; za to hrabina de Boufflers. Napisała tragedię prozą, którą najpierw czytano, obnoszono i wychwalano w towarzystwie księcia de Conti; niesyta jeszcze pochwał, zapragnęła i mnie spytać o zdanie, aby i mój głos dołączył się do chóru. Pochwaliłem, ale umiarkowanie, jak utwór zasługiwał. Równocześnie, czulem się w obowiązku ostrzec hrabinę, iż sztuka jej, zatytułowana *Szlachetny niewolnik*, ma wielkie pokrewieństwo ze sztuką angielską, dość mało znaną, tłumaczoną wszelako, pod tytułem *Oroonoko*. Pani de Boufflers podziękowała za ostrzeżenie, zapewniając jednak, iż sztuka jej zupełnie nie przypomina tamtej. Nigdy nie wspominałem o tym plagiacie nikomu w świecie, prócz niej samej, i to aby dopełnić obowiązku, który mi nałożyła; co nie przeszkodziło, iż często później wspominałem sobie los Gil Blasa<sup>174</sup>, który dopełnił tegoż samego zadania wobec arcybiskupa kaznodziei. Prócz kawalera de Boufflers, który mnie nie lubił; prócz pani de Boufflers, wobec której popełniłem winy, jakich nigdy kobiety ani autorzy nie przebaczą, i inni przyjaciele pani marszałkowej wydawali mi się zawsze niezbyt życzliwie dla mnie usposobieni. Był w ich liczbie prezydent Hénault<sup>175</sup>, który, zaciągnąwszy się pod sztandar autorów, nie był wolny od ich przywar; była też, między innymi, pani du Deffand<sup>176</sup> i panna de Lespinasse<sup>177</sup>, obie w wielkiej zażyłości z Wolterem i serdeczne przyjaciółki d'Alemberta, z którym ta ostatnia zamieszkała w końcu, rozumie się w najlepszych intencjach, i nie można nawet rozumieć inaczej. Zrazu zainteresowałem się bardzo panią du Deffand, której utrata wzroku przejęła mnie serdecznym współczuciem; ale jej tryb życia, wręcz przeciwny memu, tak iż jej godzina wstawania była niemal godziną mego spoczynku, jej namiętność bez granic dla salonowego dowcipu, waga, jaką przykładła, czy to na złe, czy na dobre, do najlichszych pojawiających się świstków, despotyzm i stronniczość jej wyroków, przesadne zaciętrzewienie *za* albo *przeciw* w każdej rzeczy, które nie pozwoliło jej o niczym mówić inaczej jak w konwulsjach, jej nieprawdopodobne uprzedzenia, jej niezwykłony upór, obłudny entuzjazm, do którego doprowadzała ją zaciekłość namiętnych sądów, wszystko to ostudziło niebawem mą sympatię. Odsunąłem się; spostrzegła to rychło: to wystarczyło, aby ją rozjuszyć przeciw mnie. Ale mimo że doskonale czulem, jak niebez-

Nienawiść

<sup>174</sup>*Gil Blas* — główna postać powieści Lesage'a (1668–1747) pod takimże tytułem. [przypis tłumacza]

<sup>175</sup>*Hénault*, [*Charles-Jean*] (1685–1770) — dygnitarz sądowy, poeta i historyk, który w ówczesnym życiu towarzyskim odgrywał wybitną rolę. Ścisłe węzły łączyły go aż do późnej starości z panią du Deffand. [w latach 1710–31 prezydent parlamentu; red WL]. [przypis tłumacza]

<sup>176</sup>*du Deffand*, [*Marie de Vichy-Chamrond*, margrabina (markiza)] (1697–1780) — jedna z najciekawszych postaci kobiecych XVIII w. Po młodości dość burzliwej, a głośnej przelotnym stosunkiem, jaki ją związał z Regentem, margrabina, dotknięta nieszczęściem stopniowej utraty wzroku, zwróciła się, jak to nazywano wówczas, ku „filozofii”. Salon jej był jednym z kilku w Paryżu, w których urabiała się opinia; filarem jego był długi czas d'Alembert, póki nie przeszedł do obozu panny de Lespinasse. Po pani du Deffand została rozległa i ciekawa korespondencja z wybitnymi osobistościami epoki. [przypis tłumacza]

<sup>177</sup>*Lespinasse*, [*Julie Jeanne de*] (1731–1776) przyjaciółka i towarzyszką pani du Deffand, poróżniwszy się z nią, stworzyła odrębny salon literacki, skupiający najwybitniejsze umysły współczesne zwłaszcza z grupy encyklopedystów. Za życia głośna z rozumu i dowcipu, utrwaliła swą sławę po śmierci dzięki listom miłosnym do pana de Guibert, ogłoszonych po raz pierwszy w r. 1809. [przypis tłumacza]

pieczną może się stać kobieta tego charakteru, wołałem raczej wystawić się na plagę jej nienawiści niż przyjaźni.

To by jeszcze nie było nic, iż tak mało miałem przyjaciół w towarzystwie marszałkowej, gdybym nie miał wrogów w jej rodzinie. Miałem tylko jednego, ale sądząc z położenia, w jakim znajduję się dzisiaj, wart był stu. Nie był to z pewnością książę de Villeroy, brat marszałkowej; ten bowiem nie tylko zachodził do mnie w odwiedziny, ale niejednokrotnie zapraszał mnie do siebie, do Villeroy. Odpowiedziałem na zaproszenie z całym szacunkiem i dwornością, na jakie umiałem się zdobyć; za czym, biorąc tę nieokreśloną odpowiedź jako zgodę, ułożył z księstwem de Luxembourg wycieczkę na dwa tygodnie, do której miałem należeć. Ponieważ względy zdrowia nie pozwalały mi wówczas ruszać się z miejsca bez niebezpieczeństwa, prosiłem pana de Luxembourg, aby zechciał mnie uwolnić. Można poznać z jego odpowiedzi (plik D, nr 3), że odbyło się to w sposób najprzyjaźniejszy w świecie, przy czym książę de Villeroy okazywał mi nadal tyleż sympatii co wprzód. Natomiast jego siostrzeniec i spadkobierca, młody margrabia de Villeroy, nie dzielił życzliwości, jaką szaczczył mnie jego wuj; wyznając również, iż nie dzielił i szacunku, jaki żywiłem dla tegoż. Jego trzpiotowate wzięcie było mi wręcz nie do zniesienia, wzajem zaś mój chłód obudził jego niechęć. Jednego nawet wieczora przy stole młodzik ten dopuścił się wybryku, z którego wybrnąłem lichy, ponieważ jestem niezdara bez cienia przytomności umysłu i ponieważ gniew, miał zaostriżyć mój dowcip, odejmuje mi go jeszcze. Miałem psa, którego darowano mi szczeniciem<sup>178</sup> prawie zaraz po mym przybyciu do Pustelni i którego nazwałem Księciem<sup>179</sup>. Ten pies, nie piękny, ale rzadki w swoim rodzaju, był moim towarzyszem, przyjacielem i z pewnością zasługiwał na ten tytuł lepiej niż wielu z tych, którzy go odziedziczyli. Stał się sławny w zamku de Montmorency przez swą kochającą i tkliwą naturę oraz przywiązanie, jakie czuliśmy wzajem do siebie; ale przez bardzo głupie tchórzostwo zmieniłem jego imię na Turek, jak gdyby nie było mnóstwa psów, które wołają się Margrabia bez obrazy dla żadnego margrabiego. Margrabia de Villeroy, który dowiedział się o tej zmianie, zaczął mnie tak przypierać do muru, że byłem zmuszony opowiedzieć przy stole, co uczyniłem. Jeśli co w tej całej historii było obrażające dla tytułu *księcia*, to nie to, że dałem psu to imię, ale że je odjąłem. Najgorsze, że było przy stole kilku książąt; pan de Luxembourg miał ten tytuł, syn jego również. Margrabia de Villeroy, przeznaczony do tego tytułu i posiadający go dzisiaj, cieszył się z okrutną radością zakłopotaniem, w jakie mnie wtrącił, i wrażeniem, jakie uczyniło to zakłopotanie. Upewniano mnie, iż nazajutrz ciotka wyłajała go bardzo żywo; można ocenić, czy ta reprimenda, przypuściwszy prawdziwość wersji, mogła mnie uczynić sympatyczniejszym w jego oczach.

Przeciwko tym wszystkim wrogom miałem, tak w pałacu Luxembourg, jak w Temple, jedyne kawalera de Lorenzy, który głosił się moim przyjacielem; ale jeszcze więcej był przyjacielem d'Alemberta, w cieniu którego uchodził u kobiet za wielkiego geometrę. Był on zresztą *cicisbeem*<sup>180</sup> lub raczej zausznikiem hrabiny de Boufflers, również wielkiej przyjaciółki d'Alemberta; kawaler zaś de Lorenzy istniał i myślał jedynie przez nią. Tak więc nie tylko nie znajdowałem w otoczeniu żadnej przeciwwagi dla swego niezgrabstwa, która by mnie mogła wspierać wobec pani de Luxembourg, ale wszystko, co było jej blisko, zdawało się jakby wzmowie, aby mi szkodzić w jej umyśle. Mimo to poza *Emilem*, którym zechciała się zająć, dała mi w tym samym czasie inny dowód zainteresowania i życzliwości, dowód, który pozwolił mniemać, iż, nawet nudząc się w mym towarzystwie, zachowała dla mnie i zachowa zawsze przyjaźń, którą tylekroć przyrzekała mi na całe życie.

W początkach stosunków, skoro tylko zdawało mi się, że mogę liczyć na to uczucie z jej strony, zacząłem od tego, iż starałem się ulżyć wobec niej memu sercu wyznaniem wszystkich błędów. Czyniąc to, postępowałem w myśl niezłomnej zasady w stosunku do przyjaciół, aby pokazywać się ich oczom takim, jakim jestem, ani lepszym, ani gorszym. Wyznałem jej stosunki swoje z Teresą i to, co z nich wynikło, nie tając, w jaki sposób rozrządziłem dziećmi. Przyjęła moje zwierzenia bardzo łaskawie, zbyt łaskawie nawet,

<sup>178</sup>psa, którego darowano mi szczeniciem (daw.) — psa, którego darowano mi, kiedy był szczeniciem. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>nazwałem Księciem — w oryg. *Duc*. [przypis tłumacza]

<sup>180</sup>*cicisbeo* (wł.) — kawaler usługujący i towarzyszący pani domu z pozwoleniem jej męża. [przypis edytorski]

oszczędzając mi nagany, na którą zasłużyłem; a co mnie wzruszyło najżywiej, to widok dobroci, jaką okazywała Teresie, obsypując ją drobnymi podarkami, posyłając po nią, zachęcając do odwiedzin, przyjmując najuprzejmiej w świecie, a bardzo często ściskając ją wobec wszystkich. Biedna dziewczyna rozpływała się w uniesieniach i wdzięczności, które z pewnością dzieliłem w całej pełni; przyjaźń, którą oboje księstwo szaszczykali mnie w jej osobie, wzruszała mnie jeszcze żywiej niż ta, którą świadczyli mi wprost.

Przez dość długi czas rzeczy pozostawały na tym punkcie; ale w końcu pani marszałkowa posunęła dobroć tak daleko, iż zapragnęła odszukać jedno z moich dzieci. Wiedziała, że kazałem wyszyć znak na pieluszkach najstarszego; zażądała ode mnie podobny tego znaku. Użyła do tego celu La Roche'a, zaufanego pokojowca, który podjął daremne poszukiwania i nie znalazł nic, mimo że po upływie dwunastu ledwie lub czternastu lat, gdyby rejestry domu podrzutków znajdowały się w porządku lub gdyby należycie przeprowadzono dochodzenie, znak ten powinien by się tam znajdować. Jak bądź się rzeczy miały, mniej uczułem się zmartwiony tym niepowodzeniem, niż byłoby to zapewne miało miejsce, gdybym nie stracił z oczu tego dziecka od urodzenia. Przypuśćmy, że przy pomocy tego śladu przedstawiono by mi jakieś dziecko jako moje; otóż, wątpliwość, czy to jest w istocie to samo, czy nie podstawiono za nie innego, byłaby mi ścisnęła serce niepewnością i nie byłbym kosztował prawdziwych uczuć ojcostwa w całym uroku: aby się umocnić, potrzebują one, przynajmniej w czasie dzieciństwa, ugruntować się na przyzwyczajeniu. Długie rozłączenie z dzieckiem, którego się jeszcze nie zna, osłabia, unicestwia wreszcie ojcowskie i macierzyńskie uczucia; tego, które oddało się na mamki, nigdy się nie będzie kochać tak, jak tego, które wychowało się samemu. Refleksja ta złagodzi może moje winy w dalszym postępowaniu, ale czyni je tym cięższymi w samym źródle.

Nie jest może bezużytecznym zauważyć, iż za pośrednictwem Teresy tenże La Roche zapoznał się z panią Le Vasseur, którą Grimm wciąż trzymał w Deuil, u bram Chevrette i tuż obok Montmorency. Kiedy opuściłem te strony, przesyłałem, na ręce Roche'a, tej kobiecie pieniądze, których nie przestałem jej wypłacać; sądzę, że również nosił jej często podarki od pani marszałkowej; tak iż z pewnością nie była ona godną politowania, mimo że żaliła się ciągle. Co się tyczy Grimma, ponieważ nie lubię mówić o ludziach, których mi trzeba nienawidzić, jeśli wspominałem o nim pani de Luxembourg, to jedynie zmuszony; ona natomiast kilkakrotnie sprowadzała mnie na jego temat, nie mówiąc, co o nim myśli, i nie dając mi nigdy nawet przeniknąć, czy zna tego człowieka. Ponieważ oględność z ludźmi, których się kocha i którzy nie przestrzegają jej z nami, nie leży w mej naturze, zwłaszcza w tym, co się tyczy ich samych, zastanawiałem się niekiedy później nad tym postępowaniem, ale dopiero wówczas, kiedy inne wydarzenia uczyniły tę refleksję aż nazbyt naturalną.

Od czasu jak oddałem pani de Luxembourg *Emila*, długo nie miałem o nim żadnej wiadomości. Dowiedziałem się wreszcie, iż zawarto w tej mierze umowę w Paryżu z księgarzem Duchesne, a przez tego z księgarzem Néaulme z Amsterdamu. Pani de Luxembourg posłała mi dwa egzemplarze umowy z Duchesnem, abym je podpisał. Zauważyłem, iż pismo było tej samej ręki co listy pana de Malesherbes, kiedy nie pisał do mnie własnoręcznie. Ta pewność, iż umowa sporządzona była ze świadomością tego dygnitarza i pod jego oczyma, kazała mi ją podpisać z ufnością. Duchesne dawał za rękopis sześć tysięcy franków, połowę w gotówce, i, o ile mi się zdaje, sto czy dwieście egzemplarzy. Podpisawszy dwie kopie umowy, odesłałem obie pani de Luxembourg, jak sobie życzyła; dała jedną Duchesne'owi, drugą zatrzymała sama, zamiast mi ją odesłać, i nigdy jej nie ujrzałem.

Znajomość z księstwem de Luxembourg uczyniła niejaką dywersję w zamiarach moich usunięcia się od świata; mimo to nie wyrzekłem się bynajmniej tych zamiarów. Nawet w czasie największych łask u marszałkowej czułem zawsze, że jedynie szczere przywiązanie do pana marszałka i do niej mogło mi uczynić znośnym pobyt w ich otoczeniu. Cały kłopot był w tym, aby pogodzić to przywiązanie z rodzajem życia bardziej odpowiadającym mym upodobaniom i mniej przeciwnym zdrowiu. Cały ten przymus i te wieczorne biesiady bardzo nieszczególnie wpływały na mój stan, mimo starań, jakich dokładano, aby mnie oszczędzać. Na tym punkcie, jak zresztą na wszystkich innych, posuwano względy tak daleko, jak tylko możebne; tak na przykład co wieczór po kolacji pan marszałek, który kładł się wcześniej, zawsze zabierał mnie, po woli czy po niewoli, abym udał się na

Dziecko, Ojciec

spoczynek. Dopiero na jakiś czas przed mą katastrofą zaniechał, nie wiem dlaczego, tej uprzejmości.

Zanim jeszcze spostrzegłem oziębienie pani marszałkowej, pragnąłem, aby nie narażać się na nie, wykonać swój dawny zamiar; ale ponieważ brakło mi środków, zmuszony byłem czekać na zawarcie umowy o *Emila*. W oczekiwaniu wykończyłem ostatecznie *Umowę społeczną* i posłałem Reyowi, oznaczając cenę rękopisu na tysiąc franków, które mi też dał. Nie powinienem może pomijać drobnego faktu dotyczącego tego rękopisu. Oddałem go, dobrze zapieczętowany, Duvoisinowi, posłowi z Vaud, który odwiedzał mnie niekiedy; podjął się przesłać go Reyowi, będąc z nim w zażyłości. Rękopis ten, pisany drobnym pismem, był bardzo mały, tak że nie wypełniał nawet kieszeni. Mimo to na rogatce pakiet ten wpadł, nie wiem, w jaki sposób, w ręce strażników, którzy otworzyli go w imieniu ambasadora. Wydarzenie to dało jemu samemu możliwość przeczytania utworu, jak mi to naiwnie wyznał wraz z mnóstwem pochwał dla dzieła i bez słowa krytyki lub cenzury. Widocznie zachowywał sobie rolę mściciela chrześcijaństwa na porę, kiedy książka wyjdzie z druku. Zapieczętował z powrotem rękopis i posłał Reyowi. Taki był przebieg faktów, jak mi je opowiedział, zdając sprawę z tej przygody.

Poza tymi dwiema książkami i *Dykcjonarzem muzycznym*, nad którym wciąż pracowałem od czasu do czasu, miałem kilka innych pism mniejszej wagi; wszystkie były gotowe do druku i zamierzałem wydać je jeszcze, bądź oddzielnie, bądź w ogólnym zbiorze dzieł, gdybym go podjął kiedy. Głównym z tych pism, których większość znajduje się jeszcze w rękopisie w rękach du Peyrou, był *Zarys nad początkiem języków*. Dałem go do czytania panu de Malesherbes i kawalerowi de Lorenzy, który mi go pochwalił. Liczyłem, iż wszystkie te utwory razem wzięwszy przyniosą po potrąceniu kosztów kapitał co najmniej ośmiu do dziesięciu franków, które chciałem umieścić w rencie dożywotniej na imię swoje i Teresy; po czym, jak rzekłem, osiadłbym gdzieś na prowincji, nie zajmując już publiczności sobą, ani nie zajmując się samemu czym innym, jak tylko spokojnym dokończeniem życia, czyniąc nadal dokoła siebie tyle dobrego, ile zdołam, i pisząc swobodnie zamierzone pamiętniki.

Taki był mój projekt; wspaniałomyślność Reya, której nie godzi się przemilczeć, ułatwiła jeszcze jego wykonanie. Księgarz ten, o którym mówiono mi tyle złego w Paryżu, jest wszelako ze wszystkich, z którymi miałem do czynienia, jedynym, z którym zawsze wychodziłem dobrze<sup>181</sup>. Zachodziły, co prawda, często między nami sprzeczki co do szczegółów wykonania; on był roztrzepany, ja porywczy. Ale w kwestiach interesów z nimi związanych i sposobów postępowania, mimo iż nigdy nie zawieraliśmy formalnych traktatów, zawsze okazał się skończenie dokładny i uczciwy. Jest to nawet jedyny księgarz, który mi przyznał szczerze, że dobrze wychodzi na moich utworach; często powiadał, iż mnie zawdzięcza swój majątek, ofiarując gotowość podzielenia go ze mną. Nie mogąc okazać wprost swej wdzięczności, chciał ją objawić bodaj w osobie mej „gospodyni”, której ufundował dożywotnią pensję trzystu franków, wyrażając w akcie, iż czyni to w uznaniu zysków, które mi zawdzięcza. Zrobił to zupełnie poufnie, bez pokazu, pretensji i rozgłosu; i gdybym sam nie był o tym pierwszy rozpowiadał całemu światu, nikt nie wiedziałby o niczym. Byłem tak wzruszony tym postąpieniem, iż od tego czasu powziąłem do Reya prawdziwą przyjaźń. W jakiś czas później zapragnął, abym był ojcem chrzestnym jego dziecka; przystałem; a jednym z moich żalów, w położeniu, do jakiego mnie doprowadzono, jest to, iż odjęto mi wszelki sposób okazania się w czymkolwiek użytecznym chrzestnej córce i jej rodzicom. Dlaczego jestem tak tkliwy na skromną wspaniałomyślność tego księgarza, a mało mnie wzrusza zgiełkliwa gorliwość tyłu bogaczy pompatycznie napelniających wszechświat dobrodziejstwami, które rzekomo chcieli mi wyświadczyć, a których nigdy nie poczułem? Czy to ich wina, czy moja? Czy oni są tylko próżni, czy ja niewdzięczny? Roztropny czytelniku, zważ, rozstrzygnij; co do mnie, zachowuję milczenie.

Pensja ta była wielką pomocą dla utrzymania Teresy i wielką ulgą dla mnie. Zresztą, bardzo daleki byłem od ciągnięcia bezpośredniej korzyści z tego daru, podobnie jak z innych podarków, które czyniono Teresie. Zawsze rozrządzała wszystkim sama. Kiedy

Pieniądz

<sup>181</sup> Księgarz ten, o którym mówiono mi tyle złego w Paryżu, jest wszelako [...] jedynym, z którym zawsze wychodziłem dobrze — kiedy pisałem te słowa, daleki byłem jeszcze od wyobrażania sobie, domyślania się, przypuszczania szalbierstw, jakie odkryłem później w druku swoich pism i które zmuszony był przyznać. [przypis autorski]

przechowywałem jej pieniądze, zdawałem z nich ścisły rachunek, nie przelewając nigdy ani szeląga do wspólnych wydatków, nawet kiedy Teresa była bogatsza ode mnie. „To, co moje, jest nasze — mawiałem — a to, co twoje, jest twoje”. Nigdy nie przestałem postępować z nią wedle tej zasady. Ci, którzy byli na tyle podli, aby mnie oskarżać, iż przyjmuję przez jej ręce to, co odtrącam własnymi, sądzili zapewne moje serce wedle swego i znali mnie bardzo lichy. Chętnie pożywałbym z nią chleb, który by zapracowała, nigdy tego, który by otrzymała od kogoś. Odwołuję się na tym punkcie do jej świadectwa, i dziś, i wówczas, kiedy zgodnie z porządkiem natury przeżyje mnie. Na nieszczęście Teresa mało jest zdolna do oszczędności pod wszelakim względem, mało rządna i mocno rozrzutna, nie przez próżność ani przez łakomstwo, ale jedynie przez niedbałość. Nikt na świecie nie jest doskonały; skoro trzeba, aby czymś okupiła swe nieoszacowane przymioty, wolę raczej, iż ma błędy niż przywary, mimo że te błędy czynią może więcej złego nam obojgu. Nie da się opisać starań, za pomocą których sililem się, jak niegdyś mamusi, zgromadzić jej jakiś zapasik, który by mógł stać się kiedyś jej oparciem; zawsze okazało się to straconym trudem. Nigdy ani jedna, ani druga nie nauczyły się rachować; mimo moich wysiłków wszystko odpływało zawsze w miarę jak przyplłynęło. Mimo że Teresa odziewa się nad wyraz skromnie, nigdy pensja Reya nie starczyłaby jej na fatalaszki: nie było roku, bym nie musiał dołożyć ze swego. Ani ona, ani ja nie jesteśmy stworzeni, aby dojść kiedy do bogactwa i nie liczyć tego z pewnością między nieszczęścia.

*Umowa społeczna* drukowała się dość szybko. Nie tak z *Emilem*, którego wydania czekałem, aby wykonać zamiar ostatecznego usunięcia się od świata. Duchesne przysyłał mi od czasu do czasu wzory druków do wyboru; kiedy wybrałem, zamiast zaczynać, przysyłał znowuż inne. Kiedy wreszcie ułożyliśmy wszystko co do formatu, czcionek i kiedy wydrukowano już kilka arkuszy, naraz z przyczyny lekkiej zmiany, jaką uczyniłem w korekcie, zaczęto wszystko od nowa i po upływie pół roku sprawa druku przedstawiała się gorzej niż pierwszego dnia. W czasie tych prób spostrzegłem, iż dzieło drukuje się nie tylko w Holandii, ale i we Francji, i że gotują się równocześnie dwa wydania. Co mogłem uczynić? Nie byłem już panem rękopisu. Bynajmniej nie rad z pomysłu wydania dzieła we Francji, zawsze mu się sprzeciwiałem; ale ostatecznie, skoro, z moją wolą czy bez, wydanie to było w toku i skoro służyło za wzór tamtemu, trzebaż było rzucić na nie okiem i przejrzeć korekty, aby nie dać okaleczyć i zniekształcić książki. Zresztą, dzieło drukowało się tak dalece z wiedzą powołanego urzędnika, iż on to poniekąd kierował przedsięwzięciem, pisywał do mnie bardzo często, a nawet odwiedził mnie raz w tej sprawie, w okolicznościach, które zaraz przytoczę.

Podczas gdy Duchesne posuwał się żółwim krokiem, Néaulme, hamowany przezeń, postępował jeszcze wolniej. Nie posyłano mu regularnie arkuszy, w miarę jak dzieło się drukowało. Odniósł wrażenie, iż postępowanie Duchesne’a, to znaczy Guy’ego, który działał w jego imieniu, nie jest zupełnie poprawne i rzetelne; widząc, że księgarz nie dotrzymuje umowy, pisał do mnie listy pełne utyskiwań i zarzutów. Nie mogłem nic na to poradzić, a jeszcze mniej na te zarzuty, które sam miałem do przytoczenia. Przyjaciel jego Guérin, który widywał mnie wówczas bardzo często, wspominał mi nieustannie o tej książce, ale zawsze z największą oględnością. Wiedział i nie wiedział, że drukuje się we Francji; wiedział i nie wiedział, że powołany urzędnik zajmuje się tym; ubolewając nad mną w przewidywaniu kłopotów, które mi ściągnie ta książka, obwiniał mnie jak gdyby o nieostrożność, nie chcąc nigdy powiedzieć, na czym ona polega. Kluczył i kółował bez końca; zdawałoby się, że mówi jedynie, aby mnie ciągnąć za język. Czulem się wówczas tak zupełnie bezpieczny, iż śmiałem się z oględnego i tajemniczego tonu, jakim mówił o tej sprawie, niby z narowu nabytego u ministrów i biuralistów, których kancelarie odwiedzał dość pilnie. Pewien, iż jestem co do tego dzieła pod każdym względem w porządku, silnie przeświadczony, iż posiada ono przyzwolenie i poparcie nie tylko cenzury, ale i ministerium, dumny się czulem z mej odwagi w uczciwej sprawie i śmiałem się z nazbyt trwożliwych przyjaciół, którzy zdawali się o mnie niepokoić. Duclos był z ich liczby i przyznaje, że wiara moja w jego prawość i rozum mogła mnie być zaniepokoić za jego przykładem, gdybym nie tyle wierzył w użyteczność swego dzieła i zacność jego opiekunów. Duclos zaszedł do mnie raz wprost od pana Baille, w czasie gdy *Emil* był pod prasą; wszczął ze mną rozmowę o tej książce. Przeczytałem mu *Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego*; wysłuchał bardzo spokojnie, i, zdaje mi się, z wielką przyjemnością. Kiedy

skończyłem, rzekł: „Jak to, obywatelu, to ustęp z książki, która drukuje się w Paryżu?” — „Tak — odparłem — a powinna się drukować w Luwrze, na zlecenie króla”. — „Zgadza się — rzekł — ale zrób mi tę przyjemność i nie powiadaj nikomu, żeś mi czytał ten ustęp”. Ten uderzający sposób wyrażania się zdumiał mnie, ale nie przeraził. Wiedziałem, że Duclos żyje blisko z panem de Malesherbes. Trudno mi było pojąć, w jaki sposób może w tym samym przedmiocie mieć tak odmienne zapatrywania.

Przez cztery lata, które spędziłem w Montmorency, ani jeden dzień nie minął mi w dobrym zdrowiu. Mimo że klimat jest tam wyborny, woda jest nieszczególna i to może być łatwo jednym z powodów, które przyczyniły się do pogorszenia zwykłych dolegliwości. Pod koniec jesieni 1761 zaniemogłem zupełnie i spędziłem całą zimę w nieustających prawie cierpieniach. Cierpienia fizyczne, pomnażane tysiącnymi niepokojami, czyniły mnie zarazem na nie tym wrażliwszym. Od jakiegoś czasu prześladowały mnie tajemne i smutne przeczucia, których przedmiotu nie umiałbym określić. Otrzymywałem dość szczególne listy anonimowe, a nawet podpisane, zgoła nie mniej osobliwe. Otrzymałem list od pewnego rajcy parlamentu w Paryżu, który, niezadowolony z obecnego układu rzeczy i nie wróżąc dobrze o przyszłości, radził się mnie co do wyboru schronienia, w Genewie lub Szwajcarii, dokąd się chciał udać z całą rodziną. Otrzymałem list od pana de \*\*\*, prezydenta parlamentu w \*\*\*: poddawał mi, abym ułożył dla tegoż parlamentu, który był wówczas źle ze dworem, memoriały i przedstawienia, ofiarując się dostarczyć mi wszelkich dokumentów i materiałów, jakich będę potrzebował w tym celu. Kiedy jestem cierpiący, łatwo podlegam irytacji. Listy te podrażniły mnie; ukazałem to w odpowiedziach odmawiając wręcz żądaniom. Nie odmowę sobie dziś wyrzucam, to pewna (skoro listy mogły być łatwo pułapką moich nieprzyjaciół, to zaś, czego ode mnie żądano, było sprzeczne z zasadami, od których mniej niż kiedykolwiek skłonny byłem odstąpić); ale, mogąc odmówić uprzejmie, odmawiałem szorstko; i oto w czym zblądziłem.

Pomiędzy moimi papierami znajdują się dwa z owych listów. List rajcy nie zdziwił mnie nadto, ponieważ sądziłem jak on, i jak wielu, iż chylący się do upadku ustrój grozi Francji bliskim wstrząśnięciem. Klęski nieszczęśliwej wojny<sup>182</sup>, wszystkie z winy rządu, niewiarygodny bezład finansów, ustawiczne szarpaniny administracji, podzielonej dotąd między dwóch lub trzech ministrów, w otwartej z sobą wojnie, gotowych, aby sobie szkodzić wzajem, zaprzepaścić państwo; powszechne niezadowolenie ludu i wszystkich stanów; zaciętrzewienie upartej kobiety, która, stale rządząc się raczej kaprysem niż rozumem (o ile prawdą jest, że go miała), usuwała prawie zawsze z urzędów ludzi najzdolniejszych, aby je powierzać tym, którzy jej byli najbardziej na rękę — wszystko to kojarzyło się, aby usprawiedliwić przewidywania rajcy, ogółu i moje. Przewidywania te przyprawiły mnie nawet nieraz o wahanie, czy by mnie samemu nie trzeba szukać schronienia poza granicami królestwa; ale, uspokojony swą małością i cichym usposobieniem, mniemałem, iż w samotności, w której chcę spędzić życie, żadna burza nie może mnie dosięgnąć. Martwiło mnie jedynie to, iż w tym stanie rzeczy pan de Luxembourg dał się użyć do zadań, które musiały nadwerżyć jego popularność. Byłbym dlań pragnął, aby na wszelki wypadek zabezpieczył sobie schronienie, gdyby przypadkiem wielka machina miała się zawalić, jak to zdawało się grozić w obecnym stanie rzeczy. Dziś jeszcze wydaje mi się niewątpliwe, iż gdyby ster rządu nie dostał się wreszcie w jedną rękę<sup>183</sup>, monarchia francuska gonilaby teraz ostatnim tchem.

Podczas gdy mój stan pogarszał się ciągle, druk *Emila* opóźniał się, w końcu ustał zupełnie. Nie mogłem dowiedzieć się przyczyny: Guy nie raczył pisać ani odpowiadać, nie mogłem uzyskać nowin od nikogo ani odgadnąć, co się stało, ile że pan de Malesherbes bawił na wsi. Nigdy nieszczęście, chociażby największe, nie przeraża mnie i nie łamie, byłbym wiedział, na czym polega; ale naturalną mą skłonnością jest, iż obawiam się ciemności; lękam się i nienawidzę ich czarnej czeluści. Tajemnica niepokoi mnie zawsze; jest nazbyt przeciwna mej naturze, otwartej aż do nieopatrzności. Widok najwstrętniejszego potwora niezbyt by mnie przeraził, jak sądzę; ale gdybym ujrzal w nocy postać odzianą

<sup>182</sup> *Klęski nieszczęśliwej wojny* — wojna siedmioletnia [w której w latach 1756–63 Francja, Austria, Rosja, Szwecja i Saksonia walczyły przeciwko Wielkiej Brytanii, Prusom i Hanowerowi; zakończona druzgocącym zwycięstwem Wielkiej Brytanii i utratą przez Francję niemal wszystkich posiadłości kolonialnych w Ameryce Płn.; red. WLJ]. [przypis tłumacza]

<sup>183</sup> *gdyby ster rządu nie dostał się wreszcie w jedną rękę* — księcia de Choiseul. [przypis tłumacza]



w białe płótno, uląkłbym się. Oto więc wyobraźnia, rozpalona tym długim milczeniem, zaczęła mi kreślić widziadła. Im więcej leżało mi na sercu ogłoszenie mego ostatniego i najlepszego dzieła, tym bardziej dręczyłem się dociekaniem, co mogło mu przeszkodzić. Ciągłe biorąc wszystko najbardziej krańcowo, w zatrzymaniu druku dopatrywałem się już zawieszenia książki. Mimo to, nie mogąc sobie wyobrazić ani przyczyny, ani sposobu, trwałem w najokrutniejszej w świecie niepewności. Pisałem list po liście do Guy'ego, do pana de Malesherbes, do pani de Luxembourg; gdy zaś odpowiedzi nie przychodziły lub też nie przychodziły wtedy, gdy ich czekałem, traciłem zupełnie zmysły, szalałem. Na szczęście dowiedziałem się w tym samym czasie, że ojciec Griffet, jezuita, mówi o *Emilu*, a nawet przytacza zeń ustępy. Natychmiast wyobraźnia moja pomyka jak błyskawica i odkrywa mi całą tajemnicę niegodziwości; widzę jej bieg równie jasno, równie pewnie, co gdyby mi ją ktoś wręcz odsłonił. Wyobraziłem sobie, że jezuitci, wściekli o wzgardliwy ton, jakim mówię o kolegach, zakrzętnęli się koło mego dzieła: to oni wstrzymali wydanie; powiadomieni przez Guérina, swego przyjaciela, o mym obecnym stanie, i przewidując mą bliską śmierć, o której sam nie wątpiłem, chcą opóźnić druk aż do tego czasu w zamiarze sfalszowania, skażenia mego dzieła i użyczenia mi, dla osiągnięcia swoich celów, poglądów, które mi są obce. Zdumiewające jest, jakie mnóstwo faktów i okoliczności osnuło się w mym umyśle około tej niedorzeczności, aby jej nadać pozór prawdopodobieństwa; co mówię! aby mi wykazać jego oczywistość i niezbitość. Guérin był zupełnie oddany jezuitom, to wiedziałem. Przypisywałem im wszystkie przyjazne kroki, z którymi się do mnie zwracał; wmówiłem sobie, iż to z ich pobudki nakłonił mnie do traktowania z Néaulme'em; że przez tego Néaulme'a dostali pierwsze arkusze mego dzieła; że znaleźli potem sposób wstrzymania druku u Duchesne'a, może i zagarnięcia rękopisu dla przerobienia go wedle ochoty, aż wreszcie śmierć moja zostawi im swobodę ogłoszenia książki przekształconej na ich sposób. Czuję zawsze, mimo obłej słodyczy ojca Berthier, że jezuitci nie lubią mnie, nie tylko jako encyklopedysty, ale ponieważ wszystkie moje zasady są jeszcze bardziej przeciwne ich zasadom i wpływowi niż niedowiarstwo moich kolegów. Fanatyzm ateistów i fanatyzm dewotów, stykając się przez wspólną nietolerancję, mogą się nawet zjednoczyć, jak to uczyniły w Chinach i jak uczyniły przeciw mnie; podczas gdy rozumna i moralna religia, znosząc wszelką władzę ludzką nad sumieniami, nie zostawia żadnego środka posiadaczom tej władzy. Wiedziałem, iż kanclerz<sup>184</sup> jest również wielkim przyjacielem jezuitów: obawiałem się, aby syn, zastraszonej przez ojca, nie był zmuszony wreszcie wydać im na pastwę dzieła, które zrazu popierał. Zdawało mi się nawet, iż widzę już skutki jego dezercji, w szykanach, jakie zaczynało mi robić co do dwóch pierwszych tomów, gdzie dla błahostek domagano się skreśleń; podczas gdy dwa następne tomy były, jak wszyscy wiedzieli, pełne rzeczy tak śmiałych, iż trzeba by je przerobić całkowicie, gdyby je ocenzurowano w tym duchu co pierwsze. Wiedziałem, co więcej, i pan de Malesherbes sam mi powiedział, iż ksiądz Grave, któremu poruczył nadzór nad tym wydaniem, jest również stronnikiem jezuitów. Widziałem wszędzie tylko jezuitów, nie myśląc o tym, iż w wilię skasowania zakonu<sup>185</sup>, zajęci własną obroną, mieli co innego do roboty niż kopać dołki pod drukiem książki, w której, ostatecznie, nie chodziło o nich. Błędnie wyrażam się „nie myśląc”, myślałem bowiem o tym; jest to nawet zarzut, którego pan de Malesherbes nie omieszkiał mi uczynić, skoro tylko dowiedział się o mych urojeniach; ale jak człowiek, który z głębi swego odludzia chce sądzić o wielkich sprawach, nie mając o nich pojęcia, nie chciałem nigdy uwierzyć, aby jezuitci byli w niebezpieczeństwie, i uważałem krążące pogłoski jako mistyfikację z ich strony, mającą na celu uspienie przeciwników. Ich dawniejsze tryumfy, którym dzieje nigdy nie zadały kłamu, dały mi tak straszliwe pojęcie o ich potęgze, że już z góry ubolewałem nad spodleniem parlamentu. Wiedziałem, że pan de Choiseul jest wychowankiem jezuitów,

Strach

<sup>184</sup>kanclerz — kanclerzem w latach 1750–1768 był ojciec pana de Malesherbes, Guillaume de Lamoignon de Malesherbes (1688–1772). [przypis edytorski]

<sup>185</sup>w wilię skasowania zakonu — ogromne długi zaciągnięte przez przełożonego misji jezuitów na Martynice i odmowa spłaty należności przez zakon spowodowały w 1760 wyrok sądowy nakazujący zwrot sumy pod rygorem zajęcia mienia. Jezuitci odwołali się do parlamentu paryskiego, który w maju 1761 wydał orzeczenie na ich niekorzyść; zbadano nauczanie zakonu począwszy od XVI wieku i oceniono jako szkodliwe. W kwietniu 1763 zamknięto kolegia jezuitckie, w listopadzie 1764 król podpisał edykt o wygnaniu zakonników z kraju. Wcześniej, w 1759, wygnała jezuitów ze swego kraju i wszystkich kolonii Portugalia, w 1767 Hiszpania, w 1768 Parma, w 1773 papież Klemens XIV rozwiązał zakon. [przypis edytorski]

że pani de Pompadour jest z nimi w niezłych stosunkach i że sojusz ich z faworytami i ministrami przeciw wspólnym wrogom okazał się zawsze korzystny dla obu stron. Dwór zdawał się nie mieszać do niczego; otóż, przekonany, że jeżeli społeczeństwo dozna kiedyś wstrząśnienia, to nie ze strony słabego parlamentu, patrzałem na tę bezczynność dworu jako na podstawę ich otuchy i wróżbę ich tryumfu. Słowem, widząc we wszystkich tych doraźnych hałasach jedynie fintę<sup>186</sup> i pułapkę i mniemając, że oni, sami bezpieczni, mają czas uporać się ze wszystkim, nie wątpiłem, iż niebawem zgniotą i jansenizm, i parlament, i encyklopedystów, i wszystko, co nie przyjmie ich jarzma; że wreszcie, jeżeli pozwolą się ukazać mej książce, to jedynie przekształciwszy ją na tyle, aby uczynić z niej broń dla siebie i nadużyć mego imienia celem zwabienia na lep moich czytelników.

Czułem się bliski śmierci; trudno mi zrozumieć, w jaki sposób to szaleństwo nie dobiło mnie, tak straszliwą była mi myśl, że pamięć moja przetrwa zbezczeszczona, i to w mej najgodniejszej i najlepszej książce. Nigdy tyle nie lękałem się śmierci; sądzę, że gdybym umarł w tych okolicznościach, umarłbym z rozpaczą w sercu. Dziś nawet, gdy widzę, jak najstraszliwszy spisek, jaki kiedykolwiek uknuto przeciw pamięci człowieka, zmierza bez przeszkód do urzeczywistnienia, umrę o wiele spokojniejszy, pewien, iż zostawię w swych pismach świadectwo o sobie, które wcześniej czy później odniesie tryumf nad knowaniami świata.

(1762). Pan de Malesherbes, świadek i powiernik mych wzruszeń, zadał sobie dla uspokojenia mnie trudy, które świadczą o niewyczerpanej dobroci jego serca. Pani de Luxembourg przyłożyła rękę do tego dobrego dzieła i była kilka razy u Duchesne'a, aby się dowiedzieć o stanie wydawnictwa. Wreszcie druk, podjęty na nowo, zaczął iść rażniej. Czemu go wprzód przerwano, tego nigdy nie mogłem się dowiedzieć. Pan de Malesherbes sam potrudził się do Montmorency, aby mnie uspokoić. Osiągnął to; bezwzględne zaufanie do jego prawości przeważyło urojenia mej biednej głowy. Widząc własnymi oczyma mój niepokój i szaleństwa, naturalne jest, iż znalazł mnie godnym współczucia; jakoż użalił się nade mną. Nieustannie powtarzane gadki filozoficznej kliki, którą się otaczał, przysły mu na pamięć. Kiedy osiedlałem się w Pustelni, ogłosili, jak już wspomniałem, że nie wytrzymam tam długo. Kiedy ujrzeli, iż trwam w zamiarze, rzekli, że to przez upór, przez pychę, przez wstyd zadania sobie kłamu, ale że nudzę się tam śmiertelnie i czuję się bardzo nieszczęśliwy. Pan de Malesherbes uwierzył w to i napisał do mnie; tkliwy na tę omyłkę ze strony człowieka, którego poważam, napisałem doń cztery listy z rzędu, w których wyluszczając prawdziwe pobudki, opisałem mu wiernie swoje upodobania, skłonności, charakter i wszystko, co się dzieje w mym sercu. Te cztery listy, skreślone bez brulionu, pospiesznie, nie odrywając pióra i nawet bez odczytania, są może jedyną rzeczą, jaką w swoim życiu napisałem z łatwością; fakt nader zadziwiający w danej chwili, w pełni cierpień i niezmiernego upadku sił, w jakim się znajdowałem. Czując jak życie mnie opuszcza, jęczałem na myśl, iż zostawiam w umyśle godnych ludzi tak niesprawiedliwe mniemanie; szkicem tym, nakreślonym w pośpiechu w czterech listach, starałem się zastąpić do pewnego stopnia pamiętniki, które planowałem. Listy te, które spodobały się panu de Malesherbes i które pokazywał w Paryżu, są poniekąd streszczeniem tego, co przedstawiam tutaj bardziej szczegółowo; zasługują też z tego tytułu, aby je zachowano. Znajdzie się w moich papierach kopia, którą pan de Malesherbes kazał sporządzić na moją prośbę i którą przesłał mi w kilka lat później.

Jedyną rzeczą, jaka trapiła mnie obecnie w przekonaniu mym o bliskiej śmierci, było to, iż nie posiadam w świecie literackim zaufanego człowieka, w którego ręce mógłbym złożyć swoje papiery, aby je spożytkował po mym zgonie. Od czasu podróży do Genewy zbliżyłem się serdecznie z młodym Moulto; miałem przyjaźń dla tego młodzieńca i byłbym pragnął, aby mi zamknął oczy. Wraziłem mu to życzenie i sądzę, że byłby z przyjemnością dokonał tego aktu miłosierdzia, gdyby własne i rodzinne sprawy pozwoliły mu na to. Pozbawiony tej pociechy, chciałem mu bodaj objawić swoje zaufanie, posyłając przed wydrukowaniem *Wyznanie wiary wikarego*. Był z tego bardzo rad; ale w odpowiedzi swojej zdawał się nie podzielać uczucia bezpieczeństwa, z jakim oczekiwałem pojawienia się dzieła. Zapragnął mieć ode mnie coś, czego by nie miał nikt inny. Posłałem mu mowę pogrzebową na śmierć nieboszczyka księcia Orleanu, którą pisałem

<sup>186</sup>finta — w szermierce: zwód, ruch wykonany dla zmylenia przeciwnika. [przypis edytorski]

dla księdza Darty, a której nie ogłoszono, ponieważ wbrew spodziewaniu księdza komu innemu poruczono to zadanie.

Podjęty na nowo druk posuwał się dalej, a nawet dobiegł końca dość spokojnie. Osobliwym wydało mi się to, iż, po surowo wymaganych skreśleniach w dwóch pierwszych tomach, dwa następne przepuszczono bez zmian i zarzutów. Doznawałem wszelako pewnego niepokoju, którego nie godzi mi się przemilczeć. Nastraszywszy się wprzód jezuitorów, uląklłem się teraz jansenistów i „filozofów”. Będąc wrogiem wszystkiego, co się nazywa stronnictwem, partią, kliką, nie oczekiwałem nigdy niczego dobrego od ludzi, którzy do nich należą. „Kumoszki”<sup>187</sup> od niejakiego czasu opuściły dawne mieszkanie i usadowiły się tuż obok mnie; z pokoju ich słycać było wszystko, co się mówiło u mnie i na tarasie, z ogrodu zaś można było bardzo łatwo wdrapać się na murek dzielący go od mej baszty. Zrobiłem sobie z tej baszty gabinet do pracy; był tam stół cały pokryty korektami i arkuszami *Emila* i *Umowy społecznej*; składając te arkusze, w miarę jak je nadsyłało, miałem tam wszystkie tomy na długi czas, nim je ogłoszono. Roztargnienie moje, niedbałość, zaufanie w panu Mathas, którego ogród otaczał me obejście, sprawiała, iż często, zapomniawszy zamknąć wieczór baszty, zastawałem ją rano zupełnie otwartą. Nie byłoby mnie to zgoła niepokoiło, gdybym nie zauważył nieładu w papierach. Uczyniwszy kilka razy to spostrzeżenie, stałem się uważniejszy w zamykaniu. Zamek był lichy, klucz zamykał tylko na jeden spust. Wytężywszy baczność<sup>188</sup> w tym kierunku, zauważyłem jeszcze większy nieład, niż kiedy zostawiałem basztę zupełnie otwartą. Wreszcie jeden tom znikł na jeden dzień i dwie noce, tak iż nie sposób było dojść, co się z nim stało; trzeciego dnia znów go znalazłem na stole. Nie podejrzewałem nigdy ani pana Mathas, ani jego siostrzeńca pana Dumoulin, wiedząc, iż obaj są mi życzliwi, i pokładając w nich pełne zaufanie. Mniejsze natomiast zacząłem mieć dla „kumoszek”. Wiedziałem, że mimo iż jansenisci, znajdują się w stosunkach z d’Alembertem i mieszkają w tym samym domu. To mnie przejęło pewnym niepokojem i uczyniło baczniejszym. Przeniosłem papiery do pokoju i poniechałem zupełnie stosunków z tymi ludźmi, wiedząc zresztą, iż popisują się w wielu domach pierwszym tomem *Emila*, którego im nieopatrznie pożyczyłem. Mimo iż nadal mieszkali w sąsiedztwie aż do mego wyjazdu, nie miałem już odtąd z nimi żadnej styczności.

*Umowa społeczna* ukazała się na miesiąc lub dwa przed *Emilem*. Rey, od którego zawsze wymagałem gwarancji, że żadnej z mych książek nie wprowadzi ukradkiem do Francji, zwrócił się do władz, aby uzyskać pozwolenie sprowadzenia dzieła przez Rouen, dokąd ściągnął morzem swą przesyłkę. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi: paki zostały w Rouen przez kilka miesięcy, po upływie których odesłano je Reyowi, pokusiwszy się o konfiskatę; ale narobił tyle krzyku, iż mu je oddano. Ciekawi wydostali w Amsterdamie kilka egzemplarzy, które krążyły z niewielkim rozgłosem, Mauléon słyszał o nich i nawet coś niecoś widział własnymi oczami; wspomniał mi też o tym tajemniczo. Ton ten zdumiał mnie i byłby mnie nawet zaniepokoił, gdyby nie pewność, że jestem pod każdym względem w porządku i nie mam sobie nic do wyrzucenia. Nie wątpiłem nawet, iż pan de Choiseul, już wprzód dobrze dla mnie usposobiony, a pogłaskany pochwałą, którą, wiedziony szczerem dlań szacunkiem, zamieściłem w tym dziele, weźmie mnie w danym razie w obronę przeciw nieżyczliwości pani de Pompadour.

Miałem z pewnością prawo liczyć wówczas, więcej niż kiedy, na dobroć pana de Luxembourg i na jego poparcie w potrzebie; nigdy bowiem nie dawał mi tyłu i tak wzruszających dowodów przyjaźni. W czasie wielkanocnego pobytu marszałkostwa, gdy smutny mój stan nie pozwolił mi stawić się w zamku, nie minął dzień, aby mnie nie odwiedził; w końcu, widząc, iż cierpienia moje nie ustają, naleganiem swoim skłonił mnie do zasięgnięcia rady brata Kosmy. Posłał po niego, sprowadził mi go sam i miał odwagę, rzadką niewątpliwie i godną uznania u wielkiego pana, zostać przy mnie przez czas operacji, która była długa i bolesna. Chodziło wprawdzie jedynie o wprowadzenie sondy, ale u mnie było to niepodobieństwem; nawet Morand, który brał się do tego kilka razy, musiał w końcu dać za wygraną. Brat Kosma, który miał lekkość i zręczność ręki wprost niezrównaną, wprowadził w końcu bardzo wąską sondę, wymęczywszy mnie przeszło

<sup>187</sup> „Kumoszki” — Ferrand i Minard, para jansenistów wspomnianych w księdze X. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> baczność — uwaga, czujność. [przypis edytorski]

dwie godziny, przez które siłęm się wstrzymać skargi, aby nie rozdzierać tkliwego serca dobrego marszałka. Za pierwszym badaniem brat Kosma miał wrażenie, iż znalazł duży kamień, i tak mi oznajmił; za drugim już go nie znalazł. Ponowiwszy badanie jeszcze kilka razy ze staraniem i dokładnością, które uczyniły mi czas bardzo długim, oświadczył, iż nie ma kamienia, ale że gruczoł krokowy jest stwardniały i nienaturalnie powiększony; pęcherz znalazł duży i w dobrym stanie i oświadczył w końcu, że będę wiele cierpiał, ale długo żył. Jeżeli druga przepowiednia ziści się równie wiernie jak pierwsza, niedole moje nierychło mają się skończyć!

W ten sposób, leczony kolejno przez tyle lat na dwadzieścia chorób, których nie miałem, dowiedziałem się w końcu, że choroba moja, nieuleczalna, ale nie śmiertelna, trwać będzie równie długo jak ja. Wyobraźnia moja, uspokojona tą wiadomością, przestała mi już ukazywać w perspektywie okrutną śmierć w boleściach kamicy<sup>189</sup>. Przestałem się lękać, iż odłamek sondy, odkruszony w cewce dawno temu, stał się zarodkiem kamienia. Uwolniony od cierpień urojonych, okrutniejszych dla mnie niż prawdziwe, znosiłem spokojniej dolegliwości. To pewna, iż od tego czasu choroba stała mi się o wiele mniej dokuczliwą; ilekroć wspomnę, że tę ulgę winien jestem panu de Luxembourg, na nowo roztkliwiam się nad jego pamięcią.

Wrócony, że tak powiem, życiu, i bardziej niż kiedykolwiek zaprzątnięty planem, wedle którego miałem zamiar spędzić resztę dni, czekałem dla wykonania go jedynie wydania *Emila*. Myślałem o Turenii, gdzie już byłem swego czasu i która mi się bardzo podobała, tak dla łagodności klimatu, jak charakteru mieszkańców.

*La terra molle e lieta e diletta  
Simili a se gli abitator produce*<sup>190</sup>

Mówiłem już o swoim zamiarze panu de Luxembourg, który mnie chciał od niego odwrócić; wspomniałem mu o tym znowu jak o rzeczy postanowionej. Wówczas poddał mi zamek w Merlou, położony o piętnaście mil od Paryża, jako schronienie, które mogłyby mi się nadać i w którym oboje księstwo z przyjemnością by mnie ugościli. Ofiara ta wzruszyła mnie i dość mi przypadła do smaku. Przede wszystkim trzeba było zobaczyć miejsce; umówiliśmy dzień, w którym pan marszałek przyśle pokojowca z powozem, aby mnie tam zawieźć. Tego dnia czułem się bardzo nieszczególnie, trzeba było odłożyć wyprawę, przeciwności zaś, które się wyłoniły, nie pozwalały mi jej wykonać. Dowiedziawszy się później, iż dobra Merlou nie są własnością marszałka, lecz jego żony, łatwiej pocieszyłem się, iż zamiar nie doszedł do skutku.

Wreszcie ukazał się *Emil*, bez żadnych dalszych skreśleń ani trudności. Przed puszczeniem w obieg książki pan marszałek zażądał ode mnie wszystkich listów pana de Malesherbes odnoszących się do mego dzieła. Bezwzględne zaufanie do tych obu panów, jak również uczucie zupełnego bezpieczeństwa, nie pozwoliły mi zastanowić się, iż podobne żądanie mogło się wydać niezwykle, a nawet niepokojące. Oddałem listy, poza jednym czy dwoma, które przez nieuwagę zostały w książkach. Na jakiś czas przedtem pan de Malesherbes uwiadomił mnie, że wycofa listy, które pisałem do Duchesne'a w czasie mego niepokoju o intrygi jezuitów; trzeba przyznać, że te listy nie przynosiły zbytecznego zaszczytu memu rozsądkowi. Odpowiedziałem wszelako, iż w żadnej rzeczy nie chcę uchodzić za lepszego, niż jestem, i że może zostawić te listy w rękach posiadacza. Nie wiem, co uczynił.

Ukazanie się książki nie wywołało w pierwszej chwili owej burzy oklasków, jaka towarzyszyła wszystkim moim pismom. Nigdy dzieło nie doznało tylu postronnych pochwał, a tak mało publicznego uznania. To, co mi o nim mówili lub pisali ludzie najbardziej powołani, aby je osądzić, utwierdziło mnie w tym, że jest to najlepszy z moich utworów, jak również najdonioślejszy. Ale to wszystko mówiono z ostrożnościami najosobliwszymi w świecie, jak gdyby zależało na tym, aby uznanie dla książki pozostało głęboką tajemnicą. Pani de Boufflers, która oświadczyła mi, że autor tej książki zasługuje na posąg

<sup>189</sup>*kamica nerkowa (moczowa)* — choroba polegająca na powstawaniu złożeń (tzw. „kamieni”) w nerkach lub drogach moczowych na skutek wytrącania się związków chemicznych obecnych w moczu. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*La terra molle e lieta e diletta...* (wł.) — Ziemia wesoła, luba, łatwa do uprawy, wydaje mieszkańców we wszystkim do niej podobnych (Tasso, [Jeruzolima wyzwolona, ks. I, strofa LXII]). [przypis tłumacza]

i hołdy od całej ludzkości, prosiła bez ceremonii z końcem bileciku, aby go jej odesłać. D’Alembert, który orzekł, iż dzieło to rozstrzyga o mej wyższości i powinno mnie postawić na czele wszystkich pisarzy, nie podpisał swego listu, mimo że podpisywał wszystkie, jakie aż dotąd do mnie pisywał. Duclos, pewny przyjaciel, człowiek szczerzy, ale oględny, mimo wysokiego uznania dla książki unikał wzmianki o niej w liście; La Condamine<sup>191</sup> rzucił się na *Wyznanie wiary* i bąkał trzy po trzy; Clairaut<sup>192</sup> ograniczył się w swoim liście do tegoż ustępu, ale nie lękał się dać upustu wzruszeniu, o jakie przyprawiło go czytanie, i wyraził się, dosłownie, iż ta lektura rozgrzała jego starą duszę. Ze wszystkich tych, którym posłałem książkę, on jeden wobec całego świata mówił głośno i swobodnie, iż jest jej bezwzględny wielbiciele.

Mathas, któremu również dałem egzemplarz, nim się ukazał w handlu, pożyczył go panu de Blaire, rajcy parlamentu, ojcu intendenta Strasburga. Pan de Blaire miał domek w Saint-Gratien; Mathas, dawny jego znajomy, odwiedzał go tam niekiedy, o ile mógł wychodzić. Dał mu do czytania *Emila* przed opublikowaniem. Oddając książkę, pan de Blaire powiedział słowa, które mi powtórzone tego samego dnia: „Panie Mathas, oto bardzo piękna książka, ale narobi ona niebawem więcej hałasu, niżby to było pożądane dla autora”. Usłyszawszy to odezwanie, śmiałem się tylko i widziałem w nim jedynie ważnoróbstwo urzędnika, który wszystko sili się otaczać nimbem tajemnicy. Wszystkie niepokojące uwagi, które mnie dochodziły, równie mało uczyniły na mnie wrażenia; daleki od przewidywania w jakiej bądź mierze katastrofy, do której się zbliżałem, pewien użyteczności, piękności swego dzieła, pewien, iż jestem pod każdym względem w porządku, pewien, jak wierzyłem niezłomnie, poparcia pani de Luxembourg, a nawet przychylności ministerium, upajałem się zadowoleniem ze swego postanowienia, które dawało mi możliwość wycofania się wśród tryumfów, zdeptawszy zawistnych.

Jedna jedyna rzecz niepokoiła mnie w mej książce, i to nie tyle z punktu widzenia własnego bezpieczeństwa, ile ze względów uczuciowych. W Pustelni, w Montmorency, widziałem z bliska i z oburzeniem prześladowania, jakich zazdrosna o uciechy księcia służba dopuszcza się na nieszczęśliwych wieśniakach. Biedni ci ludzie zmuszeni byli cierpieć szkody, które zwierzyzna robi w ich polach, nie śmiejąc bronić się inaczej jak tylko samym zgiełkiem, i zniewoleni spędzać noc we własnym grochu lub bobie, z kotłami, bębniami, dzwonekami, dla odstraszenia dzików. Będąc świadkiem barbarzyńskiej srogości, z jaką hrabia de Charolais kazał się obchodzić z tymi biednymi ludźmi, pomieściłem pod koniec *Emila* wycieczkę przeciw temu okrucieństwu. Było to również naruszeniem mych zasad, które nie uszło bezkarnie. Dowiedziałem się, iż urzędnicy księcia Conti poczynają sobie nie mniej okrutnie na jego ziemiach; drżałem, aby ten książę, dla którego byłem przejęty czcią i wdzięcznością, nie wziął do siebie tego, co oburzone poczucie ludzkości kazało mi rzec pod adresem jego wuja, i aby się nie czuł obrażony. Mimo to, ponieważ sumienie moje było zupełnie spokojne w tej mierze, poprzestałem na tym świadectwie i dobrze zrobiłem: nigdy przynajmniej nie słyszałem, aby książę zwrócił najmniejszą uwagę na ten ustęp, napisany na długo przedtem, nim miałem zaszczyt być mu znany.

W niewiele dni przed lub po ogłoszeniu książki (nie przypominam sobie bowiem dokładnie czasu) ukazało się inne dzieło w tym samym przedmiocie, odbite dosłownie z pierwszego tomu *Emila*, poza kilkoma płaskimi wstawkami, jakimi urozmaicono ten wyciąg. Książkę tę podpisał jako autor Genewczyk nazwiskiem Balxert; tytuł głosił, iż otrzymała nagrodę Akademii Harlemskiej. Zrozumiałem łatwo, że ta akademia i nagroda to doraźny wymysł celem zamaskowania plagiatu w oczach publiczności<sup>193</sup>; ale spostrzegłem również, iż tkwi w tym wszystkim jakaś dawniejsza intryga, zupełnie dla mnie niezrozumiała: czy to zasadzająca się na udzieleniu mego rękopisu, bez którego szalbier-

<sup>191</sup>La Condamine, Charles-Marie de (1701–1774) — francuski geodeta, matematyk i podróżnik. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>Clairaut, Alexis Claude de (1713–1765) — francuski matematyk, astronom i geofizyk, członek Królewskiej Akademii Nauk (1731), uczestnik ekspedycji do Laponii celem pomiarów długości stopnia południka. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>Zrozumiałem łatwo, że ta akademia i nagroda to doraźny wymysł celem zamaskowania plagiatu w oczach publiczności — Rousseau myli się: Jacques Balxert a. Ballexserd (1726–1774) za swoją pracę *Dissertation sur l’éducation physique des enfans depuis leur naissance jusqu’à l’âge de puberté* (Dysertacja o wychowaniu fizycznym dzieci od urodzenia do wieku dojrzałości, 1762) rzeczywiście otrzymał nagrodę Holenderskiego Towarzystwa Nauk w Haarlem. [przypis edytorski]

stwo nie byłoby możebne; czy na skleceniu historii tej rzekomej nagrody, której trzeba było dać jakieś uzasadnienie. Dopiero w wiele lat później ze słówka, które się wymknęło z ust pana d'Ivernois, przeniknąłem tajemnicę i domyśliłem się osób, które ukrywały się poza imię Balaxertem.

Gлу́che pomruki, jakie poprzedzają burzę, zaczynały się rozlegać. Wszyscy ludzie bodaj trochę przenikliwi widzieli, iż wylęga się, odnośnie do mej książki i do mnie, spisek, który nie omieszka wybuchnąć. Co do mnie, ufność moja, głupota były takie, iż, daleki od przewidywania nieszczęścia, nie podejrzewałem zgoła jego przyczyny wówczas nawet, gdy odczułem skutek. Zaczęto dość zręcznie rozsiewać mniemanie, iż występując przeciw jezuitom, rząd nie może okazywać stronnicej pobłażliwości dla książek i autorów zaczepiających religię. Wyrzucano mi, iż podpisałem *Emila* własnym nazwiskiem, jak gdybym nie był podpisał wszystkich innych książek bez niczyjego zarzutu. Zdawało się, jak gdyby władze lękały się, iż będą zmuszone do jakichś kroków, które uczyniłyby z żalem, ale które w danych okolicznościach są nieodzowne: nieostrożność moja dała do tego rzekomy powód. Te pogłoski doszły moich uszu i nie przstraszyły mnie. Nie przyszło mi nawet na myśl, aby w całej sprawie najmniejsza bodaj rzecz mogła mnie dotyczyć osobiście. Czulem się tak doskonale nieskazitelny, tak dobrze osłonięty, tak zupełnie pod każdym względem w porządku; w głowie nie powstał mi niepokój, aby pani de Luxembourg miała mnie zostawić w kłopotcie dla winy, która jeżeli istniała, była jedynie jej winą. Ale wiedząc, jak w podobnych sprawach rzeczy się dzieją i że należy do zwyczaju srożyć się przeciw księgarzom, oszczędzając autorów, nie byłem wolny od obaw o biednego Duchesne, w razie gdyby pan de Malesherbes go opuścił.

Pozostałem spokojny. Hałas wzmagał się i niebawem odmienił ton. Publiczność, a zwłaszcza parlament zdawały się podrażnione mym spokojem. Po upływie kilku dni wrzenie stało się straszne, przy czym groźby, zmieniając kierunek, zwróciły się wprost ku mnie. Słyszano parlamentarzystów<sup>194</sup> odzywających się wręcz, że słabe to lekarstwo palić książki, że trzeba palić autorów. Co do księgarzy, nie było o nich mowy. Pierwszy raz, kiedy te odezwania, godniejsze inkwizytorów z Goa<sup>195</sup> niż senatorów, doszły do mnie, nie wątpiłem, iż to jest wymysł holbachistów celem przstraszenia mnie i pobudzenia do ucieczki. Uśmiełem się z tego dziecinnego podstępu i dworując z nich sobie, powiadałem w duchu, iż gdyby znali prawdziwy przebieg zdarzeń, poszukaliby innego straszaka; ale w końcu hałas zrobił się taki, iż jasnym było, że rzecz jest serio. Księstwo de Luxembourg przyspieszyli tego roku swój pobyt w Montmorency, tak iż byli tam z początkiem czerwca. W zamku bardzo niewiele słyszałem o swoich nowych książkach mimo zgiełku, jaki robiły w Paryżu, państwo domu zaś nie mówili mi o nich wcale. Jednego rana wszelako, kiedy znalazłem się sam na sam z marszałkiem, rzekł: „Czy to prawda, że pan wyraził się źle o panu de Choiseul w *Umowie społecznej*?” — „Ja? — odparłem, cofając się ze zdumienia. — Nie, przysięgam. Przeciwnie, oddałem mu, i to piórem, które nie jest do tego pochopne, najpiękniejszą pochwałę, jaką kiedykolwiek minister mógł otrzymać”. I natychmiast przytoczyłem ten ustęp. „A w *Emilu*?” — zapytał. — „Ani słowa — odparłem. — Nie ma tam ani słowa, które by go tyczyło”. — „A! — rzekł marszałek z niezwykłą u niego żywością. — Trzeba było trzymać się tego samego w tamtej książce lub tłumaczyć się bardziej jasno!” — „Mniemałem, że jestem dość jasny — rzekłem — dosyć cenilem na to pana de Choiseul”. Marszałek miał jeszcze coś dodać; widziałem, że chce się wywnętrzyć; powściągnął się i zamilkł. Nieszczęśliwa oględność dworaka, która nawet w najlepszych sercach przeważa samą przyjaźń!

Ta rozmowa, mimo iż krótka, oświeciła mnie, przynajmniej pod pewnym względem, co do mego położenia i pozwoliła zrozumieć, że chodzi tu w istocie o mą osobę. Ubolewałem nad fatalnością, która obraca na mą zgubę każdą mą dobrą myśl i uczynek. Mimo to, czując się w tej sprawie osłonięty tarczą pani de Luxembourg i pana de Malesherbes, nie pojmowałem, w jaki sposób dałoby się osiągnąć to, aby ich usunąć i dotrzeć aż do mnie; poza tym bowiem czulem dobrze od tej chwili, iż nie będzie już mowy o słuszności ani o sprawiedliwości i że nikt nie będzie sobie zadawał trudu badania, czy jestem winny

<sup>194</sup>parlamentarzysta — tu: parlamentarzysta, członek parlamentu. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>Goa — terytorium na zachodnim wybrzeżu Indii; od 1510 kolonia portugalska; w 1961 wcielone siłą do Indii, ob. stan Indii; inkwizytorzy z Goa: od 1560 działał w Goa trybunał inkwizycji portugalskiej, instytucji do ścigania heretyków i konwertytów wzorowanej na inkwizycji hiszpańskiej. [przypis edytorski]

czy nie. Tymczasem burza huczała coraz bliżej. Nawet Néaulme w gadatliwym swoim sposobie wyrażał ubolewanie, iż mieszał się do tego dzieła i zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości co do losu, jaki grozi książce i autorowi. Jedna rzecz wszelako dodawała mi ciągle otuchy: pani de Luxembourg była cały ten czas tak spokojna, zadowolona, wesoła nawet, iż musiała snadź być bardzo pewna swojej sprawy, aby nie odczuwać najmniejszego niepokoju za mnie, aby mi nie rzec ni słówka współczucia lub usprawiedliwienia, aby patrzeć na obrót, jaki przybiera sprawa z tak zimną krwią, jakby wcale nie była w nią włączona i jak gdyby w żadnej mierze nie była się mną interesowała. Najbardziej zdumiewało mnie, iż nie ma mi zgoła nic do powiedzenia. Miałem uczucie, że coś by mi się należało z jej strony. Pani de Boufflers zdawała się mniej spokojna. Krążyła tam i z powrotem z bardzo ważną miną, rozwijając wielką ruchliwość i upewniając mnie, że książkę de Conti również gorliwie się krząta, aby odwrócić cios, który mi gotują. Obawy jej opierały się na okolicznościach danej chwili, w których parlamentowi zależało na tym, aby jezuiti nie mogli mu zarzucić obojętności w sprawach religii. Zdawało się wszelako, iż niewiele ma wiary w starania księcia i swoje. Odezwania jej, raczej alarmujące niż uspokajające, zmierzały nieodmiennie do tego, aby mnie skłonić do usunięcia się. Hrabina radziła mi zawsze Anglię, gdzie przyrzekała mi wielu przyjaciół, między innymi słynnego Hume'a<sup>196</sup>, który od dawna liczył się do jej bliskich. Widząc, iż nadal trwam w niewzruszonym spokoju, przeszła do środków snadniej<sup>197</sup> mogących mnie zachwiać. Dała do zrozumienia, że w razie mego uwięzienia i śledztwa będę zmuszony wymienić panią de Luxembourg i że jej przyjaźń dla mnie zasługuje, abym się nie wystawiał na niebezpieczeństwo narażenia jej. Odpowiedziałem, iż w podobnym wypadku księżna może być spokojna i że jej nie narażę. Na to hrabina odparła, iż postanowienie takie łatwiej powziąć niż wykonać; w czym miała słuszność, zwłaszcza gdy chodziło o mnie, wobec mego stanowczego zamiaru, aby nigdy nie zaprzeczyć się samego siebie i nie skłamać przed sędziami, bez względu na niebezpieczeństwo, jakim groziłoby powiedzenie prawdy.

Widząc, iż ta refleksja wywarła na mnie pewne wrażenie, niedostateczne wszelako, aby mnie skłonić do postanowienia ucieczki, hrabina natrąciła mi o Bastylji na przeciąg kilku tygodni jako o sposobie usunięcia się spod jurysdykcji parlamentu, który nie ma mocy nad więźniami stanu. Nie nadmieniałem nic przeciw tej osobliwej łasce, byleby nie dopraszano się jej w moim imieniu. Ponieważ hrabina nie wspomniała mi już o tym, sądziłem później, iż poddała tę myśl jedynie, aby mnie wybać, i że nie życzone sobie środka, który by położył kres wszystkiemu.

W niedługi czas później marszałek otrzymał od proboszcza z Deuil, przyjaciela Grimma i pani d'Épinay, list zawierający ostrzeżenie, jakoby z dobrego źródła, iż parlament zamierza postąpić ze mną z ostateczną surowością i że tego a tego dnia (który wymienił) ma być wydany rozkaz uwięzienia. Osądziłem, iż ostrzeżenie to pochodzi z fabryki holbachowskiej; wiedziałem, iż parlament jest bardzo czuły na formy i że zaczynać w tym wypadku od dekretu uwięzienia bez stwierdzenia prawnego, czy przyznaję się do tej książki i czy jestem w istocie jej autorem, byłoby jaskrawym tych form naruszeniem. „Jedynie — rzekłem do pani de Boufflers — pod zarzutem zbrodni godzących w bezpieczeństwo publiczne wydaje się rozkaz uwięzienia na proste poszlaki, z obawy, aby obwiniony nie umknął przed karą. Ale kiedy chodzi o ukaranie przestępstwa takiego jak moje, które zasługuje na cześć i nagrodę, wytacza się postępowanie przeciw książce, a unika się, o ile można, tykania autora”. Na to hrabina uczyniła subtelne rozróżnienie, nie pomnę jakie, aby mi udowodnić, że to przez wzgląd na mnie samego uchwalono uwięzienie, miast wezwać mnie do przesłuchania. Nazajutrz otrzymałem list od Guyego, który mi donosił, iż będąc tego dnia u generalnego prokuratora, ujrzał u niego na biurku brulion aktu oskarżenia przeciw *Emilowi* i jego twórcy. Zważcie, iż Guy był to współnik Duchesne'a, który wydrukował dzieło, i że to on, zupełnie spokojny o siebie, udzielał przez współczucie tego ostrzeżenia autorowi! Można ocenić, jak bardzo mi się to wszystko wydawało prawdopodobne. To było tak proste, tak naturalne, aby księgarz, dopuszczony na audiencję do generalnego prokuratora, czytał spokojnie akta i bruliony rozrzucone na biurku dygni-

<sup>196</sup>Hume, Dawid (1711–1776) — filozof i historyk angielski. Istotnie, Rousseau przyjął później gościnę ofiarowaną mu w Anglii, co jednak doprowadziło do gwałtownego zatargu z Humem i utrwaliło Russa w jego manii dopatrującej się powszechnego sprzyśnięcia przeciw niemu. [przypis tłumacza]

<sup>197</sup>snadnie (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

tarza! Pani de Boufflers i inni potwierdzili mi to samo. Sądząc z niedorzeczności, jakimi kotłowano mi bez ustanku uszy, byłem skłonny przypuszczać, iż cały świat oszalał.

Czując dobrze, iż pod tym wszystkim tkwi jakaś tajemnica, której mi nie chcą powiedzieć, czekałem spokojnie wypadków, spuszczając się<sup>198</sup> na swoje prawo i niewinność w całej tej sprawie. Bez względu na to, jakie prześladowania mnie czekają, czułem się szczęśliwy, iż jestem powołany do zaszczytu cierpienia za prawdę. Daleki od lęku i ukrywania się, chodziłem co dnia do zamku i odbywałem po południu zwykłą przechadzkę. Ósmego czerwca, w wilię dekretu, odbyłem ją w towarzystwie dwóch profesorów Oratorium, ojca Alamanni i ojca Mandard. Zabraliśmy z sobą do Champeaux skromny podwieczorek, który spożyliśmy z wielkim apetytem. Zapomnieliśmy szklanek: zastąpiliśmy je słómkami zerwanymi w polu, którymi ciągnęliśmy wino z butelki, siłąc się wyszukać rurki o ile możliwości szerokie, aby ciągnąć na wyprzódki<sup>199</sup>. W życiu nie byłem równie wesoły.

Opowiadałem, w jaki sposób postradałem w młodości sen. Od tego czasu przywykłem czytać co wieczora w łóżku, aż uczuję, że oczy zaczynają mi ciążyć. Wówczas gasiłem świecę i starałem się usnąć, co zwykle następowało niebawem. Zwykłą lekturą wieczorną była Biblia, którą przeczytałem w ten sposób co najmniej pięć lub sześć razy w całości. Tego wieczora, czując się bardziej rozbudzony niż zazwyczaj, odczytałem całą księgę, która się kończy lewita efraimowym<sup>200</sup>. Jeżeli się nie mylę, jest to *Księga Sędziów*; nie miałem jej bowiem w rękach od tego czasu. Historia ta przejęła mnie wielce; dumając nad nią, popadłem w stan marzenia, kiedy nagle wyrwał mię zeń hałas i światło. Była to Teresa; świeciła panu La Roche, który widząc, że się zrywam, rzekł: „Niech się pan nie przestrasza, to od pani marszałkowej: pisze sama i przysła list od księcia Conti”. W istocie, w piśmie pani de Luxembourg znalazłem list, który umyślny księcia właśnie przyniósł, zawierający ostrzeżenie, iż mimo wszelkich starań zdecydowano wystąpić przeciw mnie z całą surowością. „Wzburzenie — pisał — nadzwyczajne; nic nie może odwrócić ciosu; dwór się go domaga, parlament życzy go sobie. O siódmej rano będzie podpisany dekret; równocześnie wyprawia ludzi, mających go wykonać. Uzyskałem tyle, iż nie będą go ścigać, jeżeli się usunie, ale jeżeli będzie się upierał, aby się dać schwycić, wezmą go”. La Roche zaklął mnie, imieniem marszałkowej, abym wstał i udał się do zamku na naradę. Była druga; właśnie położyła się do łóżka. „Księżna oczekuje pana — dodał — i nie usnie, póki go nie zobaczy”. Ubrałem się spiesźnie i pobiegłem.

Marszałkowa wydała mi się niespokojna. Pierwszy raz widziałem ją w tym stanie. Pomieszenie jej wzruszyło mnie. Zaskoczony tak niespodzianie, w nocy, sam nie byłem wolny od wzruszenia, ale widząc ją, zapomniałem o sobie samym. Myślałem jedynie o niej i o smutnej roli, jaką przyszłoby jej odegrać, w razie gdybym pozwolił się uwięzić. Czując w sobie dosyć odwagi, aby powiedzieć zawsze tylko prawdę, choćby mi miała zaszkodzić i zgubić mnie, nie czułem w sobie dość przytomności umysłu, dość zręczności, ani może dość stałości, aby uniknąć narażenia księżnej, gdyby zaczęto mnie przyciskać. To skłoniło mnie, aby poświęcić własną chwałę dla jej spokoju i aby w tej okoliczności zrobić dla niej to, czego za nic nie uczyniłbym dla siebie. Raz powziąwszy postanowienie, natychmiast oznajmiłem je księżnej, nie chcąc obniżyć jego wartości żadnym targiem. Pewien jestem, że nie mogła się omylić co do mych pobudek; mimo to nie zdradziła ni słowem, że jest mi za nie wdzięczna. Obojętność ta dotknęła mnie przykro, tak że wahałem się już, czy się nie cofnąć; ale zjawił się pan marszałek, a w chwilę później przybyła pani de Boufflers z Paryża. Dopełnili tego, co powinna była uczynić pani de Luxembourg. Dałem się ugłaskać; wstyd mi było odwoływać słowo i odtąd była już mowa tylko o miejscu schronienia i porze wyjazdu. Pan de Luxembourg ofiarował się zatrzymać mnie kilka dni *incognito*<sup>201</sup>, abym mógł swobodnie naradzić się i powziąć postanowienie; nie zgodziłem się na to, jak

<sup>198</sup>spuszczając się na coś (daw.) — polegać na czymś, zdawać się na coś. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>na wyprzódki (daw.) — na wyścigi, jeden przez drugiego. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>lewita efraimowy — drastyczna opowieść o lewicie z terenów Efraim, w biblijnej *Księdze Sędziów* (Sdz 19). [przypis edytorski]

<sup>201</sup>incognito — nie ujawniając tożsamości; zatajenie tożsamości. [przypis edytorski]



również na propozycję udania się tajemnie do Temple<sup>202</sup>. Upierałem się, aby odjechać tegoż samego dnia raczej niż musieć się ukrywać gdziekolwiek bądź.

Czuając, że mam we Francji ukrytych a potężnych nieprzyjaciół, osądziłem, iż mimo przywiązania do tego kraju trzeba mi go opuścić, aby zapewnić sobie spokój. Pierwszą myślą było schronić się do Genewy: chwila zastanowienia wystarczyła, aby mnie odwrócić od tego głupstwa. Wiedziałem, że rząd francuski, jeszcze potężniejszy w Genewie niż w Paryżu, nie zostawiłby mnie w spokoju tak samo w tym mieście, jak i w tamtym, jeżeli postanowił mnie ścigać. Wiedziałem, że *Rozprawa o nierówności* obudziła przeciw mnie w Radzie nienawiść tym bardziej niebezpieczną, ile że nie ośmielono się jej objawić. Wiedziałem, iż świeżo, kiedy pojawiła się *Nowa Heloiza*, taż Rada czym prędzej pokwapiła się zabronić jej obiegu na wniosek doktora Tronchin; ale widząc, że nikt nie poszedł za jej przykładem nawet w Paryżu, zawstydzila się tego błazeństwa i cofnęła zakaz. Nie wątpiłem, iż znajdując tutaj bardziej sprzyjającą okoliczność, pospieszy z niej skorzystać. Wiedziałem, iż mimo pięknych pozorów panuje wobec mnie we wszystkich sercach genewskich tajemna zawiść, która czeka jeno sposobności. Mimo to miłość ojczyzny wołała mnie do mojej ziemi; gdybym mógł czynić sobie nadzieję, że będę tam żył w spokoju, nie wahałbym się, ale ponieważ honor ani rozsądek nie pozwalały mi chronić się tam jako zbiegowi, postanowiłem zbliżyć się tylko i udać się do Szwajcarii, aby tam czekać, co Genewa postanowi. Czytelnik ujrzy niebawem, że niepewność nie trwała długo.

Pani de Boufflers bardzo nierada była temu postanowieniu; podjęła nowe wysiłki, aby mnie skłonić do przeprawy do Anglii. Nie zdołała mnie zachwiać. Nigdy nie lubiłem Anglii ani Anglików; wymowa pani de Boufflers nie tylko nie zwyciężyła mej odrazy, ale, nie wiem czemu, pogłębiła ją raczej.

Zdecydowany byłem jechać tegoż samego dnia. Rano już oświadczone wszystkim, że wyjechał; La Roche, którego posłałem po swoje papiery, nie chciał nawet Teresie powiedzieć, czy jestem jeszcze czy mnie już nie ma. Od czasu jak postanowiłem spisać kiedyś moje pamiętniki, nagromadziłem wiele listów i innych papierów, tak iż trzeba mu było kilka razy wracać. Część papierów, już przebranych, odłożyłem na stronę; przez resztę ranka zająłem się przebieraniem innych, aby wziąć z sobą tylko to, co mogłoby mi być użyteczne, a spalić resztę. Pan de Luxembourg zechciał pomóc mi w tej pracy, która okazała się tak długą, że nie mogliśmy jej skończyć w ciągu rana i nie miałem czasu nic spalić. Pan marszałek ofiarował się dokończyć tej pracy, spalić samemu odpadki, nie zdając się z tym na nikogo, i przesłać mi wszystko, co odłoży. Przyjąłem ofiarę, bardzo rad, iż wolny jestem od tego trudu i że resztę godzin, które mi pozostały, będę mógł spędzić z tak drogimi osobami, które miałem opuścić na zawsze. Książę wziął klucz od pokoju, w którym zostawiłem papiery; po czym na me gorące prośby posłał po biedną Teresę, która była w śmiertelnym niepokoju o to, co się ze mną stało, o to, jaki ją los czeka, i oczekiwała co chwilę strażników, nie wiedząc, jak się zachować ani co odpowiedzieć. La Roche przyprowadził ją do zamku, nic nie mówiąc; myślała, że już jestem daleko: widząc mnie, wydała przenikliwy krzyk i rzuciła mi się w ramiona. O przyjaźni, związku serc, przyzwyczajenie, zażyłości! Ileż wspólnych dni szczęścia, czułości i spokoju skupiło się w tym słodkim i okrutnym momencie, aby mi lepiej dać uczuć rozdarcie pierwszej rozłąki! Dotychczas straciliśmy się z oczu z Teresą ledwie na jeden dzień w ciągu siedemnastu lat. Marszałek, świadek tego uścisku, nie mógł wstrzymać łez. Zostawił nas. Teresa nie chciała mnie opuścić. Dałem jej uczuć całą trudność zabierania jej z sobą w podobnej chwili; ukazałem, jak koniecznym jest, aby została dla zlikwidowania moich spraw i podjęcia pieniędzy. Kiedy się ogłasza wyrok uwięzienia człowieka, jest zwyczaj zagarniać jego papiery, kłaść pieczęcie na rzeczach lub też sporządzać inwentarz i mianować strażnika. Trzebaż było, aby ktoś został, by czuwać nad tym, co się stanie, i wyzyskać możliwie najkorzystniejszą okoliczność. Przyrzekłem Teresie, iż niebawem połączy się ze mną; pan marszałek potwierdził moje przyrzeczenie; ale nie chciałem za nic powiedzieć jej, dokąd się udaję, aby, pytana przez ludzi, którzy przyjdą mnie pojmać, mogła szczerze zaprzysiąc nieświadomość w tej mierze. Ściskając ją w chwili rozstania, uczulem w sercu niezmierne

<sup>202</sup> Temple — dawny warowny monastyr templariuszów posiadał odwieczny przywilej nietykalności i służył za azylum wielu ściganym przestępcom, głównie niewypłacalnym dłużnikom. W owym czasie był własnością księcia de Conti. [przypis tłumacza]

wzruszenie i rzekłem w uniesieniu, niestety nazbyt proroczym: „Moje dziecko, trzeba się uzbroić w odwagę. Dzieliliś pomyślność moich pięknych dni; zostaje ci, skoro chcesz tego, dzielić moje niedole. Spodziewaj się już jedynie hańby i klęski w moim towarzystwie. Dola, która w tym smutnym dniu zaczyna się dla mnie, będzie mnie prześladowała aż do ostatniej godziny”.

Pozostawało mi już tylko myśleć o wyjeździe. Siepacze mieli przyjść o dziesiątej rano. Była czwarta po południu, kiedy odjeżdżałem, a oni się jeszcze nie zjawili. Postanowiono, że najmę pocztę. Nie miałem kolasy<sup>203</sup>; pan marszałek obdarował mnie kabrioletem<sup>204</sup> i pożyczył koni wraz z pocztylionem aż do pierwszej stacji, gdzie dzięki jego uprzednim staraniom nie czyniono mi żadnych trudności z dostarczeniem koni.

Ponieważ nie jadłem obiadu przy stole i nie pokazałem się w zamku, panie przyszły pożegnać się ze mną do pokojów na dole, gdzie spędziłem dzień. Pani marszałkowska uściskała mnie kilka razy z dość smutną miną; ale nie czułem już w tym uścisku serdeczności, jaką darzyła mnie przed paru laty. Pani de Boufflers uściskała mnie również, dodając wiele pochlebnych wyrazów. Co mnie zdziwiło więcej, to uścisk pani de Mirepoix, bo i ona była tam również. Marszałkowska de Mirepoix jest to osoba nadzwyczaj chłodna, uważająca, wstrzemięźliwa i jak sądzę, niezupełnie wolna od dumy wrodzonej domowi lotaryńskiemu. Nigdy nie zaszczycała mnie nadto swoimi względami. Czy to, że pogłaskany zaszczytem, którego się nie spodziewałem, byłem skłonny pomnożyć jego cenę, czy że w istocie wlała w ten uścisk nieco owego współczucia właściwego szlachetnym sercom, znalazłem w ruchu jej i spojrzeniu coś szczególnie wymownego, co mnie wzruszyło. Często, wracając myślami do tej okoliczności, przypuszczałem, iż pani ta, świadoma poniekąd losu, na jaki byłem skazany, nie mogła się obronić chwili rozczulenia nad tą dolą.

Pan marszałek nie otwierał ust; błąd był jak trup. Chciał koniecznie towarzyszyć mi aż do kolaski, która czekała przy stajniach. Przeszliśmy cały ogród, nie mówiąc słowa. Miałem klucz od parku, otworzyłem furtkę; po czym, zamiast schować klucz z powrotem, oddałem go bez słowa panu marszałkowi. Wziął go z zadziwiającą żywością, która mimowiednie często nastęrczała mi się na myśl od tego czasu. W życiu nie miałem chwili bardziej gorzkiej niż moment tego rozstania. Uścisk był długi i niemy; czuliśmy obaj, że ten uścisk jest ostatnim pożegnaniem.

Pomiędzy la Barre i Montmorency spotkałem w najętej karocy czterech czarno ubranych ludzi, którzy skłonili mi się z uśmiechem. Wedle tego, co mi Teresa doniosła później o wyglądzie woźnych, godzinie ich przybycia i sposobie, w jaki się zachowali, nie wątpiłem, że to oni; zwłaszcza kiedy się dowiedziałem, że zamiast, jak mi doniesiono, o siódmej, wyrok podpisano dopiero po południu. Trzeba było przebyć cały Paryż. Otwarty kabriolet nie jest zbyt szczelnym ukryciem. Spotkałem na ulicy wiele osób, które mi się kłaniały jak gdyby znajomi, ale nie poznawałem nikogo. Ruszyłem tegoż samego wieczora, aby dobić do Villeroy. W Lyonie jest przepis, iż każdy podróżujący pocztą ma stawić się przed komendantem. To mogło stworzyć sytuację kłopotliwą dla człowieka, który nie chciał ani kłamać, ani zmieniać nazwiska. Poszedłem z listem pani de Luxembourg prosić pana de Villeroy, aby postarał się o zwolnienie mnie od tej formalności. Pan de Villeroy dał mi list, z którego nie zrobiłem użytku, ponieważ nie przejeżdżałem przez Lyon. List ten znajduje się jeszcze, zapieczętowany, wśród moich papierów. Książę nalegał bardzo, abym zanocował w Villeroy; ale wolałem raczej puścić się w dalszą drogę i minąłem jeszcze dwie stacje pocztowe tegoż dnia.

Pojazd mój był niezbyt wygodny i czułem się zbyt nieszczególnie, aby jechać wielkimi etapami. Zresztą, nie wyglądałem dość imponująco, aby wywalczyć sobie dobrą obsługę, wiadomo zaś, iż we Francji konie pocztowe czują bicz jedynie na grzbiecie pocztyliona. Oplacając się suto, mniemałem, iż zastąpię niedostatek miny i głosu; wyszedłem na tym jeszcze gorzej. Wzięli mnie za chłystka, który gna z jakimś zleceniem i podróżuje pocztą pierwszy raz w życiu. Od tej chwili dawano mi już same chabety i stałem się igraszką pocztylionów. Skończyłem na tym, od czego powinienem był zacząć, to jest, aby znosić cierpliwie, nic nie mówić i jechać, jak im się spodoba.

<sup>203</sup>kolasa — powóz konny; kareta. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>kabriolet (daw.) — lekki jednokonny dwukółowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

Miałem zresztą czym zabawić się w drodze, gdybym się chciał zastanawiać nad świeżymi wydarzeniami; ale nie leży to ani w moim usposobieniu, ani w skłonnościach. Zdziwiająco jest, z jaką łatwością ulata mi z pamięci zło minione, chociażby najświeższe. O ile, póki widzę je w przyszłości, przewidywanie przeraża mnie i miesza, o tyle we wspomnieniu dotyka mnie ono słabo i gaśnie prawie natychmiast, skoro rzecz się stała. Moja okrutna wyobraźnia, która dręczy mnie bez ustanku, uprzedzając nieszczęścia, których jeszcze nie ma, rozprasza w zamian mą pamięć i nie pozwala rozpamiętywać tych, które minęły. Przeciw temu, co się stało, nie ma co przedsiębrać ostrożności, bezcelowe jest zatem zajmować się tym. Czy wyczerpuję z góry moje nieszczęście? Dość, że im więcej cierpiałem, przewidując, z tym większą łatwością zapominam o nim; podczas gdy, przeciwnie, bez przerwy zajęty minionym szczęściem, przypominam je sobie i przetrawiam tak, iż, można powiedzieć, zdolny jestem napawać się nim na nowo, kiedy zechcę. Tej to szczęśliwej naturze zawdzięczam, czuję to, iż nigdy nie znałem owego uczucia urazy, które przez ustawiczne wspomnienie doznanej krzywdy fermentuje w mściwym sercu i pod wpływem którego człowiek dręczy sam siebie całym złem, które chciałby wyrządzić swemu wrogowi. Z natury będąc porywczy, odczuwałem gniew, wściekłość nawet, za pierwszym popędem; ale nigdy pragnienie zemsty nie zapuściło korzeni w mym wnętrzu. Zbyt mało zajmuję się samą obrazą, aby się zanadto zajmować jej sprawą. O złem, którego już doznałem, myślę jedynie w związku z tym, które mi grozi jeszcze; gdybym był pewny, że na tym koniec, krzywdy, która już mi się stała, zapomniałbym w tejże chwili. Wiele nam mówią o odpuszczeniu zniewag; piękna to cnota, bez wątpienia, ale co do mnie, nie mam do niej sposobności. Nie wiem, czy moje serce umiałoby zapanować nad nienawiścią, nigdy jej bowiem nie czuło: zbyt mało myślę o swoich wrogach, abym miał zasługę przebaczenia. Nie zdaję sobie sprawy, do jakiego stopnia, aby mnie dręczyć, dręczą oni samych siebie. Jestem na ich łasce, mają wszelką władzę, czynią z niej użytek. Jest tylko jedna rzecz powyżej ich mocy, co do której wyzywam ich śmiało: to jest, aby dręcząc się mną, zmusili mnie, bym ja się dręczył nimi.

Zaraz nazajutrz po wyjeździe wyszło mi tak doskonale z pamięci wszystko, co się stało, i parlament, i pani de Pompadour, i pan de Choiseul, i Grimm, i d'Alembert, ich spiski, ich wspólnicy, że nie pomyślałbym nawet o tym przez całą podróż, gdyby nie ostrożności, które musiałem zachowywać. Wrażeniem, które opanowało mnie w miejsce tego wszystkiego, było wspomnienie mej ostatniej lektury, w wilię wyjazdu. Przypomniałem też sobie *Idylle*<sup>205</sup> Gessnera, które tłumacz ich, Hubert, przysłał mi niedawno<sup>206</sup>. Te dwa wrażenia opanowały mnie tak zupełnie i zmieszały się w taki sposób w mym umyśle, że spróbowałem połączyć je, traktując na sposób Gessnera historię lewity z Efraim. Ten sielski i naiwny styl nie zdawał się bynajmniej odpowiedni dla tak strasznego tematu, a nie sposób było przypuszczać, aby obecne położenie dostarczyło mi dla rozjaśnienia go pogodniejszych myśli. Spróbowałem wszelako, jedynie aby się rozerwać w mej kolasce, bez żadnej nadziei powodzenia. Ledwie spróbowałem, uczulem się zdumiony pogodą swych myśli oraz łatwością, z jaką przychodzi mi je oddać. W trzy dni ułożyłem trzy pierwsze pieśni poemaciku, który dokończyłem później w Motiers. Jestem pewien, iż nic nie napisałem w życiu, w czym by panowała bardziej wzruszająca słodycz obyczajów, większa świeżość kolorytu, naiwność obrazów, bardziej starożytna prostota; wszystko to mimo okropności przedmiotu, który w gruncie jest straszliwy; tak iż poza wszystkim innym mam jeszcze i zasługę przewyciężonej trudności. *Lewita z Efraim*, jeśli nie jest mym najlepszym dziełem, będzie mi zawsze najulubieńszym. Nigdy nie odczytałem go, nie odczytam nigdy, iżbym nie czuł wewnątrz zadowolenia serca bez zółci, które, dalekie od kwaszenia się swymi nieszczęściami, umie znaleźć w sobie samym pociechę i zadośćuczynienie. Niech kto zgromadzi wszystkich tych wielkich filozofów, tak wyższych w swoich księgach nad przeciwności, których nigdy nie doznali; niech ich postawi w położenie podobne mojemu i niechaj, w chwili pierwszego wzburzenia obrażonej dumy, da im podobne do spełnienia zadanie: — pokaże się, jak się zeń wywiążą.

<sup>205</sup> „Idylle” Gessnera — ukazujące proste i szczęśliwe życie pasterzy i pasterek, wydane w 1756 i 1772 przez szwajcarskiego pisarza Salomona Gessnera (1730–1788); zyskały dużą popularność, były tłumaczone na wiele języków. [przypis edytorski]

<sup>206</sup> tłumacz ich, Hubert, przysłał mi niedawno — tłumacz nazywał się Jean-Jacques Hubner; przesłał Rousseau swoje tłumaczenie *Idylli* pod koniec 1761. [przypis edytorski]

Jadąc z Montmorency do Szwajcarii, postanowiłem wstąpić do Yverdon, aby się zatrzymać u zacnego starego przyjaciela, pana Roguin. Osiadł tam przed kilku laty i zapraszał mnie nawet, abym go odwiedził. Dowiedziałem się w drodze, że jadąc na Lyon, trzeba by okrążyć; to oszczędziło mi kłopotu zatrzymywania się w tym mieście. Ale w zamian trzeba było przejeżdżać przez Besançon, twierdzę warowną, a co za tym idzie, podległą tej samej niedogodności. Postanowiłem zboczyć i jechać przez Salins pod pozorem odwiedzenia pana de Mairan, siostrzeńca pana Dupin, który piastował jakiś urząd w salinach<sup>207</sup> i który niegdyś bardzo mnie zapraszał, abym go odwiedził. Pomysł udał się; nie zastałem pana de Mairan i bardzo rad, iż nie potrzebuję się zatrzymywać, puściłem się w dalszą drogę, nie niepokojony przez nikogo.

Wjeżdżając na berneńskie terytorium<sup>208</sup>, kazałem zatrzymać: wysiadłem, padłem płakiem, ścisnąłem, całowałem ziemię, wykrzyknąłem w uniesieniu: „O niebo, opiekunie cnoty, sławię imię twoje, dotykam ziemi wolności!”. Tak to, zaślepiony i ufny w swych nadziejach, zawsze zapalałem się do tego, co miało być mym nieszczęściem. Pocztylion myślał, że oszalał: wsiadłem z powrotem do kolaski i w niewiele godzin potem znalazłem równie czystej jak żywej radości, znajdując się w ramionach i uścisku czcigodnego Roguina. Ach! odetchnijmy chwilę u zacnego gospodarza! Trzeba nabrać sił i odwagi: niebawem będę miał sposobność ich użyć.

Nie bez przyczyny rozwiodłem się w tym opowiadaniu nad wszystkimi okolicznościami, jakie mogłem sobie przypomnieć. Mimo że nie wydają się bardzo jasne, skoro raz ma się w ręku nić sprzysiężenia, mogą rzucić światło na jego bieg; nie dając zasadniczej idei problemu, który przedstawię, wiele pomagają wszelako do jego rozwiązania.

Przypuśćmy, że do wykonania spisku, którego byłem przedmiotem, oddalenie moje było konieczne potrzebne. W takim razie, aby je osiągnąć, wszystko musiało się odbyć mniej więcej tak, jak się odbyło. Ale gdybym, nie dawszy się przestraszyć nocnym poselstwem pani de Luxembourg i wzruszyć jej niepokojem, gdybym w dalszym ciągu wytrwał i gdybym, miast pozostać w zamku, wrócił do łóżka i spał spokojnie do rana, czy również wydano by wyrok uwięzienia? Wielkie pytanie, od którego zależy rozwiązanie wielu innych: godzina zapowiedzenia a istotnego wydania dekretu może rzucić niejakie światło na tę sprawę. Gruby, ale namacalny przykład ważności najmniejszych szczegółów: szuka się tajemnych przyczyn, aby dojść do nich w drodze indukcji.

## KSIEGA XII

(1762) Tutaj zaczyna się dzieło ciemności, w którym czuję się zagrzebany od lat ośmiu. W jaki bądź sposób brałem się do rzeczy, nigdy nie udało mi się przebić ich przeraźliwego mroku. W otchłani nieszczęść, w której jestem pogrążony, czuję działanie ciosów, jakie mi zadają, widzę ich bezpośrednie narzędzia, ale nie mogę widzieć ani ręki, która nimi kieruje, ani sprężyn, jakie puszczą w ruch. Hańby i nieszczęścia spadają na mnie niby same z siebie, niespodzianie. Kiedy z mego rozdartego serca dobywają się jęki, wyglądam na człowieka, który żali się bez przedmiotu. Sprawcy mej zguby znaleźli niepojętą sztukę uczynienia publiczności współniczką ich spisku w ten sposób, iż sama o tym nie wie i nie spostrzega skutków. Opowiadając tedy wypadki, które mnie dotyczą, obchodzenie, jakiego doznałem, i wszystko, co mi się zdarzyło, nie mam możliwości dotarcia do kierującej ręki i wskazania przyczyn równocześnie z opowiadaniem faktów. Te pierwsze przyczyny zaznaczone są w poprzednich księgach; przedstawiłem w nich wszystkie odnoszące się do mnie interesy, wszystkie tajemne pobudki. Ale powiedzieć, jak te różnorodne przyczyny kombinują się w dziwnych wydarzeniach mego życia, tego nie sposób mi wyjaśnić nawet w przybliżeniu. Jeżeli między czytelnikami znajdują się na tyle szlachetni, aby chcieć zgłębić te tajemnice i odkryć prawdę, niech odczytają starannie trzy poprzedzające księgi; następnie przy każdym fakcie, który przeczytają w dalszych, niech zbiorą informacje, jakie im będą dostępne, niech idą, od intrygi do intrygi i od szczegółu do szczegółu, aż do pierwszych sprężyn wszystkiego. Wiem z pewnością, do jakiego kresu dojdą ich poszukiwania; ale gubię się w ciemnej i krętej drodze podziemi, które ich tam doprowadzą.

<sup>207</sup>salina — miejsce pozyskiwania soli. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>berneńskie terytorium — Rousseau udawał się do Yverdon na terenie Vaud, które było wówczas częścią terytorium kantonu Berna (ob. Vaud stanowi odrębny kanton). [przypis edytorski]

Podczas pobytu w Yverdon zawarłem znajomość z całą rodziną pana Roguin, między innymi z siostrzenicą jego, panią Boy de la Tour i jej córkami, których ojca, jak wspominałem może, znałem niegdyś w Lyonie. Pani de la Tour przybyła do Yverdon odwiedzić wuja i siostry; najstarsza jej córka, w wieku około piętnastu lat, zachwyciła mnie swym rozsądkiem i zaletami charakteru. Przywiązałem się najtkliwszą przyjaźnią do matki i córki. Pan Roguin przeznaczał tę ostatnią siostrzeńcowi swemu, pułkownikowi, już w pewnym wieku, który również objawiał mi najwyższą sympatię. Ale mimo że wuj bardzo zapalał się do tego małżeństwa, mimo iż siostrzeniec pragnął go również, mnie zaś bardzo leżało na sercu zadowolenie obu, mimo to wielka nierówność wieku i wyraźna niechęć młodej osoby kazały mi, wraz z matką, dążyć do uchylenia tego małżeństwa, które też w istocie nie doszło do skutku. Pułkownik zaślubił pannę Dillan, swoją kuzynkę, o charakterze i urodzie bardzo wedle mego smaku, która uczyniła go najszcześniejszym mężem i ojcem. Mimo to pan Roguin nie mógł zapomnieć, iż w tej okoliczności sprzeciwiłem się jego życzeniom. Pocieszyłem się pewnością, iż tak wobec niego, jak wobec jego rodziny, spełniłem obowiązek najświętszej przyjaźni, której nie jest zadaniem zawsze być najprzyjemniejszą, ale radzić ku największemu dobru.

Niedługo zostawałem w wątpliwości co do przyjęcia, jakie mnie czeka w Genewie, w razie gdyby mi przyszła ochota tam wrócić. Książkę moją spalono, a na mnie wydano wyrok<sup>209</sup>. Stało się to osiemnastego czerwca, to znaczy w dziesięć dni po wyroku paryskim. Tyle niewiarygodnych niedorzeczności nagromadzono w tym wyroku i pogwałcono w nim edykt eklezjastyczny<sup>210</sup> tak formalnie, że nie chciałem dać wiary pierwszym wieściom, które mnie doszły. Skoro nie mogłem już wątpić o ich prawdzie, zadrzałem, aby tak jawne i krzyżące pogwałcenie wszystkich praw, zaczawszy od prawa zdrowego rozsądku, nie poruszyło całej Genewy. Mogłem się niebawem uspokoić; wszystko zostało, jak było. Jeżeli wszczął się jakiś ruch wśród ludności, to jedynie przeciw mnie; wszystkie plotkarki i wszystkie ciury<sup>211</sup> potraktowały mnie jak uczniaka, któremu grozi się chłostą za to, że nie nauczył się dobrze katechizmu.

Te dwa dekrety były sygnałem do chóru przekleństw, który podniósł się przeciw mnie w całej Europie, z wściekłością, jaka nigdy nie miała przykładu. Wszystkie gazety, dzienniki, broszury uderzyły w najstraszliwszy dzwon na trwogę. Francuzi zwłaszcza, ów naród tak łagodny, tak grzeczny, szlachetny, którzy tak bardzo się poczuwają do przystojności i względów dla nieszczęśliwych, zapominając nagle swych ulubionych cnót, odznaczyli się mnogością i gwałtownością zniewag, którymi smagali mnie na wypródki. Byłem bezbożnikiem, ateuszem, szaleńcem, opętańcem, dziką bestią, wilkołakiem. Spadkobierca „Dziennika Trévoux”<sup>212</sup> rzucił się na moją rzekomą likantropię<sup>213</sup>, w sposób, który dostatecznie dowiódł jego własnej. Słowem, można by mniemać, iż każdy, kto, ogłaszając w Paryżu pismo w jakim bądź przedmiocie, zaniechałby je naszpikować jakąś obelgą przeciw mnie, byłby narażony na prześladowania policji. Szukając na próżno przyczyny tego powszechnego rozpętania, już byłem skłonny uwierzyć, że cały świat oszalał. Jak to! Komentator *Wiecznego pokoju* szczuje do niezgody; wydawca *Wikarego sabaudzkiego* jest bezbożnikiem; autor *Nowej Heloizy* jest dziką bestią; twórca *Emila* opętańcem! Ech, Boże, czymże byłbym wtedy, gdybym ogłosił dzieło *O rozumie*<sup>214</sup> lub inną podobną książkę? A mimo to w burzy, która podniosła się przeciw autorowi książki, publiczność, dale-

<sup>209</sup> *Książkę moją spalono, a na mnie wydano wyrok* — 18 czerwca 1762 w Genewie potępiono, publicznie podarto i spalono przed ratuszem *Emila* oraz *Umowę społeczną*, zaś autora skazano na wygnanie. Jedynym rządem, który oficjalnie potępił *Umowę społeczną* były władze Genewy. [przypis edytorski]

<sup>210</sup> *pogwałcono w nim edykt eklezjastyczny* — trzy podstawowe teksty: rozporządzenia kościelne (eklezjastyczne) z 1541, regulujące m.in. relacje Kościoła Genewskiego z władzami cywilnymi, oraz znowelizowane w 1568 edykty polityczne i cywilne funkcjonowały jako konstytucja Genewy; przepisy nakazywały wezwanie autora poglądów sprzecznych z przyjętą doktryną do stawienia się przed konsystorzem. [przypis edytorski]

<sup>211</sup> *ciura* — służa w obozie wojskowym, wojsk. pacholek. [przypis edytorski]

<sup>212</sup> „Dziennik Trévoux”, fr. *Journal de Trévoux* — wpływowy francuski miesięcznik wydawany w Trévoux w latach 1701–1782. Został założony przez jezuitę teologa, większość autorów stanowili jezuita. Po wygnaniu zakonu z Francji w 1772 jego redaktor, jezuita Guillaume François Berthier, zrezygnował z prowadzenia pisma, wówczas miesięcznik próbowali prowadzić inni redaktorzy. [przypis edytorski]

<sup>213</sup> *likantropia* — wilkołactwo, zdolność przemiany człowieka w wilka; w psychiatrii: wyobrażanie sobie przez chorego, że zmienił się w zwierzę. [przypis edytorski]

<sup>214</sup> *O rozumie* — dzieło Helwecjusza [właśc. Claude Adrien Helvétius (1715–1771)], filozofa z grupy encyklopedystów. [*De l'esprit*, traktat materialistyczny obecnie znany pod polskim tytułem *O umyśle*, opublikowany przez Helwecjusza anonimowo w 1758, niemal natychmiast potępiony przez parlament Paryża, Kościół katolicki

ka od łączenia się z głosem prześladowców, pomściła go swymi pochwałami. Niech kto porówna jego książkę z moją, odmienne przyjęcie, z jakim się spotkały, sposób, w jaki potraktowano oba utwory w rozmaitych państwach Europy; niech kto znajdzie dla tych różnic przyczyny, które by mogły zadowolić rozsądnego człowieka — oto wszystko czego żądam; zresztą milczę.

Czułem się tak dobrze w gościnie w Yverdon, że na bardzo żywe nalegania pana Roguin i jego rodziny postanowiłem tam zostać. Pan de Moiry de Gingins, prefekt miasta, również uprzejmościami, jakie mi świadczył, zachęcał mnie, abym został w jego okręgu. Pułkownik tak na mnie nalegał, abym przyjął mieszkanie w oficynie, iż zgodziłem się; natychmiast postarał się umeblować je i opatrzyć we wszystko, co było potrzebne dla mego małego gospodarstwa. Młody baneret<sup>215</sup> Roguin, najwięcej ze wszystkich okazujący mi przyjaźni, nie opuszczał mnie cały dzień. Byłem wciąż bardzo wdzięczny za tyle serdeczności, ale niekiedy czułem się znużony. Oznaczono już dzień instalacji; napisałem do Teresy, aby się gotowała do drogi. Naraz dowiedziałem się, iż w Bernie wszczęła się przeciw mnie burza. Przypisywano ją dewotom, ale źródła jej nigdy nie mogłem przeniknąć. Senat, podburzony nie wiadomo przez kogo, nie zdawał się skłonny zostawić mnie spokojnie w mym schronieniu. Ledwie pan prefekt posłyszał o tym wrzeniu, napisał w mojej sprawie do kilku członków rządu, wymawiając im ślełą nietolerancję i zawstydzając ich, iż chcą zasłużonemu człowiekowi w nieszczęściu odmówić schronienia, jakie tylu bandytów znajduje w ich stanach<sup>216</sup>. Ludzie rozsądni przewidywali, iż gwałtowność tych wyrzutów raczej zaogni, niż uspokoi umysły. Jakkolwiek się rzeczy miały, ani wpływ prefekta, ani jego wymowa nie zdołały odwrócić ciosu. Uprzedzony o rozkazie, jaki miał mi doręczyć, ostrzegł mnie zawczasu; aby nie czekać rozkazu, postanowiłem wyjechać nazajutrz. Trudność była w tym, dokąd się udać, wobec tego, że Genewa i Francja były mi zamknięte, można zaś było przewidywać, iż w tej sprawie każdy będzie się kwapił naśladować sąsiada.

Pani Boy de la Tour poddała mi, abym się osiedlił w próżnym, ale umeblowanym domku należącym do jej syna, w wiosce Motiers, w Val-de-Travers, hrabstwie Neuchâtel. Aby się tam dostać, trzeba było przebyć tylko jedną górę. Propozycja była tym rozsądniejsza, ile że w stanach króla pruskiego nie mogło mi już grozić prześladowanie<sup>217</sup>, a przynajmniej religia nie mogła tam służyć za pozór. Ale sekretny szkopuł, którego nie wypadło mi wyjawić, miał wszelkie prawo obudzić we mnie wahanie. Wrodzona miłość sprawiedliwości, która zawsze pożera me serce, połączona z tajemną skłonnością do Francji, obudziła we mnie niechęć do króla pruskiego, który przez swe zasady i postępowanie zdawał się deptać nogami wszelki szacunek dla naturalnych praw i obowiązków człowieka. Między oprawnymi sztychami, którymi ozdobiłem basztę swoją w Montmorency, znajdował się portret tego monarchy, pod nim zaś dystych<sup>218</sup> tak zakończony: „Filozof myślą, ale król — czynami”.

Wiersz ten, który w każdym innych ustach byłby wcale piękną pochwałą, posiadał w moich sens bynajmniej nie dwuznaczny, wytłumaczony zresztą jasno wierszem poprzedzającym<sup>219</sup>. Dystych ten widzieli wszyscy, którzy mnie odwiedzali, a było ich niemało. Kawaler de Lorenzy odpisał go nawet, aby go dać d’Alembertowi; nie wątpiłem, iż d’Alembert przysłużył mi się nim u tego monarchy. Tę pierwszą przewinę obciążylem jeszcze ustępem z *Emila*, gdzie pod imieniem Adrasta<sup>220</sup>, króla Daunyjczyków, można było łatwo poznać, kogo miałem na myśli. Spostrzeżenie to nie uszło uwagi życzliwych

i czasopisma, spalony w styczniu 1759. Helwecjusz uniknął prześladowań formalnie wypierając się autorstwa; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>215</sup>baneret (z fr. *banneret*) — daw. military tytuł feudalny przysługujący rycerzowi prowadzącemu wasali pod własną chorągwią (fr. *bannière*); później w Szwajcarii ranga urzędnika komunalnego. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>stan (daw.) — państwo; tu lm: *stany*, ponieważ Szwajcaria stanowi federację autonomicznych kantonów (stanów), których rząd ma siedzibę w Bernie. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>w stanach króla pruskiego nie mogło mi już grozić prześladowanie — hrabstwo Neuchâtel (ob. kanton szwajcarski) znajdowało się wówczas pod panowaniem Prus, których władca, Fryderyk II Wielki, był znany z tolerancji religijnej. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>dystych — dwuwiersz, utwór składający się z dwóch wersów. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>wytłumaczony zresztą jasno wierszem poprzedzającym — poprzedni wers brzmiał: „Chwała, interes — oto jego Bóg, jego prawo” i znajdował się podobno po przeciwnej stronie portretu. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>Adrast, król Daunyjczyków — bezbożny i wojowniczy władca z powieści *Przygody Telemaka* (fr. *Les aventures de Télémaque*, 1699). W V księdze *Emila* wychowawca tytułowego bohatera czyta z nim tę powieść, omawiając

komentatorów, ponieważ pani de Boufflers kilkakrotnie zwracała mi na ten punkt uwagę. Tak więc miałem wszelkie powody mniemać, iż jestem zapisany czerwonym inkaustem w rejestrach króla pruskiego. Przypuszczając zresztą, iż wyznaje zasady takie, jakie odważyłem się mu przypisać, pisma moje i ich autor mogły mu się tym samym jedynie nie podobać: wiadomo bowiem, iż złośliwcy i tyrani zawsze czuli do mnie śmiertelną nienawiść, nie znając mnie nawet, jedynie z moich pism.

Ośmieliłem się wszelako zdać na łaskę tego monarchy i sądziłem, iż nie ponoszę wielkiego ryzyka. Wiedziałem, że niskie namiętności mają władzę jedynie nad słabymi ludźmi, niewiele zaś posiadają mocy nad duszami z silnego kruszcu, do których liczyłem zawsze jego duszę. Sądziłem, że zgodnym z jego sztuką panowania będzie okazać się wspaniałomyślnym w podobnej okoliczności, a że nie będzie nawet czymś przerastającym jego charakter okazać się nim szczerze. Byłem pewien, iż łatwa i niska zemsta nie przeważałaby w nim ani na chwilę miłości chwały. Stawiając się na miejscu tego monarchy, nie uważałem za niemożliwe, iż zechce wyzyskać tę sposobność, aby przygnieść ciężarem szlachetności człowieka, który odważył się źle myśleć o nim. Udałem się tedy spokojnie do Motiers i zamieszkałem tam z całą ufnością, pewny, iż znajdzie ona oddźwięk. Rzekłem sobie: „Jeśli Jan Jakub wznosi się do wyżyn Koriolana<sup>221</sup>, zali Fryderyk okaże się niżej generała Wolsków?”

Pułkownik Roguin chciał koniecznie towarzyszyć mi przez góry i zainstalować mnie w Motiers. Bratowa pani Boy de la Tour, nazwiskiem pani Girardier, czując się dotąd bardzo dobrze w domku, gdzie miałem zamieszkać, patrzyła na mój przyjazd niezbyt chętnym okiem; wprowadziła mnie wszelako nader uprzejmie w posiadanie mej kwatery. Jadałem u niej, czekając, aż przybędzie Teresa i aż moje małe gospodarstwo wejdzie w życie.

Od wyjazdu z Montmorency, czując dobrze, że odtąd będę zbiegiem na ziemi, wzdragałem się pozwolić Teresie, aby przybyła do mnie dzielić życie tułaczę, na które byłem skazany. Czulem, że przez tę katastrofę stosunki nasze ulegną zmianie i że to, co aż dotąd było z mej strony łaską i dobrodziejstwem, stanie się odtąd tym samym z jej strony. Gdyby przywiązanie jej wytrzymało próbę mych niedoli, oddziaływałyby one na nią niezmiernie boleśnie, a boleść jej pomnożyłaby moje cierpienia. Gdyby nieszczęścia moje ostudziły jej serce, dałaby mi odczuć swą wierność jako poświęcenie; miast czuć przyjemność, jaką byłoby dla mnie dzielić z nią ostatni kawałek chleba, czułaby jedynie własną zasługę, iż godzi się iść za mną wszędzie w mojej smutnej doli.

Trzeba rzec wszystko: nie ukrywałem błędów biednej mamusi ani swoich, nie godzi mi się okazać pobłażliwym dla Teresy. Mimo całej przyjemności, jaką mi sprawia oddawać pochwały osobie, która mi jest tak droga, nie chcę również ukrywać jej win, jeżeli można rzec, iż mimowolna odmiana uczuć jest istotną winą. Od dawna spostrzegłem, iż serce jej ostygło. Czulem, że nie jest już dla mnie tym, czym była za naszych pięknych lat, a czulem to tym lepiej, że ja byłem dla niej zawsze jednaki. Popadłem w tę samą sytuację, której wpływ odczułem w stosunku do mamusi, a ten sam wpływ objawił się i u Teresy. Nie szukajmy nadnaturalnych doskonałości: toż samo zdarzyłoby się z każdą kobietą. Postanowienie, jakie powziąłem co do losu mych dzieci, mimo iż zdało mi się słuszne i godziwe, nie zawsze zostawiało me serce równie spokojnym. Obmyślając *Traktat o wychowaniu*, czulem, że zaniedbałem obowiązków, z których nic nie mogło mnie zwolnić. Wyrzut stał się wreszcie tak żywy, iż wyrwał mi niemal publiczne wyznanie winy na wstępie *Emila*, a wyrażony jest tak jasno, iż po takim ustępie zdumiewające jest, że jeszcze miał kto odwagę wyrzucać mi mą winę. Położenie moje było wciąż jednakie, a nawet gorsze jeszcze dzięki zjadłości wrogów, którzy czyhali jeno, aby mnie przychwycić na jakim błędzie. Obawiałem się nawrotu; nie chcąc narażać się na to niebezpieczeństwo, wolałem raczej skazać się na wstrzemięźliwość niż wystawić Teresę na znalezienie się w podobnym

---

stosunki międzynarodowe, i wspomina, że Adrasta można zidentyfikować we współczesnej Europie. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>*Koriolan*, łac. *Gnaeus Marcius Coriolanus* (V w. p.n.e.) — na polu legendarny wódz rzymski; przyczynił się do zwycięstwa Rzymian nad plemieniem Wolsków w 493 p.n.e. i zdobycia miasta Corioli (stąd przydomek). Dwa lata później zażądał cofnięcia ustępstw senatu wobec plebejuszy, m.in. likwidacji instytucji trybunów. Wezwany przed sąd ludowy uciekł do Wolsków, gdzie schronienia udzielił mu ich przywódca Tullus Atiusz. Na czele Wolsków Koriolan najechał Lacjum i przystąpił do oblężenia Rzymu, do odstąpienia skłoniły go matka i żona. [przypis edytorski]

położeniu. Zauważyłem przy tym, że stosunki z kobietami dotkliwie pogarszały mój stan. Te podwójne racje kazały mi powziąć postanowienie, którego niekiedy dotrzymywałem dość lichy, ale w którym od trzech czy czterech lat trwałem bardziej konsekwentnie. Od tej też epoki zauważyłem oziębienie w Teresie: zachowała dla mnie to samo przywiązanie z obowiązku, ale nie czułem w nim już miłości. To oziębienie zmniejszało, z konieczności, urok naszych stosunków; wyobrażałem też sobie, iż, pewna zresztą nieustającej opieki z mej strony, Teresa będzie raczej wolała zostać w Paryżu niż tułać się ze mną. Mimo to okazała tyle bólu przy rozstaniu, wymagała tak wyraźnego przyrzeczenia, iż się połączymy, po moim wyjeździe wyrażała tak żywo, zarówno księciu de Conti, jak panu de Luxembourg, pragnienie tego, iż nie tylko nie miałem odwagi mówić jej o rozłączeniu, ale zaledwie sam mogłem o nim myśleć. Przekonawszy się w sercu, jak dalece niepodobna mi obejść się bez Teresy, myślałem już tylko o tym, aby ją najrychlej ściągnąć. Napisałem tedy, aby się puściła w drogę; przybyła. Minęły ledwie dwa miesiące, jak ją pożegnałem; ale było to od tylu lat pierwsze rozłączenie. Odczuliśmy je oboje bardzo okrutnie. Jakież wzruszenie przy pierwszym uścisku! Jakże słodkie są łzy radości i roztkliwienia! Jak moje serce umie się nimi napawać! Dlaczego tak mało było mi dane wylać tych łez właśnie?

Przybywszy do Motiers, napisałem do milorda Keith, marszałka Szkocji, gubernatora Neuchâtel, aby go uprzedzić o mym schronieniu się na ziemi J. K. Mości i prosić o opiekę. Odpowiedział ze szlachetnością, którą wszyscy dobrze znają i której się spodziewałem. Zaprosił mnie, bym go odwiedził. Udałem się doń z panem Martinet, kasztelanem Val-de-Travers, który był w wielkich łaskach u jego ekscelencji. Czcigodny wygląd dostojnego i cnotliwego Szkota wzruszył potężnie me serce; od pierwszej chwili zadziergnęło się między nim a mną to żywe przywiązanie, które z mej strony zawsze zostało jednakie. Byłoby również pozostało niezmiennym i ze strony lorda marszałka, gdyby zdrąjcy, którzy mi odjęli wszystkie pociechy życia, nie skorzystali z mego oddalenia, aby nadużyć jego sędziwego wieku i spotwarzyć mnie w jego oczach.

Jerzy Keith, dziedziczny marszałek Szkocji, a brat słynnego generała Keith<sup>222</sup>, który po chlubnym żywocie zginął na polu chwały, opuścił kraj w młodości. Proskrybowano<sup>223</sup> go w ojczyźnie za to, iż przywiązał się do domu Stuartów, do którego zraził się niebawem z przyczyny ducha niesprawiedliwości i tyranii, który był zawsze dominującym charakterem tego domu. Przebywał długo w Hiszpanii, której klimat podobał mu się wielce; w końcu poświęcił swe służby, podobnie jak jego brat, królowi pruskiemu, który znał się na ludziach i przyjął ich tak, jak na to zasługiwali. Znalazł sowitą odpłatę w wielkich usługach, jakie mu oddał marszałek Keith, i — rzecz o wiele cenniejsza jeszcze — w szczerej przyjaźni milorda marszałka. Wielka dusza tego godnego człowieka, na wskroś republikańska i dumna, zdolna była ugiąć się jedynie pod jarzmem przyjaźni; ale nagięła się doń tak doskonale, iż mimo bardzo odmiennych zasad, od chwili gdy się przywiązał do Fryderyka, widział w świecie tylko jego. Król powierzył mu ważne zadania, wysłał go do Paryża, do Hiszpanii; wreszcie widząc, że, przygnieciony już latami, czuje potrzebę wypoczynku, dał mu jako wytchnienie gubernatorstwo Neuchâtel, aby pędził rozkosznie resztę życia, budując szczęście tego małego narodka.

Nefchatełczycy, którzy cenią tylko szych<sup>224</sup> i błyskotki i nie znają się na prawdziwej wartości, lubują się w kwiecistych i napsuszonych frazesach; widząc człowieka chłodnego i naturalnego, wzięli jego prostotę za wyniosłość, szczerść za prostactwo, lakonizm<sup>225</sup> za ograniczenie i stawali okoniem dobroczynnym staraniom marszałka. Człowiek ten, który chciał im nieść rzetelne dobro, a nie piękne słówka, nie umiał pochlebiać ludziom, których nie cenił. W głupiej sprawie pastora Petitpierre, którego wygryźli koledzy za to, iż nie chciał, aby byli wiekuiście potępieni, milord, sprzeciwiwszy się uzurpacjom pastorów, ujrzał, iż cały kraj, w którego obronie stawał, podnosi się przeciw niemu. Kiedy przybyłem do Motiers, te niedorzeczne szemrania nie ucichły jeszcze. Milord uchodził za człowieka,

<sup>222</sup>brat słynnego generała Keith — generałem tym był James Francis Edward Keith (1696–1758), walczący o przywrócenie monarchii Stuartów, później w armii hiszpańskiej i rosyjskiej, następnie w służbie króla Prus, gdzie otrzymał stopień marszałka polnego; zginął podczas wojny siedmioletniej w bitwie pod Hochkirch. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>proskrypcja — ogłoszenie o wyjęciu spod prawa z przyczyn politycznych. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>szych — nitka owinięta złotym drucikiem, używana do haftu, przen.: pozorna świetność. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>lakonizm (z gr.) — dziś: lakoniczność, zwięzłość. [przypis edytorski]



który łatwo daje się uprzedzić; ze wszystkich zarzutów, które przeciw niemu wytaczano, ten był może najmniej niesprawiedliwy. Pierwszym mym odruchem na widok tego czcigodnego starca było roztkliwienie nad chudością jego ciała, już wyniszczonego przez wiek; ale kiedy podniosłem oczy na jego żywą, otwartą i szlachetną fizjonomię, uczułem przypływ szacunku połączonego z ufnością, która przeważała wszystkie inne uczucia. Na bardzo zwięzłą czolobitność, jaką mu przedłożyłem na powitanie, zaczął swobodnie rozmawiać o innych rzeczach, tak jakbym bawił tam już od tygodnia. Nie prosił nawet, abymy usiedli. Sztywny kasztelan stał nieruchomo. Co do mnie, ujrzałem w bystrym i przenikliwym oku milorda coś tak życzliwego, iż czując się z nim od razu swobodnie, bez ceremonii podszedłem ku sofie i siadłem tuż koło niego. Z poufałego tonu, jaki od razu przybrał, uczułem, iż ta swoboda sprawiła mu przyjemność i że powiedział sobie w duchu: „Ten przynajmniej nie jest Nefchatełczykiem”.

Osobliwe zjawisko zupełnego powinowactwa charakterów! Serce dobrego starca, w wieku, w którym zazwyczaj traci już ono swe przyrodzone ciepło, rozgrzało się dla mnie w sposób, który wszystkich przejmował zdumieniem. Odwiedził mnie w Motiers pod pozorem strzelania kaczek i został dwa dni, nie tknąwszy strzelby. Wytworzyła się między nami taka przyjaźń — niepodobna użyć innego słowa — iż nie mogliśmy się obejść bez siebie. Zamek w Colombier, który milord marszałek zamieszkiwał w lecie, leżał o sześć mil od Motiers; co najmniej raz na dwa tygodnie szedłem tam spędzić dobę, po czym wracałem tak samo pieszo, sposobem pielgrzyma, z sercem wciąż pełnym tego zacnego człowieka. Wzruszenie, którego doznawałem niegdyś w czasie wędrówek z Pustelni do Eaubonne było z pewnością bardzo odmienne; ale nie było słodsze niż to, z jakim zbliżałem się do Colombier. Ileż leż rozczulenia wylałem nieraz w drodze, myśląc o ojcowskiej dobroci, o miłych cnotach, o łagodnej filozofii tego czcigodnego starca! Nazywałem go ojcem, on mnie swoim dzieckiem. Te dwa imiona dają w części pojęcie o przywiązaniu, które nas łączyło, ale nie dają jeszcze pojęcia o tej potrzebie współżycia i nieustannym pragnieniu zbliżenia się, jakim byliśmy przejęci. Milord chciał mnie koniecznie pomieścić w zamku w Colombier i długo nalegał, abym przyjął na stałe apartament, który tam zajmowałem. Rzekłem w końcu, iż czuję się swobodniejszy u siebie i że wolę raczej pędzić życie na tym, aby go nieustannie odwiedzać. Podobała mu się moja szczerłość, nie nalegał więcej. O dobry milordzie! O mój godny ojcze! Jakże serce moje czuje się jeszcze wzruszone na myśl o tobie! Ach, barbarzyńcy! Jakiż cios mi zadali, odwracając cię ode mnie! Ale nie, nie, wielki człowieku, jesteś i będziesz zawsze jednaki, jak i ja zawsze jestem jednaki dla ciebie. Oszukali cię, ale cię nie odmienili.

Milord marszałek nie jest bez wad; jest to mędrzec, ale jest też człowiekiem. Przy najbardziej przenikliwym umyśle, najsztelniejszym taktie, jaki można sobie wyobrazić, przy głębokiej znajomości ludzi, daje się niekiedy wprowadzić w błąd i niełatwo odmienia zdanie. Charakter jego jest dość osobliwy: ma coś dziwnego i niesamowitego. Zdawałoby się, iż zapomina ludzi, których widuje co dzień, i nagle przypomina sobie o nich w chwili, gdy najmniej się tego spodziewają. Objawy jego sympatii wydają się nieraz nieumotywowane; podarki są raczej wyrazem kaprysu niż intencji. Daje lub posyła na poczekaniu, co mu przejdzie przez głowę, rzecz wielkiej ceny lub bezwartościową, bez różnicy. Młody Genewczyk, pragnąc wstąpić w służby króla pruskiego, przedstawia mu się; milord daje mu zamiast listu woreczek pełen grochu, który poleca oddać królowi. Otrzymałszy tę osobliwą rekomendację, król znajduje natychmiast dla oddawcy korzystne miejsce. Wysokie duchy mają między sobą język, którego pospolite umysły nie zrozumieją nigdy. Te drobne dziwactwa, podobne do kapryśków ładnej kobiety, czyniły mi milorda marszałka tym bardziej zajmującym. Byłem pewny (i przekonałem się później o tym), iż nie wpływają one ani na jego uczucia, ani na względy, jakie mu nakazuje przyjaźń w poważnych okolicznościach. Trzeba jednakże przyznać, iż sposób, w jaki oddaje przysługę, trąci niekiedy tym samym dziwactwem, co jego obejście. Przytoczę tylko jeden rys, drobnostkę. Ponieważ wędrówka z Motiers do Colombier była dla mnie za ciężka na jeden dzień, dzieliłem ją zazwyczaj, wychodząc po obiedzie i nocując w Brot, w pół drogi. Gospodarz, nazwiskiem Sandoz, mając starać się w Berlinie o łaskę, na której mu niezmiernie zależało, prosił mnie, abym wyjednał mu u jego ekscelencji wstawiennictwo. Chętnie. Prowadzę go z sobą, zostawiam w przedpokoju, wykładam sprawę milordowi, który nie odpowiada nic. Ranek mija; przechodząc przez salę, aby się udać na obiad, widzę biednego Sandoza,

który wciąż czeka jak na żarzących węglach. Mniemając, iż milord zapomniał, powtarzam rzecz, nim siedliśmy do stołu: milczenie jak wprzód. Ten sposób dania mi uczuć mego natręstwa wydał mi się nieco twardy; zmilkłem tedy, żalując w duchu biednego Sandoza. Wracając nazajutrz, widzę go znowu. Ku memu zdumieniu obsypuje mnie podziękowaniami za dobre przyjęcie i dobry obiad, jakie znalazł u milorda marszałka, który co więcej, przyjął jego podanie. W trzy tygodnie później milord odesłał mu upragniony reskrypt<sup>226</sup>, wystawiony przez ministra i podpisany przez króla; a wszystko to nie zamieniwszy ani z nim, ani ze mną jednego słowa w tej sprawie, której sądziłem, iż nie chce się podjąć.

Chciałbym bez końca mówić o Jerzym Keith: jemu to zawdzięczam ostatnie szczęśliwe wspomnienia; reszta życia to już same zgryzoty i nieprzerwany ucisk serca. Wspomnienie ich jest tak smutne i nawiedza mnie tak mętnie, iż niepodobna mi jest zachować jakiegokolwiek porządku w opowiadaniu. Odtąd będę zmuszony kreślić zdarzenia bez ładu, tak jak mi się nasuwają pod pióro.

Odpowiedź króla do milorda marszałka, w którym, jak można się domyślać, znalazłem dobrego adwokata, rozproszyła niebawem niepokój co do mego schronienia. Nie tylko J. K. Mość pochwalił to, co marszałek uczynił, ale polecił mu — trzeba bowiem wszystko powiedzieć — wypłacić mi dwanaście luidorów. Dobry milord, zakłopotany podobnym zleceniem, nie wiedząc, w jaki sposób się zeń przyzwoicie wywiązać, starał się złagodzić upokarzający charakter podarku, przekształcając gotowiznę na zasoby naturalne. Oznajmił mi, iż ma rozkaz dostarczyć mi drzewa i węgla, aby wspomóc moje małe gospodarstwo; dodał nawet, może z własnego wymysłu, że król kazałby mi chętnie wybudować domek wedle mego smaku, gdybym zechciał wybrać miejsce. Ta ostatnia propozycja wzruszyła mnie wielce i kazała mi zapomnieć o tamtej niedelikatności. Nie przyjmując tych darów, patrzałem wszelako na Fryderyka jako na swego dobroczyńcę i opiekuna i przywiązałem się doń tak szczerze, iż od tej chwili interesowałem się jego chwałą w tym samym stopniu, w jakim wprzód sukcesy jego zdawały mi się niesprawiedliwe. Z okazji pokoju<sup>227</sup>, jaki zawarł niedługo potem, wyraziłem mu radość za pomocą iluminacji w bardzo dobrym smaku: był to sznur girland, którym ozdobiłem dom służący mi za mieszkanie. Ambicja moja pozwoliła sobie na tę zemstę, iż wydałem na ten cel prawie tyle pieniędzy, ile król chciał mi ofiarować. Po zawarciu pokoju sądziłem, iż wobec tego, że jego wojskowa i polityczna chwała była u szczytu, zechce sobie przysporzyć chwały odmiennego rodzaju, budząc życie w swoim państwie, tworząc w nim królestwo handlu, rolnictwa, stwarzając nową ziemię, zaludniając ją nowym ludem, utrzymując pokój u sąsiadów, czyniąc się arbitrem Europy, bywszy poprzednio jej postrachem. Mógł bez obawy odłożyć miecz, pewien, iż nie będzie zmuszony podjąć go na nowo. Widząc, iż nie składa oręża, lękałem się, aby nie skorzystał źle ze swej przewagi i nie okazał się wielkim tylko w połowie. Ośmieliłem się napisać doń w tym przedmiocie. Przybierając ton poufały, najłacniej zdolny przypaść do serca człowiekowi z tego kruszcu, próbowałem zanieść aż przed tron ów święty głos prawdy, dla którego królowie tak rzadko mają uszy. Pozwoliłem sobie na tę swobodę jedynie w ścisłej tajemnicy między nim a mną. Nie dopuściłem do udziału nawet milorda marszałka i przesłałem mu mój list do króla zapieczętowany. Milord wysłał list, nie dowiadując się o jego zawartość. Król nie dał żadnej odpowiedzi; w jakiś czas później, kiedy milord marszałek udał się do Berlina, powiedział mu, że go porządnie wyłajał. Zrozumiałem z tego, iż list mój sprawił złe wrażenie i że szczerść mego zapału wzięto za grubiaństwo pedanta. W gruncie rzeczy mogło to być; może nie powiedziałem tego, co było trzeba, i nie umiałem trafić we właściwy ton. Mogę odpowiadać jedynie za uczucie, które włożyło mi pióro do ręki.

<sup>226</sup>reskrypt (daw.) — pisemne rozporządzenie panującego lub zarządzenie władz wyższych. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>Z okazji pokoju [...] Ośmieliłem się napisać doń w tym przedmiocie — w styczniu 1762, kiedy prowadzące wojnę Prusy były w trudnej sytuacji, walcząca przeciw nim Austria została nagle pozbawiona swojego głównego sojusznika: zmarła caryca Elżbieta Romanowa. Jej następcą Piotr III, który uwielbiał Prusy i Fryderyka II Wielkiego, wstrzymał działania wojenne i wycofał rosyjskie wojska z zajętych terenów pruskich. Nowy car 5 maja 1762 zawarł w Sankt Petersburgu pokój z Prusami, pośredniczył w zawarciu 22 maja w Hamburgu pokoju pomiędzy Szwecją a Prusami, jako sojusznik przekazał część swoich oddziałów Fryderykowi. Fryderyk uroczyście świętował pokój z Rosją, zaś niespodziewane wydarzenia określił mianem „cudu domu brandenburskiego”. Rousseau list do Fryderyka napisał w listopadzie 1762, ostatecznie kończący wojnę traktat pokojowy w Hubertusburgu między Prusami, Austrią i Saksonią zawarto dopiero 15 lutego 1763. [przypis edytorski]

W krótki czas po osiedleniu się w Motiers-Travers, mając wszelkie możliwe gwarancje, że mnie tam zostawią w spokoju, przybrałem strój armeński. Nie była to myśl nowa: przychodziła mi wiele razy do głowy w ciągu mego życia, zwłaszcza w Montmorency, gdzie obfity użytek sond, zmuszając mnie często do przebywania w pokoju, dał mi uczuć wygodę długiej szaty. Pewien krawiec armeński odwiedzał często swego krewnego osiadłego w Montmorency<sup>228</sup>; ten zbieg okoliczności skusił mnie, aby przybrać ten nowy strój, bez oglądania się na sądy ludzkie, o które troszczyłem się bardzo mało. Zanim wszelako przybrałem ten nowy kostium, zasięgnąłem zdania pani de Luxembourg, która bardzo mi go doradzała. Polecilem tedy sporządzić sobie małą garderobę armeńską; ale burza, która podniosła się przeciw mnie, kazała mi odłożyć jej użytek aż do spokojniejszych czasów. Dopiero w kilka miesięcy później w Motiers, zmuszony wskutek napadów cierpienia powrócić do sondy, sądziłem, iż mogę bez obawy przywdziać ten strój. Zasięgnąłem zdania miejscowego pastora, który oświadczył, iż mogę go nosić nawet w świątyni bez zgorszenia. Przywdziałem tedy kamizelkę, suknię, watowaną czapkę, pas; skoro zaś wziąłem udział w tym odzieniu w służbie bożej, nie widziałem żadnej przeszkody, aby go nosić u milorda marszałka. Jego ekscelencja, widząc mnie tak ubranym, rzekł po prostu tylko: „Salamaleki<sup>229</sup>”, po czym nie było już o tym mowy i odtąd nie nosiłem innego ubrania.

Opuściwszy zupełnie literaturę, myślałem już jedynie o tym, aby prowadzić życie spokojne i miłe, o ile to będzie zależało ode mnie. Gdy byłem sam, nie znałem nigdy, co nuda, nawet w zupełnej beczynności: wyobraźnia moja, wypełniając wszelką próżnię, wystarcza najzupełniej, aby mnie zająć bez obcej pomocy. Jedynie beczynnego paplania w pokoju, kiedy ludzie siedzą sobie nawzajem na głowach i ruszają tylko językiem, nie mogłem nigdy znosić. Kiedy człowiek jest w ruchu, kiedy się przechadza, ujdzie jeszcze; przynajmniej nogi i oczy są czymś zatrudnione; ale siedzieć tak z założonymi rękami i mówić o pogodzie i o muszkach, które latają w powietrzu, albo co jeszcze gorsze, świadczyć sobie nawzajem — to męka wprost nie do zniesienia. Postanowiłem, aby nie żyć jak dziki, nauczyć się robić siatkę. Idąc w odwiedziny, brałem swoją poduszeczkę lub też obyczajem kobiet siedziałem z robótką przed drzwiami i gwarzyłem z przechodzącymi. To mi pozwalało ścierpieć nicość tego szczebiotu i spędzać bez uczucia nudy czas u sąsiadek, z których niektóre były dość miłe i nie pozbawione dowcipu. Jedną między innymi, nazwiskiem Izabela d'Ivernois, córka generalnego prokuratora w Neuchâtel, wydała mi się godna, aby się z nią bliżej zaprzyjaźnić. Nie wyszła źle na tym: zawdzięcza mi wiele użytecznych rad oraz usług, które oddałem jej w ważnych okolicznościach; tak iż obecnie, stawszy się cnotliwą i zając matką rodziny, mnie może winna jest swój rozsądek, męża, życie i szczęście. Ja ze swej strony zawdzięczam jej nader słodkie chwile, zwłaszcza podczas bardzo smutnej zimy, kiedy w czasie największych mych cierpień i niedoli przychodziła spędzać z Teresą i ze mną długie wieczory. Wydawały się nam one bardzo krótkie dzięki urokowi jej umysłu i słodczy wzajemnych wynurzeń. Nazywała mnie „ojczulkiem”, ja ją „córuchną”, a imiona te, które dajemy sobie jeszcze, nie przestały, jak mniemam, być jej równie drogie jak mnie. Aby moje siatki zdały się na coś, robiłem z nich podarki swoim młodym przyjaciółkom, kiedy szły za męża, pod warunkiem, że będą same karmić dzieci. Starsza siostra panny d'Ivernois dostała z tego tytułu jedną taką siatkę i zasłużyła na nią; Izabela dostała również i zasłużyła nie mniej przez intencję, ale nie miała tego szczęścia, aby móc skutecznie swój zamiar. Posyłając im te siatki, napisałem do obu listy, z których pierwszy krążył po świecie w odpisach. Sercu Izabeli nie odpowiadało tyle rozgłosu: przyjaźń nierada się otacza takim hałasem.

Między stosunkami, które zawarłem w sąsiedztwie, a w których szczegóły nie będę wchodził, trzeba mi zanotować znajomość z pułkownikiem Pury<sup>230</sup>. Miał domek w górach, gdzie spędzał zazwyczaj lato. Nie było mi pilno do tej znajomości, ponieważ wie-

<sup>228</sup> *Pewien krawiec armeński odwiedzał często swego krewnego osiadłego w Montmorency* — tereny schryścianizowanej w starożytności Armenii od średniowiecza pozostawały pod panowaniem dwu muzułmańskich państw: Turcji i Persji; wielu Ormian emigrowało i osiedlało się w Europie. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> *Salamaleki* — zniekształc. *Salam alejkum*, powitanie i pozdrowienie arabskie (dosł.: pokój z tobą), używane także przez muzułmanów różnych narodowości. [przypis edytorski]

<sup>230</sup> *Pury, Abraham de (1724–1807)* — oficer armii sardyńskiej; w czasach znajomości z Rousseau był w stanie spoczynku. [przypis edytorski]

działem, że jest bardzo źle notowany na dworze i u milorda marszałka, do którego nie miał wstępu. Mimo to, ponieważ mi złożył wizytę i okazał wiele uprzejmości, trzeba było i mnie odwiedzić go z koleją; stosunki zadzierzgnęły się i niekiedy nawet jadaliśmy u siebie wzajem. Poznałem u niego pana du Peyrou<sup>231</sup>, z którym później łączyły mnie stosunki przyjaźni zbyt bliskiej, abym mógł poniechać wzmianki o nim.

Pan du Peyrou był to Amerykanin, syn gubernatora Surinamu, którego wdowę zaślubił następca jego, pan de Chambrier z Neuchâtel. Owdowiawszy po raz wtóry, pani de Chambrier osiedliła się wraz z synem w ojczyźnie drugiego męża. Du Peyrou, jednak, bardzo bogaty i tkliwie kochany przez matkę, otrzymał dość staranne wychowanie, z którego umiał skorzystać. Nabył wiele półwiadomości, posiadał niejaki zamilowanie do sztuk, zwłaszcza pochlebiał sobie, iż doprowadził *rozum* do wysokiej kultury. Holenderskie jego wzięcie, chłodne i filozoficzne, milczący i skryty charakter, wielce sprzyjały temu mniemaniu. Był głuchy i pedogryczny, mimo że jeszcze młody. Nadawało to wszystkim jego ruchom wiele umiarkowania, powagi; mimo że lubił dysputy, niekiedy nawet przydługie, na ogół mówił mało, ponieważ nie słyszał. Wszystkie te pozory zaimponowały mi. Mówiłem sobie: „Oto myśliciel, rozumny człowiek, jakiego pragnęłoby się mieć za przyjaciela”. Aby mnie do reszty załapać, często zwracał się do mnie z rozmową, ale nigdy nie świadczył mi żadnych komplementów: mówił mało o mnie, mało o moich książkach, bardzo mało o sobie. Nie był pozbawiony sądu o rzeczach i wszystko, co mówił, było na ogół dość trafne. Ten takt i równość usposobienia pociągnęły mnie. Nie miał ani górności myśli, ani przenikliwości milorda marszałka, ale miał jego prostotę — to już znaczyło przypominać go bodaj w czymś. Nie zapaliłem się doń zbyt, ale przywiązałem się uczuciem szacunku, a niebawem szacunek ten sprowadził przyjaźń. Zapomniałem wobec niego zupełnie o zarzucie, jaki uczyniłem baronowi d’Holbach, że jest za bogaty; zdaje mi się, że źle uczyniłem. Nauczyłem się wątpić, aby człowiek cieszący się wielkim majątkiem, bez względu zresztą na inne przymioty, mógł szczerze kochać moje zasady i ich autora.

Przez dość długi czas rzadko widywałem pana du Peyrou, ponieważ ja nie bywałem w Neuchâtel, on zaś bywał tylko raz na rok w letnim mieszkaniu pułkownika Pury. Czemu nie bywałem w Neuchâtel? Było to dzieciństwo, którego nie należy mi zamilczyć.

Mimo iż otoczony opieką króla i milorda marszałka, jeżeli unikałem zrazu prześladowania w mym schronieniu, nie unikałem jednak szemrania publiczności, urzędników, pastorów. Po hasła danym przez Francję byłoby wręcz w złym tonie nie uczynić mi bodaj jakiej zniewagi: ten, kto by nie szedł za przykładem mych prześladowców, obawiałby się, iż mu to poczytają za ich krytykę. Klasa rządząca w Neuchâtel, to znaczy związek pastorów, dał pobudkę, starając się podburzyć przeciw mnie Radę Stanu. Skoro to usiłowanie spełzło na niczym, zwrócili się do burmistrza, który polecił natychmiast wstrzymać obiegi mej książki. Co więcej, starał się we wszelkiej okoliczności okazać mi swą niechęć i dawał do zrozumienia, a nawet mówił głośno, że gdybym pragnął osiedlić się w samym mieście, nie ściępiano by mego pobytu. Napełnili swego „Merkurego” bredniami pełnymi najbardziej płaskiego świętoszkostwa, które, pobudzając do śmiechu rozsądnych ludzi, roznamiętniły wszelako lud i podburzyły go przeciw mnie. Wszystko to nie przeszkadzało im głosić, iż powinienem być bardzo wdzięczny za łaskę, jaką mi czynią, pozwalając żyć spokojnie w Motiers, gdzie nie mieli żadnej władzy. Byliby mi chętnie odmierzali powietrze na łuty<sup>232</sup>, pod warunkiem, żebym je drogo opłacił. Żądali, abym był wdzięczny za opiekę, której król używał mi wbrew nim, a którą bez ustanku silili się mi odjąć. Wreszcie, nie mogąc tego uzyskać, wyrządziwszy mi tyle złego, ile mogli, i osławiwszy<sup>233</sup> mnie na wszelkie sposoby, uczynili sobie zasługę ze swej niemocy, każąc mi wielbić dobroć, z jaką godzili się cierpieć mnie na swojej ziemi. Należałoby rozśmiać się w nos za

<sup>231</sup> *du Peyrou, Pierre Alexandre* (1729–1794) — dziedzic wielkiej fortuny, urodzony w Gujanie w Ameryce Płd. syn francuskiego hugenota, który dorobił się majątku na plantacjach w holenderskim Surinamie; osiadł od 1747 w Neuchâtel; przyjaciel i wykonawca testamentu Jana Jakuba Rousseau: opublikował pierwsze wydanie dzieł zebranych Rousseau (1782), w 30 tomach, obejmujące pierwszą część *Wyznań*, a następnie trzy kolejne tomy, zawierające listy oraz drugą część *Wyznań* (1789), opracowaną we współpracy z Isabelle de Charriere. [przypis edytorski]

<sup>232</sup> *lut* — daw. jednostka wagi, licząca 1/32 funta, tj. w różnych miejscach i czasach od 10 g do 50 g. [przypis edytorski]

<sup>233</sup> *osławiać* (daw.) — zniesławiać, oczerniać. [przypis edytorski]

całą odpowiedź: byłem na tyle głupi, iż czułem się dotknięty, i na tyle niedorzeczny, iż wzdrgałem się postawić nogę w Neuchâtel. Postanowienia tego dochowałem blisko dwa lata, jak gdyby to nie było zbyt wiele zaszczytu dla podobnych ciurów, aby zwracać uwagę na ich postępkę, które, dobre czy złe, nie mogą iść na ich rachunek, ponieważ tego rodzaju ludzie zawsze działają jedynie z obcej pobudki. Zresztą, umysły bez kultury i światła, nie znające innego przedmiotu godnego szacunku jak wpływy, władza i pieniądze, bardzo dalekie są nawet od podejrzenia, iż mogą obowiązywać niejakiem względy dla talentu i że hańbą jest znieważać go.

Pewien wójt małej miejsciny, usunięty z posady za jakieś malwersacje, wyraził się do starosty z Val-de-Travers, męża Izabeli: „Powiadają, że ten Rousseau jest taki prześcipny<sup>234</sup>, przyprowadźcie go do mnie, abym zobaczył, czy to prawda”. Zaiste, wzgarda człowieka przemawiającego podobnym tonem nie powinna nazbyt dotyczyć tego, kto jest jej przedmiotem.

Wedle sposobu, w jaki mnie potraktowano w Paryżu, Genewie, Bernie, w Neuchâtel nawet, nie spodziewałem się więcej względów ze strony miejscowego pastora. Miałem doń wszelako polecenie od pani Boy de la Tour i przyjął mnie bardzo serdecznie; ale w tym kraju, gdzie karmią miodowymi słówkami każdego bez różnicy, nie można przywiązywać znaczenia do tych rzeczy. Mimo to po uroczystym przystąpieniu do reformowanego Kościoła, żyjąc w kraju reformowanym, nie mogłem bez uchybienia zobowiązaniom i powinnościom obywatela zaniedbać publicznego praktykowania obrządku, do którego wróciłem: uczęszczałem tedy na służbę bożą. Z drugiej strony obawiałem się, iż przystępując do świętego stołu, narażę się na wstyd odmowy; nie było zaś zgoła prawdopodobne, aby, po hałasie podniesionym w Genewie przez Radę i w Neuchâtel przez pastorów, pastor w Motiers zechciał mi spokojnie udzielić komunii w swoim kościele. Widząc tedy, iż zbliża się pora tego obrzędu, postanowiłem napisać do pana de Montmollin (było to nazwisko pastora), aby spełnić akt dobrej woli i oświadczyć, że zawsze należę sercem do Kościoła protestanckiego. Doniosłem równocześnie, aby uniknąć sprzeczek co do artykułów wiary, iż nie życzę sobie żadnych szczegółowych wyjaśnień w kwestii dogmatu. Dopełniwszy ze swej strony tego, co do mnie należało, czekałem spokojnie, nie wątpiąc, iż pan de Montmollin odmówi dopuszczenia mnie do sakramentów bez uprzedniej dyskusji, której nie chciałem, i że w ten sposób wszystko zakończy się bez winy z mej strony. Wcale nie: w chwili gdy najmniej się tego spodziewałem, pan de Montmollin przyszedł mi oznajmić, iż nie tylko dopuszcza mnie do komunii na warunkach, które postawiłem, ale co więcej, on i „starsi” gminy uważają sobie za wielki zaszczyt posiadanie mnie w swej parafii. W życiu nie miałem podobnego ani bardziej radosnego zdziwienia. Wiecznie żyć osamotnionym na ziemi zdawało mi się losem bardzo smutnym, zwłaszcza w nieszczęściu. Wśród tyłu proskrypcji i prześladowań znajdowałem niezmierną słodycz w tym, iż mogę sobie powiedzieć: „Przynajmniej jestem wśród swoich braci”; toteż gotowałem się do komunii ze wzruszeniem serca i ze łzami rozczulenia, które były może dla Boga najmiłszym przygotowaniem, jakie mu ktoś może ofiarować.

W jakiś czas później milord przesłał mi list pani de Boufflers, przybyły — przynajmniej tak przypuszczałem — za pośrednictwem d’Alemberta, który znał milordę marszałka. W liście tym, pierwszym, jaki ta dama napisała do mnie od wyjazdu z Montmorency, czyniła mi żywe wymówki za pismo moje do pana de Montmollin, a zwłaszcza za mą komunię. Tym mniej mogłem zrozumieć, o co jej chodzi, ile że od czasu bytności w Genewie zawsze jawnie głosiłem się protestantem i zupełnie publicznie uczęszczałem do Pałacu Holenderskiego, bez zarzutu z niczyjej strony. Wydało mi się zabawne, iż pani hrabina de Boufflers chce bawić się w kierowanie mym sumieniem w sprawach religii. Mimo to, ponieważ nie wątpiłem, iż intencje jej (jakkolwiek nie umiałem ich zrozumieć) są najlepsze, nie obraziłem się o ten osobliwy napad i odpowiedziałem bez gniewu, podając swoje racje.

Tymczasem drukowane obelgi szły swoim trybem, łaskawi zaś autorowie wyrzucali władzom, iż obchodzą się ze mną zbyt łagodnie. Ten koncert ujadania, którego kapelmistrze działali niestrudzenie pod osłoną, miał coś złowrogięgo i przerażającego. Co do mnie, pozwalałem gadać, nie przejmując się. Upewniano mnie, że zapadła cenzura Sor-

<sup>234</sup>prześcipny (daw., gw.) — dowcipny, sprytny. [przypis edytorski]

bony. Nie uwierzyłem. Z jakiego tytułu miałyby się Sorbona mieszać w tę sprawę? Czy chciała stwierdzić, że nie jestem katolikiem? Wszyscy wiedzieli o tym. Czy chciała dowiedzieć, że nie jestem dobrym kalwinem? Co jej do tego? To by znaczyło podjąć bardzo osobliwe zadanie; znaczyło to czynić się substytutem pastorów. Nim ujrzałem naocznie owo pismo, sądziłem, iż puszczono je w obieg pod godłem Sorbony, aby sobie z niej zadrwić; myślałem tak tym więcej, skoro je przeczytałem. Wreszcie, gdy już nie mogłem wątpić o jego autentyczności, cały mój pogląd na sprawę streszczał się w tym, iż trzeba by zamknąć Sorbonę do szpitala wariatów.

(1763) Inne pismo obeszło mnie bardziej, ponieważ pochodziło od człowieka, dla którego miałem zawsze szacunek i którego stałość podziwiałem, ubolewając nad jego zaślepieniem. Mówię o liście pasterskim arcybiskupa paryskiego<sup>235</sup> przeciw mnie. Sądziłem, iż winien jestem sobie, aby nań odpowiedzieć. Mogłem to uczynić bez poniżenia; to był wypadek mniej więcej podobny do tego, w jakim swego czasu skrzyżowałem broń z królem polskim. Nie lubiłem nigdy polemiki brutalnej, na sposób Wolterowski. Umieć walczyć jedynie z godnością; jeśli raczę się bronić, to tylko wówczas, gdy ten, kto mnie atakuje, nie przynosi hańby mej dłoni. Nie wątpiłem, iż to orędzie pochodzi z ręki jezuitów; mimo że wówczas sami byli w złej skórce, poznawałem w tym postępkach ich dawną zasadę miażdżenia nieszczęśliwych. Mogłem tedy iść znowuż za swoją dawną maksymą, to jest oddać wszelką cześć tytułarnemu autorowi, a zmiażdżyć dzieło; co też, sądzę, uczyniłem z niejakim sukcesem.

Pobyt w Motiers wydał mi się nader przyjemny; abym się zdecydował dokończyć tam swoich dni, brakło mi jedynie rękojmi środków utrzymania. Życie jest tam dość drogie, wszystkie zaś dawne projekty rozwiały się przez rozbitcie mego gospodarstwa, założenie nowego, sprzedaż lub rozproszenie wszystkich sprzętów oraz wydatki, które mi trzeba było ponieść od wyjazdu z Montmorency. Patrzałem z każdym dniem na zmniejszanie się kapitału, który miałem w zapasie. Parę lat wystarczyłoby, aby pochłonąć resztę, nie widziałem zaś żadnego sposobu odnowienia zasobów, chyba że zacząłbym na nowo pisać książki: oplakane rzemiosło, którego się już wyrzekłem.

Przekonany, że opinia odmieni się niebawem i że publiczność, ochłonawszy ze swego szaleństwa, każe i władzom rumienić się za nie, myślałem jedynie o tym, aby oszczędzając, dotrwać aż do szczęśliwej odmiany, która zostawi mi swobodniejszy wybór dalszej drogi. W tej myśli podjąłem *Dykcjonarz muzyczny*, znacznie już posunięty naprzód przez dziesięć lat pracy, tak iż brakło mu jedynie ostatniego wykończenia i przepisania na czysto. Książki moje, które przysłano mi niedawno, dostarczyły mi środków dla dokończenia tego dzieła; nadesłane równocześnie papiery umożliwiły podjęcie pracy koło pamiętników, którymi odtąd chciałem się wyłącznie zająć. Zacząłem od przepisania listów i sporządzenia z nich zbioru, który by mógł kierować mą pamięć w porządku zdarzeń i czasu. Przebrałem już dawniej te, które chciałem zachować w tym celu: tworzyły nieprzerwany ciąg blisko dziesięciu lat. Tymczasem porządkując je dla przepisania, spostrzegłem lukę, która mnie zdziwiła. Luka ta obejmowała blisko sześć miesięcy, od października 1756 aż do marca następnego roku. Przypominałem sobie doskonale, iż między przebranymi już dokumentami znajdowało się sporo listów Diderota, Deleyre'a, pani d'Epina, pani de Chenonceaux etc., które wypełniały tę lukę. Otóż tych listów nie było. Co się z nimi stało? Czy kto dobrał się do mych papierów w ciągu tych kilku miesięcy, przez które zostawały w pałacu Luxembourg? To było nie do pojęcia; widziałem, jak pan marszałek sam schował klucz od pokoju, w którym je złożyłem. Ponieważ wiele listów kobiecych, a wszystkie Diderota były bez daty, tak, iż aby ułożyć te listy po porządku, byłem zmuszony czynić to z pamięci i po omacku, sądziłem zrazu, iż popełniam omyłkę w datach. Przejrzałem po porządku wszystkie listy, które nie miały daty lub też przy których sam ją uzupełniłem, aby się przekonać, czy nie znajdę wśród nich zapełnienia tej luki. Próba nie powiodła się; ujrzałem, iż przerwa jest bardzo realna i że z wszelką pewnością listy usunięto. Kto i w jakim celu? Oto co przychodziło mi na myśl. Listy te, poprzedzające datą zajścia w Pustelni, pochodzące z czasu mego pierwszego upojenia *Julią*, nie mogły interesować nikogo. Zawierały co najwyżej jakieś świadectwa nachalności Diderota, ja-

<sup>235</sup> *Beaumont, Christophe de* [(1703–1781)] — arcybiskup Paryża, niezwykle żarliwy i nieubłagany w swoich przekonaniach. Rousseau odpowiedział mu *Listem do Krzysztofa de Beaumont*. [przypis tłumacza]

kieś przycinki Deleyre'a, wylewy przyjaźni pani de Chenonceaux, a nawet pani d'Epina, z którą byłem wówczas najczulej w świecie. Komu mogło zależeć na tych listach? Co chciano z nimi począć? Dopiero w siedem lat później zacząłem podejrzewać ohydny cel tej kradzieży.

Brak ten, zupełnie nie zostawiający wątpliwości, sprawił, iż zacząłem szukać wśród brulionów, czy nie odkryję innych braków. Spostrzegłem, w istocie, to i owo; zważywszy zaś mą lichą pamięć, mogę przypuszczać, iż w mnóstwie moich papierów dokonano i innych grabieży. Te, które zauważyłem, to brak brulionu *Moralności wrażliwej* i wyciągu *Przygód milorda Edwarda*. Ten ostatni, wyznaję, obudził we mnie podejrzenia co do pani de Luxembourg. Papiery te wysyłał pod moim adresem La Roche, jej zaufany pokojowiec, a dla jednej tylko marszałkowej mógł mieć ten szpargał jakąś wagę. Ale co mogło jej zależeć na tamtym drugim i na uprzątniętych listach, z których, nawet przypuściwszy złe intencje, nie można było uczynić żadnego użytku na mą szkodę, chyba puściwszy się<sup>236</sup> wręcz na fałszerstwo? Co do marszałka, którego niewzruszoną prawość i szczerą przyjaźń dla mnie znałem dostatecznie, nie mogłem go podejrzewać ani przez chwilę. Nie mogłem również nawet zatrzymać się myślą przy podejrzeniu co do marszałkowej. Namęczywszy długo mózgowicę nad autorstwem kradzieży, jedyne, co mogłem uczynić, to przypisać ją d'Alembertowi, który, już zadomowiony u pani de Luxembourg, mógł znaleźć sposób szperania w tych papierach i usunięcia z nich, co mu się podobało, bądź to w zamiarze posłużenia się nimi na mą szkodę, bądź dla przywłaszczenia sobie tego, co mu się mogło nadać. Sądziłem, iż, zamamiony tytułem *Moralność wrażliwa*, przypuszczał, że znalazł plan istotnego traktatu materialistycznego; można sobie wyobrazić, jak by to przeciw mnie wykorzystał! Pewny, iż zbadanie brulionu wywiedzie go z błędu, sam zaś mając niezłomny zamiar poniechać literatury, mało troszczyłem się o te kradzieże; nie były one pierwszą sprawką tej ręki<sup>237</sup>, którą ścierpiałem w milczeniu. Niebawem przestałem myśleć o tym nadużyciu, tak jakby nigdy nie miało miejsca, i zacząłem gromadzić materiały, które mi zostawiono, aby podjąć pracę nad *Wyznaniami*.

Długi czas myślałem, iż korporacja pastorów lub bodaj obywatele i mieszczaństwo Genewy upomną się o naruszenie edyktu w dekrete wydanym przeciw mnie<sup>238</sup>. Nikt się nie ruszył, przynajmniej publicznie; istniało bowiem powszechne niezadowolenie, które czekało jedynie sposobności, aby się objawić. Moi przyjaciele, lub podający się za takich, pisali do mnie list po liście, zachęcając, abym stanął na ich czele i zaręczając publiczne zadośćuczynienie ze strony Rady. Obawa rozdziwienia i zamieszek, które moja obecność mogłaby spowodować, nie pozwoliła mi przychylić się do ich próśb. Wierny ślubowi, jaki uczyniłem sobie niegdyś, aby nigdy nie przyczyniać się do wewnętrznej niezgody w mym kraju, wolałem raczej pozwolić dalej trwać własnej krzywdzie i skazać się na wieczne wygnanie z ojczyzny niż wracać do niej przy pomocy gwałtownych i niebezpiecznych środków. To prawda, iż spodziewałem się ze strony mieszczaństwa, pokojowych i legalnych protestów przeciw nadużyciu, które powinno je było żywo obejść. Nic podobnego. Przywódcom chodziło nie tyle o istotne usunięcie nadużyć, ile o sposobność wysunięcia swoich osób. Spiskowano, ale zachowano milczenie. Pozwolono ujadać pyskaczom i faryzeuszom, których Rada używała, aby mnie zohydzić w oczach ludu i przypisać swój wybryk religijnej gorliwości.

Wyczekawszy na próżno przeszło rok, aby ktoś zaprotestował przeciw nielegalnemu wyrokowi, powziąłem wreszcie postanowienie. Widząc się opuszczonym przez współobywateli, zdecydowałem się wyrzec niewdzięcznej ojczyzny, w której nigdy nie żyłem, od

<sup>236</sup>puścić się na coś (daw.) — zdecydować się na coś, odważyć się na coś, zaryzykować. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>malo troszczyłem się o te kradzieże; nie były one pierwszą sprawką tej ręki — znalazłem w jego *Elementach muzyki* wiele rzeczy zaczerpniętych z tego, co napisałem o tej sztuce dla *Encyklopedii* i co oddałem w jego ręce na wiele lat przed ogłoszeniem tych *Elementów*. Nie wiem, jaki miał udział w książce zatytułowanej *Słownik sztuk pięknych*, ale znalazłem tam artykuły przepisane dosłownie z moich i to na długi czas, zanim też same artykuły ukazały się w *Encyklopedii*. [przypis autorski]

<sup>238</sup>myślałem, iż korporacja pastorów lub bodaj obywatele i mieszczaństwo Genewy upomną się o naruszenie edyktu w dekrete wydanym przeciw mnie — arystokratyczny ustrój Genewy oraz przywiązanie jej do kalwinizmu były przyczyną, iż warstwy posiadające przemożny wpływ w mieście nie mogły gustować ani w demokratycznych poglądach, ani w „religii naturalnej” Russa. Jedyne wśród niższych warstw mieszczaństwa i u ludu hasła jego mogły znachodzić oddźwięk; te warstwy jednak nie miały praw w rządzie, oprócz prawa do czynienia przedstawień, czyli reprezentacji (stąd nazwa: reprezentanci). [przypis tłumacza]

której nigdy nie doświadczyłem dobra ani usług i w której w nagrodę czci, jaką starałem się jej przysporzyć, doznałem tak niegodnego obejścia, i to za jednomyślną zgodą, skoro ci, którzy winni byli przemówić, zachowywali milczenie. Napisałem tedy do pierwszego syndyka (był nim wówczas, zdaje mi się, pan Favre) list, w którym zrzekłem się uroczystie obywatelstwa. W liście tym zachowałem zresztą godność i umiarkowanie, które zawsze wkładałem w akty dumy, skoro mnie do nich zmusiło okrucieństwo wrogów.

Krok ten otworzył wreszcie oczy obywatelom. Czując, iż zawinili przeciw samym sobie, niechając mej obrony, porwali się do niej wówczas, gdy już było za późno. Mieli oni inne zarzuty, które skojarzyli z tą sprawą, i uczynili z nich przedmiot bardzo dobrze umotywowanych protestów. Akcja ta zataczała coraz szersze kręgi, w miarę jak twarde i odpychające odmowy Rady, która czuła za sobą poparcie rządu francuskiego, lepiej dały pojąć obywatelom, iż zamiarem Rady jest wręcz ujarzmić ich. Spory te wydały mnogość broszur, które nie rozstrzygały niczego; aż nagle pojawił się utwór pt. *Listy ze wsi*. Dziełko to, napisane w obronie Rady niezmiernie zręcznie, sprawiło, iż stronnictwo reprezentacyjne<sup>239</sup>, przywiedzione nim do milczenia, czuło się na czas jakiś wręcz zmiażdżone. Utwór ten, trwały pomnik rzadkich talentów swego autora, wyszedł spod pióra generała Tronchin, człowieka bystrego, światłego, bardzo biegłego w prawach i polityce republiki. *Siluit terra*<sup>240</sup>.

(1764) Reprezentanci, ochłonawszy z pierwszego przygnębienia, podjęli odpowiedź i z czasem wywiązali się z niej niezgorzej. Ale wszyscy zwrócili oczy na mnie, jako na jedynego, który zdolny był wejść z nadzieją zwycięstwa w szranki z takim przeciwnikiem. Wyznaję, iż rozumiałem tak samo; jakoż, popchnięty przez dawnych współobywateli, którzy nakładali wręcz na mnie obowiązek wsparcia ich piórem w kłopotcie, którego byłem przyczyną, podjąłem odparcie *Listów ze wsi* i sparodiowałem ich tytuł nadpisem *Listy z gór*<sup>241</sup>, jaki położyłem na moich. Powziąłem i wykonałem to postanowienie w takiej tajemnicy, iż w ciągu spotkania, jakie miałem w Thonon z przywódcą reprezentantów dla pomówienia o ich sprawach, podczas którego to spotkania pokazali mi szkic swej odpowiedzi, nie rzekłem ani słowa o mojej, która była już gotowa. Lękałem się, aby nie zaszała jaka przeszkoda w druku, w razie gdyby najmniejsze podejrzenie doszło bądź do władz, bądź do mych osobistych wrogów. Mimo wszystkich ostrożności dzieło moje dostało się do Francji przed jego ogłoszeniem; ale pewne czynniki wołały raczej pozwolić mu się ukazać niż zanadto dać się domyślać, w jaki sposób odkryto moją tajemnicę. Powiem w tym przedmiocie to, co wiem pewnie, to znaczy bardzo niewiele; zamilczę to, czego się tylko domyślałem.

Miałem w Motiers niemal tyle wizyt, ile ich bywało w Pustelni i w Montmorency; ale były one bardzo odmiennego rodzaju. Ci, którzy odwiedzali mnie dotąd, to byli ludzie, którzy czując ze mną pokrewieństwo talentów, upodobań, poglądów, powoływali się na nie jako na pobudkę odwiedzin i wprowadzali mnie od razu w materię, w której mogłem się z nimi porozumieć. W Motiers to już nie to, zwłaszcza co się tyczy gości z Francji. Byli to oficerowie lub inni ludzie, którzy nie mieli żadnego upodobania w literaturze; po największej części nie czytali nawet nigdy moich pism, a mimo to, wedle tego, co mówili, nie wahali się zrobić trzydzieści, czterdzieści, sześćdziesiąt, sto mil, aby mnie zobaczyć i podziwiać znakomitego, sławnego, bardzo sławnego, wielkiego człowieka etc. Od tego czasu bowiem weszło w zwyczaj obrzucać mnie grubiańsko w twarz najbardziej bezwstydnymi pochlebstwami, od czego chronił mnie dotąd szacunek tych, którzy stanowili moje towarzystwo. Ponieważ większość tych przybyszów nie raczyła ani się nazwać, ani wymienić swego stanowiska, ponieważ nasz zobopólny zakres wiadomości nie obracał się w tych samych przedmiotach i ponieważ ani nie czytali, ani nie mieli nawet w ręku moich dzieł, nie wiedziałem, o czym z nimi mówić; czekałem, aż zaczną mówić sami, ich bowiem rzeczą było wiedzieć i powiedzieć mi, w jakim celu mnie nachodzą.

<sup>239</sup>stronnictwo reprezentacyjne — ok. roku 1750 członkowie stronnictwa opozycyjnego zaczęli nazywać siebie *représentants*, przedstawicielami, domagając się, by skład Rady Genewy należycie reprezentował społeczeństwo, w tym także niższe warstwy. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>*siluit terra* (łac.) — zamilkła ziemia (z Wulgaty, łac. tłumaczenia Biblii (1 Mch 1,3), o Aleksandrze Macedońskim: *et siluit terra in conspectu eius*: i zamilkła przed nim ziemia). [przypis edytorski]

<sup>241</sup>*Listy [pisané] z gór* — *Lettres écrites de la montagne* (1764), w których Rousseau, odmiennie niż w *Umowie społecznej*, nie stawia już Genewy za wzór republiki, ale gwałtownie krytykuje zagarnięcie władzy przez „despotów”, których nie ogranicza nic prócz własnej woli. [przypis edytorski]



Można zrozumieć, iż w tych warunkach rozmowa nie była dla mnie zbyt interesująca; mogła nią być wszelako dla nich, wedle tego, czego chcieli się dowiedzieć. Ponieważ nie miałem powodów do nieufności, wyrażałem się bez zastrzeżeń we wszystkich kwestiach, o które uważali za właściwe mnie zagadnąć; odchodzili tedy zwykle dobrze powiadomieni co do wszystkich szczegółów mego położenia.

Otrzymałem na przykład w ten sposób wizytę pana de Feins, koniuszego królowej i kapitana kawalerii w jej pułku. Miał on tę wytrwałość, aby spędzić kilka dni w Motiers, a nawet towarzyszyć mi pieszo aż do La Ferriere, prowadząc konia za uzdę, nie mając ze mną innego punktu styczności, jak ten, żeśmy znali obaj pannę Fel i że obaj grywaliśmy w bilbokieta. Przed i po panu de Feins spotkała mnie inna, o wiele jeszcze osobliwsza wizyta. Dwaj ludzie zjawiają się pieszo, prowadząc każdy muła obładowanego tobołkiem; stają w gospodzie, krzątają się sami koło swych mulów i żądają widzenia ze mną. Wnosząc z wejrzenia tych mulników, wzięto ich za kontrabandzystów; w lot obiegła wiadomość, iż przemytnicy przybyli do mnie w odwiedzinę. Już sam sposób przywitania pouczył mnie, że to są ludzie innego pokroju; ale, nie będąc przemytnikami, mogli to być wszelako awanturnicy. Wątpliwość ta kazała mi się mieć na baczności; niebawem jednak uspokoił mnie w tej mierze. Jeden z nich był to pan de Montauban, zwany hrabią de la Tour-du-Pin, szlachcic z Delfinatu<sup>242</sup>; drugim pan Dastier, z Carpentras<sup>243</sup>, ekswojskowy, który nie mogąc błysnąć swoim Krzyżem św. Ludwika, miał go przynajmniej w kieszeni. Ci panowie, bardzo zresztą mili, odznaczali się obaj bystrym dowcipem; rozmowa ich była gładka i zajmująca. Ich sposób podróżowania, tak bardzo w moim smaku, a tak mało zgodny z obyczajem francuskiej szlachty, obudził we mnie sympatię, którą bliższe obcowanie zdołało tylko umocnić. Znajomość nie skończyła się na tym, ba, trwa do dziś. Zachodzili do mnie w odwiedzinę w rozmaitym czasie, już nie piechotą, to było dobre na początek; ale im dłużej przestawałem z tymi panami, tym mniej znalazłem wspólności w naszych upodobaniach, tym mniej czulem, aby ich zasady były moimi, aby znali moje pisma, słowem, aby istniała jakakolwiek prawdziwa sympatia między nami. Czego tedy chcieli ode mnie? Dlaczego odwiedzali mnie w tym dziwnym rynsztunku? Po co wracali kilkakrotnie? Czemu pragnęli tak gorąco być pod moim dachem? Nie przyszło mi wówczas na myśl zadawać sobie tych pytań. Nastręczały mi się one nieraz od tego czasu.

Wzruszony ich uprzejmością, otwierałem im serca bez ograniczeń, zwłaszcza panu Dastier, którego wzięcie, bardziej otwarte, większą natchnęło mnie ufnością. Nawiązałem z nim nawet korespondencję i kiedy miałem drukować *Listy z gór*, przyszło mi na myśl zwrócić się do niego, aby zmylić trop tych, którzy czekali mej przesyłki na drodze do Holandii. Mówił mi obszernie, może z umysłu, o swobodzie prasy w Awinionie; ofiarował usługi, gdybym miał kiedy zamiar coś tam drukować. Skorzystałem z ofiary i skierowałem doń kolejno, pocztą, moje pierwsze poszyty. Zatrzymawszy je dosyć długo, odesłał mi je z nadmienieniem, iż żaden księgarz nie śmie się ich podjąć. Byłem zmuszony wrócić do Reya, bacząc, aby wysłać poszyty jedynie stopniowo i nie wypuszczać następnego, póki nie miałem w rękę potwierdzenia odbioru pierwszych. Przed wydaniem dzieła dowiedziałem się, iż ktoś je widział w biurach ministerstwa, zaś pan d'Eschery z Neuchâtel wspominał mi o książce *Człowiek z gór*, o której d'Holbach powiadał mu, iż jest mego pióra. Zapewniłem (jak też było prawdą), że nigdy nie pisałem książki pod tym tytułem. Kiedy pojawiły się *Listy*, był wściekły, obwinił mnie o kłamstwo, mimo że powiedziałem jedynie szczerą prawdę. Oto jak zyskałem pewność, że rękopis mój był znany. Pewien rzetelności Reya, zmuszony byłem gdzie indziej przenieść swoje przypuszczenia; najchętniej byłem skłonny mniemać, iż po prostu przesyłki moje otwierano na poczcie.

Druga znajomość mniej więcej z tego czasu, ale zrazu nawiązana tylko listownie, to niejaki pan Laliaud, z Nîmes. Napisał do mnie z Paryża, prosząc, abym mu przesłał w sylwetce swój profil, którego potrzebuje — jak powiadał — do biustu<sup>244</sup> w marmurze, jaki dał wykonać Le Moine'owi dla umieszczenia go w swej bibliotece. Jeżeli to było pochlebstwo, wymyślone, aby mnie ugłaskać, osiągnęło swój cel w zupełności. Osądziłem,

<sup>242</sup>Delfinat — region w południowo-wschodniej Francji. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>Carpentras — miasto i gmina w pld.-wsch. Francji, ob. w regionie Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>biust — tu: popiersie; forma rzeźby. [przypis edytorski]

iż człowiek, który pragnie mieć mój biust z marmuru w bibliotece, musi być przejęty moimi pismami, tym samym moimi zasadami i że kocha mnie, ponieważ dusza jego harmonizuje z moją. Trudno sobie wyobrazić, aby ta myśl nie pociągnęła mnie. Poznałem później pana Laliaud. Znalazłem go bardzo skwapliwym w tym, aby mi ofiarować wiele drobnych usług, aby się mieszać pilnie w moje sprawy. Ale poza tym wątpię, aby które z moich pism wchodziło w szczerłą liczbę książek, jakie przeczytał w życiu. Nie wiem, czy ma bibliotekę i czy ten sprzęt może mu być na co przydatny; co zaś do biustu, ograniczył się do lichego szkicu z gliny, który ulepił Le Moine. Kazał zeń sporządzić ohydny portret, który mimo to obiega pod moim nazwiskiem, jak gdyby miał ze mną jakieś podobieństwo.

Jedynym Francuzem, który, zdawało się, odwiedza mnie przez sympatię dla moich uczuć i dzieł, był młody oficer z limuzyńskiego<sup>245</sup> pułku, nazwiskiem Séguier de Saint-Brisson. Błyszczał on i błyszczy może jeszcze w Paryżu i w świecie przez swoje talenty, dosyć w istocie miłe, i przez pretensje do znawstwa sztuki. Zaszedł odwiedzić mnie w Montmorency w ciągu zimy, która poprzedziła mą katastrofę. Zauważyłem w nim żywość uczuć, która mi się podobała. Pisywał do mnie w dalszym ciągu do Motiers i czy to chciał mi pochlebić, czy w istocie zawróciło mu się w głowie od *Emila*, doniósł mi, iż opuszcza służbę, aby żyć w stanie niezależnym, i że się uczy rzemiosła stolarza. Miał starszego brata, kapitana w tym samym pułku, ukochanego przez matkę. Matka ta, straszliwa dewotka i kierowana przez jakiegoś klechę świętoszka, bardzo lichy obchodziła się z młodszym synem. Obwiniła go o brak religii, a nawet o zbrodnię nie do darowania, mianowicie, iż utrzymuje stosunki ze mną! Oto przyczyny, dla których chciał zerwać z matką i powziął postanowienie, o którym wspomniałem: wszystko, aby zabawić się w małego Emila.

Przerażony tą krewkością, czym prędzej napisałem doń, błagając, aby odmienił postanowienie. Włożyłem w swoje upomnienia całą siłę, do jakiej byłem zdolny. Uśluchał: postarał się naprawić stosunki z matką, cofnął z rąk pułkownika wręczoną dymisję, z której ten przezorny człowiek nie zrobił jeszcze użytku, pragnąc zostawić młodzieńcowi czas do dojrzałego namysłu. Saint-Brisson, opamiętawszy się ze swych szaleństw, popełnił inne, mniej rażące, ale również nie w moim guście: został autorem. Wydał kolejno parę broszur, nie wyzutych zresztą z wszelkiego talentu; mimo to nie mogę sobie wyrzucić, abym go uraczył pochwałami nader zachęcającymi do postępowania na tej drodze.

W jakiś czas później odwiedził mnie znowu: odbyliśmy razem pielgrzymkę na Wyspę Saint-Pierre<sup>246</sup>. Wydał mi się w ciągu tej podróży odmiennym od tego, jakim znałem go w Montmorency. Miał w sobie coś wymuszonego, co zrazu nie uderzyło mnie zbyt, ale później nieraz przychodziło mi na pamięć. Odwiedził mnie jeszcze raz, w hotelu Saint-Simon, wówczas gdy przejeżdżałem przez Paryż, udając się do Anglii. Dowiedziałem się wówczas (o czym mi sam nie mówił), że żyje w bardzo wielkim świecie i bywa dość często u pani de Luxembourg. Nie dał żadnego znaku życia wówczas, gdym mieszkał w Trye, i nie kazał mi nic powiedzieć przez swoją krewną, pannę Séguier, która była mą sąsiadką, a która nigdy nie wydała mi się zbyt życzliwie dla mnie usposobioną. Jednym słowem, zapał pana de Saint-Brisson ostygł nagle, podobnie jak przyjaźń pana de Feins: ale ten nie był mi nic winien, tamten zaś miał wobec mnie niejaki obowiązek, chyba że głupstwa, od których go uchroniłem, były jedynie komedią z jego strony; co w gruncie jest bardzo możliwe.

Miałem również gości z Genewy, nawet dużo. De Lucowie, ojciec i syn, kazali mi się kolejno pielęgnować w chorobie: ojciec zaniemógł w drodze; syn był chory, już opuszczając Genewę — obaj rozgościli się z tym u mnie. Pastorzy, krewni, świętoszki, ciemne figury wszelkiego rodzaju przybywali z Genewy i ze Szwajcarii, nie po to — jak owi przybysze z Francji — aby mnie podziwiać i dworować sobie ze mnie, ale aby mnie lając i katechizować. Jedynym miłym gościem był mi Moulou, który przybył spędzić ze mną kilka dni, a chętnie byłbym go zatrzymał dłużej. Najstaszym ze wszystkich, najbardziej wytrzymałym, był niejaki pan d'Ivernois, który ujarzmił mnie siłą swego natręctwa. Był to kupiec z Genewy, emigrant francuski, krewny generalnego prokuratora w Neuchâtel.

<sup>245</sup>limuzyńskiego — z Limousin, hist. krainy w środkowej Francji. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>Wyspa Saint-Pierre — Wyspa Św. Piotra na jeziorze Biel (Bienné) w Szwajcarii. [przypis edytorski]

Ów pan d'Ivernois z Genewy przejeżdżał dwa razy do roku przez Motiers, umyślnie, aby mnie widzieć, siadywał u mnie od rana do wieczora przez szereg dni, towarzyszył mi na przechadzkach, znosił tysiące drobnych podarków, wciskał się mimo mej woli w moje zaufanie, mieszał do wszystkich spraw, mimo iż nie istniała między nami najmniejsza wspólność myśli, skłonności, uczuć, horyzontu. Wątpię, aby ten człowiek w życiu swoim przeczytał w całości książkę jakiego bądź rodzaju i aby wiedział bodaj, o czym traktują moje pisma. Kiedy zacząłem herboryzować, towarzyszył mi w wyprawach botanicznych, bez upodobania w tej zabawie i nie mając mi nic do powiedzenia, tak samo jak ja jemu. Miał nawet odwagę spędzić ze mną trzy całkowite dni sam na sam w oberży w Goumouins, skąd, sądząc, wypędziłem go wreszcie, pozwalając mu się nudzić śmiertelnie i dając mu uczuć, jak bardzo mnie nudzi. Mimo to wszystko równym niepodobieństwem było mi zrazić jego niewiarygodną stałość, jak i przeniknąć jej pobudki.

Wśród wszystkich tych stosunków, które zawarłem i utrzymywałem pod naporem przymusu, nie godzi mi się opuścić jedyne, który mi był miły i w który włożyłem prawdziwą skłonność serca. Był to młody Węgier, który osiedlił się w Neuchâtel, a stamtąd, w kilka miesięcy po mnie, w Motiers. Nazywano go tam baronem Sauttern, pod którym to nazwiskiem polecono mi go z ZÜRICHU. Był to wysoki i kształtny mężczyzna, o miłej powierzchowności, łagodnym i serdecznym obejściu. Rozповідаł całemu światu i mnie również dał do zrozumienia, iż przybył z Neuchâtel jedynie z mojej przyczyny, aby przez obcowanie ze mną zaprawić swą młodość do cnoty. Fizjonomia jego, ton, obejście zdały mi się zgodne z mową; miałbym uczucie, że chybiam jednemu z najważniejszych obowiązków, gdybym odprawił z niczym młodzieńca pełnego przymiotów, który szukał mego towarzystwa dla tak szanownej pobudki. Serce moje nie umie oddać się w połowie. Niebawem posiadał całą moją przyjaźń, zaufanie; staliśmy się nierozłączni. Towarzyszył mi w pieszych wycieczkach; nabrał do nich upodobania. Zaprowadziłem go do milordda marszałka, który przyjął go najczulej w świecie. Ponieważ baron nie umiał się jeszcze wysłowić po francusku, mówił ze mną i korespondował jedynie po łacinie: odpowiadałem po francusku, i to pomieszanie dwóch języków w niczym nie tamowało płynności ani żywości naszego stosunku. Mówił mi o swej rodzinie, swoich sprawach, przygodach, o dworze wiedeńskim, w którego szczegóły domowe zdawał się dobrze wtajemniczony. Przez blisko dwa lata, które spędziliśmy w największej zażyłości, znalazłem w nim jedynie słodczy charakter we wszelkiej próbie, wzięcie<sup>247</sup> nie tylko przyzwoite, ale dworne, wielką schludność koło swej osoby, przystojność w rozmowie, słowem, wszystkie cechy człowieka o szlachetnej naturze, które uczyniły go w moich oczach zbyt godnym szacunku, abym go mógł równocześnie nie pokochać.

W pełnej naszej zażyłości d'Ivernois napisał do mnie z Genewy, abym się miał na bacności przed młodym Węgrem, który osiedlił się w pobliżu: upewniono go mianowicie, że to jest szpieg rządu francuskiego nasłany w moje sąsiedztwo. Ostrzeżenie to mogło się zdawać tym bardziej niepokojące, iż w całej okolicy wszyscy przestrzegali mnie, bym się miał na bacności, że mnie śledzą, że starają się mnie zwabić na terytorium francuskie, aby mi tam wypłatać szpetnego figla.

Abym raz na zawsze zamknął usta nieproszonym ostrzegaczom, zaproponowałem Sautternowi, nie uprzedzając go o niczym, pieszą przechadzkę do Pontarlier; zgodził się. Skoro znaleźliśmy się w Pontarlier, dałem mu do przeczytania list pana d'Ivernois; po czym, ściskając go gorąco, rzekłem: „Sauttern nie potrzebuje, abym mu dowodził mego zaufania, ale świat potrzebuje, abym mu dowiódł, że umiem dobrze umieszczać swą przyjaźń”. Uścisk ten był mi nad wyraz słodki: była to jedna z tych rozkoszy serca, której prześladowcy nie są zdolni ani sami zaznać, ani też odebrać jej uciśnionym.

Nie uwierzę nigdy, aby Sauttern był szpiegiem ani aby mnie zdradził; ale oszukał mnie. Podczas gdy ja otwierałem serce bez zastrzeżeń, on miał tę siłę, aby zamykać się przede mną lub też mamić mnie kłamstwami. Opowiedział mi nie pamiętam już jaką historię, która kazała mi przypuszczać, iż obecność jego potrzebna jest w ojczyźnie. Zakląłem go, by jechał czym prędzej. Jakoż pojechał; i kiedy mniemałem, że już jest na Węgrzech, dowiedziałem się, że bawi w Strasburgu. Nie pierwszy to raz był w tym mieście. Wpłatał się tam w jakąś miłośćkę, która zburzyła spokój czyjegoś domowego ogniska: mąż,

<sup>247</sup>wzięcie (daw.) — postać i sposób poruszania się. [przypis edytorski]

wiedząc, że żyję z nim blisko, napisał do mnie. Nie ominałem żadnej sposobności, aby starać się sprowadzić młodą kobietę do cnoty, Sautterna do obowiązku. Kiedy sądziłem, że już zupełnie zerwali, wszystko wróciło znowu do dawnego, a mąż posunął ustępliwość do tego stopnia, iż przyjął młodego człowieka w dom; od tej chwili nie miałem nic do powiedzenia. Dowiedziałem się, że mniemany baron omamił mnie mnóstwem kłamstw. Nie nazywał się Sauttern, ale Sauttersheim. Co się tyczy tytułu barona, który mu dawano w Szwajcarii, nie mogę mu wyrzucać, iż sobie go przywłaszczył, ponieważ sam nigdy go nie przybierał. Nie wątpię zresztą, że był szlachcicem; milord marszałek, który się znał na ludziach i bywał w jego kraju, zawsze go też uważał i traktował jako takiego.

Skoro tylko wyjechał, służąca z traktierni, w której się stołował, oświadczyła, że jest w ciąży za sprawą pana barona. Była to szpetna plucha<sup>248</sup>, Sauttern zaś, powszechnie poważany i szanowany w okolicy za uczciwe prowadzenie i obyczaje, tak wielką wagę przywiązywał do czystości, iż bezczelność sługi wywołała powszechny hałas. Najpoważniejsze osoby z okolicy, które próżno rozwijały swą zalotność dla tego młodego człowieka, były wściekle; ja sam nie posiadałem się z oburzenia. Czyniłem wszelkie wysiłki, aby wstrzymać tę opętana, ofiarując się pokryć wszystkie koszta i zaręczyć za Sauttersheima. Napisałem doń, w silnym przekonaniu nie tylko, iż ciąża ta nie jest z jego sprawy, ale że jest wręcz udana i że wszystko to jest jeno sztuczką ukartowaną przez wspólnych naszych wrogów. Żądałem, aby wrócił, dla zawstydzenia hultajki i tych, którzy ją nastroili. Byłem zdumiony miękkością jego odpowiedzi. Napisał do pastora, do którego parafii należała ta plucha, i starał się jak gdyby uciszyć sprawę; widząc to, przestałem się mieszać. Byłem tylko zdumiony, aby człowiek tak plugawy mógł do tego stopnia doprowadzić kunszt obludy, iż zdołał mnie wprowadzić w błąd swą wstrzemięźliwością, i to w tak bliskich stosunkach.

Ze Strasburga udał się Sauttersheim szukać fortuny do Paryża, gdzie wszelako znalazł tylko nędzę. Napisał do mnie, wyznając swoje *peccavi*<sup>249</sup>. Serce mi się poruszyło na wspomnienie dawnej przyjaźni: posłałem mu nieco pieniędzy. Na przyszły rok, przejeżdżając przez Paryż, zastałem go mniej więcej w tym samym stanie, ale w wielkiej przyjaźni z panem Laliaud; przy czym niepodobna mi było dojść, skąd i od jak dawna była mu ta znajomość. W dwa lata później Sauttersheim powrócił do Strasburga, skąd napisał do mnie; wkrótce potem umarł w tym mieście. Oto w krótkości dzieje naszej znajomości i wszystko, co wiem o nim; ale bolejąc nad losem nieszczęśliwego młodego człowieka, nie przestanę nigdy wierzyć, iż była to natura szlachetna i że cały nierząd jego postępowania był następstwem sytuacji, w których się znalazł.

Takie były nabytki, jakie w zakresie stosunków i znajomości poczyniłem w Motiers. Ileż trzeba by podobnych, aby wynagrodzić okrutne straty, które poniosłem w tym samym czasie!

Pierwszą była śmierć pana de Luxembourg, który, długo dręczony przez lekarzy, stał się w końcu ich pastwą. Umarł na pedogre, której nie chcieli uznać, siląc się go wyleczyć na przekór naturze.

Jeżeli mam w tej mierze polegać na sprawozdaniu, które mi przesłał La Roche, zaufany człowiek pani marszałkowej, jakże bardzo przykład ten, równie okrutny jak pamiętny, każe ubolewać nad nędzą wielkości!

Strata tego zacnego pana była mi nad wyraz dotkliwą. Był to jedyny prawdziwy przyjaciel, jakiego miałem we Francji; słodycz jego charakteru pozwalała mi zupełnie zapomnieć o jego stanowisku i przywiązać się doń jak do równego sobie. Stosunki nasze nie urwały się przez mój wyjazd; marszałek pisywał do mnie jak wprzód. Miałem wszelako uczucie, iż nieobecność lub nieszczęście, w które popadłem, osłabiły jego przyjaźń. Bardzo to rzecz trudna, aby prawdziwy dworak zachował niezmiennie przywiązanie do kogoś, o kim wie, że jest w niełasce u władz. Przekonałem się zresztą, iż wielki wpływ, jaki miała nań pani de Luxembourg, nie był dla mnie pomyślny i że skorzystała z mego oddalenia, aby mi zaszkodzić w oczach męża. Co do niej, mimo niejakiich wymuszonych i coraz rzadszych objawów, z każdym dniem mniej ukrywała, w stosunku do mnie, swą odmianę. Napisała do mnie kilka razy, w znacznych odstępach czasu, do Szwajcarii, po czym przestała pi-

<sup>248</sup>plucha (daw.) — flejtuch, brudas. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>peccavi (łac.) — zgrzeszyłem. [przypis edytorski]

sywać zupełnie. Trzeba było całego uprzedzenia, ufności, zaślepienia, w którym trwałem jeszcze, aby nie widzieć w tym czegoś więcej, prócz ochłodzenia z jej strony.

Księgarz Guy, współnik Duchesne'a, który od czasu znajomości ze mną bywał często w pałacu de Luxembourg, doniósł mi, iż nazwisko moje znalazło się w testamencie pana marszałka. Było to równie naturalne jak podobne do wiary, toteż nie wątpiłem o tym. To mi kazało zastanowić się w duchu, jak zachowałbym się wobec zapisu. Wszystko dobrze zważywszy, postanowiłem przyjąć legat bez względu na jego treść, oddać tym zaszczyt godnemu człowiekowi, który, na stanowisku zazwyczaj niedostępnym dla przyjaźni, żywił ją dla mnie tak szczerze. Nie miałem sposobności spełnić tego obowiązku, nie słyszałem już bowiem później nic o tym zapisie, prawdziwym czy rzekomym; i po prawdzie byłoby mi przykro naruszyć jedną ze swoich fundamentalnych zasad moralnych, czerpiąc jakąś korzyść ze śmierci kogoś, kto mi był drogi. W czasie ostatniej choroby wspólnego przyjaciela, Mussarda, Lenieps doradził mi, abym skorzystał z tkliwości, jaką budziła w nim nasza pieczołowitość, i podsunął mu jakieś rozporządzenie na naszą korzyść. „Ach, drogi Lenieps — rzekłem — nie kalajmy interesownymi myślami smutnych, lecz świętych powinności, jakie oddajemy umierającemu przyjacielowi. Mam nadzieję, iż nigdy nie znajdę się w niczym testamencie, a zwłaszcza nigdy w testamencie żadnego z przyjaciół”. Mniej więcej w tym samym czasie milord marszałek wspomniął mi o swoim testamencie, o tym, co miał zamiar uczynić dla mnie; dałem odpowiedź, którą wspomniałem w pierwszej części.

Druga strata, bardziej dotkliwa jeszcze i niepowetowana, dotyczyła najlepszej z kobiet i matek, która, przygnieciona już nad miarę chorobami i nędzą, opuściła tę dolinę łez. Przeniosła się do rajy cnotliwych, tam gdzie lube wspomnienie zacnych uczynków spełnionych na ziemi zyskuje wiekuiącą nagrodę. Idź, duszo słodka i dobroczynna, zasiądź koło Fenelonów, Bernexów, Catinatów i tych, którzy mimo iż mniej wysoko postawieni przez los, otworzyli jak oni serce prawdziwemu miłosierdziu; idź kosztować owoców swej cnoty i przygotować wychowankowi miejsce, które spodziewa się kiedyś zająć wpodłe<sup>250</sup> ciebie. Szczęśliwaś w swoich nieszczęściach, iż niebo, kładąc im kres, oszczędziło ci okrutnego widowiska moich! Lękając się zasmucić serce mamusi opowieścią mych pierwszych klęsk, nie pisałem do niej od czasu przybycia do Szwajcarii; ale pisałem do pana de Conzié, aby zasięgnąć wiadomości. On to powiadomił mnie<sup>251</sup>, iż zacna dusza przestała nieść ulgę tym, co cierpieli, jak również przestała cierpieć sama. Niebawem i ja też przestanę cierpieć; ale gdybym mniemał, iż nie ujrzę jej w przyszłym życiu, moja słaba wyobraźnia nie umiałaby się pogodzić z pojęciem doskonałego szczęścia, które sobie w nim obiecuję.

Trzecią i ostatnią — odtąd bowiem nie posiadam już przyjaciół, których mógłbym stracić — była utrata milorda marszałka. Nie umarł; ale zbrzydźszy sobie ponoszenie trudów dla niewdzięczników, opuścił Neuchâtel i od tego czasu już go nie ujrzałem. Żyje i przeżyje mnie, mam nadzieję. Żyje i dzięki niemu nie wszystkie moje przywiązania zerwane są na ziemi: istnieje jeszcze człowiek godny mej przyjaźni; prawdziwa bowiem jej wartość tkwi jeszcze bardziej w uczuciu, które się odczuwa, niż w tym, które się budzi; ale straciłem słodycze, które czerpałem w jego dobroci. Mogę go już tylko postawić w rzędzie tych, których kocham jeszcze, ale z którymi nie łączą mnie stosunki. Milord marszałek udał się do Anglii, aby uzyskać dla siebie łaskę królewską i odkupić niegdyś skonfiskowane dobra. Rozstaliśmy się nie bez projektów spotkania, które zdawały się niemal równie słodkie dla niego co dla mnie. Zamierzał osiąść w swoim zamku Keith Hall, koło Aberdeen, i ja miałem tam się udać; ale projekt ten zbyt mi był miły, abym mógł się spodziewać jego urzeczywistnienia. Milord niedługo zabawił w Szkocji. Tkliwe nalegania króla pruskiego powołały go do Berlina, a niebawem okaże się, czemu nie mogłem tam za nim podążyć.

Przed wyjazdem, przewidując burzę, jaką zaczynano podnosić przeciw mnie, przesłał mi z własnej pobudki dekret naturalizacji<sup>252</sup>, który zdawał się bardzo pewną gwarancją,

Śmierć, Niebo

<sup>250</sup>wpodłe (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>On to powiadomił mnie... — w październiku 1762 Rousseau został zawiadomiony o śmierci pani Warens (zmarła 29 lipca). [przypis edytorski]

<sup>252</sup>naturalizacja — nadanie cudzoziemcowi obywatelstwa państwa, na terenie którego się osiedlił. [przypis edytorski]

iż nikt nie zdoła mnie wygnać z tego kraju. Gmina Couvet w Val-de-Travers poszła za przykładem gubernatora i dała mi dekret przynależności gminnej, bezpłatnie jak i tamten. Tak więc, stawszy się najformalniej obywatelem kraju, byłem bezpieczny od wszelkiego legalnego wydalenia, nawet ze strony monarchy; ale w prześladowaniu człowieka, który najściślej ze wszystkich przestrzegał szacunku dla praw, nie na legalnych drogach szukano najczęściej sposobów!

Nie sądzę, aby mi trzeba było liczyć między straty śmierć księdza de Mably, która nastąpiła w tym samym czasie. Mieszkając u jego brata, wszedłem z nim poniekąd w stosunki, ale nigdy zbyt bliskie, a mam niejaki powód przypuszczać, że uczucia jego dla mnie zmieniły charakter od tego czasu, odkąd sława moja zaczęła go przerastać. Ale dopiero po ogłoszeniu *Listów z gór* zauważyłem pierwszą oznakę jego złej woli. Obiegał w Genewie list do pani Saladin, który przypisywano księdzu de Mably, a w którym mówił o moim dziele jako o podżegającym wrzasku oszalałego demagoga. Szacunek, jaki miałem dla księdza de Mably, i wysokie pojęcie o jego rozumie nie pozwalały mi ani na chwilę przypuszczać, aby ten niedorzeczny list był jego pióra. Powziąłem w tej mierze postanowienie, zrodzone niemal odruchowo. Posłałem mu kopię listu, donosząc, iż obiegają pogłoski przypisujące go jemu. Nie dał żadnej odpowiedzi. Milczenie to zdziwiło mnie; ale można sobie wyobrazić me zdumienie, kiedy pani de Chenonceaux doniosła mi, że list jest w istocie pióra księdza Mably i że mój krok wprawił go w wielkie zakłopotanie. Bo, ostatecznie, gdyby nawet miał słuszność, w jaki sposób zdołałby usprawiedliwić głośne i publiczne wystąpienie, podjęte tak lekko, bez musu, bez obowiązku, bez innego celu, jak tylko aby w pełni jego nieszczęść pogłębić człowieka, któremu zawsze okazywał życzliwość i który nigdy nie stał się jej niegodny? W jakiś czas potem pojawiły się jego *Dialogi Focjona*<sup>253</sup>, w których ujrzałem jedynie kompilację moich pism, dokonaną bez wszelkich względów i bez wstydu. Uczulem, czytając tę książkę, iż autor rozstrzygnął już w swoim sercu mój los i że odtąd mogę się w nim spodziewać najzaciętszego wroga. Sądzę, iż nie przebaczył mi ani *Umowy społecznej*, zanadto przerastającej jego siły, ani *Wiekuistego pokoju*; i że jeżeli pragnął, abym sporządził wyciąg z księdza de Saint-Pierre, to dlatego, iż nie sądził, że wywiążę się tak dobrze z zadania.

Im dalej posuwam się w opowiadaniu, tym mniej mogę w nim zachować ciągłości i porządku. Niespokojny tok reszty mego życia nie zostawił wypadkom dość czasu, aby się mogły ułożyć w mej głowie. Były zbyt liczne, zbyt różnorodne, zbyt niemile, aby można je było opowiedzieć bez zmacania. Jedynym silnym wrażeniem, które mi zostały, jest uczucie straszliwej tajemnicy pokrywającej ich źródło oraz fakt oplakanego stanu, do jakiego mnie doprowadziły. Opowiadanie moje może już tylko posuwać się po omacku, wedle tego, jak myśli będą mi napływały do głowy. Przypominam sobie, iż w owej epoce, cały pochłonięty swymi *Wyznaniami*, mówiłem o nich bardzo nieopatrnie wszystkim wkoło, nie wyobrażając sobie nawet, aby ktokolwiek miał przyczynę, chęć lub władzę stawiać zapory temu przedsięwzięciu. Gdybym nawet zresztą to przypuszczał, tak samo nie byłbym bardziej dyskretny, jako iż charakter mój niezdolny jest zachować w ukryciu cokolwiek z tego, co czuję i myślę. Świadomość tego zamiaru stała się, o ile mogę sądzić, prawdziwą przyczyną burzy, którą wszczęto, aby mnie wygnać ze Szwajcarii i wydać mnie w ręce zdolne przeszkodzić wykonaniu mego zamysłu.

Miałem jeszcze i inny plan, również nie lepszym okiem widziany przez tych, którzy się tak obawiali *Wyznań*, mianowicie zbiorowe wydanie moich pism. Wydanie to zdawało mi się potrzebne, aby ustalić, które z książek noszących moje imię są w istocie mego pióra, i dać publiczności możność odróżnienia ich od owych pseudonimowych pism, które przeciwnicy przypisywali mi skwapliwie, aby mnie zdyskredytować i zniesławić. Poza tym, wydanie to było prostą i uczciwą drogą zapewnienia sobie chleba, a droga ta była zarazem jedyną. Wyrzekłszy się pisania książek (*Wyznania* nie mogły się ukazać za mego życia), nie zarabiając w żadnym sposobie ani szeląga, a wydając ciągle, widziałem rychły koniec swoich zasobów wraz z wyczerpaniem zysków z ostatniego dzieła. Ta przyczyna kazała oddać do druku *Dykcjonarz muzyczny*, mimo iż jeszcze daleki od wykończenia. Przyniósł mi sto ludwików gotówką i sto talarów dożywotniej renty; ale i tak trzeba

<sup>253</sup>W jakiś czas potem pojawiły się jego „Dialogi Focjona” — *Entretiens de Phocion sur le rapport de la morale avec la politique* (*Rozmowy Focjona o związku obyczajności z polityką*) ukazały się w roku 1763. [przypis edytorski]

było przewidywać niebawem koniec stu ludwików, skoro się wydawało rocznie więcej niż sześćdziesiąt; sto zaś talarów renty było niczym dla człowieka, na którego obieżyświaty i wydrwigrosze waliły się bez ustanku jak z rogu obfitości.

Złożyło się stowarzyszenie kupców z Neuchâtel dla zbiorowego wydania mych dzieł; drukarz czy księgarz z Lyonu nazwiskiem Reguillat zdołał, nie wiem jakim sposobem, wcisnąć się, aby je poprowadzić. Umowa, która stanęła, była nie najgorsza dla mnie i wystarczająca, aby spełnić mój cel. Pisma moje, tak drukowane, jak i te, które były jeszcze w rękopisie, przedstawiały materiał mogący wypełnić sześć tomów *in quarto*<sup>254</sup>; zobowiązałem się prócz tego czuwać nad wydaniem; w zamian oni mieli mi wypłacać dożywotnią pensję tysiąca sześćset funtów francuskich oraz tysiąc talarów jednorazowo.

(1765) Umowa była zawarta, ale nie podpisana, kiedy pojawiły się *Listy z gór*. Straszliwy wrzask, który się podniósł przeciw memu piekielnemu dziełu i jego ohydnemu autorowi, przeraził kompanię i przedsięwzięcie spełzło na niczym. Skutek tego ostatniego dzieła porównałbym do wrażenia *Listu o muzyce francuskiej*, gdyby nie to, że ów list, ściągając na mnie nienawiść i wystawiając na niebezpieczeństwo, zostawił mi bodaj poważanie i szacunek ogółu. Ale po tym ostatnim dziele można by mniemać, iż Genewa i Wersal dziwią się, że potwór taki jak ja oddycha jeszcze swobodnie. Mała Rada, podjudzana przez rezydenta Francji i kierowana przez generalnego prokuratora, wydała oświadczenie o moim dziele, w którym, pośród najbardziej krwawych epitetów, uznaje je jako niegodne spalenia ręką kata i dodaje ze zręcznością graniczącą z humorem, iż nie można bez zbzczenia się ani odpowiedzieć na nie, ani nawet poświęcić mu wzmianki. Chciałbym móc przepisać tutaj ten ciekawy dokument, ale na nieszczęście nie posiadam go i nie przypominam zeń sobie ani słowa. Pragnę gorąco, aby ktoś z moich czytelników, ożywiony zapalem prawdy i sprawiedliwości, zechciał odczytać w całości *Listy z gór*: odczuje, śmiem powiedzieć, stoiczne<sup>255</sup> umiarkowanie panujące w tym dziele, jeżeli zważy dotkliwie i okrutne zniewagi, którymi na wypródki walono w autora. Ale, nie mogąc odpowiedzieć na obelgi, ponieważ ich nie było, ani na rozumowania, ponieważ były bez repliki, panowie z Rady uciekli się do tego sposobu, aby udać oburzenie tak wielkie, iż nie pozwala im odpowiedzieć. Istotnie, jeżeli nieprzeparte argumenty panowie ci brali za obrazę, musieli się czuć silnie obrażeni.

Reprezentanci, dalecy od wniesienia skargi odnośnie do tej wstrętnej deklaracji, poszli drogą, którą im w niej wytyczono. Zamiast obnieść w tryumfie *Listy z gór*, z których po kryjomu uczynili sobie tarczę, okazali się na tyle tchórzami, iż nie oddali ani czci, ani sprawiedliwości temu pismu skreślonemu w ich obronie i na ich prośbę. Nie zacytowali go ani nie wymienili, mimo iż dobyli zeń po cichu wszystkie swoje argumenty i że ścisłość, z jaką poszli za radą zawartą w końcu tego dzieła, była jedyną racją ocalenia ich i zwycięstwa. Nałożyli mi ten obowiązek; spełniłem go; wytrwałem, aż do końca, w służbie ich ojczyzny i sprawy. Prosiłem ich, aby zapomnieli o mej egzystencji i aby w walkach swoich myśleli jedynie o sobie. Wzięli mnie za słowo; odtąd nie mieszałem się już do ich zwad, chyba po to, aby ich bez ustanku napominać do zgody, nie wątpiąc, iż jeżeli będą się upierać, zostaną zgniecenii przez Francję. Nie przyszło do tego; rozumiem przyczynę, ale nie tu miejsce ją wymieniać.

Wrażenie, jakie sprawiły *Listy z gór* w Neuchâtel, było zrazu bardzo umiarkowane. Posłałem egzemplarz panu de Montmollin; przyjął go dobrze i przeczytał, nie czyniąc zarzutów. Był chory, równie jak ja; wróciwszy do zdrowia, przyszedł odwiedzić mnie po przyjacielsku i nie wspominał o niczym. Mimo to hałas robił się coraz większy; spalono książkę nie wiem już gdzie<sup>256</sup>. Z Genewy, z Berna, z Wersalu może — ognisko wrzenia dostało się niebawem do Neuchâtel, a zwłaszcza do Val-de-Travers, gdzie nim nawet kler zdradził czymkolwiek na zewnątrz swoje poruszenie, zaczęto judzić lud za pomocą podziemnych podżegań. Miałem prawo do tego, mogę to rzec śmiało, aby lud tego kraju kochał mnie, tak jak mnie kochał wszędzie, gdzie przebywałem. Rozdawałem jał-

<sup>254</sup>*in quarto* — określenie formatu książki wielkości 1/4 arkusza, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>*stoiczny* — dziś: stoicki; zalecany przez staroż. filoz. szkołę stoików: charakteryzujący się umiarem, opamiętaniem i spokojem wewnętrznym niezależnym od sytuacji życiowych. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>*spalono książkę nie wiem już gdzie* — w Paryżu, równocześnie ze *Słownikiem filozoficznym* Woltera [oraz w Hadze; red. WL]. [przypis tłumacza]

mużny pełnymi dłońmi, nie zostawiałem bez pomocy żadnego biedaka, nie odmawiałem nikomu usługi, którą mogłem oddać i która by była zgodna ze sprawiedliwością. Nadto może spoufaląłem się z całym światem, uchylałem się z całej mocy przed wszelkim wyróżnieniem, które mogłoby obudzić zazdrość. Wszystko to nie przeszkodziło, że ludność, podburzona tajemnie nie wiem przez kogo, rozpałała się stopniowo przeciw mnie aż do wściekłości, lżyła mnie publicznie w biały dzień, nie tylko w polu i na drogach, ale wprost na ulicy. Ci, którym najwięcej wyświadczyłem dobrego, byli najzjadlejsi; ludzie, którzy w tej samej chwili korzystali z mej dobroci, nie śmiejąc wystąpić jawnie, podsycali innych. Można by rozumieć, iż chcą się zemścić w ten sposób za upokorzenie doznanych dobrodziejstw. Montmollin zdawał się nic nie widzieć i nie występował jawnie; ale ponieważ zbliżał się czas komunii, przyszedł do mnie, radząc, abym się wstrzymał od pojawienia się u Stołu Pańskiego<sup>257</sup>; poza tym upewniał, że nie ma do mnie pretensji i że zostawi mnie w spokoju. To ujęcie rzeczy zdało mi się dość osobliwe. Przypomniało mi ono list pani de Boufflers: nie mogłem pojąć, komu tak silnie zależy na tym, czy ja się będę komunikował<sup>258</sup> czy nie. Ponieważ uważałem tego rodzaju ustępstwo z mej strony jako akt tchórzostwa, ponieważ zresztą nie chciałem dawać ludowi nowego pretekstu do ogłoszenia mnie bezbożnikiem, odmówiłem wręcz pastelowi; odszedł niezadowolony, dając do zrozumienia, iż pożałuję swego kroku.

Pastor nie mógł mi wzbronić komunii własną powagą; trzeba było wyroku konsystorza, który mnie przyjął do gminy; póki konsystorz się nie wypowiedział, mogłem przystąpić śmiało do Stołu Pańskiego bez obawy wstrętów. Montmollin postarał się u „klasy”, aby mu dała zlecenie wezwania mnie przed konsystorz, dla odebrania wyznania wiary i ekskomunikowania w razie odmowy. Ekskomuniki tej również mógł dokonać tylko konsystorz, większością głosów. Ale chłopci, którzy pod nazwą „starszych” składają<sup>259</sup> to zgromadzenie, pod przewodnictwem i jak można odgadnąć, pod przemożnym wpływem swego pastora, nie mogli być oczywiście innego zdania, zwłaszcza w materiałach teologicznych, na których rozumieli się jeszcze mniej od niego. Wezwano mnie tedy i postanowiłem stanąć.

Jakaż szczęśliwa okoliczność i co za tryumf dla mnie, gdybym umiał mówić i gdybym miał, że się tak wyrażę, pióro swoje w ustach! Z jaką wyższością, z jaką łatwością zmiażdżyłbym biednego pastora wśród jego sześciu kmiotków! Żądza nagięcia mnie pod swoją władzę kazała zapomnieć duchowieństwu protestanckiemu wszystkich zasad Reformy<sup>260</sup>. Aby mu je przypomnieć i zmusić wrogów do milczenia, potrzebowałem jedynie rozwinąć pierwsze *Listy z gór*, o które mieli głupotę mnie zaczepić. Tekst był gotowy, wystarczyło go tylko wyzyskać, a byłbym zgnębił przeciwnika. Nie byłbym dość głupi, aby się trzymać jedynie w pozycji obronnej, łatwo mi było przejść do zaczepnej, tak że nawet nie byłby tego zauważył lub też nie zdołałby się obronić. Klechy z „klasy”, z nieopatrznością równą ich ignorancji, postawili mnie sami w położenie najpomyślniejsze w świecie: mógłbym zmiażdżyć ich wedle upodobania. Ale cóż! Trzeba było mówić, i to mówić z miejsca; znaleźć na poczekaniu myśli, zwroty, słowa; zachować umysł wciąż przytomny, mieć ciągle zimną krew, nie mieszać się ani na chwilę. Czegóż mogłem spodziewać się po sobie, ja, który czułem swą niezdolność do improwizowanych przemówień? Już raz byłem zmuszony, w Genewie, do najbardziej upokarzającego milczenia wobec zebrania najzyczliwiej usposobionego i z góry skłonnego przyjąć wszystko za dobrą monetę. Tu było wręcz przeciwnie; miałem do czynienia z mistrzem szykany, który stawiał chytrą w miejsce wiedzy, który by mi zastawił sto pułapek, nimbym spostrzegł jedną; z wrogiem zdecydowanym dowieść mi błędu za jaką bądź cenę. Im więcej rozpatrywałem położenie, tym bardziej zdało mi się niebezpieczne; czując niemożność wydobycia się zeń szczęśliwie, obrałem inny środek. Obmyśliłem przemówienie przeznaczone do wygłoszenia przed konsystorzem, aby uchylić jego kompetencję i uwolnić się od odpowiedzi. Rzeczą była bardzo łatwa: napisałem przemówienie i zacząłem się go uczyć na pamięć z nieprawdopodobnym zapałem. Teresa dworowała sobie ze mnie, słysząc, jak mamrocę i powtarzam bez ustanku te same zdania, starając się je wbić sobie w głowę. Spodziewałem się, iż mam

<sup>257</sup> *Stół Pański* (rel.) — w protestantyzmie: komunია. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *komunikować się* — tu: przyjmować komunię. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *składać coś* (daw.) — stanowić coś, tworzyć coś; składać się na coś. [przypis edytorski]

<sup>260</sup> *Reforma* — tu: reformacja. [przypis edytorski]



wreszcie wszystko, czego mi trzeba; wiedziałem, że kasztelan, jako namiestnik monarchy, będzie obecny na zebraniu; że mimo machinacji i kubanów<sup>261</sup> Montmollina większość „starszych” dobrze jest dla mnie usposobiona; miałem po swojej stronie rozum, prawdę, sprawiedliwość, poparcie króla, powagę Rady Stanu, sympatię patriotów, patrzących z niepokojem na tego rodzaju inkwizycję; wszystko zmierzało ku temu, aby mi dodać otuchy.

W wilię oznaczonego dnia umiałem mówić na pamięć; wyrecytowałem ją bez błędu. Odświeżałem ją sobie w głowie całą noc. Rano wszystko się gdzieś ulotniło; waham się przy każdym słowie, mam uczucie, że już stoję przed dostojnym zgromadzeniem, mieszam się, bełkocę, tracę głowę. Wreszcie, prawie w chwili gdy miałem się udać przed konsystorz, odwaga opuszcza mnie zupełnie; zostaję w domu i postanawiam napisać do konsystorza, wyluszczając pospiesznie swoje racje i powołując się na swe cierpienie, które w istocie w stanie, w którym znajdowałem się wówczas, z trudem byłoby mi pozwoliło wytrwać przez całe posiedzenie.

Pastor zakłopotany moim listem odłożył sprawę do następnego zebrania. W przerwie tej, i osobiście, i przez swoje kreatury, rozwijał tysiączne starania, aby skaptować tych starszych, którzy słuchając raczej głosu sumienia niż pastora, nie dzielili w tej sprawie przekonań „klasy” i jego. Mimo całej potęgi, jaką argumenty dobyte z piwniczki pastorskiej musiały mieć na ludzi tego rodzaju, nie zdołał pozyskać żadnego więcej, prócz dwóch czy trzech, którzy już byli mu oddani i których nazywano jego zaprzedańcami. Namiestnik królewski oraz pułkownik Pury, który okazał w tej sprawie wiele zapału, utrzymali tamtych na drodze uczciwości; kiedy Montmollin chciał przystąpić do ekskomuniki, konsystorz większością głosów odrzucił wnioszek. Pastor, skazany wówczas na ostatni środek podburzenia ludności, zabrał się ze współkolegami i innymi ludźmi do otwartej pracy w tym kierunku i uczynił to z takim powodzeniem, iż mimo energicznych i częstych reskryptów króla, mimo wszystkich rozkazów Rady Stanu, byłem wreszcie zmuszony opuścić kraj, aby nie narażać namiestnika królewskiego na to, aby sam padł z ręki morderców, w razie gdyby się upierał mnie bronić. Mam tak mętne wspomnienie całej tej sprawy, iż niepodobna mi zachować w opowiadaniu żadnego porządku, żadnej ciągłości myśli. Mogę je oddać jedynie tak, jak mi przychodzą, odosobnione i rozproszone. Przypominam sobie, iż miały miejsce jakieś negocjacje z „klasą”, przy czym Montmollin grał rolę pośrednika. Udał, że panuje obawa, abym pismami swoimi nie zakłócił spokoju tego kraju, który czyniono by może odpowiedzialnym za mą swobodę pisania. Dał mi do zrozumienia, iż gdybym się zobowiązał poniechać pióra, patrzono by przez palce na przeszłość. Przyjąłem już to zobowiązanie wobec samego siebie; nie wahałem się przyjąć go wobec „klasy”, ale warunkowo i tylko co się tyczy materii religijnych. Pastor znalazł sposób, aby uzyskać deklarację w dwóch egzemplarzach, pod pozorem jakiejś zmiany, której się domagał. Ponieważ „klasa” odrzuciła warunek, zażądałem zwrotu swego oświadczenia: oddał mi jeden egzemplarz, zachował zaś drugi, twierdząc, iż go zagubił. Następnie lud, jawnie podburzany przez pastorów, zadrwił sobie wręcz z reskryptów króla, rozkazów Rady Stanu i nie znał już żadnego hamulca. Okrzyczano mnie z ambony, nazwano antychrystem, ścigano we wsi jak wilkołaka. Mój strój armeński służył ludności jako znak rozpoznawczy, dotkliwie odczułem jego niedogodne strony; ale poniechać go w tych okolicznościach wydałoby mi się tchórzostwem. Nie mogłem się na to zdobyć; przechadzałem się spokojnie po okolicy w swoim kaftanie i wutowanej czapce, otoczony wyciem motłochu, niekiedy obrzucany kamieniami. Nieraz, przechodząc koło jakiegoś domu, słyszałem mieszkańców nawołujących się: „Dawajcie fuzję, niech strzelę do niego”. Nie przyspieszałem kroku: tym bardziej wściekali się o to, ale ograniczyli się do pogróżek, przynajmniej co się tyczy broni palnej.

Podczas tego wrzenia spotkały mnie wszelako dwie wielkie przyjemności, na które byłem bardzo tkliwy. Pierwszą było to, iż mogłem dopełnić aktu wdzięczności za pośrednictwem milorda marszałka. Wszyscy uczciwi ludzie z Neuchâtel, oburzeni traktowaniem, które cierpiełem, i machinacjami, których byłem ofiarą, nie posiadali dość słów pogardy dla pastorów, czując, iż idą w tym za obcymi poduszczeniami i że są jedynie narzędziami innych, którzy się kryją, każąc im działać za siebie. Postępowanie to bu-

<sup>261</sup> *kuban* (daw.) — łapówka. [przypis edytorski]

dziło słuszne obawy, iż przykład ten może się obrócić w zaród<sup>262</sup> formalnej inkwizycji. Urzędnicy, zwłaszcza pan Meuron, który zajął po panu d'Ivernois stanowisko generalnego prokuratora, czynili wszelkie wysiłki, aby mnie obronić. Pułkownik Pury, mimo iż człowiek zupełnie prywatny, robił jeszcze więcej i z lepszym skutkiem. On to znalazł sposób, aby poskromić Montmollina we własnym konsystorzu, utrzymując „starszych” przy ich obowiązku. Ponieważ miał wpływy, używał ich, ile mógł, aby wstrzymać rozruchy. Ale cóż! Miał jedynie powagę praw, sprawiedliwości i rozumu naprzeciw powagi pieniędzy i wina. Partia była nierówna, toteż w końcu Montmollin odniósł tryumf. Mimo to, wzruszony zapałem i gorliwością pułkownika, pragnąłem oddać mu usługę za usługę i wypłacić się do pewnego stopnia. Wiedziałem, że bardzo pragnie godności radcy stanu, ale zajmwszy stanowisko nie po myśli dworu w sprawie pastora Petitpierre<sup>263</sup>, popadł w niełaszkę u króla i u gubernatora. Ośmieliłem się wszelako napisać za nim do milorda marszałka: odważyłem się nawet wspomnieć o godności, której pragnie, i tak szczęśliwie, iż wbrew oczekiwaniu wszystkich król zamianował go niemal zaraz. Tak to los, który zawsze stawiał mnie równocześnie za wysoko i za nisko, i teraz miotał mną z jednej ostateczności w drugą: podczas gdy gmin obrzucał mnie błotem, ja kreowałem radcę stanu.

Drugą wielką przyjemnością była wizyta, którą zaskoczyła mnie pani de Verdelin, jadąca wraz z córką do kąpiel<sup>264</sup> w Bourbonne<sup>265</sup>; stamtąd wstąpiła do Motiers i zajęchała do mnie na parę dni. Siłą względów i starań pokonała wreszcie mój długi opór; serce moje, zwyciężone jej czułością, odpłacało w pełni przyjaźń, którą mi okazywała tak długo. Wzruszyły mnie te odwiedziny, zwłaszcza w okolicznościach, w których się znajdowałem. Bardzo potrzebowałem pociech przyjaźni, aby się nie ugiąć pod brzemieniem. Lękałem się, aby jej nie wzruszyły zbyt zniewagi, których doświadczałem ze strony ludności; byłbym chciał oszczędzić jej tego widoku, aby nie zasmucić jej serca. Jednakże okazało się to niepodobieństwem; mimo iż obecność pani de Verdelin powściągała nieco zuchwałców w czasie naszych przechadzek, i tak widziała ona dosyć, aby osądzić, co się musi dziać kiedy indziej. Podczas tych odwiedzin zaatakowano mnie pierwszy raz we własnym mieszkaniu. Pokojowa pani de Verdelin znalazła okno moje całe zasypane kamieniami, których narzucano w ciągu nocy. Bardzo ciężką ławkę, która, silnie przymocowana, stała na ulicy koło drzwi, wyrwano, podniesiono i ustawiono w ten sposób, iż gdybyśmy tego nie spostrzegli, zwałiliby się na pierwszą osobę, która by otworzyła drzwi wchodowe<sup>266</sup>. Pani de Verdelin wiedziała o wszystkim, poza tym bowiem, co widziała sama, zaufany jej służący, wielce zażyły z całą wsią, gwarzył ze wszystkimi, widziano go nawet rajcującego z Montmollinem. Mimo to zdawała się nie zwracać żadnej uwagi na to, co się dzieje, nie wspominała mi ani o Montmollinie, ani o nikim i zbywała milczeniem to, co jej czasem mówiłem w tej sprawie. Jedynie, zdając się przekonana, iż pobyt w Anglii bardziej byłby mi pomyślny niż jakiegokolwiek inne schronienie, mówiła mi wiele o panu Hume, który był wówczas w Paryżu, o jego przyjaźni dla mnie, o pragnieniu, które żywi, aby mi być w czym użyteczny. Jest czas powiedzieć coś o panu Hume.

Zyskał on wielką reputację we Francji, zwłaszcza między encyklopedystami, przez swoje handlowe i polityczne traktaty, a świeżo przez swoją *Historię domu Stuartów*<sup>267</sup>, jedyne z jego pism, z którego czytałem coś w przekładzie księdza Prévost<sup>268</sup>. Nie znając innych jego dzieł, przekonany byłem z tego, co mi o nim mówiono, że pan Hume łączy bardzo republikańską duszę z angielskimi paradoksami w obronie zbytku. Na podstawie tej opinii uważałem całą jego apologię Karola I za szczyt bezstronności i miałem rów-

<sup>262</sup>zaród — załazek, zaczątek. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>w sprawie pastora Petitpierre — Ferdinand Olivier Petitpierre, pastor w wiosce Ponts, został w 1758 oskarżony o wygłoszenie kazania, w którym zaprzeczał wieczności kar piekielnych; mimo pouczenia przez kolegium duchownych kalwińskich, obstawał przy swoich poglądach i w 1760 ponownie wygłosił je w kazaniu; decyzji władz duchownych o jego usunięciu sprzeciwili się parafianie, którzy zwrócili się do władz świeckich i poprosili o interwencję króla Fryderyka. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>do kąpiel (daw.) — do uzdrowiska z gorącymi źródłami. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>Bourbonne-les-Bains — miejscowość w pln.-wsch. Francji, uzdrowisko z gorącymi źródłami. [przypis edytorski]

<sup>266</sup>wchodowy (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>Historia domu Stuartów — wydana przez Hume'a w 1754, stała się częścią jego sześciotomowej *Historii Anglii* (1754–1761), która przyniosła mu sławę i niezależność finansową. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>Prévost, [Antoine (1697–1763)] — autor *Manon Lescaut*. [przypis tłumacza]

nie wielkie pojęcie o jego charakterze co o talencie. Pragnienie poznania tego rzadkiego człowieka i zyskania jego przyjaźni w znacznym stopniu zwiększyło pokusę udania się do Anglii, którą budziły we mnie nalegania pani de Boufflers, bliskiej przyjaciółki pana Hume'a. Przybywszy do Szwajcarii, otrzymałem od niego za pośrednictwem tej pani nadzwyczaj pochlebny list, w którym do najwyższych pochwał dla mego geniuszu dołączał naglące zaproszenie do Anglii, ofiarując cały wpływ własny i przyjaciół, aby mi pobyt ten uczynić przyjemnym. Pospieszyłem natychmiast do milorda marszałka, krajana i przyjaciela pana Hume'a; potwierdził dobre pojęcie, które miałem o nim, i opowiedział mi nawet w związku z jego osobą anegdotę, która go bardzo uderzyła i która mnie uderzyła tak samo. Wallace, który pisał przeciw Hume'owi w przedmiocie zaludnienia w starożytności, był nieobecny wówczas, gdy drukowano jego dzieło. Hume podjął się przeglądać korekty i czuwać nad wydaniem książki. Postąpienie to było w duchu mego charakteru. Podobnie ja sprzedawałem, po sześć su za sztukę, kopie piosenki, którą na mnie napisano. Byłem tedy pod każdym względem najlepiej uprzedzony do Hume'a, kiedy pani de Verdelin zaczęła w nader żywy sposób mówić o przyjaźni, którą rzekomo ma dla mnie, i o skwapliwości, z jaką pragnąłby mnie powitać jako swego gościa w Anglii; tego wyrażenia użyła pani de Verdelin. Nalegała bardzo, abym skorzystał z tej gorliwości i napisał do pana Hume'a. Ponieważ nie miałem z natury sympatii do Anglii i byłbym skłonil się do tego postanowienia jedynie w ostateczności, nie chciałem pisać ani przyrzekać; ale zostawiłem jej swobodę uczynienia wszystkiego, co uzna za stosowne, aby utrzymać pana Hume'a w jego dobrym usposobieniu. Opuszczając Motiers, zostawiła mnie w przekonaniu, dzięki wszystkiemu, co mi mówiła o tym znamienitym człowieku, że jest on moim szczerym przyjacielem, a ona, więcej jeszcze, moją przyjaciółką.

Po wyjeździe pani de Verdelin Montmollin podwoił zabiegi i ludność straciła już wszelki hamulec. Mimo to przechadzałem się, jak zazwyczaj, spokojnie wśród wycia i zniewag; zamilowanie do botaniki, które obudziło się we mnie w towarzystwie doktora d'Ivernois, dając nowe zainteresowanie mym przechadzkom, sprawiło, iż przebiegałem całą okolicę, herboryzując, bez troski o wrzaski motłochu, którego wściekłość zdawała się rosnać jeszcze pod wpływem mej zimnej krwi. Rzeczą, która dotknęła mnie najboleśniej, było to, iż widziałem, jak rodziny moich przyjaciół<sup>269</sup>, lub noszących bodaj to miano wchodzą dość otwarcie w ligę z mymi prześladowcami. Tak czyniła rodzina d'Ivernois, nie wyjmując<sup>270</sup> nawet brata i ojca mojej milej Izabeli, tak Boy la Tour, krewny przyjaciółki, u której mieszkalem, i pani Girardier, jej bratowa. Ów Piotr Boy był to taki cham, taki głupiec i zachowywał się tak brutalnie, iż aby nie wpaść w gniew, pozwoliłem sobie zażartować zeń. Napisałem, w guście *Małego proroka*, broszurkę na kilka stron, zatytułowaną *Widzenie Piotra z Gór, zwanego Jasnowidem*, w której udało mi się zadworować z cudów, stanowiących wówczas główny pretekst mego prześladowania. Du Peyrou kazał wydrukować w Genewie ten świstek, który zyskał w kraju jedynie mierne powodzenie: Nefchatełczycy, przy całym swym humorze, nie rozumieją się na soli attyckiej<sup>271</sup> ani na żarcie, o ile jest trochę wybredniejszy.

Włożyłem nieco więcej starania w inny utwór, napisany w tym samym czasie, którego rękopis znajdzie się w moich papierach, a którego przedmiot trzeba mi tu przytoczyć.

Podczas największego szału dekretów i prześladowania Genewczycy wyróżnili się osobliwie, krzycząc „gwałtu!” ze wszystkich sił. Między innymi przyjaciel mój Vernes<sup>272</sup>, z istic teologiczną szlachetnością, wybrał właśnie ten czas, aby wydać przeciwko mnie li-

<sup>269</sup>widziałem, jak rodziny moich przyjaciół [...] wchodzą dość otwarcie w ligę z mymi prześladowcami — fatalność ta zaczęła się za mego pobytu w Yverdon. Kiedy młodszy Roguin umarł w rok czy dwa po moim wyjeździe z miasta, stary Roguin miał tę uczciwość, aby mi donieść z boleścią, iż znaleziono w papierach jego krewnego dowody, iż maczał palce w spisku mającym na celu wygnanie mnie z Yverdon i ze stanu berneńskiego. Dowodziło to bardzo jasno, iż spisek ten nie był, jak starano się wmówić, sprawką bigotów, ile że baneret Roguin nie tylko nie był dewotem, ale posuwał materializm i niedowiarstwo aż do nietolerancji i do fanatyzmu. Poza tym nikt w całym Yverdon tak mi nie nadskakiwał, nie obsypywał mnie czułościami, pochwałami i pochlebstwami co właśnie ów jegomość. Trzymał się wiernie ukochanego planu moich prześladowców. [przypis autorski]

<sup>270</sup>nie wyjmując — dziś: nie wyłączając. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>sól attycka — tradycyjne określenie ciętego, lecz eleganckiego dowcipu; od Attyki, krainy greckiej, w której położone są Ateny. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>Vernes, Jacob (1728–1791) — teolog protestancki, pastor w Genewie, znany z korespondencji z Wolterem i Rousseau. [przypis edytorski]

sty<sup>273</sup>, w których silił się dowieść, że nie jestem chrześcijaninem. Listy te, pisane tonem wielkiego zarozumienia<sup>274</sup>, nie były zbyt szczególne, mimo że — jak twierdzono — naturalista Bonnet<sup>275</sup> przykładał do nich rękę: Bonnet bowiem, mimo iż materialista, skoro tylko chodzi o mnie, zaleca się bardzo niewyrozumiałą ortodoksją. Nie miałem oczywiście chęci odpowiadać na to pismo; ale ponieważ nastęrczyła się sposobność wspomnieć o nim słówko w *Listach z gór*, wsunąłem tam dość wzdurliwą notkę, która doprowadziła Vernes'a do furii. Napelnił Genewę krzykami wściekłości; d'Ivernois powiadała mi, iż po prostu szaleje. W jakiś czas potem ukazał się bezimienny świstek, o którym można by rzec, iż pisany jest nie atramentem, ale wodą Flegetonu<sup>276</sup>. Oskarżano mnie w tym liście, iż, porzuciwszy dzieci swoje na ulicy, włokę za sobą ladacnicę z kordegardy<sup>277</sup>, że jestem wyniszczony rozpustą, zgniły od przymiotnej<sup>278</sup> choroby i inne podobne słodycze. Nietrudno mi było poznać rękę autora<sup>279</sup>. Czytając to pisemko, mogłem dumać nad istotną wartością wszystkiego, co się u ludzi nazywa sławą i reputacją, widząc, jak traktuje się jako wycierucha domów publicznych człowieka, którego noga nie powstała tam w życiu i którego największą wadą jest to, iż zawsze był nieśmiały i wstydlivy jak dziewica. Przedstawiono mnie jako zżartego kiłą, mnie, który nie tylko nie miałem w życiu swoim najmniejszego śladu choroby tego rodzaju, ale którego nawet ludzie zawodowi uważali za niezdolnego, wskutek warunków swej konstytucji<sup>280</sup>, do nabycia czegoś podobnego. Wszystko dobrze zważywszy, osądziłem, iż nie mogę lepiej odeprzeć tej szmaty niż dając ją drukować w mieście, gdzie najdłużej przebywałem: posłałem ją Duchesne'owi, kazać wydrukować tekst dosłownie, z dopiskiem, w którym wymieniłem pana Vernes, i kilkoma krótkimi notatkami dla wyjaśnienia faktów. Nie zaspokojony tym, iż kazałem przedrukować ten świstek, posłałem go różnym osobom, między innymi księciu Ludwиковi Wirtemberskiemu, który okazał mi pierwszy względy nader pochlebne i z którym byłem wówczas w korespondencji. Ten książę, du Peyrou i inni zdawali się wątpić, aby Vernes był autorem broszurki i ganili mnie, iż wymieniłem go zbyt lekkomyślnie. Pod wpływem ich przedstawień zbudził się we mnie skrupuł: napisałem do Duchesne'a, aby zniszczył ten świstek. Guy doniósł mi, że go zniszczył; nie wiem, czy to uczynił; okazał się kłamcą w tylu okolicznościach, iż nie byłoby cudu, gdyby nim był i tym razem; odtąd zaś pograżyłem się w te głębokie ciemności, przez które niepodobna mi przeniknąć prawdy zgoła w niczym.

Pan Vernes zniósł moje posądzenie z umiarkowaniem więcej niż osobliwym u człowieka, który by na nie nie zasłużył, zwłaszcza jeżeli porównać je z wściekłością objawianą poprzednio. Napisał do mnie parę bardzo wstrzemięźliwych listów, które zdawały się mieć ten cel, aby z moich odpowiedzi przeniknąć, do jakiego stopnia jestem poinformowany i czy mam jaki dowód przeciw niemu. Przesłałem mu dwie odpowiedzi, krótkie, suche, twarde w treści, ale wolne od niegrzeczności w formie; nie uczuł się dotknięty. Na trzecim liście, widząc, iż chce nawiązać coś w rodzaju korespondencji, nie odpowiedziałem już: zwrócił się do mnie za pośrednictwem pana d'Ivernois. Pani Cramer napisała do du Peyrou, że pewna jest, iż broszurka nie jest pióra Vernes'a<sup>281</sup>. Wszystko to nie zachwiało mego przekonania; ale ponieważ ostatecznie mogłem się mylić i w takim razie winien byłam Vernes'owi niewątpliwie zadośćuczynienie, kazałem mu powiedzieć przez pana d'Ivernois, iż gotów mu jestem dać pełną satysfakcję, jeśli potrafi wskazać prawdziwego autora bro-

<sup>273</sup>wydać przeciwko mnie listy — *Lettres sur le Christianisme de J. J. Rousseau* (Listy o chrystianizmie J. J. Rousseau), opublikowane w lipcu 1763. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>zarozumienie (daw.) — zarozumiałość. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>Bonnet, Charles (1720–1793) — znakomity filozof i naturalista szwajcarski. [przypis tłumacza]

<sup>276</sup>Flegeton (mit. gr.) — płomienista rzeka w podziemnej krainie umarłych; w *Boskiej komedii* (Pień XIV) Dantego Flegeton jest rzeką wrzącej krwi w siódmym kręgu Pieńka. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>kordegarda — wartownia straży pałacowej. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>przymiotna choroba a. przymiot (daw.) — kiła, syfilis. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>Nietrudno mi było poznać rękę autora — autorem tego pisma, pt. *Sentiments des citoyens*, był w istocie — jak to dziś z pewnością wiadomo — nie kto inny, tylko Wolter. [Przyczyną zacieklej reakcji Woltera było publiczne ujawnienie przez Rousseau w *Listach z gór*, że to Wolter był autorem anonimowego *Kazania pięćdziesięciu* (*Sermon des cinquante*, 1749), zjadliwego ataku na chrześcijaństwo; red. WL] [przypis tłumacza]

<sup>280</sup>konstytucja — tu: indywidualne cechy budowy ciała. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>Pani Cramer napisała do du Peyrou, że pewna jest, iż broszurka nie jest pióra Vernes'a — pani Cramer to żona jednego z braci Cramer, wydawców Woltera. Wiedziała, kto jest autorem broszury, ale nie mogła podać nazwiska. [przypis edytorski]

szurki lub bodaj dowieść, że nim nie jest. Uczyniłem więcej: czując, iż ostatecznie, jeżeli nie jest winny, nie mam prawa wymagać, aby mi cośkolwiek udowodniał, zdecydowałem się spisać, w dość obszernym memoriale, pobudki mego przeświadczenia i przedłożyć je sądowi arbitra, którego Vernes nie będzie mógł odrzucić. Nikt by nie zgadł, kto był arbitrem, którego wybrałem: Rada Genewy. Oświadczyłem na końcu memoriału, iż jeżeli — dobrze rozpatrzywszy rzecz i przeprowadziwszy dochodzenia, które uzna za potrzebne i które ma możność z powodzeniem skutecznic — Rada oświadczy, iż pan Vernes nie jest autorem broszury, w tej chwili szczerze przestanę go o to posądzać, pospieszę rzucić się do jego stóp i błagać o przebaczenie. Śmiem powiedzieć, iż nigdy zapal dla słuszności, nigdy prawości, szlachetności mej duszy, nigdy zaufanie moje w miłość sprawiedliwości wrodzoną wszystkim sercom, nie ujawniły się bardziej pełno, namacalnie niż w tym rozroptanym i wzruszającym memoriale, gdzie brałem bez wahania najbardziej nieubłaganych nieprzyjaciół za arbitrow pomiędzy swoim potwarcą a sobą. Odczytałem to pismo w obecności du Peyrou: był zdania, aby je cofnąć; cofnąłem. Radził mi czekać dowodów, które Vernes przyrzekał; czekałem i czekam jeszcze; radził mi w oczekiwaniu ich milczeć; umilkłem i będę milczał całe życie, ścierpiawszy naganę, iż obciążylem Vernes'a posądzeniem ciężkim, fałszywym i bez dowodu, mimo że pozostaję w sercu przekonany, pewny, tak jak tego, że istnieję, iż on jest autorem broszury. Memoriał mój znajduje się w rękach pana du Peyrou. Jeżeli ujrzy kiedy światło dzienne, świat znajdzie tam moje racje i pozna, mam nadzieję, duszę Jana Jakuba, którą współcześni moi zapoznawali<sup>282</sup> tak uparcie.

Czas przyjsć do katastrofy w Motiers i do mego wyjazdu z Val-de-Travers, po dwóch i pół latach pobytu, a ośmiu miesiącach niewzruszonej stałości w znoszeniu najniegodniejszego obchodzenia. Niepodobieństwem mi jest przypomnieć sobie jasno wszystkich szczegółów tej przykłej epoki; ale znajdują się w relacji, jaką wydał o nich du Peyrou. Będę miał sposobność mówić o niej w dalszym ciągu.

Od wyjazdu pani de Verdelin wrzenie stało się coraz żywsze. Mimo ponawianych reskryptów królewskich, mimo częstych zarządzeń Rady Stanu, mimo starań kasztelana i miejscowych urzędników, lud, uważając mnie po prostu za antychrysta i widząc, iż wszystkie jego wrzaski są daremne, w końcu, jak się zdaje, zapragnął wejść na drogę gwałtu. Już po gościńcach kamienie zaczynały latać w mą stronę, rzucone wszelako z nazbyt daleka, aby mnie mogły dosięgnąć. Wreszcie w noc jarmarku w Motiers, który przypada z początkiem września, zaatakowano mnie we własnym domku, w sposób mogący grozić życiu tych, którzy go zamieszkiwali.

O północy usłyszałem wielki hałas w ganku biegnącym wzdłuż tylnej ściany. Grad kamyków, rzuconych w okna i drzwi wychodzące na ten ganek, spadł z takim hałasem, iż pies mój, który sypiał w ganku, zaczął zrazu szczeleć, a potem umilkł z przestachu i skrył się w kącie, kłując i drapiąc deski w poszukiwaniu drogi do ucieczki. Wstaję z łóżka na ten hałas; już miałem wyjść z pokoju, aby przejść do kuchni, kiedy kamień rzucony silną ręką przeleciał kuchnię, wybiwszy szybę w oknie. Otworzywszy drzwi do mego pokoju, padł u stóp łóżka; gdybym się pospieszył o sekundę, otrzymałbym go w same piersi. Poznałem, iż hałas uczyniono umyślnie, aby mnie zwabić, kamień zaś rzucono, aby mnie powitać, gdy będę wychodził z pokoju. Biegnę do kuchni. Zastaję Teresę, która też wstała i która, cała drżąca, przybiegła do mnie. Przyciskamy się do ściany, poza światłem okna, aby uniknąć pocisków i zastanowić się, co należy czynić: wyjść bowiem z domu, aby wołać o pomoc, groziło niebezpieczeństwem życia. Na szczęście służąca jakiegoś staruszka, który mieszkał pode mną, wstała, usłyszawszy hałas, i pobiegła wołać kasztelana, naszego najbliższego sąsiada. Wyskakuje z łóżka, wdziewa spiesznie szlafrok i przybywa natychmiast ze strażnikiem; odbywał właśnie tej nocy ront<sup>283</sup> z okazji jarmarku i znalazł się w pobliżu. Kasztelan tak się przeraził, ujrawszy spustoszenie, że aż zbladł; na widok kamieni, których cały ganek był pełny, wykrzyknął: „Mój Boże! To nagroda życia!”. Zwiedzając parter, stwierdził, iż drzwiczki od dziedzińca były wyłamane i że starano się wtargnąć przez ganek. Kiedy później wszczęto dochodzenie, dlaczego strażnik nie zauważył rozruchów lub nie przeszkodził im, stwierdzono, iż ludzie z Motiers uparli

<sup>282</sup>zapoznawać kogoś (daw.) — nie doceniać kogoś; przeoczać; zapominać o kimś. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>ront (daw.) — patrol. [przypis edytorski]

się sprawować straż tej nocy poza zwykłym porządkiem, mimo że była kolej innej wsi. Nazajutrz kasztelan wysłał raport o całym zajściu do Rady Stanu, która w dwa dni później przesłała mu rozkaz przeprowadzenia śledztwa, przyrzekając nagrodę i sekret tym, którzy wskażą winnych. Na razie zalecono postawić na koszt króla straż pod domem oraz pod domem kasztelana, który doń przylegał. Nazajutrz pułkownik Pury, generalny prokurator Murrion, kasztelan Martinet, poborca Guyenet, skarbnik d'Ivernois i jego ojciec, słowem, co było znaczniejszego w mieście, przyszli mnie odwiedzić. Wszyscy zjednoczyli swe prośby, nakłaniając, bym zgodził się ustąpić burzy i opuścił bodaj na jakiś czas parafię, gdzie niepodobna mi już żyć z czcią i bezpieczeństwem. Spostrzegłem nawet, iż kasztelan, przerażony wściekłością rozszalałego ludu i lękając się, aby nie dosięgła i jego, bardzo byłby rad wyprawić mnie co rychłej, aby nie mieć kłopotu chronienia mnie i aby móc samemu opuścić tę miejscowość: jakoż uczynił to po mym wyjeździe. Ustąpiłem tedy, nawet z niewielką przykrością; widok bowiem nienawiści ludu przyprawiał mnie o rozdarcie serca, którego nie mogłem już udźwignąć.

Miałem do wyboru między rozmaitymi miejscami schronienia. Od powrotu do Paryża pani de Verdelin wspominała mi nieraz w listach o jakimś panu Walpole<sup>284</sup>, którego nazywała milordem. Donosiła, iż, ożywiony wielkim zapałem dla mnie, ofiaruje mi w jednym ze swych majątków schronienie, które malowała mi w najpowabniejszych barwach, wchodząc, odnośnie do mieszkania i życia, w szczegóły, które świadczyły, do jakiego stopnia milord Walpole zajmował się z panią de Verdelin tym projektem. Milord marszałek zawsze radził mi Anglię i Szkocję i również ofiarował mi *asylum* w swoich ziemiach; ofiarował mi też i inne, o wiele bardziej kuszące, w Poczdamie, blisko siebie. Doniósł mi o jednym odezwaniu się króla, które było jakby rodzajem zachęty, aby się tam udać. Księżna de Saxe-Gotha tak dalece liczyła na tę podróż, iż napisała do mnie, nalegając, bym ją odwiedził po drodze i zatrzymał się jakiś czas w jej rezydencji. Mimo to byłem tak przywiązany do Szwajcarii, że nie mogłem się zdobyć na to, aby ją opuścić, póki będzie mi możliwe w niej wyżyć. Obrąłem tę chwilę na wykonanie zamiaru, który zaprzętał mnie od kilku miesięcy, a o którym nie mogłem dotąd mówić, aby nie przerywać wątku.

Projekt ten polegał na tym, aby się osiedlić na Wyspie Św. Piotra, należącej do szpitala w Bernie, a położonej na jeziorze Biel<sup>285</sup>. W czasie pieszej pielgrzymki, jaką odbyłem w zeszłym roku wspólnie z panem du Peyrou, zwiedziliśmy tę wyspę; byłem nią tak zachwycony, że od tego czasu nie przestałem myśleć o tym, aby tam osiąść i zamieszkać na stałe. Największą przeszkodą było to, że wyspa należała do Berneńczyków, którzy przed trzema laty szpetnie wygnali mnie od siebie. Nie licząc, iż duma moja cierpiała nad tym, aby wracać do ludzi, którzy mnie tak źle przyjęli, miałem przyczyny się obawiać, iż tak samo nie zostawią mnie w spokoju na tej wyspie, jak nie zostawili w Yverdon. Poradziłem się w tej materii milorda marszałka. Myślał jak ja, iż Berneńczyki byliby bardzo radzi widzieć mnie zamkniętym na tej wyspie i trzymać jako zakład dzieł, które mógłbym tam napisać. Postarał się wy badać ich usposobienie w tym względzie przez niejakiego pana Sturlera, swego dawnego sąsiada z Colombier. Pan Sturler zwrócił się do naczelników stanu i, na ich odpowiedź, upewnił milorda marszałka, iż Berneńczyki, wstydząc się poprzedniego postępku, gorąco pragnęliby mnie widzieć w gościnie na Wyspie Św. Piotra i zostawiliby mnie w spokoju. Zanim się namyśliłem tam osiedlić, zebrałem dla większej pewności jeszcze nowe informacje przez pułkownika Chaillet, który oświadczył mi to samo; że zaś poborca wyspy otrzymał od swej władzy pozwolenie pomieszczenia mnie u siebie, sądziłem, iż nic nie ryzykuję, zamieszkując w jego domu, z milczącym zezwoleniem tak naczelnej władzy, jak właściciela; nie mogłem bowiem spodziewać się, iżby panowie Berneńczyki jawnie uznali niesprawiedliwość, którą mi wyrządzili. Czyniąc w ten sposób, zgrzeszyliby przeciw najbardziej niezłomnej maksymie wszystkich naczelników państwa.

Wyspa Św. Piotra, nazywana w Neuchâtel wyspą de la Motte, pośrodku jeziora Biel, ma około pół mili obwodu; ale na tej małej przestrzeni dostarcza wszystkich głównych

<sup>284</sup>Walpole, Horacy (1717–1797) — pochodzący z arystokratycznej rodziny pisarz angielski, żył długi czas we Francji, gdzie wiązała go serdeczna przyjaźń z margrabiną du Deffand. [przypis tłumacza]

<sup>285</sup>Biel, fr. Lac de Biemme, niem. Bielersee — jezioro w zach. Szwajcarii. Największym miastem nad jego brzegami jest dwujęzyczne Biemme (Biel). [przypis edytorski]

produktów potrzebnych do życia. Posiada pola, łąki, sady, las, winnice; całość zaś, dzięki właściwościom urozmaiconego i górzystego terenu, tworzy widok tym powabniejszy, ile że części wyspy odsłaniają się kolejno, stopniując w ten sposób wrażenie i każąc mniemać, iż wyspa większa jest, niż jest w istocie. Bardzo wyniosła terasa tworzy część zachodnią, obróconą ku Gleresse i Bonneville. Zasadzono na tej terasie długą aleję, wyciętą w środku w wielką naturalną altanę, gdzie podczas żniw zbiera się ludność sąsiednich wybrzeży, aby tańczyć i weselić się. Jest na wyspie jeden tylko dom, ale obszerny i wygodny, stanowiący mieszkanie poborcy i położony w zagłębieniu chroniącym go od wiatrów.

O kilkaset kroków od wyspy, od południa, znajduje się druga wyspa, o wiele mniejsza, nieuprawna i opuszczona, niegdyś, zdaje się, oderwana od tamtej przez burze. Wysepka ta, o jałowym i żwirowatym gruncie, rodzi jedynie wierzby i rdesty; znajduje się na niej wszelako wyniosłe wzgórze, pięknie porośnięte trawą i bardzo lube. Kształt jeziora posiada prawie regularny owal. Brzegi jego, mniej żyzne niż brzegi Jeziora Genewskiego lub Neuchâtel, tworzą mimo to wcale wdzięczną perspektywę, zwłaszcza w zachodniej części. Ta część jest bardzo ludna i okolona winnicami ciągnącymi się u stóp łańcucha gór, mniej więcej tak jak na Côte-Rôtie, z tą różnicą, że wino dają mniej dobre. Idąc z północy na południe, napotyka się tam wioski Saint-Jean, Bonneville, Bienne i Nidau, na samym końcu jeziora, wszystko przeplatane bardzo powabnymi siołami.

Takie było schronienie, które sobie umyśliłem i gdzie postanowiłem się osiedlić, opuszczając Val-de-Travers. Wybór ten był tak zgodny z moimi spokojnymi upodobaniami, z moją samotniczą i leniwą naturą, iż liczę go między najsłodsze i najżywiej porażające mnie marzenia. Zdawało mi się, że na tej wyspie będę bardziej oddzielony od ludzi, bezpieczniejszy od ich napaści, bardziej zapomniany, bardziej, słowem, zdany na słodczy kontemplacyjny życia. Byłbym pragnął tak zagrzebać się na tej wyspie, abym nie miał już styczności z resztą śmiertelnych. To pewna, iż uczyniłem, co w mej mocy, aby się uchronić od konieczności tych stosunków.

Chodziło o to, aby żyć; otóż, tak z powodu drożyzny produktów, jak trudności przewozu, życie drogie jest na tej wyspie, gdzie zresztą jest się zupełnie zdany na łaskę poborcy. Trudność tę usunął du Peyrou dzięki zawartemu ze mną układowi, wchodząc na miejsce tej spółki, która powzięła zamiar, poniechany następnie, zbiorowego wydania mych pism. Oddałem mu wszystkie rękopisy potrzebne w tym celu. Nakreśliłem plan i rozkład materiału. Dołączyłem zobowiązanie oddania mu wspomnień swego życia i uczyniłem go depozytariuszem wszystkich papierów, z wyraźnym warunkiem, że nie zrobi z nich użytku aż po mej śmierci, pragnąłem bowiem dokończyć spokojnie żywota, nie zaprzatając już sobą publiczności. Dzięki temu układowi dożywotnia renta, którą podjął mi się wypłacać, wystarczała mi do istnienia. Milord marszałek, odzyskawszy wszystkie swoje dobra, ofiarował mi pensję tysiąca dwustu franków: przyjąłem jedynie połowę. Chciał mi przesłać kapitał, ale nie przyjąłem, z obawy kłopotów z ulokowaniem. Oddał ten kapitał w ręce du Peyrou, który wypłaca mi dożywotnią rentę wedle stopy umówionej z fundatorem. Jednocześnie układ z du Peyrou, pensję milorda marszałka, której dwie trzecie przechodziły na Teresę po mej śmierci, i trzysta franków rocznie, które miałem u Duchesne'a, mogłem liczyć na przyzwoitą egzystencję i dla siebie i, po mej śmierci, dla Teresy. Zostawiałem jej pensję siedmiuset franków, tak z pensji Reya, jak milorda marszałka; nie miałem tedy przyczyn się obawiać, aby jej brakło chleba, równie jak mnie. Ale snadź było napisane, iż honor każe mi odtrącić wszystkie zasoby, które los i praca dały mi w ręce, i że umrę równie ubogim, jak żyłem. Czytelnik sam osądzi, czy, nie chcąc stać się ostatnim nędznikiem, mogłem dotrzymać układów, które zawsze starano się połączyć z mą hańbą, odejmując troskliwie wszystkie inne źródła, aby mnie zmusić do zgody na to poniżenie. I jakże byliby się domyślali drogi, którą obiorę w tej alternatywie? Wszak zawsze sądzili moje serce na miarę swoich!

Uspokojony co do warunków egzystencji, byłem bez troski w każdym innym względzie. Mimo iż dawałem wolne pole nieprzyjaciołom, zostawiałem w szlachetnym entuzjazmie, który podyktował moje pisma, w nieugiętej stałości zasad, świadectwo mojej duszy, zgodne z mą istotną naturą i życiem. Nie trzeba mi było innej obrony przeciw potwarcom. Mogli malować pod moim imieniem innego człowieka, ale oszukać mogli chyba tych, którzy chcieli być oszukani. Mogłem wydać życie swoje, od jednego do drugiego krańca, na pastwę ich komentarzy: byłem pewny, iż poprzez moje błędy i słabości,

poprzez mą niezdolność znoszenia jakiegokolwiek jarzma, ten, kto umie patrzeć, znajdzie zawsze człowieka sprawiedliwego, dobrego, wolnego od złości, nienawiści, zazdrości, gotowego zawsze uznać własne błędy, jeszcze bardziej gotowego zapomnieć cudzych, szukającego szczęścia w uczuciach pełnych miłości i słodczy i posuwającego we wszystkim szczerłość aż do nierozwagi, aż do najprawdopodobniejszej bezinteresowności.

Rozstawałem się więc niejako ze swą epoką i z współczesnymi; żegnałem się ze światem, grzebiąc się na tej wyspie na resztę dni; takie było bowiem me postanowienie. Tam to zamierzałem urzeczywistnić wreszcie moje ciągle dążenie do spokojnego, beczynnego życia, któremu aż dotąd poświęciłem bezużytecznie tę trochę energii i zdatności, jakimi mnie niebo obdarzyło. Wyspa ta miała się stać dla mnie wyspą Papimanii, tym szczęśliwym krajem, gdzie się śpi: „Więcej tam czynią, nic bowiem nie czynią”<sup>286</sup>.

To więcej było wszystkim dla mnie, zawsze bowiem mało byłem łakomy na sen: beczynność wystarcza mi i byłem nie robił nic, wołę śnić raczej na jawie niż we śnie. Wiek romantycznych projektów minął; dym chwały okazał się bardziej odurzający niż miły; zostawało mi już tylko, jako ostatnia nadzieja, żyć bez troski, w wiekuistym wczasy<sup>287</sup>. Oto życie błogosławionych na tamtym świecie; życie, z którego uczyniłem odtąd moje najwyższe szczęście na tej ziemi.

Ci, którzy zarzucają mi tyle sprzeczności, nie omieszkają wytknąć mi jej i tutaj. Rzekłem, iż beczynność towarzyskiego życia czyniła mi je nieznośnym: i oto szukam samotni jedynie po to, aby się oddać beczynności. Taki już jestem; jeżeli jest w tym sprzeczność, natura odpowiedzialna jest za nią, nie ja: ale, przeciwnie, tak dalece nie ma w tych rzeczach sprzeczności, iż właśnie przez to jestem zawsze sobą. Beczynność towarzystw jest zabójcza, ponieważ jest musowa; beczynność samotności jest uroczą, ponieważ jest swobodna i dobrowolna. W obcowaniu z ludźmi próżniactwo jest mi nieznośne, bo jestem do niego zmuszony. Muszę z konieczności siedzieć przymurowany do krzesła albo sterczeć jak żołnierz na pikiecie, nie mogąc ruszyć ręką ani nogą, nie śmiejąc ani biec, ani skakać, ani śpiewać, ani krzyżeć, ani gestykulować, kiedy mam ochotę, nie śmiejąc nawet marzyć, cierpiąc równocześnie całą nudę beczynności i mękę przymusu. Trzeba mi słuchać z uwagą wszystkich bredni, jakie mówią dokoła, wszystkich komplementów, jakie sobie świadczą, i dręczyć ustawicznie mózgownicę, aby ulokować z kolei moje łgarstwo i moje banialuki. I wy to nazywacie beczynnością! To praca galernika.

Beczynność, którą kocham, to nie owa próżniacza, która trwa z założonymi rękami w zupełnym bezwładzie i równie mało myśli, jak działa: jest to równocześnie beczynność dziecka, które jest bez ustanku w ruchu, nic nie robiąc, i beczynność gaduły, który miele językiem, podczas gdy ręce jego są w spokoju. Lubię zajmować się i bawić lada czym, zaczynać sto rzeczy i nie kończyć żadnej, chodzić tam i sam, jak mi przyjdzie fantazja, zmieniać co chwilę zamysły, wodzić okiem za muchą, śledząc jej poruszenia, wygrzebać z ziemi kawał skały, aby zobaczyć, co jest pod spodem, podjąć z zapalem pracę na dziesięć lat i rzucić ją bez żalu po dziesięciu minutach, słowem, wałęsać się cały dzień bez ładu i porządku i iść w każdej rzeczy jedynie za kaprysem chwili.

Botanika, taka, jak ją zawsze pojmowałem, i taka, jaka zaczynała się stawać mą namiętnością, była właśnie owym leniwym studium, zdolnym wypełnić moje życie i moje wczasy, nie zostawiając i miejsca na rozszalenie wyobraźni, ani też na nudę zupełnego bezrobocia. Błądzić niedbale po lasach i polach, uszczknąć machinalnie tu i tam to kwiat, to gałązkę, zbierać sobie zioła niemal na los szczęścia, obserwować po tysiąc razy też same rzeczy, a zawsze z tym samym zainteresowaniem, ponieważ zapominałem ich zawsze — oto na czym mogłem spędzić wieczność, nie nudząc się ani chwili. Mimo całej wytworności, cudowności, urozmaicenia budowy roślinnych tworów, nie uderzają one nieświadomego oka dostatecznie, aby je zająć. Ta stała analogia, a jednak zdumiewająca różnorodność panująca w ich organizacji przejmując zachwytem jedynie tych, którzy mają jakieś pojęcie o świecie roślinnym. Inni na widok wszystkich tych skarbów natury odczuwają jedynie tępy i jednostronny podziw. Nie widzą nic w szczególe, ponieważ nie wiedzą nawet, na co trzeba patrzeć; nie widzą także całości, ponieważ nie mają żadnego

<sup>286</sup> *Więcej tam czynią, nic bowiem nie czynią* — wiersz La Fontaine'a z utworu *Le Diable de Papefiguière* [1674, ze zbioru La Fontaine'a *Contes et nouvelles en vers* (Opowiadki i nowele wierszem); motyw wyspy Papimanii został przez La Fontaine'a zaczerpnięty z IV księgi *Gargantui i Pantagruela*; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>287</sup> *wczasy* (daw.) — odpoczynek, wytchnienie. [przypis edytorski]

Rozstanie

Nuda

Samotność

Natura, Nauka



pojęcia o tym łańcuchu stosunków i kombinacji, który przytłacza swym cudem umysł obserwatora. Byłem w tym szczęśliwym położeniu (a mój brak pamięci miał mnie w nim zawsze utrzymać), iż umiałem dość mało, aby na wszystko być wrażliwym. Różne rodzaje gruntu, na które wysepka, choć mała, była podzielona, nastęrczały mi dostateczną różnorodność roślin dla nauki i zabawy całego życia. Nie chciałem zostawić ani źdźbła trawki bez zanalizowania go i gotowałem już na podstawie olbrzymiego zbioru ciekawych obserwacji przyszłe dzieło *Flora Petrinsularis*<sup>288</sup>.

Sprowadziłem Teresę wraz z książkami i sprzętami. Ulokowaliśmy się jako pensjonarze u dzierżawcy wyspy. Żona jego miała w Nidau siostry, które odwiedzały ją kolejno i stanowiły towarzystwo dla Teresy. Zakosztowałem tam słodkiego życia, w którym byłbym pragnął strawić swoje dni: smak, który w nim znalazłem, posłużył jedynie na to, aby mi dać lepiej uczuć gorycz tego, które miało niebawem po nim nastąpić.

Zawsze namiętnie lubiłem wodę; widok jej pogrąża mnie w rozkosznym marzeniu, mimo że często bez określonego przedmiotu. Co dzień, ledwie wstawszy z łóżka, kiedy czas był ładny, biegłem na terasę wdychać ożywcze i świeże powietrze ranku i wodzić oczyma po horyzoncie tego pięknego jeziora, którego wybrzeża i zamykające je góry czarowały mój wzrok. Nie umiem znaleźć godniejszego holdu dla Bóstwa niż ten niemy podziw budzący się pod wpływem kontemplacji jego dzieł i nie wyrażający się za pomocą określonych aktów. Rozumiem, że mieszkańcy miast, którzy widzą jedynie mury, ulice i zbrodnie, bywają obojętni w rzeczach wiary; ale nie mogę zrozumieć, w jaki sposób ludzie ze wsi, zwłaszcza o ile żyją samotnie, mogą jej nie mieć. W jaki sposób dusza ich nie wznosi się po sto razy dziennie z uniesieniem ku sprawcy cudów, które ich otaczają? Co do mnie, to, zwłaszcza po wstaniu, zmordowany mymi bezsennymi nocami, z dawnego przyzwyczajenia skłonny jestem do tych wzlotów serca, które nie wymagają nużącego wysiłku myśli. Ale trzeba na to, aby oczy moje były porwane czarownym widokiem natury. W pokoju modłę się rzadziej i oschlej; ale na widok pięknego krajobrazu czuję się wzruszony nie mogąc wyrazić dlaczego. Czytałem, iż pewien mądry biskup, zwiedzając diecezję, spotkał starą kobietę, która za całą modlitwę umiała mówić jedynie: „O!”. Biskup rzekł: „Dobra kobieto, módl się zawsze w ten sposób; twoja modlitwa więcej jest warta niż nasze”. Ta najlepsza modlitwa jest też i moja.

Po śniadaniu z pośpiechem i niechęcią kreśliłem kilka oplakanych listów, wzdychając żarliwie do szczęśliwej chwili, gdy nie będę ich już pisywał wcale. Krzątałem się chwilę koło książek i papierów, raczej, aby je rozpakować i ułożyć niż aby czytać. Porządkowanie to, które było dla mnie pracą Penelopy<sup>289</sup>, dawało mi przyjemność wałęsania się przez jakiś czas; po czym przykrzyłem sobie to zajęcie i rzucałem je, aby spędzić kilka godzin rannych, które mi zostawały, na studiowaniu botaniki. Zajmował mnie zwłaszcza system Linneusza<sup>290</sup>; nabrałem doń namiętności, z której nigdy nie mogłem się zupełnie uleczyć, nawet kiedy poznałem jego pustkę. Ten wielki obserwator jest, moim zdaniem, jedynym obok Ludwiga<sup>291</sup>, który umiał spojrzeć na botanikę jako naturalista i jako filozof; ale nadto studiował ją w zielnikach i ogrodach, a nie dosyć w samej naturze. Co do mnie, który brałem za ogród całą wyspę, kiedy potrzebowałem uczynić albo sprawdzić jakąś obserwację, natychmiast z książką pod pachą biegłem do lasu lub na łąkę: tam kładłem się na ziemi koło rośliny, o którą chodziło, aby badać ją na żywo wedle upodobania. Ta metoda wielce mi posłużyła do poznania tworów roślinnych w ich naturalnym stanie, nim je wyhodowała i znieprawiała ręka człowieka. Powiadają, iż Fagon<sup>292</sup>, przyboczny lekarz Ludwika XIV, który nazywał i znał doskonale wszystkie rośliny Ogrodu Królewskiego,

Natura, Wiara

Wiara, Miasto, Wieś

Modlitwa

<sup>288</sup> *Flora Petrinsularis* (łac.) — Roślinność Wyspy Św. Piotra. [przypis edytorski]

<sup>289</sup> *Penelopa* (mit. gr.) — opisana w Odysei żona Odysusza, która przez 20 lat wiernie czekała na powrót męża z wojny trojańskiej. W tym czasie zwodziła ubiegających się o jej rękę zalotników, obiecując, że wyjdzie ponownie za mąż, gdy skończy tkąć całun dla teścia, lecz każdej nocy pruća robioną w dzień tkaninę. [przypis edytorski]

<sup>290</sup> *Linneusz*, właśc. *Carl von Linné* (1707–1778) — szw. przyrodnik, profesor Uniwersytetu w Uppsali, twórca systemu klasyfikacji organizmów żywych, zastosowanego w jego dziełach opisujących system natury oraz gatunki (gł. roślin): *Systema Naturae* (1735–1770), *Genera Plantarum* (1737) i *Species Plantarum* (1753). [przypis edytorski]

<sup>291</sup> *Ludwig, Christian Gottlieb* (1709–1778) — niem. botanik i lekarz. [przypis edytorski]

<sup>292</sup> *Fagon, Guy-Crescent* (1638–1718) — francuski lekarz i botanik, gł. lekarz nadworny Ludwika XIV, dyrektor Ogrodu Królewskiego. [przypis edytorski]

znalazłszy się na wsi, był tak zbity z toru, iż nie mógł rozeznaczyć się w niczym. Ze mną jest zupełnie odmiennie: rozumiem się cośkolwiek na dziele przyrody, nic na dziele ogrodnika.

Co się tyczy poobiedzia, to poświęcałem je wyłącznie swemu pędowi do próżniactwa i bez troski, idąc, bez żadnych prawideł, za natchnieniem chwili. Często, kiedy powietrze było spokojne, ledwie wstawszy od stołu, rzucałem się samotnie w małą łódeczkę, którą dzierżawca nauczył mnie kierować jednym wiosłem. Wpływałem na pełne jezioro. Chwila, w której odbijałem od brzegu, dawała mi radość, która przejmowała mnie wprost drżeniem, a której przyczyny niepodobna mi określić ani nawet dobrze pojąć. Było to chyba tajemne poczucie szczęścia, iż w tej chwili znajduję się poza sferą pościgu złych. Błądziłem następnie sam po jeziorze, zbliżając się niekiedy do brzegu, ale nie przybijając doń nigdy. Często, pozwalając płynąć łódce z wolą wiatru i wody, poddawałem się marzeniom bez treści, które mimo że niedorzeczne, niemniej przeto były lube. Wykrzykiwałem niekiedy z rozczuleniem: „O, naturo, o moja matko, otom jest pod twą jedyną strażą! Nie ma tu przebiegłego i zdrażliwego człowieka, który by się wciskał między ciebie a mnie”. Oddalałem się w ten sposób nieraz na jakie pół mili od ziemi: pragnąłbym, aby to jezioro było oceanem. Wszelako, aby się zastosować do życzeń mego biednego psa, który nie lubił w tym samym stopniu co ja tych postojów na wodzie, obierałem zwyczajnie jakiś cel: zwykle ograniczał się on do lądowania na małej wysepce. Przechadzałem się po niej godzinę lub dwie lub też wyciągałem się na szczycie wzgórzka na trawniku, podziwiając z rozkoszą jezioro i okolice, badając i dyssekując<sup>293</sup> wszystkie zioła, jakie znalazłem na sięgnięcie ręką, i budując sobie, jak drugi Robinson, urojone mieszkanie na tej wysepce. Polubiłem bardzo to wzgórze. Kiedy mogłem tam zawieźć na przechadzkę Teresę wraz z żoną dzierżawcy i jej siostrami, jakże dumnie się niosłem jako ich pilot i przewodnik! Zawieźliśmy uroczyscie na wysepkę króliki, aby ją zaludnić: nowe święto dla Jana Jakuba. Zaludnienie to uczyniło mi tę wysepkę jeszcze bardziej zajmującą. Odwiedzałem ją od tej pory częściej i z większą przyjemnością, aby śledzić ślady rozwoju nowych mieszkańców.

Do tych zabaw dołączyłem jedną, która przypominała mi rozkoszne życie w Charmettes i której pora roku sprzyjała osobliwie. Były to prace około zbioru jarzyn i owoców, które to mozoły oboje z Teresą dzieliliśmy z prawdziwą przyjemnością z dzierżawczynią i jej siostrami. Przypominam sobie, iż pewien Berneńczyk nazwiskiem Kirchberger<sup>294</sup>, przybywszy mnie odwiedzić, zastał mnie pod wielkim drzewem, z workiem przywiązanym u pasa i tak już pełnym jabłek, iż ledwie mogłem się ruszać. Nie byłem nierad z tego spotkania i kilku podobnych. Spodziewałem się, iż Berneńczycy, widząc naocznie, jaki użytek robię ze swoich wczasów, nie będą się kusili mącić ich swobodę i zostawią mnie w spokoju w mej samotni. Byłbym wolał być uwięziony w niej z ich woli niż z mojej: bardziej byłbym pewny, iż nic nie zakłóci mego spokoju.

Oto jeszcze jedno wyznanie, przy którym z góry pewien jestem niedowiarstwa czytelników, upierających się sądzić mnie zawsze wedle samych siebie, mimo iż musieli chyba dostrzec w biegu mego życia tysiąc skłonności niepodobnych do ich własnych. Co w tym najdziwniejsze, to iż odmawiając mi wszelkich dobrych lub obojętnych uczuć, których sami nie mają, zawsze są gotowi używać mi innych, tak złych, iż nawet nie zdolne byłyby powstać w sercu człowieka. Wówczas wydaje się im bardzo proste postawić mnie w sprzeczności z naturą i zrobić ze mnie potwora, jaki nie mógł nawet istnieć. Żadna niedorzeczność nie wydaje się im niewiarygodną, z chwilą gdy zmierza do tego, aby mnie oczernić; nic zwykłego nie wydaje się możliwe, z chwilą gdy zmierza ku temu, aby mi przynieść zaszczyt.

Ale co bądź by mogli mniemać lub mówić, mimo to będę nadal kreślił, czym był, co robił i myślał J. J. Rousseau, nie tłumacząc ani usprawiedliwiając jego uczuć i pojęć, ani nie dochodząc, czy inni myśleli tak jak on. Zasmakowałem tak bardzo w Wyspie Św. Piotra i pobyt ten tak bardzo mi odpowiadał, że skupiając wszystkie pragnienia w tej wyspie, szczerze pragnąłem nigdy jej już nie opuszczać. Odwiedziny, które należało mi oddać w sąsiedztwie, małe podróże do Neuchâtel, do Bienne, Yverdon, Nidau, które mnie

<sup>293</sup> *dyssekować* (daw.) — dokonywać rozbioru, szczegółowo analizować części czegoś; dokonywać sekcji. [przypis edytorski]

<sup>294</sup> *Kirchberger, Nicolas-Antoine* (1739–1799) — oficer szwajcarski, zachęcony przez Bernoulliego i Rousseau poświęcił się literaturze i filozofii, korespondował również z Eckartskausenem, Zimmermannem, Saint-Martinem. [przypis edytorski]

czekały, nużyły już z góry mą wyobraźnię. Każdy dzień spędzony poza wyspą zdawał mi się skradziony memu szczęściu; wyjść z kręgu tego jeziora znaczyło dla mnie wyjść ze swego żywiołu. Zresztą, doświadczenia przeszłości uczyniły mnie lęklwym. Wystarczało, by posiadanie czegoś było lube memu sercu, abym tym samym spodziewał się to utracić; toteż gorące pragnienie zakończenia swoich dni na tej wyspie nieodłączne było od obawy, iż będę zmuszony ją opuścić. Przyzwyczailem się chodzić co wieczora na wybrzeże, zwłaszcza kiedy jezioro było burzliwe. Czułem osobliwą przyjemność w widoku fal rozbryzgujących się u moich stóp. Widziałem w nich obraz zgiełku świata i spokoju mojej siedziby; rozkładałem się niekiedy nad tą słodką myślą, aż wreszcie czułem, iż lzy spływają mi z oczu. Spokój ten, którym sycilem się tak żarliwie, mąciła jedynie obawa, iż go postradam; ale obawa ta dochodziła do tego nasilenia, iż kaziła jego słodycz. Położenie moje zdawało mi się tak wątle, iż nie śmiałem na nim budować. „Ach! — powiadałem sobie — jakże chętnie zmieniłbym prawo opuszczenia tego miejsca, o które bynajmniej nie stoję<sup>295</sup>, na pewność zostania w nim na zawsze! Zamiast by mnie cierpiano z łaski, czemuż nie więżą mnie w nim siłą! Ci, którzy cierpią mnie w nim jeno, mogą w każdej chwili mnie wygnać; a czyż mogę się spodziewać, aby prześladowcy, widząc mnie oto szczęśliwym, pozwolili mi być nim nadal? Ach! to mało, iż dają mi żyć tutaj: chciałbym, aby mnie na to skazano, chciałbym być zmuszony zostać tu, aby nie być zmuszony stąd odejść”. Spoglądałem okiem zazdrości na szczęśliwego Michelego Ducret, który, spokojny w zamku Arberg, potrzebował jedynie chcieć być szczęśliwym, aby nim być. Wreszcie, pod wpływem tych refleksji oraz niepokojących przeczuc nowych burz wciąż gotowych zwalić się na mnie, zacząłem pragnąć, i to z żarliwością trudną do wiary, aby, miast cierpieć jedynie pobyt mój na tej wyspie, dano mi ją za wiekuiste więzienie. Mogę przysiąc, iż gdyby tylko ode mnie zależało skazać się na nie, byłbym to uczynił z największą radością, przekładając tysiąc razy konieczność spędzenia tam reszty życia nad niebezpieczeństwem wygnania stamtąd.

Obawa ta nie długo pozostała próżną. W chwili gdy najmniej się tego spodziewałem, otrzymałem list starosty z Nidau, w którego okręgu znajdowała się Wyspa Św. Piotra. W liście tym udzielał mi ze strony ich ekscelencji rozkazu opuszczenia wyspy i stanów. Czytając ten list, miałem uczucie, że śnię. Nic bardziej nienaturalnego, nieracjonalnego, nieprzewidzianego niż podobny rozkaz: raczej bowiem uważałem swe przeczucia jako niepokoje człowieka spłoszonego przebytymi nieszczęściami niż jako przewidywanie, które by miało jakiegokolwiek racje. Kroki, które poczyniłem, aby sobie zapewnić milczące przyzwolenie zwierzchności; spokój, z jakim patrzano na moje osiedlenie; odwiedziny wielu Berneńczyków i samego starosty, który obsypał mnie uprzejmościami i względami; ostrość pory roku, w której barbarzyństwem było wypędzać chorego człowieka — wszystko to kazało mi mniemać, wraz z wieloma osobami, iż rozkaz ten był wpływem jakiegoś nieporozumienia i że nieżyczliwi ludzie umyślnie wybrali czas zbiorów i nieobecności członków senatu, aby mi zadać ten cios.

Gdybym słuchał pierwszego oburzenia, wyjechałbym natychmiast. Ale dokąd się udać? Co począć u progu zimy, bez celu, bez przygotowania, bez przewodnika, pojazdu? Trzeba by chyba zostawić na łaskę losu wszystko: moje papiery, sprzęty, wszystkie sprawy. Trzeba mi było czasu, aby się zająć tym wszystkim, a nie było powiedziane w rozkazie, czy mi go udzieli. Ciągłość nieszczęść zaczynała osłabiać mój hart. Pierwszy raz uczułem, iż wrodzona duma ugina się pod jarzmem konieczności: mimo szemrań mego serca trzeba mi było zniżyć się do prośby o zwłokę. Zwróciłem się do pana de Graffenried z prośbą o objaśnienie. List jego zawierał bardzo żywe potępienie tego rozkazu, którego — jak pisał — udzielał mi jedynie z wielkim żalem; świadectwa bólu i poważania, jakimi ten list był przepełniony, zdawały mi się być łaskawym zaproszeniem, abym przed nim wynurzył me serce, co też uczyniłem. Nie wąpiłem nawet, iż list mój otworzy tym niedobrym ludziom oczy na ich barbarzyństwo i że jeśli nie odwołają tak okrutnego rozkazu, to udzieli mi racjonalnej zwłoki, może na całą zimę, abym mógł przygotować swoje przeniesienie i wybrać sobie miejsce.

Oczekując odpowiedzi, zacząłem się zastanawiać nad położeniem i rozważać, jaką drogę należy obrać. Widziałem ze wszystkich stron tyle trudności, zmartwienie zgryzło mnie

<sup>295</sup>nie stoję o to prawo — nie dbam o to prawo. [przypis edytorski]

tak bardzo, zdrowie moje było w tej chwili tak oplakane, iż ugiąłem się zupełnie pod ciosem. Zniechęcenie moje miało ten skutek, iż zbawiło mnie nawet tej trochy zasobów, jakie mogłem jeszcze znaleźć w umyśle dla powzięcia możliwie najlepszego postanowienia. W jakimkolwiek schronieniu próbowałbym się osiedlić, jasne było, że nie mam sposobu ustrzec się przed jednym z dwóch sposobów, które obrano, aby mnie wygnać: jeden, podburzając przeciw mnie ludność za pomocą podziemnych machinacji; drugi, wypędzając mnie wprost, siłą, bez podania przyczyny. Nie mogłem więc liczyć na żaden pewny przytułek, chyba żebym go poszukał dalej niż siły moje i obecna pora roku pozwalały. Wszystko to sprowadzało mnie do myśli, które od dawna snuły mi się po głowie: ośmieliłem się powziąć i wyrazić pragnienie, aby raczej upewniono się co do mej osoby za pomocą wiekuistego więzienia, niż aby mi kazano błąkać się ustawicznie, wypędzając mnie kolejno z każdego schronienia. W dwa dni po pierwszym liście napisałem do pana de Graffenried drugi, prosząc go o przedłożenie tego życzenia ich ekscelencjom. Odpowiedź z Berna na oba listy zawierała rozkaz wyrażony w najbardziej formalnych i bezwzględnych terminach. Nakazywano mi opuścić w ciągu dwudziestu czterech godzin wyspę oraz wszelkie pośrednie i bezpośrednie terytoria Republiki i nie wracać na nie nigdy, pod groźbą najsurowszych kar.

Chwila była okropna. Znalazłem się później niekiedy w gorszych niebezpieczeństwach, nigdy w większym kłopotcie. Ale co mnie zmartwiło najbardziej, to iż zmuszony byłem wyrzec się zamiaru, dla którego, obok innych przyczyn, pragnąłem spędzić zimę na wyspie. Czas wspomnieć tu o fatalnym wydarzeniu, które dopełniło miary klęsk i pociągnęło w ślad za mną nieszczęśliwy naród, którego rodzące się cnoty zapowiadały, iż kiedyś doścignie Spartę i Rzym. Wyraziłem się w *Umowie społecznej* o Korsykanach jako o ludzie świeżym, jedynym w Europie podatnym dla prawodawstwa; zaznaczyłem też, jak wielkie nadzieje można pokładać w takim narodzie, o ile będzie miał szczęście znaleźć roztropnego kierownika. Dzieło moje dostało się do rąk kilku Korsykan, których mile poglaskał zaszczytny sposób, w jaki o nich mówiłem. Okoliczności, wskutek których trzeba im było myśleć o ugruntowaniu swej Rzeczypospolitej, obudziły w ich przywódcach myśl, aby mnie zapytać o radę w tej doniosłej pracy. Niejaki Buttafoco<sup>296</sup> — jedna z pierwszych rodzin w kraju — służący we Francji jako kapitan w pułku królewsko-włoskim, napisał do mnie w tym przedmiocie oraz dostarczył mi wielu dokumentów, o które go poprosiłem dla zaznajomienia się z historią narodu i stanem kraju. Paoli<sup>297</sup> też pisał do mnie kilka razy. Czułem, że podobne przedsięwzięcie przewyższa moje siły; mimo to sądziłem, iż nie godzi mi się odmówić udziału w tak pięknym i wielkim dziele, skoro zasięgnę wiadomości potrzebnych mi w tym celu. W tym sensie odpowiedziałem im i korespondencja ciągnęła się aż do mego wyjazdu.

Właśnie w tym samym czasie dowiedziałem się, że Francja wysłała wojska na Korsykę i zawarła traktat z Genuńczykami<sup>298</sup>. Ten traktat, to wysłanie wojsk zaniepokoiły mnie. Jakkolwiek daleki od podejrzenia związku, który to wszystko miało z moją osobą, uznałem za niemożliwe i śmieszne pracować nad dziełem wymagającym tak głębokiego spokoju jak prawodawstwo jakiegoś ludu, właśnie w chwili, gdy ten lud znajduje się może w przededniu ujarznienia. Nie ukrywałem moich niepokojów panu Buttafoco. Uspokoił mnie oświadczeniem, iż gdyby w traktacie tym znajdowały się rzeczy przeciwne swobodzie jego narodu, tak dobry obywatel jak on nie pozostawiłby (jak on to czynił) w służbie Francji. W istocie, zapał jego dla prawodawstwa Korsyki i ścisłe jego związki z panem Paoli nie mogły zostawiać, co się tyczy jego osoby, żadnej wątpliwości; toteż kiedy się dowiedziałem, że odbywa częste podróże do Wersalu i Fontainebleau i że utrzy-

<sup>296</sup>Buttafoco, Mateo de (1731–1806) — oficer regimentu korsykańskiego, rojalista i zwolennik przyłączenia Korsyki do Francji, później marszałek polny Francji. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>Paoli, Pasquale (1725–1807) — bohater narodowy Korsyki, przywódca pierwszego i jedyne niepodległego państwa korsykańskiego (1755–1769); syn Giacinto Paoliego, przywódcy powstania przeciw Genui z roku 1729; przeciwnik polityczny Napoleona Bonapartego. [przypis edytorski]

<sup>298</sup>traktat z Genuńczykami — od XIII w. Korsyka należała do Republiki Genui. Od r. 1729 na wyspie rozpoczęły się walki o niepodległość, w listopadzie 1755 proklamowana została Republika Korsykańska pod przywództwem Pasquale Paoliego. Uchwalono pierwszą na świecie konstytucję (1755), napisaną w języku włoskim. W traktacie z Versailles zawartym 15 maja 1768 Genua w zamian za darowanie długów zrzekła się pretensji do wyspy na rzecz Francji, która w tym samym roku wysłała na nią swoje oddziały. Walki trwały do 1769 i skończyły się zwycięstwem Francuzów, w 1770 Korsyka stała się prowincją Francji. [przypis edytorski]

muje stosunki z panem de Choiseul, wnosilem stąd tylko tyle, iż posiada snadź co do prawdziwych intencji dworu francuskiego gwarancje, których pozwalał mi się domyślać, ale których nie chciał wyszczególniać otwarcie w korespondencji.

Wszystko to uspakajało mnie po części. Mimo to, nie umiając sobie wytłumaczyć tego wysłania wojsk francuskich, nie mając racji przypuszczać, aby celem ich było bronić wolności Korsykan, którzy byli zdolni doskonale bronić się od Genuńczyków sami, nie mogłem się całkowicie uspokoić ani też zająć się na dobre owym dziełem prawodawczym, póki nie będę miał silnych dowodów, iż to wszystko nie jest igraszką celem zdrwienia ze mnie. Byłbym pragnął zobaczyć się z panem Buttafoco; był to najlepszy środek wydobycia zeń objaśnień, których mi było trzeba. Uczynił mi nadzieje w tej mierze; oczekiwałem jego przybycia z największą niecierpliwością. Co do niego, nie wiem, czy miał w istocie ten zamiar; ale gdyby go i miał, nieszczęścia moje nie dałyby mi zeń skorzystać.

Im więcej rozmyślałem nad przedłożonym mi zadaniem, im głębiej zapuszczałem się w badania dokumentów, które miałem w rękach, tym więcej czułem potrzebę bliższego poznania i ludu, dla którego miałem stanowić prawa, i kraju, i stosunków, do których trzeba było dostosować to prawodawstwo. Napisałem do Buttafoco: rozumiał to sam. Jeżeli nie powziąłem jeszcze stanowczej decyzji udania się na Korsykę, zajmowałem się wiele sposobami odbycia tej podróży. Wspomniałem o tym panu Dastier, który mógł znać tę wyspę, ile że służywał na niej niegdyś pod panem de Maillebois. Nie oszczędził niczego, aby mnie odwieść od tego zamiaru; wyznaję, iż straszliwy obraz, w jakim odmalował mi Korsykan i ich kraj, ostudził mocno pragnienie osiedlenia się między nimi.

Ale kiedy prześladowania w Motiers kazały mi myśleć o opuszczeniu Szwajcarii, pragnienie to ożywiło się pod wpływem nadziei, iż znajdę wreszcie może u tych wyspiarzy spokój, którego nie chciano mi nigdzie użyżyc. Jedna rzecz tylko niepokoiła mnie: mianowicie wrodzona niezdolność i odraza do czynnego życia, na które miałem być skazany. Stworzony do swobodnego dumania w samotności, nie byłem zdatny do mówienia, działania, utrzymywania stosunków z ludźmi. Natura, która dała mi pierwszy z owych talentów, odmówiła mi drugiego. Czułem, iż nie biorąc nawet wprost udziału w sprawach publicznych, będę zmuszony, skoro raz znajdę się na Korsyce, wydać się na pastwę ciekawości ludu oraz znosić się<sup>299</sup> często z jego naczelnikami. Sam cel podróży wymagał, abym miał szukać spokojnej ustroni, szukał we współżyciu z ludem światła, któremu potrzebował. Jasne było, że nie będę już mógł rozrządzać sobą samym; że wciągnięty mimo chęci w wir, do którego nie byłem stworzony, będę prowadził życie wręcz przeciwne swoim upodobaniom i ujawnię w nim wyłącznie swoje najmniej korzystne strony. Przewidywałem, iż lichy swoją obecnością podtrzymując pojęcie, które mogły dać o mnie moje utwory, zdyskredytuję się u Korsykan, i stracę, zarówno z ich, jak z własną szkodą, zaufanie, którym mnie obdarzyli, a bez którego nie mogłem skutecznie dokonać dzieła, którego się po mnie spodziewają. Byłem pewien, iż wychodząc w ten sposób z mojej sfery, stanę się dla nich bezpożyteczny, a sam dla siebie nieszczęśliwy.

Dręczony, miotany burzami wszelkiego rodzaju, znużony podróżami i prześladowaniem od szeregu lat, czułem żywą potrzebę spoczynku, którego pozbawiać mnie było igraszką dla mych barbarzyńskich prześladowców. Wzdychałem, bardziej niż kiedy, do tej lubej bezczynności, do słodkiego spokoju ducha i ciała, którego tak pożądałem i w którym, oprzytomniawszy z urojeń miłości i przyjaźni, serce moje mieściło najwyższe szczęście. Z przerażeniem patrzyłem na prace, które miałem podjąć, na burzliwe życie, które mnie czekało. Jeżeli wielkość, piękność, pożytek celu ożywiały mą odwagę, niepodobiestwo skutecznego poparcia go własną osobą odejmowało mi ją zupełnie. Dwadzieścia lat głębokiej medytacji mniej by mnie kosztowało niż pół roku czynnego życia wśród ludzi i spraw z tą pewnością, że źle wywiążę się z zadania.

Przyszedł mi do głowy sposób, który zdawał się godzić wszystko. Ścigany w każdym schronieniu podziemnymi intrygami wrogów, widząc już tylko jedną Korsykę, gdzie mógłbym się spodziewać dla mych starych lat spoczynku, którego nie chciano mi zostawić nigdzie, postanowiłem udać się tam, zgodnie z wskazówkami Buttafoco, skoro tylko będzie możliwe. Jednak, aby tam żyć spokojnie, umyśliłem wyrzec się, przynajmniej na pozór, zadania prawodawcy i ograniczyć się (aby spłacić do pewnego stopnia gospodarzom

<sup>299</sup>znosić się z kimś (daw.) — spotykać się z kimś, porozumiewać się, współpracować. [przypis edytorski]

ich gościnność) do spisania na miejscu historii tego kraju. W ten sposób zabezpieczałem sobie, bez rozgłosu, możliwość zebrania potrzebnych wiadomości, które pozwoliłyby mi może stać się im później bardziej użytecznym, o ile bym uznał, że są widoki w tej mierze. Nie zobowiązując się na początek do niczego, spodziewałem się, iż będę mógł obmyślić w tajemnicy i swobodnie plan, który mógłby się im nadać, i to nie wyrzekając się zbytnio mej drogiej swobody ani nie poddając się rodzajowi życia, który mi był nieznośny i do którego nie miałem talentu.

Ale podróż ta w moim położeniu nie była rzeczą łatwą. Sądząc z tego, co pan Dastier mówił o Korsyce, mogłem tam liczyć, w zakresie najprostszycy wygód, jedynie na to, co wziąłbym z sobą. Bieliznę, ubranie, sprzęty, naczynie kuchenne, papier, książki, wszystko trzeba było przywieźć. Aby się tam przenieść z moją „gospodynią” trzeba było przebyć Alpy i w tej dwustomilowej przeprawie wlec za sobą cały bagaż. Trzeba było przejechać stany rozmaitych władców; wedle tonu zaś poddanego przez całą Europę, mogłem po swoich nieszczęściach spodziewać się, iż wszędzie znajdę przeszkody i że każdy zrobi sobie uciechę z tego, aby mnie chłostać nową przykrością i gwałcić wobec mnie wszelkie prawa narodów i ludzkości. Olbrzymie koszta, zmęczenie, niebezpieczeństwa podobnej podróży zmuszały mnie dobrze przewidzieć i zważyć jej trudności. Myśl wreszcie, iż mogę się znaleźć sam, bez środków, w moim wieku, z dala od wszystkich znajomych, na łasce tego ludu barbarzyńskiego i okrutnego, jak mi go odmalował pan Dastier, kazała się dobrze zastanowić nad podobną decyzją, nim ją wprowadzę w życie. Pragnąłem gorąco spotkania, którego Buttafoco nadzieję mi uczynił i czekałem z decyzją na wynik rozmowy.

Podczas gdy tak się wahałem, przyszły prześladowania w Motiers, które zmusiły mnie do opuszczenia tej miejscowości. Nie byłem przygotowany do długiej podróży, zwłaszcza na Korsykę. Czekałem nowin od Buttafoco; schroniłem się na Wyspę Św. Piotra, skąd wypędzono mnie z początkiem zimy, jak rzekłem poprzednio. Alpy pokryte śniegiem uniemożliwiały w danej chwili tę wędrówkę, zwłaszcza wobec pośpiechu, jaki mi nakazano. Prawda, iż sama niedorzeczność podobnego rozkazu czyniła go niepodobnym do spełnienia. Z wnętrza tej samotni okolonej wodą, mając od chwili doręczenia rozkazu jedynie dobę na przygotowanie do wyjazdu, znalezienie statku i wehikułów celem opuszczenia wyspy i całego terytorium, gdybym nawet miał skrzydła, z trudnością mógłbym usłuchać. Napisałem do starosty w odpowiedzi na jego list i spieszyłem wydestać się z tego kraju ciemnoców. Oto w jaki sposób trzeba mi było zaniechać mego ulubionego projektu i jak, nie mogąc w mej rozpaczycy uzyskać, aby rozrządzono mym losem, zgodziłem się na zaproszenie milorda marszałka na podróż do Berlina, zostawiając Teresę na zimę na Wyspie Św. Piotra, wraz z rzeczami i książkami, a składając papiery w ręce pana du Peyrou. Rozwinąłem taki pośpiech, że już następnego dnia rano opuściłem wyspę i przybyłem do Bienne jeszcze przed południem. Niewiele brakło, abym tam nie zakończył mej podróży, wskutek wypadku, którego nie godzi się zamilczeć.

Skoro rozeszła się wieść, że otrzymałem rozkaz opuszczenia swego schroniska, stałem się przedmiotem mnóstwa odwiedzin z sąsiedztwa, zwłaszcza Berneńczyków, którzy ze wstrętną obłudą przychodzili czulić się nade mną, pocieszać i zaklinać się, że wyzyskano chwilę wakacji i niepełnego składu senatu, aby ukuć i przesłać mi ten rozkaz, którym, mówili, wszyscy Dwustu są oburzeni. Między tą ciżbą pocieszaczy znalazło się kilku z miasta Bienne, małego wolnego staniku, zamkniętego w stanach berneńskich; między innymi młody człowiek nazwiskiem Wildremet, którego rodzina zajmowała tam naczelne miejsce i miała znaczny wpływ w tym miasteczku. Wildremet zaklął mnie żywo w imieniu obywateli, abym obrał miejsce schronienia wśród nich, upewniając, iż pragną gorąco mnie przygarnąć; że będą sobie uważali za chlubę i obowiązek dać mi zapomnieć o prześladowaniach, które wycierpiałem; że nie mam przyczyny obawiać się wśród nich wpływu Berneńczyków; że Bienne jest wolnym miastem, które nie pozwala się wtrącać do swoich spraw nikomu, i że wszyscy obywatele mają stanowczy zamiar nie słuchać żadnych głosów, które by były dla mnie nieprzyjazne.

Wildremet, widząc, iż nie zachwał mego postanowienia, wezwał do pomocy kilka innych osób, tak z Bienne i jego okolicy, jak z samego Berna, między innymi tegoż samego Kirchbergera, o którym mówiłem, iż szukał mego towarzystwa od czasu mego schronienia się w Szwajcarii i że talenty jego i zasady zwróciły nań moją uwagę. Bardziej

nieprzewidzianym i ważkim dla mnie było naleganie pana Barthès, sekretarza ambasady francuskiej, który odwiedziwszy mnie wraz z Wildremetem, zachęcał mocno, abym przyjął zaproszenie i zdziwił mnie serdeczną życzliwością, jaką zdawał się przejęty. Nie znałem zupełnie pana Barthès; ale widziałem, iż mówi przezeń szczerą i gorliwą przyjaźń, widziałem, że leży mu prawdziwie na sercu, aby mnie namówić do osiedlenia się w Bienne. Rozpływał się w niebotycznych pochwałach nad tym miastem i jego mieszkańcami, z którymi zdawał się związany tak ściśle, iż po kilkakroć dawał im miano swoich ojców i opiekunów.

Ten krok pana Barthès zachwiał wszystkie moje przypuszczenia. Zawsze podejrzewałem, iż pan de Choiseul jest ukrytym sprawcą prześladowań, które cierpiałem w Szwajcarii. Zachowanie rezydenta francuskiego w Genewie, ambasadora w Solurze aż nadto potwierdzało te podejrzania. Widziałem, iż Francja wpływa tajemnie na wszystko, co mi się zdarzyło w Bernie, w Genewie, w Neuchâtel, nie sądziłem zaś, bym miał we Francji innego potężnego nieprzyjaciela, prócz księcia de Choiseul. Cóż mogłem tedy myśleć o odwiedzinach Barthesa i o jego tklwym, zdawałoby się, zainteresowaniu moim losem? Nieszczęścia nie zniweczyły jeszcze ufności wrodzonej memu sercu, a doświadczenie nie nauczyło mnie widzieć zasadzek pod wylewami przyjaźni. Szukałem ze zdumieniem przyczyn życzliwości Barthesa; nie byłem dość głupi, aby myśleć, iż uczynił ten krok z własnej pobudki. Powziął go tak jawnie, a nawet z taką afektacją<sup>300</sup>, iż wszystko to zdradzało ukrytą intencję; nie spotykałem zaś u tego rodzaju podrzędnych agentów owej szlachetnej odwagi, jaka, na podobnym stanowisku, często wzbierała w mym sercu.

Widywałem niegdyś u księstwa de Luxembourg kawalera de Beaufort<sup>301</sup>; okazywał mi życzliwość. Od czasu swej ambasady dawał mi jeszcze niekiedy jakieś znaki pamięci, nawet zapraszał, bym go odwiedził w Solurze: zaproszenie, które mimo że nie korzystałem zeń, pochlebiało mi bardzo, ponieważ nie przywykłem do takich uprzejmości ze strony panów dygnitarzy. Sądziłem tedy, iż pan de Beaufort, zmuszony trzymać się instrukcji w tym, co tyczyło spraw Genewy, litując się wszelako moich nieszczęść, uzyskał dla mnie przez osobiste wpływy to schronienie w Bienne, abym mógł tam żyć spokojnie pod jego pieczą. Wzruszyła mnie ta życzliwość, nie chciałem jednak z niej korzystać. Zdecydowany stanowczo na podróż do Berlina, czekałem niecierpliwie chwili, gdy znajdę się w pobliżu milorda marszałka, przekonany, że już tylko przy nim czeka mnie prawdziwy spokój i trwałe szczęście.

Kiedy opuszczał wyspę, Kirchberger towarzyszył mi aż do Bienne. Zastałem tam Wildremeta i kilku innych Bieńczyków, oczekujących mnie na wybrzeżu. Zjedliśmy wspólnie obiad w gospodzie; pierwszym mym staraniem było poszukać kolasy, aby nazajutrz ruszyć w drogę. Podczas obiadu panowie ci na nowo wszczęli nalegania, aby mnie zatrzymać u siebie; i to z takim zapalem i tak wzruszającymi zakłęciami, iż mimo wszystkich postanowień serce moje, które nigdy nie umiało się oprzeć dowodom gorącej sympatii, dało się wzruszyć. Skoro tylko ujrzeni, że się chwieję, podwoili wysiłki tak skutecznie, iż wreszcie dałem się zwyciężyć i zgodziłem się zostać w Bienne, przynajmniej do przyszłej wiosny.

Natychmiast Wildremet zakrzętnął się, aby mi znaleźć mieszkanie. Wrócił z poszukiwań, chwając się, iż znalazł prawdziwy skarb. Skarbem tym był mały szpetny pokoik od tyłu, na trzecim piętrze, wychodzący na podwórze, gdzie za całą rozkosz miałem wyciewy cuchnących zlewów garbarni. Gospodarz mój był to mały człeczyna o nieszczęgólnej minie i wątpliwej uczciwości. Dowiedziałem się nazajutrz, iż jest to hulaka, gracz i w ogóle człowiek zażywający bardzo złej sławy w dzielnicy. Nie miał żony, dzieci ani służby; tak iż, żałośnie uwięziony w samotnym pokoju, znalazłem się, w najbardziej uroczym kraju pod słońcem, pomieszczony w sposób zdolny w ciągu kilku dni przyprowadzić o śmierć z melancholii. Co mnie najbardziej dotknęło, to iż mimo wszystkiego, co mi mówiono o zapale mieszkańców dla mej osoby, nie spostrzegłem, przechadzając się po ulicach, najmniejszej uprzejmości w obejściu ani też życzliwości w spojrzeńiach. Miałem wszelako zupełnie stanowczy zamiar zostać tam; tymczasem zaraz następnego dnia dowiedziałem się, ujrzałem i uczułem, iż panuje w mieście straszliwe wrzenie przeciw mnie. Wiele god-

<sup>300</sup>afektacja — przesada w okazywaniu uczuć, egzaltacja. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>Beaufort, Pierre de Buisson de (1703–ok. 1792) — francuski ambasador w Szwajcarii (1762–1775). [przypis edytorski]

nych osób przyszło uprzedzić mnie życzliwie, iż nazajutrz miano mi doręczyć, w możliwie najostrzejszej formie, rozkaz opuszczenia natychmiast stanu, to znaczy miasta. Nie miałem kogo się poradzić; wszyscy, którzy mnie zatrzymywali, pochowali się. Wildremet znikł; nie słyszałem już nic o panu Barthès i nie wydaje się, aby jego zalecenie posłużyło mi bardzo w oczach tych „ojców” i „opiekunów”, którymi popisywał się przede mną. Niejaki pan de Vau-Travers, Berneńczyk, który miał ładny domek pod miastem, ofiarował mi wszelako schronienie, mając nadzieję — jak mówił — iż będę mógł w nim uniknąć ukamienowania. Przywilej ten nie wydał mi się dość pociągający, aby mógł starczyć za pokusę przedłużenia pobytu wśród tego gościnnego ludu.

Straciwszy trzy dni na tym opóźnieniu, przekroczyłem już znacznie owe dwadzieścia cztery godziny udzielone mi przez Berneńczyków na opuszczenie ich ziemi. Znając bezwzględność tych panów, nie byłem wolny od obaw co do dalszej podróży, kiedy starosta z Nidau pospieszył w samą porę wydobyć mnie z kłopotu. Ponieważ głośno potępił bezwzględne postąpienie ich ekscelencji, sądził w szlachetności swojej, iż winien mi jest publiczne świadectwo, że nie ma w nim żadnego udziału. Nie zawahał się opuścić swego starostwa, aby mnie odwiedzić w Bienne. Przybył w wilię mego wyjazdu; daleki od szukania *incognito*, rozwinął nawet niejaki ceremoniał, przybył *in fiocchi*<sup>302</sup> w swojej karocy, wraz z sekretarzem, i przywiózł mi paszport ze swoim podpisem, upoważniający do swobodnego przebycia stanów berneńskich bez obawy szykan. Odwiedziny wzruszyły mnie bardziej od paszportu. Nie mniej byłbym nimi wzruszony, gdyby miały za przedmiot kogo innego niż mnie. Nie znam nic, co by potężniej działało na me serce niż akt odwagi okazanej w sposobną chwilę na rzecz słabego, niesprawiedliwie uciśnionego.

Wreszcie, wystarawszy się z trudem o kolaskę, wyjechałem nazajutrz z tej morderczej ziemi, przed przybyciem deputacji, którą mnie zamierzano uczcić. Nie zdążyłem nawet doczekać się Teresy, którą wezwałem do siebie w przekonaniu, iż zatrzymam się w Bienne, i którą ledwie zdołałem odmówić pospiesznym listem, donosząc o nowej klęsce. Czytelnik ujrzy w trzeciej części, jeśli kiedykolwiek będę miał siłę ją spisać, w jaki sposób, mniemając, iż jadę do Berlina, pojechałem w istocie do Anglii i w jaki sposób dwie damy, które chciały rozrzucić mą osobą, wyгнаwszy mnie za pomocą swych intryg ze Szwajcarii, gdzie nie dość byłem w ich mocy, zdołały mnie wreszcie wydać swemu przyjacielowi.

\*

Odczytawszy to pismo hrabiemu d'Egmont oraz jego małżonce, księżu Pignatelli, margrabinie de Mesme i margrabiemu de Juigné, dodałem te słowa:

„Powiedziałem prawdę: jeżeli ktokolwiek wie rzeczy sprzeczne z tym, co tu przedstawiłem, choćby po tysiąc razy dowiedzione, wie kłamstwa i szalbierstwa; jeżeli odmawia zgłębienia ich i rozjaśnienia ze mną, póki jestem przy życiu, nie kocha ani sprawiedliwości, ani prawdy. Co do mnie, oświadczam głośno i bez obawy: ktokolwiek, nawet nie przeczytawszy moich pism, zbada własnymi oczami mój charakter, obyczaje, skłonności, upodobania, przyzwyczajenia i będzie mnie mógł uważać za nieuczciwego człowieka, sam jest człowiekiem zasługującym, aby go zadławić”.

Na tym dokończyłem czytania; wszyscy trwali w milczeniu. Jedna pani d'Egmont zdawała się wzruszona; zadrzała widocznie, ale opamiętała się szybko i zachowała milczenie, równie jak całe towarzystwo. Oto był owoc, który zyskałem z tej lektury i z mego oświadczenia.

<sup>302</sup>*in fiocchi* (wł.) — tu: oficjalnie, z całym splendorem; dosł.: we frędzlach, od kapeluszy kardynalskich ozdobionych umieszczonymi po bokach sznurami z frędzlami, noszonych dawniej podczas szczególnie ważnych uroczystości. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rousseau-wyznania-tom-drugi/>

Tekst opracowany na podstawie: Jean-Jacques Rousseau, Wyznania t. 3, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Biblioteka Boya, Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Kopec, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5317-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.